



OJCIEC BROWN

TRZY NARZĘDZIA ŚMIERCI



G. K. Chesterton

OJCIEC BROWN



G. K. Chesterton

OJCIEC BROWN

TRZY NARZĘDZIA ŚMIERCI

Tłumaczyła
Martyna Plisenko


Replika

Tytuł oryginału
THE FATHER BROWN STORIES. Volume 3

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Joanna Pawłowska

Korekta
Lidia Ryś

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

Wydanie elektroniczne 2018

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

ISBN 978-83-7674-802-3

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

SPIS TREŚCI

NIEWINNOŚĆ OJCA BROWNA

Dziwaczne kroki

Honor Israela Gowa

Niewłaściwy kształt

Grzechy księcia Saradine'a

Trzy narzędzia śmierci

MĄDROŚĆ OJCA BROWNA

Bóg Gongów

Sałatka pułkownika Craya

Bajka o ojcu Brownie

NIEDOWIARSTWO OJCA BROWNA

Skrzydlaty sztylet

Zagłada Darnawayów

TAJEMNICA OJCA BROWNA

Tajemnica ojca Browna

Zniknięcie Vaudreya

Czerwony księżyc Meru

Tajemnica Flambeau

SKANDAL OJCA BROWNA

Skandal ojca Browna

Czubek szpilki

Wioskowa wampirzyca

INNE

Maska Midasa

NIEWINNOŚĆ OJCA BROWNA

DZIWACZNE KROKI

Gdybyście natknęli się na członka tego szczególnego klubu, „Dwunastu Prawdziwych Rybaków”, wchodzącego do Hotelu Vernon na doroczną kolację klubową, zauważylibyście, że jego okrycie wieczorowe jest zielone, nie czarne. Gdybyście (zakładając, że macie tupet, by zwrócić się do takiej osobistości) zapytali go, dlaczego, przypuszczalnie odpowiedziałby, że to po to, by nie pomyłono go z kelnerem. To wam zamknie usta. Jednak odejdziecie, pozostawiając za sobą zagadkę, jak dotąd nierozwiązaną, i historię wartą opowiedzenia.

Gdybyście (biorąc pod uwagę równie nieprawdopodobne założenie) mieli się spotkać z łagodnym, ciężko pracującym małym księdzem, nazywanym ojcem Brownem, i mieli go zapytać, co według niego było największym fartem w jego życiu, odpowiedziałby przypuszczalnie, że taki łut szczęścia przydarzył mu się w Hotelu Vernon, gdzie zapobiegł zbrodni, a być może uratował duszę, tylko dzięki temu, że usłyszał kilka kroków w korytarzu. Przypuszczalnie odczuwa odrobinę dumy z tego swojego wariackiego i wspaniale trafnego założenia, i możliwe, że się do niego odniesie. Ponieważ jednak jest wielce nieprawdopodobne, byście kiedykolwiek uzyskali dostatecznie wysoką pozycję w świecie towarzyskim, aby natknąć się na któregoś z „Dwunastu Prawdziwych Rybaków”, bądź upadli dostatecznie nisko, by znaleźć się w slumsach i pośród kryminalistów, żeby znaleźć ojca Browna, obawiam się, że nigdy byście nie usłyszeli tej historii, chyba że ode mnie.

Hotel Vernon, w którym „Dwunastu Prawdziwych Rybaków” spotykało się na swojej dorocznej kolacji, był instytucją, która istnieć mogła wyłącznie w społeczeństwie oligarchicznym, dla którego dobre maniery były niemalże wszystkim. Był to jeden z tych projektów postawionych na głowie - „ekskluzywne”

przedsięwzięcie handlowe. Nie oznaczało to przyciągania ludzi, ale raczej ich zniechęcanie. W sercu plutokracji kupcy stają się tak przebiegli, że wybrednością nie ustępują swoim klientom. Z powodzeniem mnożą trudności, aby ich majętni i zblazowani klienci mogli wykorzystywać pieniądze i środki dyplomatyczne w celu ich przewyciężenia. Gdyby w Londynie istniał modny hotel, do którego nie wpuszczano by osób o wzroście poniżej sześciu stóp, społeczeństwo potulnie powoływałoby grupy ludzi o takim wzroście, którzy by się w nim spotykali. Gdyby istniała droga restauracja, która zwykłym kaprysem swojego właściciela działałaby wyłącznie w czwartkowe popołudnia, w każde czwartkowe popołudnie byłby tam tłum. Hotel Vernon jakby przez przypadek stał na narożniku placu w Belgravii¹. Był to mały hotel - i zdecydowanie niewygodny. Jednak jego wady uznawane były za mury chroniące konkretną klasę. Jedną z nich, dość osobliwą, była szczególnie ważna: w miejscu tym posiłek mogły spożywać jednocześnie tylko dwadzieścia cztery osoby. Jedynym dużym stołem jadalnym był słynny stół ogrodowy, stojący na powietrzu na swego rodzaju werandzie wychodzącej na jeden z najpiękniejszych starych ogrodów w Londynie. Jako że mimo wszystko z tych dwudziestu czterech miejsc można było korzystać wyłącznie przy ciepłej pogodzie, to przyjemność z tego płynąca była jeszcze trudniejsza do osiągnięcia, a tym samym bardziej pożądana. Obecny właściciel tego przybytku był Żyd o nazwisku Lever. Zarobił na nim blisko milion, jedynie utrudniając dostęp do niego. Oczywiście to ograniczenie w zakresie swojego przedsięwzięcia połączył z najstaranniejszym wyrefinowaniem jego prowadzenia. Wina i jedzenie były doprawdy równie dobre, jak gdziekolwiek w Europie, a sposób bycia obsługi dokładnie odzwierciedlał stały nastrój angielskiej klasy wyższej. Właściciel znał wszystkich swoich kelnerów jak własną kieszeń; było ich tylko piętnastu. Znacznie łatwiej było zostać członkiem Parlamentu niż kelnerem w tym hotelu. Każdy kelner ćwiczył się w ciszy i płynności, jakby był służącym dżentelmena. I w istocie na

każdego dżentelmena spożywającego tam posiłek przypadła jeden kelner.

Klub „Dwunastu Prawdziwych Rybaków” mógłby spotykać się wyłącznie w takim miejscu, a to ze względu na luksusową prywatność. Jego członkowie byli bardzo niezadowoleni na samą myśl, że w tym samym budynku miałyby choćby spożywać kolację jakikolwiek inny klub. Przy okazji owej dorocznej kolacji Rybacy mieli zwyczaj obnoszenia się ze wszystkimi swoimi skarbami, jakby znajdowali się w prywatnym domu, zwłaszcza ze słynnymi zestawami noży i widelców do ryb, które były insygniami stowarzyszenia, pięknie kutymi w srebrze i z rękojeścią zdobną w pojedynczą, dużą perłę. Zawsze były wyciągane do dania rybnego, a danie rybne zawsze było najwspanialsze w tym wspaniałym posiłku. Stowarzyszenie miało wiele ceremonii i rytuałów, nie miało jednak historii ani celu; tak bardzo było arystokratyczne. Nie trzeba było być kimkolwiek konkretnym, żeby stać się jednym z Dwunastu Rybaków, lecz o ile nie było się osobą szczególnego rodzaju, nigdy nawet się o nich nie słyszało. Istniało od dwunastu lat. Jego przewodniczącym był pan Audley. Wiceprzewodniczącym był książę Chester.

Jeżeli w jakimś stopniu udało mi się przekazać atmosferę tego okropnego hotelu, czytelnik może odczuwać naturalne zdziwienie, skąd wiem o tym wszystkim, i może nawet spekulować, jak doszło do tego, że osoba równie przeciętna jak mój przyjaciel, ojciec Brown, znalazła się na tej złotej galerze. W tym aspekcie moja opowieść jest prosta, a nawet pospolita. Jest na tym świecie pewien wielce wiekowy buntownik i demagog, który głosi najbardziej wyrafinowane teorie zawierające tak przerażające informacje jak to, że wszyscy ludzie są braćmi, a gdziekolwiek ów wichrzyciel jechał na swoim bladym koniu, zadaniem ojca Browna było za nim podążać. Jednego z kelnerów, Włocha, tego popołudnia powalił udar parali-tyczny, a jego żydowski pracodawca, dziwiąc się nieco takim przesądom, zgodził się posłać po najbliższego księdza katolickiego. To, co ów kelner wyznał ojcu Brownowi podczas spowiedzi, nie jest naszą sprawą, a to z

tego wspaniałego powodu, że kapłan zachował to dla siebie - jednak najwyraźniej skłoniło go to do napisania notatki czy oświadczenia dotyczącego przekazania pewnej wiadomości czy naprawy pewnych błędów. Dlatego też ojciec Brown z łagodną zuchwałością, którą tak samo okazałby w pałacu Buckingham, poprosił o pokój i materiały piśmiennicze. Pan Lever był w rozterce. Był uprzejmym człowiekiem i przejawiał również tę kiepską imitację uprzejmości, tę niechęć do wszelkich trudności czy scen. Jednocześnie obecność tego wieczoru w jego hotelu jednego, niezwykle obcego była jak plama brudu na czymś świeżo wyczyszczonym. W Hotelu Vernon nigdy nie było żadnego przedpokoju ani poczekalni, żadnych ludzi czekających w holu, żadnych przypadkowych klientów. Było piętnastu kelnerów. Było dwunastu gości. Tego wieczoru nowy gość hotelowy byłby równym zaskoczeniem, co nowy brat jedzący śniadanie czy pijący herbatę ze swoją własną rodziną. Co więcej, wygląd księdza był raczej marny, a ubranie zablocone; jeden rzut oka na niego mógł wywołać kryzys w klubie. Wreszcie pan Lever wpadł na pomysł, w jaki sposób ukryć tę hańbę, skoro nie mógł jej uniknąć. Gdybyście weszli (co nigdy wam się nie zdarzy) do Hotelu Vernon, przejdziecie krótkim korytarzem ozdobionym kilkoma wyblakłymi, jednak ważnymi obrazami, i dojdziecie do głównego westybulu i baru, który po prawej stronie otwiera się na korytarze prowadzące do prywatnych pokoi, a po lewej na korytarz prowadzący do kuchni i biur hotelu. Tuż po waszej lewej ręce jest narożnik oszklonego biura, które przylega do baru - można powiedzieć, że budynek w budynku, jak mały bar hotelowy, który zapewne kiedyś był w tym miejscu. W biurze tym zasiadł przedstawiciel właściciela (w tym miejscu nikt nigdy nie pojawiał się osobiście, jeżeli mógł tego uniknąć), a tuż za biurem, po drodze do kwater służby, znajdowała się szatnia dla dżentelmenów, ostatnia granica przed ich królestwem. Ale pomiędzy biurem a szatnią było maleńkie pomieszczenie prywatne bez drugiego wyjścia, czasami wykorzystywane przez właściciela do delikatnych i ważnych spraw, takich jak

udzielenie księciu pożyczki na tysiąc funtów albo odmowa pożyczania mu sześciu pensów. Zgoda, by to święte miejsce przez ponad pół godziny było profanowane przez zwykłego księdza skrobiącego piórem na papierze, była znakiem ogromnej tolerancji pana Levera. Historia, którą spisywał ojciec Brown, najprawdopodobniej była znacznie lepsza od tej, tylko nikt się tego nigdy nie dowie. Ja mogę jedynie stwierdzić, że była niemal tak samo długa, i że dwa czy trzy ostatnie akapity były najmniej ekscytujące i absorbujące.

Do tego bowiem czasu ksiądz pozwolił, by jego myśli zaczęły nieco błądzić, a zwierzęce zmysły, nadzwyczaj czułe, budzić się. Czas ciemności i kolacji się zbliżał; jego własny, zapomniany pokój był pozbawiony światła, i być może gęstniejący mrok, jak to się czasem zdarza, wyostrzył zmysł słuchu. Gdy ojciec Brown zapisał ostatnią i najmniej ważną część swojego dokumentu, złapał się na tym, że pisze w rytmie powtarzającego się dźwięku z zewnątrz, tak jak niektórym zdarza się myśleć w rytm pociągu na torach. Gdy to sobie uświadomił, zrozumiał, co to takiego: po prostu regularny dźwięk kroków mijających drzwi, co w przypadku hotelu nie było niczym niezwykłym. Tym niemniej zapatrzył się w ciemniejszy sufit i nasłuchiwał tego dźwięku. Po tym, jak przez kilka sekund słuchał sennie, poderwał się i zaczął słuchać uważnie, z głową lekko przychylną na bok. Potem znowu usiadł i oparł czoło na dłoniach, teraz nie tylko słuchając, ale słuchając i zastanawiając się.

Kroki te brzmiały tak, jak mogłyby brzmieć w każdej chwili w jakimkolwiek hotelu; a jednak, gdy potraktować je całościowo, było w nich coś wielce dziwnego. Nie słychać było żadnych innych. To zawsze był bardzo cichy budynek, z kilkoma znajomymi gośćmi w ich apartamentach i dobrze wyszkolonymi kelnerami, którym mówiono, że mają być niemal niewidzialni do chwili, gdy będą potrzebni. Trudno było wyobrazić sobie inne miejsce, gdzie byłoby mniej powodów, by spodziewać się czegoś nieregularnego. Jednak te kroki były tak dziwne, że nie można ich było nazwać ani regularnymi,

ani nieregularnymi. Ojciec Brown śledził je palcem po blacie stołu, jak człowiek próbujący nauczyć się grać na fortepianie.

Początkowo słychać było długi ciąg pospiesznych, drobnych kroczków, takich, jakie lekki człowiek mógłby stawiać, aby wygrać wyścig w chodzie. W pewnej chwili zatrzymały się i zmieniły w swego rodzaju powolne, posuwiste stąpięcia, których było mniej niż jedna czwarta wcześniejszych kroków, ale trwały mniej więcej tyle samo. W chwili gdy wybrzmiało ostatnie stąpięcie, znowu rozległ się tupot lekkich, spiesznych stóp, a potem znów łupnięcie cięższych kroków. Z pewnością były to te same buty, po części dlatego (jak powiedziano), że w okolicy nie było żadnych innych, a po części dlatego, że wydawały delikatne, ale wyraźne skrzypnięcie. Ojciec Brown miał umysł tego rodzaju, który nie potrafi się powstrzymać od zadawania pytań, a przez to pozornie trywialne pytanie głowa niemal mu pękła. Widywał ludzi biorących rozbieg przed skokiem. Widywał ludzi biorących rozbieg przed ślizgiem. Ale po co ktoś miałby brać rozbieg przed chodzeniem? Albo odwrotnie, po co ktoś miałby iść, żeby biec? Jednak żaden inny opis nie pasował do figli tej niewidzialnej pary nóg. Człowiek ten albo szedł bardzo szybko przez połowę korytarza, żeby drugą połowę pokonać bardzo wolno; albo bardzo wolno szedł po jednej stronie, żeby gwałtownie przyspieszyć po drugiej. Nic innego nie miało sensu. Myśli ojca Browna robiły się coraz ciemniejsze, podobnie jak jego pokój.

Jednakże, gdy zaczął myśleć na spokojnie, ta sama ciemność jego celi wydawała się nadawać jego myślom żywości; zaczął dostrzegać, niczym w jakiejś wizji, te fantastyczne stopy hasające po korytarzu w nienaturalnym bądź symbolicznym rytmie. Czy był to gorący taniec religijny? Czy może jakieś zupełnie nowe, naukowe ćwiczenie? Ojciec Brown zaczął sobie zadawać bardziej konkretne pytania o naturę tych kroków. Począwszy od tego wolnego: z pewnością nie był to krok właściciela. Ludzie jego typu chodzą, człapiąc pospiesznie, albo siedzą spokojnie. Nie mógł to być żaden służący ani posłaniec czekający na polecenia. Nie tak to

brzmiało. Przedstawiciele oligarchii czasami wydają różne rozkazy, gdy są nieco pijani, ale ogólnie, a zwłaszcza w tak olśniewających scenach, stoją bądź siedzą w wystudiowanych pozach. Nie - ten ciężki, ale sprężysty krok, ze swego rodzaju beztroską emfazą, nieszczególnie głośny, nieprzejmujący się jednak czynionym hałasem, mogło mieć tylko jedno ze stworzeń tego świata. Był to dżentelmen z zachodu Europy, i to przypuszczalnie taki, który nigdy nie musiał pracować na życie.

Właśnie gdy nabrał całkowitej pewności co do tego wniosku, kroki zmieniły się na szybsze i przebiegły pod drzwiami pospiesznie jak szczur. Ojciec Brown zarejestrował to, pomimo że te kroki były znacznie szybsze i znacznie mniej hałaśliwe, prawie tak, jakby ten człowiek szedł na palcach. Jednak w jego umyśle nie łączyło się to z tajemniczością, ale z czymś innym - czymś, czego nie mógł sobie przypomnieć. Dręczyło go jedno z tych półwspomnień, które potrafią doprowadzić człowieka niemal do obłądu. Z pewnością już gdzieś słyszał ten dziwny, szybki krok. Nagle z nową myślą poderwał się na nogi i podszedł do drzwi. Z jego pokoju nie było bezpośredniego wyjścia na korytarz, ale z jednej strony przylegał do szklanego biura, a z drugiej do szatni. Próbował otworzyć drzwi do biura, ale były zamknięte na klucz. Potem spojrzał w stronę okna, teraz prostokątnej połaci pełnej purpurowych chmur podświetlonych przez wspaniały zachód słońca, i przez chwilę wyczuwał zło, tak jak pies wyczuwa szczury.

Jego racjonalna część (być może mądrzejsza, a może nie) odzyskała kontrolę. Przypomniawszy sobie, że właściciel powiedział mu, że musi zamknąć drzwi, i że przyjdzie później, żeby go wypuścić. Powiedział sobie, że te ekscentryczne dźwięki na zewnątrz mogło wywołać dwadzieścia rzeczy, o których nie pomyślał; przypomniał sobie, że miał tu akurat tyle światła, żeby skończyć własną pracę. Przeniósł swoje zapiski do okna, gdzie mógł złapać ostatnie światło burzowego wieczoru, i stanowczo raz jeszcze zatopił się w niemal kompletnym opisie. Pisał przez jakichś dwadzieścia

minut, pochylając się coraz niżej nad papierem, w miarę jak ubywało światła. Nagle gwałtownie się wyprostował. Znowu usłyszał te dziwne kroki.

Tym razem miały trzecią osobliwą cechę. Wcześniej ów nieznany człowiek szedł - lekko i szybko, istotnie - ale szedł. Tym razem biegł. Słysząc było szybkie, miękkie, dudniące kroki zbliżające się korytarzem, jak stąpanie uciekającej i skaczącej pantery. Ktokolwiek się zbliżał, był to bardzo silny, aktywny człowiek, nadal w stanie podniecenia. Jednakże gdy dźwięk, jakby szepczący powiew, dotarł do biura, nagle znowu zmienił się w to stare, wolne, chwiejne człapanie.

Ojciec Brown cisnął swoje papiery i wiedząc, że drzwi do biura są zamknięte, od razu poszedł do przebieralni po drugiej stronie. Szatniarza chwilowo nie było, przypuszczalnie dlatego, że wszyscy goście byli na kolacji, a jego stanowisko było synekurą. Książd po omacku pokonał las szarych płaszczy i odkrył, że mroczna szatnia otwiera się na oświetlony korytarz czymś w rodzaju lady czy połówki drzwi, jak większość kontuarów, nad którymi wszyscy p o dajemy parasole i odbieramy numerki. Tuż nad łukowatym wejściem znajdowało się światło. Niewiele go padało na ojca Browna, który na tle zachodzącego słońca w oknie za nim wydawał się być tylko ciemnym zarysem sylwetki. Jednak niemal teatralnie oświetlało człowieka, który stał w korytarzu obok szatni.

Był to elegancki mężczyzna w bardzo prostym stroju wieczorowym. Wysoki, jednak sprawiający wrażenie, że nie zajmuje zbyt wiele przestrzeni. Czuło się, że jak cień potrafi wślizgnąć się tam, gdzie wielu mniejszych ludzi byłoby wyraźną zawadą. Jego twarz, teraz oświetlona blaskiem lampy, była smagła i żywa, była to twarz obcokrajowca. Postawę miał dobrą, zachowanie pogodne i pewne. Jakiś krytyk mógłby powiedzieć tylko, że jego czarny płaszcz był odrobinę niedopasowany do figury i zachowania właściciela, nawet dziwnie wypchany i obwisły. W chwili, gdy dostrzegł czarną sylwetkę ojca Browna na tle zachodu słońca, cisnął skrawkiem papieru z numerkiem.

-Proszę o mój kapelusz i płaszcz! Okazało się, że muszę natychmiast wyjść - zawołał z życzliwą stanowczością.

Ojciec Brown bez słowa wziął papieraek i posłusznie poszedł szukać płaszcza. Nie była to pierwsza służebna praca, jaką przyszło mu wykonywać w życiu. Przyniósł go i złożył na kontuarze. W tym czasie obcy dżentelmen, który grzebał w kieszeni kamizelki, powiedział ze śmiechem:

- Nie mam srebra, proszę przyjąć to. Rzucił pół suwerena i zabrał płaszcz.

Postać ojca Browna nadal była ciemna i spokojna, w tej jednak chwili stracił głowę. Jego głowa zawsze była najcenniejsza w chwilach, gdy ją tracił. W takich momentach składał dwa do dwóch i uzyskiwał cztery miliony. Kościół katolicki (który jest przywiązany do zdrowego rozsądku) nie pochwalał tego. Często on sam siebie nie pochwalał. Była to jednak prawdziwa inspiracja - ważna w rzadkich chwilach kryzysu - że utrata głowy jednocześnie ją ratuje.

- Sądzę, sir - powiedział uprzejmie - że ma pan jakieś srebro w kieszeni.

Wysoki dżentelmen popatrzył na niego zaskoczony. -Zaraz! - wykrzyknął. - Skoro daję panu złoto, to dlaczego miałby pan narzekać?

- Ponieważ srebro bywa czasem cenniejsze od złota - łagodnie odparł ksiądz. - To znaczy, w dużych ilościach.

Obcy popatrzył na niego z zaciekawieniem. Potem z jeszcze większym zaciekawieniem spojrział w górę korytarza, w stronę głównego wejścia. Potem znowu popatrzył na ojca Browna, a następnie, bardzo ostrożnie, w okno za głową księdza, wciąż zabarwione burzowym światłem. Wtedy chyba się zdecydował. Jedną dłoń położył na ladzie, przesadził ją łatwo jak akrobata i stanął, górując na księdzem, wielką ręką chwytając go za koloratkę.

- Stój spokojnie - powiedział suchym szeptem. - Nie chcę cię straszyć, ale...

- Ale ja chcę straszyć pana - odparł ojciec Brown głosem jak dudniący kocioł. - Chcę przestraszyć pana robakiem, który nigdy nie umiera, i ogniem, co nie gaśnie².

- Dziwaczny z ciebie szatniarz - powiedział tamten.

- Jestem księdzem, panie Flambeau - odparł Brown - i jestem gotów wysłuchać pańskiej spowiedzi.

Mężczyzna przez chwilę łapał powietrze, a potem opadł na krzesło. Pierwsze dwa dania kolacji „Dwunastu Prawdziwych Rybaków” były prawdziwym sukcesem. Nie posiadam kopii menu, a gdybym posiadał, nie miałyby to dla nikogo znaczenia. Spisano je rodzajem super-francuszczyzny używanej przez kucharzy, ale zupełnie niezrozumiałej dla Francuzów. Tradycją klubu była różnorodność ***hors d'oeuvres***³ podawanych w ogromnych ilościach. Traktowano je poważnie, ponieważ były to bezużyteczne dodatki, podobnie jak cała kolacja i cały ten klub. Istniała również tradycja, że zupa powinna być lekka i bezpretensjonalna - w rodzaju zwykłej i surowej wigilii nadchodzącego święta ryb. Rozmowa była równie dziwna - lekka dyskusja, która rządzi Imperium Brytyjskim, i rządzi nim w sekrecie, a jednak niezbyt oświeciłaby przeciętnego Anglika, nawet gdyby zdarzyło mu się ją podsłuchać. Ministrowie obydwu stron ze swego rodzaju znudzoną łagodnością nawiązywali w niej do swoich chrześcijańskich imion. Radykalny kanclerz skarbu, którego cała partia torysów miała jakoby przeklinać za jego wymuszenia, wychwalany był za swoje drobne poezje albo za to, jak podczas polowania trzyma się w siodle. Przywódca torysów, którego wszyscy liberałowie powinni nienawidzić jako tyrana, był omawiany i ogólnie chwalony - jako liberał. Wydawało się, że z jakiegoś powodu ci politycy byli niezwykle ważni. A jednak wszystko w nich wydawało się ważne, poza ich polityką. Pan Audley, przewodniczący, był uroczym, starszym człowiekiem, który wciąż nosił krawaty w stylu Gladstone'a. Był swego rodzaju symbolem całej tej widmowej, a jednak konkretnej społeczności. Nigdy niczego nie zrobił - nawet niczego niewłaściwego. Nie był bystry, nie był nawet szczególnie bogaty. Po prostu był - i to wszystko. Żadna partia nie mogła go ignorować, a gdyby zapragnął znaleźć się w rządzie, z pewnością by się w nim znalazł. Książe Chester, wiceprzewodniczący, był młodym i obiecującym

politykiem. Można powiedzieć, że był przyjemnym młodzieńcem z płaskimi, jasnymi włosami i piegowatą twarzą, o umiarkowanej inteligencji i wielkim majątku. Jego występy publiczne zawsze były udane, a zasady dostatecznie proste. Gdy wpadł na pomysł jakiegoś żartu, opowiadał go, i był nazywany błyskotliwym. Gdy nie mógł wymyślić żartu, mówił, że nie pora na dowcipkowanie, i nazywano go inteligentnym. Prywatnie, w klubie, dla własnej klasy, był po prostu przyjemnie szczery i niemądry, jak uczeń. Pan Audley, nigdy nie zajmując się polityką, traktował go nieco bardziej poważnie. Czasami nawet wprawiał towarzystwo w zakłopotanie zdaniem sugerującym, że istnieją niejakie różnice pomiędzy liberałami i konserwatystami. Sam był konserwatystą, nawet w życiu prywatnym. Nad kołnierzykiem miał pukiel szarych włosów, jak pewien staroświecki mąż stanu, a widziany od tyłu wyglądał dokładnie tak, jak człowiek, którego chce imperium. Widziany od przodu wyglądał jak łagodny, pobłażający sobie kawaler z pokojami w Albany - którym był.

Jak już zauważono, przy stole na tarasie były dwadzieścia cztery miejsca, a członków klubu jedynie dwunastu. Z tego względu mogli stylowo zająć taras, siadając wzdłuż wewnętrznej krawędzi stołu, ciesząc się niezakłóconym widokiem na ogród, którego barwy wciąż były żywe, choć wieczór o tej porze roku kończył się dość gwałtownie. Na środku siedział przewodniczący, a wiceprzewodniczący po jego prawej ręce. Był taki zwyczaj (choć nie wiadomo, skąd się wziął), że gdy dwunastu gości zajmowało miejsca, wszystkich piętnastu kelnerów stało w szeregu pod ścianą, jak żołnierze prezentujący broń przed królem, podczas gdy gruby właściciel stał i kłaniał się klubowi z promiennym zaskoczeniem, jakby nigdy dotąd o nich nie słyszał. Jednakże jeszcze przed pierwszym stuknięciem noża i widelca ta armia służących zniknęła, zostawał tylko jeden lub dwóch, by w martwej ciszy zbierać i podawać talerze. Pan Lever, właściciel, oczywiście na długo przed tym zniknął w konwulsjach uprzejmości. Byłoby przesadą, a nawet bezwstydem powiedzieć, że kiedykolwiek

pojawił się ponownie. Ale gdy podano ważne danie, danie rybne, czuło się - jak by to ująć? - wyraźny cień, projekcję jego osobowości, która mówiła, że wyczekiwał w pobliżu. Uświęcone danie rybne stanowiło (dla oczu pospólstwa) swego rodzaju ogromny pudding, rozmiaru i kształtu tortu weselnego, w którym poważna ilość rozmaitych ryb wreszcie straciła kształty dane im przez Boga. Dwunastu Prawdziwych Rybaków uniosło swoje słynne noże i widelce do ryb i opuszcziło je tak ponuro, jakby każdy cal tego puddingu kosztował tyle, co srebrny widelec, którym był spożywany. Zresztą, z tego co wiem, tak właśnie było. Z daniem tym rozprawiano się w chętej i łapczywej ciszy, a gdy tylko talerz młodego księcia był niemal pusty, wygłosił on rytualną uwagę: „Nigdzie nie przyrządzają tego tak, jak tutaj”.

- Nigdzie - głębokim, basowym głosem przyznał pan Audley, zwracając się ku mówiącemu i kilkakrotnie kiwając swą czcigodną głową. - Z pewnością nigdzie, tylko tutaj. Powiedziano mi, że w Cafe Anglais...

W tym momencie przerwało mu, a nawet nieco zaintrygowało, usunięcie jego talerza, jednak wrócił do cennego wątku. - Powiedziano mi, że tak samo mógł być przyrządzany w Cafe Anglais. Nic podobnego, sir - powiedział, stanowczo kręcąc głową, jak sędzia skazujący na śmierć. - Nic podobnego.

- Przeceniane miejsce - stwierdził pułkownik Pound, odzywając się (najprawdopodobniej) pierwszy raz od miesiący.

- Och, nie wiem - powiedział książę Chester, który był optymistą. - Niektóre rzeczy mają całkiem dobre. Nie można porównywać...

Przez pomieszczenie przemaszerował kelner, a potem stanął jak wryty. Zatrzymanie było równie ciche jak jego chód, jednak wszyscy ci niekonkretni i uprzejmi dżentelmeni byli tak przyzwyczajeni do całkowicie gładkiego działania niewidocznej maszyny, która ich otaczała i wspierała ich życie, że kelner, który robił coś nieoczekiwanego, był zaskoczeniem i dysonansem. Poczuli się tak, jak ty i

ja poczulibyśmy się, gdyby świat nieożywiony zaczął wykazywać opór -jakby krzesło od nas uciekło.

Kelner stał nieruchomo przez kilka sekund, podczas gdy na każdej twarzy przy stole pogłębiał się wyraz dziwnego zażenowania, które w całości jest produktem naszych czasów. To kombinacja współczesnego humanitaryzmu i okropnej współczesnej przepaści pomiędzy duszami bogatych i biednych. Prawdziwy, historyczny arystokrata zacząłby rzucać w kelnera różnymi przedmiotami, poczynając od butelek i najprawdopodobniej kończąc na pieniądzach. Prawdziwy demokrata zapytałby go z braterską bezpośredniością, co - do diabła - robi. Jednak ci współcześni plutokraci nie byli w stanie zdzierżyć obecności biedaka obok siebie, czy to w charakterze niewolnika, czy przyjaciela. Nie chcieli być brutalni i obawiali się potrzeby okazania życzliwości. Chcieli, by to coś, cokolwiek to było, się skończyło. Skończyło się. Kelner, po tym, jak przez kilka sekund stał sztywno jak kataleptyk, odwrócił się i dzikim pędem wybiegł z pomieszczenia.

Gdy znów się pojawił, tym razem w drzwiach, towarzyszył mu inny kelner, do którego szeptał i gestykulował z południową żywością. Potem ten pierwszy odszedł, zostawiając drugiego, i pojawił się z trzecim. Do czasu, gdy do tego pospiesznego zgromadzenia dołączył czwarty kelner, pan Audley uznał za konieczne, by w interesie Taktu przerwać ciszę. Zamiast przydialnego młotka wykorzystał w tym celu bardzo długi kaszel.

- Moocher wspaniale radzi sobie w Birmie. Doprawdy, żaden inny kraj na świecie nie mógłby...

Piąty kelner wystrzelił ku niemu jak strzała.

- Bardzo przepraszam - wyszeptał mu do ucha. - To ważne! Czy właściciel mógłby z panem porozmawiać?

Przewodniczący odwrócił się gwałtownie i ze zdumieniem spostrzegł, że ze swoim ociężałym pośpiechem zmierza ku niemu pan Lever. Sposób chodzenia dobrego właściciela był w istocie jego normalnym sposobem, ale twarz pod żadnym

względem nie wyglądała normalnie. Zazwyczaj była przyjemnie miedziana - obecnie miała chory odcień żółci.

- Proszę mi wybaczyć, panie Audley - powiedział bez tchu. - Mam wielkie obawy. Państwa talerze do ryby zostały zabrane wraz z nożami i widelcami!

- Cóż, mam nadzieję - dość ciepło odparł przewodniczący.

- Widzieli go panowie? - sapał podekscytowany właściciel hotelu. - Widzieli panowie kelnera, który je zabrał? Znają go panowie?

- Czy znamy kelnera? - z oburzeniem odpowiedział pan Audley. - Z całą pewnością nie!

Pan Lever rozłożył ręce w geście rozpaczy.

- Nie posyłałem go - wyznał. - Nie wiem, kiedy ani dlaczego przyszedł. Posłałem mojego kelnera, aby zebrał talerze, a ten odkrył, że już ich nie ma.

Pan Audley nadal wyglądał na nieco zanadto skonsternowanego, by faktycznie być człowiekiem, którego pragnie imperium; nikt z zebranych się nie odezwał poza człowiekiem z drewna - pułkownikiem Poundem - który wydawał się nienaturalnie blady. Wstał sztywno w krzesła, podczas gdy wszyscy pozostali siedzieli, wsadził monokl w oko i odezwał się ochryłym głosem, jakby na wpół zapomniał, jak się mówi:

- Chce pan powiedzieć - wyartykułował - że ktoś ukradł nasze srebrne sztuce do ryb?

Właściciel z jeszcze większą rozpaczą ponownie rozłożył ręce i w jednej sekundzie wszyscy mężczyźni przy stole poderwali się na nogi.

- Czy wszyscy pańscy kelnerzy są na miejscu? - zapytał pułkownik swoim niskim, chrapliwym głosem.

- Tak, wszyscy są. Sam to zauważyłem - wykrzyknął młody książę, wpychając chłopięcą twarz w wewnętrzny krąg. - Zawsze ich liczę, gdy wchodzę. Wyglądają tak dziwnie, stojąc pod ścianą.

- Ale z pewnością nie da się pamiętać dokładnie...- z ciężkim wahaniem zaczął pan Audley.

- Powiadam panu, że pamiętam dokładnie - z podnieceniem wykrzyknął ksiązę. - W tym miejscu nigdy nie było więcej niż piętnastu kelnerów, i przysięgam, że dziś też nie było więcej niż piętnastu; ni mniej, ni więcej.

Właściciel odwrócił się do niego, drżąc w swego rodzaju zaskoczeniu.

- Mówi pan...mówi pan...- wyjąkał - że widział pan wszystkich moich piętnastu kelnerów?

- Jak zwykle - odparł ksiązę. - O co w tym chodzi?!

- O nic - z pogłębiającym się akcentem powiedział Lever. - Tyle tylko, że to niemożliwe. Jeden z nich leży martwy na górze.

Na chwilę w pomieszczeniu zapadła cisza. Mogło być tak (bowiem słowo „śmierć” jest tak nadprzyrodzone), że każdy z tych nieproduktywnych ludzi przez sekundę przyglądał się własnej duszy i dostrzegł, że jest ona małym, wysuszonym groszkiem. Jeden z nich -wydaje mi się, że ksiązę - powiedział nawet z idiotyczną dobrocią bogactwa:

- Czy możemy coś zrobić?

- Wezwano do niego księdza - odparł Żyd, nieco poruszony. Wówczas, jakby na dźwięk dzwonu zagłady, przypomnieli sobie o swojej pozycji. Przez kilka osobliwych sekund naprawdę czuli, jakby ten piętnasty kelner mógł być duchem martwego człowieka na górze. Wobec tej okoliczności osłupieli, jako że duchy były dla nich powodem zakłopotania, jak żebracy. Jednak przypomnienie o srebrze zdjęło zakłęcie cudu, złamało je gwałtownie, wywołując brutalną reakcję. Pułkownik poderwał się z krzesła i pognął do drzwi.

- Przyjaciele - powiedział - jeżeli było tutaj piętnastu ludzi, to ten piętnasty był złodziejem. Natychmiast idziemy na dół, do frontowych i tylnych drzwi, i wszystko zabezpieczymy; rozmawiać będziemy później. Dwadzieścia cztery perły klubu warto odzyskać.

Pan Audley początkowo wydawał się wahać, czy taki pośpiech w jakiegokolwiek sprawie godny jest dżentelmena, jednak widząc, jak ksiązę z młodzieńczą energią zbiega po schodach, podążył za nim bardziej statecznie.

W tej samej chwili do pomieszczenia wbiegł szósty kelner i oświadczył, że w szafce znalazł stos talerzy po rybie, ale ani śladu sreber.

Tłumek gości i służących, którzy kaskadą spływali po korytarzach, rozdzielił się na dwie grupy. Większość Rybaków poszła za właścicielem do frontowego pomieszczenia, domagając się informacji o wszystkich wyjściach. Pułkownik Pound wraz z przewodniczącym, wiceprzewodniczącym i dwoma innymi spieszył w dół korytarza do kwater służby, uznając to za najbardziej prawdopodobną drogę ucieczki. Po drodze minęli ciemną wnękę szatni i zobaczyli w niej niską postać w czarnym odzieniu, przypuszczalnie służącego, stojącego w cieniu w głębi.

- Halo! - zawołał ksiądz. - Widział pan, żeby tu ktoś przechodził?

Niski człowiek nie odpowiedział bezpośrednio na pytanie.

- Być może mam to, czego panowie szukają - odparł zwyczajnie. Przystanęli, kołyszając się i zastanawiając, podczas gdy on cicho poszedł na tyły przebieralni i wrócił, w obu rękach niosąc lśniące srebra, które spokojnie jak sprzedawca położył na kontuarze. Był to tuzin osobliwie ukształtowanych widelców i noży.

-Pan...pan...- zaczął pułkownik, w końcu wytrącony z równowagi. Potem zajrzał do mrocznego, małego pokoiku i zobaczył dwie rzeczy: najpierw niskiego człowieczka w czerni, ubranego jak duchowny, a potem okno za jego plecami, które było rozbite, tak jakby ktoś się przez nie przebił.

- Cenne rzeczy należy zostawić w szatni, prawda? - pogodnie zauważył ksiądz.

- Czy...czy to pan ukradł te rzeczy? - z wytrzeszczonymi oczami wyjąkał pan Audley.

- Jeśli nawet - uprzejmie odparł ksiądz - to przynajmniej je zwracam.

- Ale to nie pan - powiedział pułkownik Pound, wciąż patrząc na rozbite okno.

- Skoro już o tym mowa, to nie - wcale wesoło odpowiedział tamten i ciężko przysiadł na stołku.

- Ale wie pan, kto - zauważył pułkownik.

- Nie znam jego prawdziwego nazwiska - uprzejmie sprostował ksiądz - ale wiem coś o jego wadze boksinerskiej i sporo o trudnościach duchowych. Tezy dotyczące cech fizycznych ustaliłem, gdy próbował mnie udusić, a ocenę moralną, gdy wyraził skruchę.

- A niech mnie...skruchę! - wykrzyknął młody Chester ze swego rodzaju chrapliwym śmiechem.

Ojciec Brown wstał, splatając ręce za plecami.

- To w istocie dziwne - powiedział - że złodziejasek i włóczęga wyraża skruchę, podczas gdy tak wielu bogatych i bezpiecznych pozostaje zatwardziałych i lekkomyślnych, bez owoców Boga czy człowieka. Proszę mi wybaczyć, wchodzimy tu w zakres moich kompetencji. Jeżeli powątpiewają panowie w żal za grzechy, to tu są wasze noże i widelce. Są panowie „Dwunastoma Prawdziwymi Rybakami”, a to komplet waszych srebrnych ryb. Jednak On uczynił mnie rybakiem ludzi.

- Schwytał pan tego człowieka? - zapytał pułkownik, marszcząc brwi. Ojciec Brown spojrzał mu śmiało w nachmurzoną twarz.

- Tak - odpowiedział. - Schwytałem go na niewidoczny haczyk i niewidzialną linkę, dosyć długą, by pozwoliła mu wędrować po krańce świata, a jednak mogła go ściągnąć z powrotem na jedno drgnienie przynęty.

Zapadła długa cisza. Wszyscy pozostali mężczyźni odeszli, by odnieść odzyskane srebra swoim towarzyszom bądź skonsultować się z właścicielem odnośnie do dziwnego toku spraw. Jednak pułkownik o ponurej twarzy nadal siedział bokiem na kontuarze, machając długimi, chudymi nogami i żując ciemny wąż.

- Musiał być z niego sprytny gość, ale chyba znam sprytniejszego - powiedział wreszcie cicho do księdza.

- Był sprytny - przyznał kapłan - ale nie jestem pewien, kogo ma pan na myśli, mówiąc o tym drugim.

- Pana - z krótkim śmiechem odpowiedział pułkownik. - Nie zamierzam wsadzać tego człowieka do więzienia, tego może pan być pewien. Jednakże oddałbym wiele porządnych,

srebrnych widelców, żeby dowiedzieć się dokładnie, jak pan się wplątał w tę sprawę i w jaki sposób odzyskał pan od niego te rzeczy. Sądzę, że jest pan najlepiej poinformowanym diabłem w tej firmie.

Ojcu Brownowi spodobała się chyba ponura szczerość żołnierza.

- Cóż - powiedział z uśmiechem - oczywiście nie mogę zdradzić panu tożsamości tego człowieka ani, oczywiście, jego historii, nie ma jednak szczególnego powodu, bym nie przekazał panu zwykłych faktów pobocznych, które ustaliłem sam.

Z niespodziewaną lekkością przeskoczył nad barierką i przysiadł koło pułkownika Pounda, wymachując krótkimi nogami jak chłopiec na bramie. Zaczął opowiadać tak swobodnie, jakby rozmawiał ze starym przyjacielem, siedząc przed kominkiem.

- Widzi pan, pułkowniku - powiedział - siedziałem zamknięty w tamtym małym pokoju, robiąc notatki, gdy w korytarzu usłyszałem stopy, które wystukiwały jakiś przedziwny, taneczny rytm. Najpierw szybkie, zabawne kroczyki, jakby człowieka idącego na palcach na pojedynku. Potem powolne, beztraskie, skrzypiące kroki, jakby jakiś wielki mężczyzna spacerował, paląc cygaro. Jednak jedno i drugie dotyczyły tych samych stóp, przysięgam, i następowały po sobie; człowiek ów najpierw biegł, potem szedł, a potem znowu biegł. Najpierw zastanawiałem się leniwie, a potem z napięciem, dlaczego ktokolwiek miałby chodzić w taki sposób. Jeden chód znałem - był taki, pułkowniku, jak pański. To był chód dobrze odżywionego dżentelmena, który na coś czeka, który chodzi raczej dlatego, że jest fizycznie pobudzony, a nie dlatego, że brak mu cierpliwości umysłowej. Wiedziałem, że znam również ten drugi chód, ale nie mogłem sobie przypomnieć, w czym rzecz. Jakie dzikie stworzenie, na które natknąłem się podczas swoich podróży, biega na palcach w tak niezwykłym stylu? Potem skądś dobiegło do mnie szczęknięcie talerzy i odpowiedź wydała mi się zupełnie oczywista. To był krok kelnera - ten chód z ciałem wychylnym do przodu, oczami

spuszczonymi, palcami odpychającymi ziemię, powiewającymi połami fraka i serwetą. Potem zastanawiałem się przez półtorej minuty. I wierzę, że dostrzegłem zamiar przestępstwa tak jasno, jakbym to ja miał zamiar je popełnić.

Pułkownik Pound spojrział na niego ponaglająco, ale łagodne, szare oczy jego rozmówcy z jakby rzewnością utkwione były w suficie.

- Przestępstwo - powiedział powoli - to dzieło sztuki, takie jak inne. Proszę nie mieć takiej zaskoczonyj miny. Przestępstwa nie są wcale jedynymi dziełami sztuki, które wychodzą z piekielnego warsztatu. Jednak każde dzieło sztuki, czy to boskie, czy diabelskie, ma jedną, niezbywalną cechę - jego założenie jest proste, nieważne, jak skomplikowana może być realizacja. Stąd w Hamlecie, powiedzmy sobie, groteskowość grabarza, kwiaty szalonej dziewczyny, fantastyczny strój Ozryka, bladość ducha i uśmiech czaszki - to wszystko są osobliwości w rodzaju splątanego wieńca wokół jednej, tragicznej postaci człowieka w czerni. Cóż, a ponadto - powiedział z uśmiechem, powoli zsuwając się ze swojego miejsca - to także właśnie tragedia człowieka w czerni. Tak - ciągnął, widząc że pułkownik spogląda z niejakim zdumieniem - cała ta opowieść kręci się wokół księdza. Tutaj, jak w Hamlecie, mamy rokokowe eksponaty - panów, powiedzmy to sobie. Mamy martwego kelnera, który był tam, gdzie być nie mógł. Mamy niewidzialną rękę, która wyczyściła wasz stół ze srebra i rozplynęła się w powietrzu. Ale każda przebiegła zbrodnia opiera się ostatecznie na jednym, raczej prostym fakcie - który sam w sobie nie jest tajemniczy. Mistyfikacja polega na zakrywaniu go, na odwodzeniu od niego myśli. To duże, subtelne i (w zwykłym toku) najbardziej opłacalne przestępstwo opierało się na prostym fakcie, że wieczorowy strój dżentelmena jest taki sam, jak strój kelnera. Cała reszta była aktorstwem, i to znakomitym.

- Jednakże - powiedział pułkownik, wstając i marszcząc brwi -nie jestem pewien, czy rozumiem.

- Pułkowniku - powiedział ojciec Brown - mówię, że ten archanioł zuchwałości, który ukradł wasze widelce, przeszedł

tym korytarzem ze dwadzieścia razy, w pełnym świetle lamp i na oczach wszystkich. Cały czas poruszał się po oświetlonych korytarzach i wszędzie, gdzie szedł, wydawał się mieć prawo przebywać. Proszę mnie nie pytać, jak wyglądał - pan sam widział go dziś sześć albo siedem razy. Wraz z pozostałymi wielkimi ludźmi czekał pan przy recepcji, na końcu tego korytarza, tuż za sobą mając taras. Za każdym razem, gdy pojawiał się pośród was, dżentelmenów, szedł jak kelner, z pochyloną głową, furkoczącą serwetką i posuwistym krokiem. Wychodził na taras, robił coś przy obrusie, i szedł z powrotem w stronę biura i kwater kelnerów. Do czasu, gdy pojawił się przed oczami recepcjonisty i kelnerów, w każdym calu i każdym geście stał się innym człowiekiem. Pomiedzy służącymi poruszał się z nieobecna bezczelnością, którą wszyscy widują u swoich klientów. Dla nich nie było żadną nowością, że szycha z przyjęcia kręci się po całym budynku jak zwierzę w zoo. Wiedzą, że wytworne towarzystwo charakteryzuje się zwyczajem chodzenia tam, gdzie chce. Gdy był już wielce zmęczony chodzeniem po tym konkretnym korytarzu, odwrócił się i przeszedł obok biura. W cieniu łuku tuż za nim odmieniał się jakby za sprawą magii i znów pospiesznie przechodził wśród Dwunastu Rybaków, sługa uniżony. Dlaczego dżentelmen miałby się przyglądać jakiemuś przypadkowemu kelnerowi? Dlaczego kelner miałby podejrzewać spacerującego dżentelmena? Raz czy dwa pozwolił sobie na bardziej bezczelne zagranie. W prywatnych kwaterach właściciela bezceremonialnie zażądał wody sodowej, mówiąc, że jest spragniony. Powiedział pogodnie, że sam ją sobie przyniesie, i tak zrobił - przeniósł ją szybko i wprawnie przez wasz tłumek, kelner z oczywistym zadaniem. Oczywiście nie musiał długo udawać, wyłącznie do zakończenia dania rybnego.

Najtrudniejszy był dla niego moment, gdy wszyscy kelnerzy stali w szeregu, ale nawet wówczas wymyślił, aby oprzeć się o ścianę tuż za rogiem w taki sposób, że w tej ważnej chwili kelnerzy uznali go za dżentelmena, podczas gdy dżentelmeni widzieli w nim kelnera. Reszta była jak mrugnięcie. Jeżeli

jakiś kelner zastał go z dala od stołu, uznał go za ospałego arystokratę. Musiał tylko wstrzelić się na dwie minuty przed końcem jedzenia ryby, przemienić się w sprawnego służącego i sprzątnąć samodzielnie. Talerze odłożył do szalki, srebra upchnął w kieszonce na piersi, przez co się wybrzuszyła, i pobiegł jak zając (słyszałem, jak się zbliżał), aż dotarł do szatni. Tam musiał jedynie na nowo przedzierzgnąć się w plutokratę - plutokratę, którego niespodziewanie wzywają interesy. Musiał tylko podać swój numerek szatniarzowi i wyjść równie elegancko, jak wszedł. Tyle tylko...tyle tylko, że przypadkiem to ja byłem szatniarzem.

- Co mu pan zrobił?! - z niezwykłym napięciem wykrzyknął pułkownik. - Co on panu powiedział?

- Proszę o wybaczenie - nieporuszenie odparł ksiądz - ale tu właśnie kończy się ta historia.

- A zaczyna ta naprawdę interesująca - wymamrotał Pound. - Chyba rozumiem jego sztuczkę zawodową. Ale nie wydaje mi się, żebym pojął pańską.

- Muszę iść - powiedział ojciec Brown.

Poszli razem wzdłuż korytarza do holu wejściowego, gdzie ujrzeli świeżą, piegowatą twarz księcia Chester, który pręźnie zmierzał w ich stronę.

- Pound, proszę ze mną! - wykrzyknął bez tchu. - Wszędzie pana szukałem. Kolacja idzie znakomicie, a stary Audley zamierza wygłosić mowę honorową za odzyskanie widelców. Chcemy zapoczątkować nową ceremonię, wie pan, żeby upamiętnić tę okazję. To znaczy, odzyskał pan nasze rzeczy, więc co pan sugeruje?

- Cóż - powiedział pułkownik, spoglądając na niego ze swego rodzaju sardoniczną aprobatą. - Sugeruję, byśmy od tej pory nosili zielone płaszcze zamiast czarnych. Nigdy nie wiadomo, jakie mogą pojawić się nieporozumienia, gdy ktoś tak bardzo przypomina kelnera.

- Och, no co też pan! - powiedział młodzieniec. - Dżentelmen nigdy nie wygląda jak kelner.

- Ani zapewne kelner jak dżentelmen - powiedział pułkownik Pound ze skrywanym rozbawieniem na twarzy. - Wielebny,

pański przyjaciel musiał być bardzo sprytny, skoro zachowywał się jak dżentelmen.

Ojciec Brown zapiął pod szyję swój pospolity płaszcz, ponieważ noc była burzowa, i wziął ze stojaka swój pospolity parasol.

- Tak - powiedział. - Być dżentelmenem to musi być bardzo ciężka praca. Ale, wiedzą panowie, czasami nachodzi mnie taka myśl, że bycie kelnerem może być niemal równie ciężkie.

I mówiąc „do widzenia”, pchnął ciężkie drzwi do tego pałacu przyjemności. Złote wrota zamknęły się za nim, a on dziarskim krokiem ruszył przez mokre, ciemne ulice w poszukiwaniu omnibusu.

HONOR ISRAELA GOWA

Zbliżał się burzowy wieczór, cały w oliwkowej zieleni i srebrze, gdy ojciec Brown owinięty w szarą, szkocką kratę dotarł do końca szarej, szkockiej doliny i ujrzał dziwny zamek Glengyle. Budowla przycupnęła na końcu wąwozu czy jaru jak ślepa uliczka i wyglądała jak koniec świata. Wznosząc się stromymi dachami i wieżami z zielonkawego łupka w stylu dawnych francusko-szkockich **chateaux**⁴, Anglikowi przypominał złowrogie, szpiczaste kapelusze bajkowych czarownic, a sosnowe lasy, które kołysały się wokół zielonych wieżyczek, przez porównanie wyglądały jak czarne, niezliczone stada kruków. Ta nuta nierealnej, niemal sennej czarnej magii nie była wyłącznie igraszką krajobrazu. Nad tym miejscem unosiła się chmura dumy, szaleństwa i tajemniczego smutku, która nad szlacheckimi rodami Szkocji ciąży znacznie bardziej, niż zdarza się to w przypadku jakichkolwiek innych synów człowieczych. Szkocję bowiem zatrzuwa podwójna dawka trucizny zwanej dziedziczeniem - w sensie krwi arystokratów i w sensie przekleństwa kalwinistów.

Ksiądz skorzystał z dnia wolnego od swoich interesów w Glasgow, by spotkać się z przyjacielem, Flambeau, detektywem amatorem, który przebywał w zamku Glengyle wraz z drugim, bardziej oficjalnym śledczym, badając życie i śmierć ostatniego earla Glengyle. Tajemnicza ta postać była ostatnim przedstawicielem rasy, której waleczność, szaleństwo i brutalny spryt czynił z niej koszmar nawet pośród złowrogiej szlachty tego kraju w szesnastym wieku. Nikt nie tkwił głębiej w pułapce pokrętej ambicji, w komnacie wewnątrz komnat tego pałacu kłamstw zbudowanego wokół Marii, królowej Szkotów.

Wierszyk krążący po wsiach wyraźnie potwierdzał motyw i rezultat ich machinacji:

Jak zielony jest sok letnich drzew Tak czerwone jest złoto Ogilvich.

Przez wiele stuleci w zamku Glengyle nie było przyzwoitego lorda. Można by pomyśleć, że wraz z epoką wiktoriańską wszystkie dziwactwa zostały wyczerpane. Jednakże ostatni Glengyle dopełnił rodowej tradycji, robiąc jedyną rzecz, jaka mu pozostała, mianowicie zniknął. Nie mam tu na myśli, że wyjechał za granicę. Wszystko wskazywało na to, że jeśli w ogóle gdzieś jest, to w zamku. Choć jednak jego imię znajdowało się w kościelnym rejestrze i w wielkiej czerwonej księdze parów, nikt nigdy go nie widział.

O ile ktokolwiek go widywał, to był to samotny sługa, ktoś pomiędzy stajennym a ogrodnikiem. Był tak głuchy, że ludzie bardziej pochopni uznawali go za idiotę, podczas gdy bardziej przenikliwi twierdzili, iż był na wpół niedorozwinięty. Chudy, rudowłosy robotnik z zawziętą szczęką i podbródkiem, ale raczej pustymi, niebieskimi oczami, znany był jako Israel Gow i był jedynym, milczącym służącym w tej opustoszałej posiadłości. Jednak energia, z którą kopał ziemniaki, i regularność, z którą znikał w kuchni, wywoływały w ludziach wrażenie, że przygotowuje posiłki dla zwierzchnika, a zatem dziwaczny earl nadal przebywa w zamku. Jeżeli społeczność domagała się dalszych dowodów, że jest w domu, sługa z uporem twierdził, że go nie ma. Pewnego ranka burmistrz i pastor (jako że Glengyłowicze byli prezbiterianami) zostali wezwani do zamku. Odkryli, że ogrodnik, stajenny i kucharz do swoich licznych zawodów dodał zajęcie przedsiębiorcy pogrzebowego i swego szlachetnego pana zabił gwoździami w trumnie. Jak mało - bądź jak wiele - wątpliwości wzbudzał ten fakt, jeszcze do końca nie ustalono, jako że sprawa nie była oficjalnie badana, dopóki dwa czy trzy dni wcześniej Flambeau nie pojechał na północ. Do tego czasu ciało lorda Glengyle (o ile było tam jakieś ciało) spoczywało na małym cmentarzyku na wzgórzu.

Gdy ojciec Brown przeszedł przez mroczny ogród i znalazł się w cieniu **chateau**, chmury zrobiły się grube, a w powietrzu wisiała wilgoć i grzmoty. Na tle ostatniego paska zielonozłotego

zachodu słońca ujrzał czarną sylwetkę ludzką - człowieka w cylindrze, z wielką łopatą na ramieniu. Połączenie to dziwnie wskazywało na zakrystiana, jednak gdy Brown przypomniał sobie głuchego służącego, który kopał ziemniaki, uznał to za naturalne. Wiedział coś niecoś o tym szkockim wieśniaku. Rozumiał poważanie, jakie mógł odczuwać, a które kazało mu nałożyć „czern” z okazji oficjalnego dochodzenia. Rozumiał również ekonomię, która nie pozwalała na utratę nawet godziny kopania z tego powodu. Nawet postawa i podejrzliwe spojrzenie skierowane na przechodzącego księdza były zgodne z czujnością i zawiścią przejawianą przez ludzi tego rodzaju.

Wielkie drzwi otworzył mu sam Flambeau, któremu towarzyszył szczupły mężczyzna o stalowosiwych włosach, z dokumentami w ręce: inspektor Craven ze Scotland Yardu. Hol wejściowy był w większej części ogołocony i pusty, jednak z pociemniałych płócien spod czarnych peruk spoglądały blade, szydercze twarze jednego czy dwóch okrutnych Ogilvych.

Podążając za nimi do głębiej położonego pokoju, ojciec Brown zobaczył, że sojusznicy usadowili się przy długim, dębowym stole, którego jeden koniec zasłany był zapisanymi papierami, obstawiony whisky i cygarami. Na pozostałej części blatu znajdowały się osobne przedmioty, ułożone z przerwami - przedmioty tak zagadkowe, jak tylko mogą być rzeczy. Jeden wyglądał jak mała kupka połyskującego, potłuczonego szkła. Kolejna jak wysoka górka brązowego pyłu. Trzeci okazał się zwyczajnym kijkiem.

- Macie tu istne muzeum geologiczne - powiedział, siadając i zerkając krótko w kierunku brązowego kurzu i krystalicznych fragmentów.

- To nie jest muzeum geologiczne - odpowiedział Flambeau. - Powiedzmy, że psychologiczne.

- Och, na litość boską - ze śmiechem wykrzyknął detektyw policyjny. - Nie zaczynajmy od takich długich słów.

- Nie wie pan, czym jest psychologia? - z przyjaznym zaskoczeniem powiedział Flambeau. - Psychologia oznacza

postradanie zmysłów.

- Nadal nie nadażam - odparł urzędnik.

- Cóż - z determinacją powiedział Flambeau. - Chcę przez to powiedzieć, że dowiedzieliśmy się jednej rzeczy o lordzie Glengyle. To był wariat.

Za oknem przesunęła się czarna sylwetka Gowa w cylindrze i z łopata odznaczającą się słabo na tle ciemniejszego nieba. Ojciec Brown patrzył spokojnie.

- Mogę zrozumieć, że w tym człowieku musiało być coś dziwnego - odpowiedział - bo nie pogrzebałby się żywcem. Albo by się tak nie spieszył, by go pogrzebano martwym. Ale przez co uważacie, że to było szaleństwo?

- Cóż - powiedział Flambeau - posłuchaj tylko, jakie rzeczy pan Craven znalazł w tym domu.

- Musimy wziąć świecę - nagle odezwał się Craven. - Zbliża się burza i jest zbyt ciemno, żeby czytać.

- Czy pośród innych dziwnych rzeczy - z uśmiechem zapytał ojciec Brown - znalazł pan jakieś świece?

Flambeau uniósł ponurą twarz i ciemne spojrzenie skoncentrował na swoim przyjacielu.

- To też jest ciekawe - przyznał. - Dwadzieścia pięć świec i ani jednego świecznika.

W gwałtownie ciemniejącym pokoju i przy gwałtownie wzmagającym się wietrze Brown przeszedł wzdłuż stołu do miejsca, gdzie pośród innych niejednorodnych okazów leżał pęczek świec. Po drodze przypadkowo pochylił się nad kopczykiem czerwonobrazowego pyłu. W ciszę wdarło się ostre kichnięcie.

- A niech mnie! - powiedział. - Apsik!

Wziął jedną ze świec, zapalił ją ostrożnie, wrócił i zatknął w szyjkę butelki po whisky. Niespokojne, nocne powietrze dostające się przez zwariowane okno kołysało długim płomykiem jak flagą. Z każdej strony słyszeli całe mile czarnego, sosnowego lasu kotłującego się jak czarne morze wokół skały.

- Przeczytam spis inwentarza - ponuro zaczął Craven, podnosząc jeden z papierów. - Spis tego, co znaleźliśmy leżące

swobodnie w zamku, i co trudne jest do wytłumaczenia. Musi ojciec zrozumieć, że to miejsce było generalnie ogołoczone i zaniedbane, jednak jedno czy dwa pomieszczenia, urządzone prosto, ale nie nędznie, były najwyraźniej przez kogoś zamieszkiwane. Przez kogoś, kto nie był służącym Gowem. Oto lista:

Pierwszy przedmiot - duża kolekcja kamieni szlachetnych, niemal wyłącznie diamentów, wszystkie luzem, nieosadzone w niczym. To oczywiście naturalne, że Ogilvy mają klejnoty rodowe, te jednak są dokładnie takie, jakie prawie zawsze są osadzone jako element zdobniczy. Ogilvy chyba trzymali je luzem w kieszeniach, jak miedziaki.

Drugi przedmiot - całe masy tabaki, nie trzymane w rogu czy choćby w kapciuchu, ale leżące w kupkach na gzymsach nad kominkami, na komodach, na fortepianie, wszędzie. Jakby stary dżentelmen nie chciał robić sobie kłopotu z sięganiem do kieszeni albo unoszeniem wieczka.

Trzeci przedmiot - tu i ówdzie po całym domostwie ciekawe, małe kupki drobnych metalowych elementów, jak stalowe sprężynki i jakby mikroskopijne kółeczka. Jakby wybebeszyli jaką mechaniczną zabawkę. Czwarty przedmiot - woskowe świece, które z braku świeczników trzeba wtykać w szyjki butelek. Proszę teraz, aby ojciec zwrócił uwagę, że to znacznie dziwniejsze niż wszystko, co przewidywaliśmy. Na zasadniczą zagadkę byliśmy przygotowani - od pierwszego rzutu oka wszyscy widzimy, że z ostatnim earlem coś było nie w porządku. Przyjechaliśmy tutaj, żeby ustalić, czy naprawdę tu mieszkał, czy naprawdę tutaj umarł, czy ten ryży strach na wróble, który go pochował, miał cokolwiek wspólnego z jego zgonem. Jednak założmy najgorsze, najbardziej drastyczne czy melodramatyczne rozwiązanie, jakie można wymyślić. Założmy, że sługa rzeczywiście zabił pana, albo że pan tak naprawdę nie jest martwy, albo że pan przebrał się za służącego, albo że służący został pochowany w miejsce pana - wymyślmy jakąkolwiek tragedię w stylu Wilkie'ego Collinsa⁵, a to nadal nie wyjaśnia świec bez świeczników ani dlaczego starszawy dżentelmen z dobrej rodziny miał zwyczaj wciągać

tabakę z fortepianu. Rdzeń historii jesteście sobie w stanie wyobrazić; to detale są tajemnicze. Ludzki umysł nie jest w stanie połączyć tabaki, diamentów, wosku i części zegara.

- Ja chyba widzę związek - powiedział ksiądz. - Glengyle nienawidził rewolucji francuskiej. Był entuzjastą **ancien regime***, i próbował dosłownie odgrywać życie rodzinne ostatnich Burbonów. Miał tabakę, ponieważ w osiemnastym wieku było to luksus, świece woskowe, bo takie było osiemnastowieczne oświetlenie. Śrubki i metalowe kółeczka reprezentują ślusarskie hobby Ludwika XVI, a diamenty diamentowy naszyjnik Marii Antoniny.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w niego okrągłymi oczami.

- Cóż za doskonale niezwykły wniosek! - wykrzyknął Flambeau. - Naprawdę sądzisz, że taka jest prawda?

- Jestem przekonany, że nie - odparł ojciec Brown. - Powiedzieliście tylko, że nikt nie byłby w stanie połączyć tabaki, diamentów, metalowych części i świec. Z marszu wskazałem wam połączenie. Jestem jednak absolutnie pewien, że prawda leży znacznie głębiej.

Zamilkł na moment i zasłuchał się w wycie wiatru w wieżyczkach.

- Ostatni earl Glengyle był złodziejem - odezwał się wreszcie. - Żył drugim i mroczniejszym życiem jako zdesperowany włamywacz. Nie miał żadnych świeczników, bo używał tylko świec krótko przyciętych, do małej latarni, którą nosił. Tabakę wykorzystywał tak, jak najgroźniejsi przestępcy francuscy pieprzu - by zniecka dmuchnąć nią w twarz kogoś, kto by go ścigał. Jednak ostatecznym dowodem jest to ciekawe współistnienie diamentów i tych małych, metalowych kółek. To z pewnością jest dla was jasne? Tylko diamentami i małymi, stalowymi kółkami można wyciąć kawałek szkła.

Pośród huku gromu w okiennicę za nimi potężnie uderzyła gałąź powalonej sosny, jakby w parodii włamania, ale żaden z nich się nie odwrócił. Wzrok mieli skupiony na ojcu Brownie.

- Diamenty i małe, stalowe kółka... - z zadumą powtórzył Craven. - Czy tylko to każe ojcu sądzić, że to faktycznie wytłumaczenie?

-Nie uważam tego za prawdziwe wytłumaczenie - uprzejmie odparł ksiądz - ale sam pan powiedział, że nikt nie jest w stanie połączyć tych czterech rzeczy. Prawdziwa historia jest oczywiście bardziej banalna. Glengyle w swojej posiadłości znalazł, albo sądził, że znalazł, drogie kamienie. Ktoś go nabrał na te brylanty, mówiąc, że znalazł je w grotach pod zamkiem. Te małe kółeczka łączą się z jakąś aferą z cięciem diamentów. Musiał to robić bardzo pobieżnie i na małą skalę, z pomocą kilku pasterzy albo prostych chłopów z tych wzgórz. Tabaka to jedyny luksus takich szkockich pasterzy, tylko nią można ich przekupić. Nie mieli świeczników, bo ich nie chcieli. Badając jaskinie, świece trzymali w dłoniach.

-I to wszystko? - po długiej chwili zapytał Flambeau. - Czy wreszcie mamy nudną prawdę?

- Och, nie - powiedział ojciec Brown.

Gdy wiatr z przeciągłym, szyderczym wyciem zamarł w najbardziej odległych, sosnowych lasach, ojciec Brown, z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu, mówił dalej:

- Zasugerowałem coś takiego, ponieważ powiedzieliście, że nikt nie mógłby wiarygodnie połączyć tabaki z metalowymi częściami czy świec z klejnotami. Do wszechświata będzie pasować dziesięć fałszywych filozofii; do zamku Glengyle - dziesięć fałszywych teorii. Ale my chcemy prawdziwego wyjaśnienia zamku i wszechświata. Nie ma innych eksponatów?

Craven się roześmiał, a Flambeau wstał z uśmiechem i poszedł w dół długiego stołu.

- Przedmioty piąty, szósty, siódmy i tak dalej - powiedział. - Z pewnością bardziej zróżnicowane niż pouczające. Ciekawa kolekcja: nie ołówków, ale grafitu z ołówków. Bezsensowny bambusowy kijek z rozszczepionym końcem. To mogło być narzędzie zbrodni. Tyle tylko, że nie ma żadnej zbrodni. Reszta to kilka starych mszałów i małe obrazki katolickie, które Ogilvy trzymali, jak sądzę, od czasów średniowiecza - ich duma rodzinna była silniejsza niż ich purytyzm. Oddamy je do muzeum, bo wydają się ciekawie pocięte i zniszczone.

Gwałtowna burza przygnała nad Glengyle grubą warstwę chmur i gdy ojciec Brown podniósł niewielkie, iluminowane strony, aby się im przyjrzeć, pograżyła długi pokój w ciemnościach. Odezwał

się, zanim mrok się przesunął, był to jednak głos zupełnie nowego człowieka.

- Panie Craven - powiedział jak człowiek dziesięć lat młodszy - ma pan nakaz, żeby otworzyć i sprawdzić grób, prawda? Im szybciej to zrobimy, tym lepiej, i dojdziemy do sedna tej okropnej sprawy. Na pana miejscu zabrałbym się za to natychmiast.

- Natychmiast? - powtórzył zaskoczony detektyw. - A dlaczego natychmiast?

- Bo to poważna sprawa - odparł Brown. - To nie tylko kwestia porozsypywanej tabaki czy walających się kamieni, które mogą się tu znajdować z setki powodów. Nasuwa mi się tylko jedna przyczyna, a ta przyczyna sięga do korzeni świata. Te obrazki religijne nie są tak po prostu zabrudzone, podarte czy pobazgrane, co z powodu beczynności albo bigoterii mogłyby zrobić dzieci albo protestanci. Postąpiono z nimi bardzo przemyślnie - i bardzo dziwacznie. Każde miejsce, gdzie w starych iluminacjach w większym wzorze pojawia się imię Boga, zostało starannie usunięte. Ponadto usunięto wyłącznie aureolę wokół głowy Dzieciątka Jezus. Z tego względu, powiadam, bierzmy pański nakaz, łopaty i kilofy, i chodźmy otworzyć tę trumnę.

- Co ma ojciec na myśli? - zdumiał się oficer londyńskiej policji.

- Mam na myśli - odpowiedział mały ksiądz, a jego głos wydawał się wznosić lekko ponad ryk wichury - że wielki diabeł wszechświata może właśnie w tej chwili siedzieć na najwyższej wieży tego zamku, wielki jak sto słoni, i ryczeć jak apokalipsa. Gdzieś u podstaw tego wszystkiego jest czarna magia.

- Czarna magia - cichym głosem powtórzył Flambeau, jako że był człowiekiem zbyt oświeconym, by nie znać się na takich rzeczach. - Ale co mogą oznaczać te pozostałe rzeczy?

- Och, pewnie coś niegodziwego - ze zniecierpliwieniem odpowiedział ojciec Brown. - Skąd mam wiedzieć? Skąd miałbym znać wszystkie te labirynty na dole? Może przy pomocy tabaki i bambusa można prowadzić jakieś tortury. Może wariaci pożądamy wosku i metalowych części. Być może z grafitu z ołówków robi się jakiś narkotyk! Najkrótsza droga do tajemnicy wiedzie przez wzgórze, do grobu.

Jego towarzysze ledwie zauważyli, że posłusznie poszli za nim, póki podmuch wiatru w ogrodzie niemal nie posłał ich na ziemię.

Tym niemniej szli za nim jak automaty. Craven w ręce miał siekierę, a w kieszeni nakaz. Flambeau niósł ciężki szpadel dziwnego ogrodnika. Ojciec Brown niósł małą, pozłocaną książeczkę, z której wydarto imię Boga.

Ścieżynka prowadząca w górę zbocza była kręta, lecz krótka - jedynie pod naporem wiatru wydawała się ciężka i długa. Kiedy weszli wyżej na zbocze, jak sięgnąć wzrokiem rozpościerały się przed nimi istne morza sosen, teraz pochyłonych z wiatrem. A ten uniwersalny gest wydawał się równie daremny, jak szeroko zakrojony, tak daremny, jakby ten wichur gnał przez planetę pozbawioną ludzi i celu. Przez tę nieskończoną połąć szaroniebieskich lasów niosła się pieśń, przenikliwa i wysoka, starożytny smutek tkwiący w sercu wszystkich pogańskich rzeczy. Można by uznać, że te głosy z niezgłębionej otchłani listowia były krzykami zagubionych i błakających się pogańskich bożków, którzy odeszli na włóczęgę po tym bezrozumnym lesie, i którzy nigdy nie znajdą drogi powrotnej do niebios.

- Widzicie - powiedział ojciec Brown cichym, ale swobodnym tonem - Szkoci, zanim zaistniała Szkocja, byli ciekawym ludem. W sumie nadal są ciekawym ludem. Jednak sądzę, że w czasach prehistorycznych naprawdę oddawali cześć demonom. Właśnie dlatego - dodał wesoło - wskoczyli w teologię purytańską.

- Mój przyjacielu - powiedział Flambeau, odwracając się z lekką furią. - Co znaczy ta cała tabaka?

- Mój przyjacielu - równie poważnie odpowiedział Brown - istnieje jeden znak wszystkich prawdziwych religii: materializm. Czczenie demonów zaś jest całkowicie prawdziwą religią.

Wyszli na trawiasty szczyt wzgórza, jedno z nielicznych miejsc wolnych od trzeszczącego i ryczącego sosnowego lasu. Marne ogrodzenie, częściowo z drewna, częściowo z drutu, grzechotało, wskazując im granice cmentarzyka. Ale do chwili, gdy inspektor Craven stanął przy narożniku grobu, a Flambeau umieścił szpadel w ziemi i pochylił się nad nim, obaj byli niemal tak roztrzęsieni, jak to drewno i drut. U stóp grobu rosły bujne, wysokie osty, szare i srebrne w swoim przekwitaniu. Raz i drugi, gdy pod naporem wiatru urwała się główka ostu i przeleciała obok niego, Craven podskoczył lekko, jakby to była strzała.

Flambeau wbił szpadel pomiędzy chwasty, trafiając w mokrą glinę. Potem zatrzymał się i oparł na nim jak na lasce.

- Dalej - bardzo łagodnie powiedział ksiądz. - Jedynie próbujemy ustalić prawdę. Czego się boisz?

- Boję się, że ją znajdziemy - odparł Flambeau.

Londyński detektyw odezwał się nagle wysokim, piskliwym głosem, który w założeniu miał być swobodny i wesoły.

- Zastanawiam się, dlaczego właściwie się tak ukrył. Pewnie chodziło o coś paskudnego. Może trąd?

- Coś jeszcze gorszego - powiedział Flamebeau.

- A co według pana - zapytał tamten - może być gorsze od trądu?

- Nawet sobie tego nie wyobrażam - odpowiedział Flambeau. Przez kilka koszmarnych minut kopał w milczeniu, aż odezwał się zdławionym głosem.

- Obawiam się, że on nie będzie w najlepszym stanie.

- Ten kawałek papieru też nie był - cicho powiedział ojciec Brown - a przetrwaliśmy nawet ten kawałek.

Flambeau kopał ze ślełą energią. Burza jednak odsunęła duszące, szare chmury, które wisiały nad tymi wzgórzami jak dym, i zanim dokopał się do prostej, drewnianej trumny i jakoś wywindował ją na trawę, odsłoniła szare połacie słabego

światła gwiazd. Craven podszedł z toporkiem; drgnął, gdy otarł się o niego oset. Potem pewniej chwycił stylisko, zamachnął i rąbał równie energicznie jak Flambeau, aż udało się zedrzeć wieko, a to, co znajdowało się pod nim, lśniło lekko w szarym świetle gwiazd.

- Kości - powiedział Craven. - Ale to człowiek - dodał, jakby to było coś nieoczekiwanego.

- Czy z nim... - zapytał Flambeau dziwnie drżącym głosem. - Czy z nim wszystko w porządku?

- Chyba tak - chrapliwie odparł oficer, kucając przy obnażonym i rozpadającym się szkielecie. - Chwila.

Flambeau westchnął potężnie.

- Teraz, gdy o tym myślę - wykrzyknął - to niby dlaczego miałyby z nim być coś nie w porządku? Co jest w tych przeklętych, zimnych górach, że człowiekowi zaczyna odbijać? Chodzi chyba o tę czarną, bezmózgą powtarzalność. Wszystkie te lasy,

a przede wszystkim stare koszmary nieświadomości. To jak marzenie ateisty. Sosny, jeszcze więcej sosen i miliony drzew sosnowych...

- Boże! - krzyknął mężczyzna przy trumnie. - Przecież on nie ma głowy!

Podczas gdy pozostali stali sztywno, ksiądz, po raz pierwszy, przejawiał gwałtowne, pełne zaskoczenia przejęcie.

-Nie ma głowy! - powtórzył. - Nie ma głowy? - niemal tak, jakby spodziewał się innego braku.

Przez ich umysły przemknęły na wpół żartobliwe wizje bezgłowego dziecka narodzonego w Glengyle, bezgłowego młodzika ukrywającego się w zamku, bezgłowego mężczyzny chodzącego po tych starych salach czy olśniewającym ogrodzie. Ale nawet w tej osobliwej chwili wiedzieli, że ta historia nie może być prawdziwa. Stali dość bezmyślnie, słuchając głośnego lasu i hałaśliwego nieba, jak wyczerpane zwierzęta. Mieli wrażenie, jakby nagle umknęła im jakaś wielka myśl.

- Jest trzech bezgłowych ludzi - odezwał się ojciec Brown - którzy stoją nad tym otwartym grobem.

Blady detektyw z Londynu otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i został tak, jak jakiś wieśniak, podczas gdy niebo rozdarł przeciągły krzyk wiatru; potem spojrzał na trzymaną w ręce siekierę tak, jakby nie należała do niego, i upuścił ją.

- Ojciec - powiedział Flambeau tym dziecinnym i ciężkim głosem, którego używał nader rzadko - co mamy robić?

Odpowiedź jego przyjaciela nadeszła z prędkością kuli wystrzelonej z karabinu.

- Spać! - zawołał ojciec Brown. - Spać. Dotarliśmy do kresu drogi. Wiesz, czym jest sen? Wiesz, że każdy człowiek, który śpi, wierzy w Boga? To jest sakrament, to akt wiary i pożywienia. A nam trzeba sakramentu, choćby i tylko naturalnego. Spadło na nas coś, co bardzo rzadko spada na ludzi; być może rzecz najgorsza, która spaść na nich może.

Craven wreszcie zamknął usta.

- Co ma ojciec na myśli? - zapytał. Ksiądz odwrócił się twarzą do zamku.

- Odkryliśmy prawdę - odparł - a ta prawda nie ma sensu.

Ruszył przed nimi ścieżką, energicznym i nieostrożnym krokiem, który nie był dla niego typowy, a gdy znowu znalazł się w zamku, z prostotą psa poszedł spać.

Pomimo swej mistycznej pochwały snu ojciec Brown wstał wcześniej niż ktokolwiek poza milczącym ogrodnikiem. Palił fajkę i przyglądał się temu ekspertowi, jak zajmował się cichą pracą w kuchennym ogrodzie. Grzmiąca burza skończyła się przed świtem potężnym deszczem i nastał dzień pełen niezwykłej świeżości. Ogródnik chyba nawet prowadził rozmowę, ale na widok detektywów ponuro wbił łopatę w ziemię i mówiąc coś o swoim śniadaniu, poczłapał wzdłuż grządek z kabaczkami do kuchni.

- To cenny człowiek - powiedział ojciec Brown. - Jego ziemniaki są niesamowite. Jednakże - dodał z bezinteresowną miłością bliźniego - ma swoje wady. Kto ich nie ma? Nie dość regularnie przekopuje to zbcze. Na przykład tutaj - i zniecka nastąpił na jakiś punkt. - Naprawdę, mam wielkie wątpliwości co do tego ziemniaka.

- A to dlaczego? - spytał Craven, rozbawiony hobby małego człowieka.

- Mam wątpliwości - odparł ksiądz - bo stary Gow sam wątpi. Wbijął łopatę metodycznie, miejsce przy miejscu, tylko nie tutaj. Musi tu rosnąć naprawdę solidny ziemniak.

Flambeau podniósł łopatę i gwałtownie wbił ją w ziemię. Pod warstwą gleby znalazł coś, co nie wyglądało jak ziemniak, a raczej jak potworny, przerośnięty grzyb. Jednak łopata, uderzając o niego, wydała zimny trzask. Znaleziony przedmiot zsunął się z niej jak piłka i wyszczerzył do nich.

- Earl Glengyle - ze smutkiem powiedział ojciec Brown i ponuro popatrzył na czaszkę.

Potem, po krótkim zastanowieniu, wziął łopatę od Flambeau.

- Musimy ją na nowo zakopać - powiedział, zasypując czaszkę ziemią. Potem oparł swoje małe ciało i wielką głowę na rączce łopaty, która stała sztywno w gruncie, oczy miał puste, a czoło pomarszczone. - Gdyby tylko można było sobie wyobrazić -wymamrotał - znaczenie tej ostatniej potworności...

- I opierając się na uchwycie łopaty, ukrył twarz w dłoniach, jak ludzie w kościele.

Skraj nieba przejaśniał się do błękitu i srebra. Na niewielkich drzewkach ogrodowych szczebiotały ptaki - tak głośno, że wydawało się, że to same drzewa przemawiają. Jednak trzech mężczyzn zachowywało milczenie.

- Cóż, ja się poddamę - ze wzburzeniem odezwał się wreszcie Flambeau. - Mój mózg i ten świat nie pasują do siebie, i to koniec pieśni. Tabaka, zniszczone modlitewniki, bebechy pozytywek... Co...

Brown wygładził czoło i rzucił się na łopatę z raczej niezwykłą dla siebie niechęcią.

- Och, och, och! - cmoknął. - To wszystko jest proste jak drut. Zrozumiałem tę tabakę i kóleczka, i tak dalej, gdy tylko dziś rano otworzyłem oczy. A od tego czasu pogadałem trochę ze starym Gowem, ogrodnikiem, który nie jest taki głuchy ani taki głupi, jak udaje. W tych wszystkich przedmiotach nie ma nic dziwnego. Co do tej podartej książki także się myliłem; nie ma tam żadnej szkody. Ale ta ostatnia sprawa - bezczeszczenie

grobów i kradzież czaszek - to z pewnością zło? W tym na pewno chodzi o czarną magię? Tyle tylko, że to nie pasuje do raczej prostej historii tabaki i świec. - I, znowu krążąc wokół, palił posępnie.

- Mój przyjacielu - z ponurym humorem powiedział Flambeau - musisz na mnie zważać i pamiętać, że byłem niegdyś przestępcą. Wielką zaletą tego stanu było to, że zawsze sam tworzyłem historię i działałem szybko. Ten biznes detektywistyczny to samo czekanie, za dużo go na mój francuski brak cierpliwości. Całe życie, na dobre i na złe, robiłem rzeczy natychmiast: pojedynki zawsze toczyłem zaraz następnego ranka, rachunki zawsze płaciłem od razu, nigdy nie odkładałem nawet wizyty u dentysty...

Ojciec Brown wypuścił z zębów fajkę, która upadła na zwirową ścieżkę i pękła na trzy kawałki. Stał, wywracając oczami - istny wizerunek idioty.

- Mój Boże, ależ ze mnie dureń! - powiedział. - Mój Boże, co za dureń! - powtórzył, a potem zaczął się śmiać, cokolwiek nieprzytomnie. - Dentysta! - wykrzyknął. - Sześć godzin w duchowej otchłani, i to wyłącznie dlatego, że nie pomyślałem o dentyście! Cóż za prosta, jakże piękna i spokojna myśl! Przyjaciele, mamy za sobą

noc w piekle, teraz jednak wschodzi słońce, ptaki śpiewają, a świat koł promienna postać dentysty.

- Może doszukam się w tym jakiegoś sensu - powiedział Flambeau, robiąc krok do przodu - jeśli zastosuję metody Inkwizycji.

Ojciec Brown stłumił coś, co wyglądało jak chwilowe pragnienie tańczenia na zalanym słońcem trawniku, i zakrzyknął dość rozpaczliwie, jakby był dzieckiem:

- Och, pozwólcie mi przez chwilę być głuptasem. Nie wiecie, jaki byłem nieszczęśliwy. A teraz wiem, że w całej tej sprawie nie było żadnego wielkiego grzechu. Może jedynie odrobina szaleństwa - a kto by się tym przejmował?

Raz jeszcze zawirował, a potem spojrział na nich z powagą.

- To nie jest historia przestępstwa - powiedział - raczej historia dziwnej i pokręconej uczciwości. Być może mamy do

czynienia z jedynym człowiekiem na świecie, który wziął tylko tyle, ile mu się należało. To studium dzikiej logiki życia, która jest religią tej rasy. Ta stara rymowanka o domu Glengyle - „Jak zielony jest sok letnich drzew, tak czerwone jest złoto Ogilvych” - jest tak samo dosłowna jak metaforyczna. Nie oznacza wyłącznie tego, że Glengylowie dążyli do bogactwa. Prawdą jest także, że dosłownie zgromadzili złoto, że mieli wielką kolekcję bibelotów i przedmiotów z tego metalu. W gruncie rzeczy byli skąpcami, których ta mania opętała. Zastanówmy się nad wszystkim, co znaleźliśmy w zamku w świetle tego faktu. Diamenty bez złotych pierścieni, świece bez złotych kandelabrow, tabaka bez złotych tabakierok, grafit bez złotych obsadek, laska bez złotej rączki, pozytywki bez złotych figurynek - czy raczej zegarki. A także, choć zakrawa to na szaleństwo, ponieważ aureole i imię Boga w tych starych modlitewnikach były z prawdziwego złota, to je także zabrano.

Gdy ta szalona prawda została wypowiedziana, gród wydawał się jaśnieć, a trawa prostować pod wschodzącym słońcem. Ojciec Brown mówił dalej, a Flambeau zapalił papierosa.

- Zostało zabrane - kontynuował ksiądz - ale nie skradzione. Złodzieje nie zostawiliby takiej tajemnicy. Złodzieje zabraliby złote tabakiery, tabakę i wszystko; złote obsadki ołówków, grafity i wszystko. Musimy się zmierzyć z człowiekiem o szczególnym sumieniu, ale z pewnością z sumieniem. Tego szalonego moralistę

znalazłem dziś rano w tym właśnie ogrodzie kuchennym i usłyszałem całą historię.

Ostatni Archibald Ogilvie zbliżył się do pojęcia dobrego człowieka najbardziej ze wszystkich, którzy w Glengyle kiedykolwiek przyszli na świat. Jednak jego gorzka cnota zmieniła się w mizantropię; roztrząsał nieuczciwość swoich przodków, od których, w jakiś sposób, wywiódł ogólną nieuczciwość całej ludzkości. Bardziej konkretnie nie ufał filantropii czy dawaniu za darmo i przysiągł, że jeśli znajdzie jednego człowieka, który korzysta ze swoich praw w ich wyłącznych granicach, odda mu całe złoto Glengyle. Po

tym, jak dostarczył swoje wezwanie ludzkości, zamilkł, w najmniejszym stopniu nie spodziewając się odpowiedzi. Jednakże pewnego dnia głuchy i prawdopodobnie przygłupi chłopak z pewnej odległej wioski przyniósł mu opóźniony telegram, a Glengyle, kierując się zjadliwym humorem, dał mu nową ćwierćpensówkę. Przynajmniej tak sądził, bo kiedy spojrział na swoje drobne, zobaczył, że ćwierć pensa jest tam nadal, a zniknął suweren. Ten przypadek skłonił go do snucia szyderczych spekulacji. Chłopak albo przejawia wstrętą chciwość gatunku i zniknie jak złodziej, kradnąc monetę, albo cnotliwie z nią wróci, bufon liczący na nagrodę. W środku tej nocy lord Glengyle został wyciągnięty z łóżka - jako że mieszkał sam -i zmuszony do otwarcia drzwi przed głuchym idiotą. Idiota ów przyniósł ze sobą nie suwerena, ale dokładnie dziewiętnaście szylingów, jedenaście pensów i trzy ćwierćpensówki reszty.

Wówczas dzika dokładność tego czynu sprawiła, że mózg szalonego lorda jakby stanął w ogniu. Przysiął, że jest Diogenesem, że od dawna szukał uczciwego człowieka, i że wreszcie go znalazł. Spisał nowy testament, który widziałem. Zabrał dosłownego młodzika do tego wielkiego, zanedbanego domu i wyszkolił go na swojego jedyne go sługę oraz - w dziwnej manierze - na swojego spadkobiercę. A cokolwiek rozumie to dziwne stworzenie, to świetnie pojmuje dwie *idee fixe* swojego lorda: po pierwsze, że litera prawa jest wszystkim, a po drugie, że to on ma dostać całe złoto Glengyle. Jak dotąd to wszystko - i to jest proste. Ogołocił dom ze złota i nie wziął nic, co nim nie było - nawet odrobiny tabaki. Zdrapał złoty liść z iluminacji, całkowicie zadowolony, a resztę zostawił nietkniętą. To wszystko zrozumiałem. Nie mogłem tylko zrozumieć tej sprawy z czaszką. Naprawdę źle się czułem, myśląc o ludzkiej głowie pochowanej pod kartoflami. To mnie denerwowało - póki Flambeau nie wypowiedział tego słowa. I teraz wszystko się zgadza. Złoży czaszkę z powrotem do grobu, gdy wyciągnie złote zęby.

I w istocie, gdy tego ranka Flambeau przechodził przez wzgórze, ujrzał tę dziwną istotę kopiącą w zbezczeszczonym

grobie. Szyję miała owiniętą chustką trzepoczącą w górskim wietrze, na głowie poważny cylinder.

NIEWŁAŚCIWY KSZTAŁT

Niektóre z wielkich dróg wychodzących z Londynu na północ prowadzą daleko w głąb kraju, jak swego rodzaju wydłużone i rzadko zabudowane ulice, z wielkimi przerwami pomiędzy budynkami, ale zachowując linię. Znajdą się tam grupki sklepów, za nimi jakieś ogrodzone pole albo pastwisko, potem jakiś słynny zajazd, potem może jakiś targ ogrodniczy albo szkółka, potem jeden wielki prywatny dom, potem kolejne pole i kolejny zajazd, i tak dalej. Jeśli ktoś poszedłby wzdłuż takiej drogi, minąłby dom, który przypuszczalnie przyciągnąłby jego spojrzenie, choć być może nie byłby w stanie określić, z jakiego powodu. Jest to długi, niski budynek, biegnący równoległe do drogi, pomalowany głównie na biało i bladozielono, z werandą i roletami, i gankami nakrytymi tymi niezwykle kopułkami wyglądającymi jak drewniane parasole, które widuje się na staroświeckich domach. W rzeczy samej jest to staroświecki dom, bardzo angielski i bardzo podmiejski, w sensie dobrego, starego, bogatego Clapham. A jednak budynek wygląda tak, jakby został postawiony głównie z myślą o upałach. Gdy popatrzyć na jego białe tynki i rolety, na myśl przychodzą turbany i nawet drzewa palmowe. Nie potrafię prześledzić tego odczucia do jego korzeni; być może dom ten został wybudowany przez Anglo-Hindusa.

Jak powiadam, ktokolwiek minie ten dom, będzie z jakiegoś powodu nim zafascynowany. Poczuje, że jest to miejsce, które ma swoją

historię do opowiedzenia. I będzie miał rację, jak wkrótce usłyszycie. Bo oto owa historia - historia dziwnych rzeczy, do których doszło naprawdę w domu w Whitsuntide w roku 18...

Ktokolwiek przechodziłby obok tego domu w czwartek przed Zielonymi Świątkami około wpół do piątej po południu,

ujrzałyby, że frontowe drzwi są otwarte, a ojciec Brown z małego kościółka świętego Mungo pali fajkę w towarzystwie bardzo wysokiego, francuskiego przyjaciela zwanego Flambeau, który palił bardzo małą cygaretkę. Osoby te mogą, choć nie muszą, być interesujące dla czytelnika, jednak prawda jest taka, że po otwarciu drzwi do tego biało-zielonego domu pojawiała się więcej interesujących rzeczy. Z domem łączyły się dalsze szczegóły, które na początek trzeba opisać, nie tylko po to, by czytelnik zrozumiał tę tragiczną opowieść, ale także po to, by uświadomił sobie, co też takiego ujawniło otwarcie drzwi.

Cały budynek wzniesiony został na planie litery T, jednak było to T o bardzo wydłużonym daszku i bardzo krótkiej podstawie. Górna część T biegła wzdłuż ulicy, a na środku znajdowały się drzwi frontowe. Miała wysokość dwóch pięter i mieściły się w niej niemal wszystkie istotne pomieszczenia. Krótka podstawa T prowadziła na tył budynku zaraz od drzwi wejściowych, wysoka była na jedno piętro, a znajdowały się w niej tylko dwa długie pokoje w amfiladzie. W pierwszym z nich słynny pan Quinton pisał swoje dzikie poematy i romanse orientalne. Kolejny był szklaną cieplarnią, pełną tropikalnych kwiatów o niezwyklej i niemal przerażającej urodzie, a w takie popołudnia jak to - lśniących w oszałamiającym słońcu. Zatem po otwarciu drzwi do holu przechodzeń mógłby dosłownie stracić dech, jako że spodziewał się zobaczyć bogate apartamenty, a zamiast tego trafiał na coś, co naprawdę wyglądało jak zmienna scena bajkowego królestwa: purpurowe chmury, złociste słońca i szkarłatne gwiazdy, które jednocześnie były porażająco żywe, a jednak przezroczyście i dalekie.

Leonard Quinton, poeta, sam z najwyższą starannością zaplanował ten efekt. Wątpliwym jest, czy w jakimkolwiek wierszu udało mu się wyrazić swoją osobowość w równie doskonałym stopniu. Był on człowiekiem, który pił i kąpał się w kolorach, który pobłażał swojej żądzy koloru, zaniedbując poniekąd formę - nawet

dobrą. To właśnie zwróciło jego geniusz tak całkowicie ku sztuce i wyobraźni wschodu; ku tym oszałamiającym dywanom czy oślepiającym haftom, w których wszystkie kolory wydają się łączyć w radosnym chaosie, nie mając niczego symbolizować ani uczyć. Podejmował próby, może niezupełnie z sukcesem artystycznym, ale z niekwestionowaną wyobraźnią i inwencją, by komponować historie heroiczne i miłosne, odbijające splot agresywnych, a nawet okrutnych kolorów; historie o tropikalnych rajach pełnych płonącego złota czy krwistoczerwonej miedzi, o wschodnich bohaterach, którzy wraz dwunastoma sługami w turbanach jeździli na słoniach pomalowanych na fioletowo i w pawią zieleń, o gigantycznych kamieniach szlachetnych, których nie mogło dźwignąć stu Murzynów, ale które spłonęły w starożytnych ogniach przedziwnej barwy.

W skrócie (aby przedstawić sprawę z bardziej zwyczajnego punktu widzenia), dobrze radził sobie ze wschodnimi rajami, gorszymi niż większość zachodnich piekieł, ze wschodnimi monarchami, których moglibyśmy w sumie nazywać szaleńcami, i ze wschodnimi klejnotami, które jubiler z Bond Street (gdyby ta setka uginających się murzynów przyniosła mu je do warsztatu) uznałby zapewne za fałszywe. Quinton był geniuszem, chociaż skłonny do choroby -jednak nawet ta choroba przejawiała się bardziej w jego życiu niż w pracy. Z charakteru był słaby i drażliwy, a zdrowie ucierpiało wielce przez orientalne eksperymenty z opium. Jego żona - przystojna, ciężko pracująca i w istocie przepracowana kobieta, przeciwstawiła się opium, ale jeszcze bardziej obecności hinduskiego pustelnika w biało-żółtych szatach, na którą miesiącami nalegał jej mąż, Wergiliusza⁶, który miał poprowadzić jego ducha przez raje i piekła wschodu.

Tak wyglądało to artystyczne domostwo, gdy ojciec Brown i jego przyjaciel przekroczyli próg, a sądząc po ich twarzach, wyszli z niego z dużą ulgą. Flambeau poznał Quintona podczas dzikich, studenckich czasów w Paryżu, a w czasie weekendu odnowili tę znajomość. Jednak pomimo tego, że w ostatnich latach Flambeau zachowywał się znacznie bardziej

odpowiedzialnie, nie mógł teraz znaleźć z poetą wspólnego języka. Krztuszenie się opium i pisanie erotyków na pergaminie nie pasowało do jego wyobrażeń o tym, w jaki sposób mężczyzna powinien iść do diabła. Gdy tych dwóch zatrzymało się na progu, by przejść do ogrodu, brama frontowa otwarła się gwałtownie i na schody wbiegł pospiesznie młody człowiek w meloniku zsuniętym na tył głowy. Młodzieniec wyglądał na zmarnowanego, na szyi miał wspaniały, czerwony krawat, pomięty tak, jakby w nim spał, i cały czas wiercił się i wymachiwał małą laseczką.

- Chcę się zobaczyć ze starym Quintonem - wyrzucił z siebie bez tchu. - Muszę się z nim zobaczyć. Wyjechał?

- Sądzę, że pan Quinton jest obecny - odpowiedział ojciec Brown, czyszcząc fajkę - ale nie wiem, czy może się pan z nim zobaczyć. Właśnie jest przy nim lekarz.

Młody człowiek, który nie wydawał się być zupełnie trzeźwy, wepchnął się do holu. W tej samej chwili z pracowni Quintona wyszedł lekarz, zamykając za sobą drzwi i zaczynając zakładać rękawiczki.

- Zobaczyć się z panem Quintonem? - powiedział lekarz chłodno. - Nie, obawiam się, że pan nie może. W gruncie rzeczy pod żadnym pozorem panu nie wolno. Nikomu nie wolno mu przeszkadzać. Właśnie zaaplikowałem mu środek nasenny.

- Ale niech pan posłucha, stary - powiedział młodzik w czerwonym krawacie, próbując czule chwycić doktora za klapy płaszcza. - Proszę posłuchać. Mówię panu, mam wszystko pod kontrolą. Ja...

- To na nic, panie Atkinson - powiedział doktor, odpychając go od siebie. - Gdy zdoła pan odwrócić efekty działania narkotyku, ja zmienię decyzję. - I nakładając kapelusz, wraz z pozostałą dwójką wyszedł na światło słoneczne. Był mocno zbudowanym, niewysokim człowiekiem o spokojnym usposobieniu i niewielkim wąsiku, całkowicie zwyczajnym, roztaczającym jednak wrażenie kompetencji.

Młody mężczyzna w meloniku, któremu brakowało najwyraźniej taktu, by radzić sobie z ludźmi inaczej, niż chwytając ich płaszcze, stanął za drzwiami jakby zdumiony, że

ktoś go wyrzucił, i w milczeniu patrzył na trzech ludzi oddalających się przez ogród.

- To było świadome, znakomite kłamstwo - ze śmiechem zauważył medyk. - Prawdę mówiąc, biedny Quinton pozbawiony jest swoich środków nasennych od blisko pół godziny. Ale nie zamierzam pozwolić, żeby ten mały drań zawracał mu głowę, bo chce tylko pożyczyć pieniądze, których najprawdopodobniej nigdy nie odda. To wstrętny, mały nicpoń, chociaż brat pani Quinton, a ona jest najlepszą kobietą, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi.

- Tak - zgodził się ojciec Brown. - To dobra kobieta.

- Proponuję zatem pokręcić się po ogrodzie, póki ta kreatura nie zniknie - kontynuował doktor - a potem pójdę z lekiem do Quintona. Atkinson nie wejdzie do domu, bo zamknąłem drzwi na klucz.

- W takim razie, doktorze Harris - powiedział Flambeau - równie dobrze możemy przejść na tyły cieplarni. Od tamtej strony nie ma wejścia, ale warto na nią popatrzeć, choćby z zewnątrz.

- Tak, a ja mógłbym rzucić okiem na mojego pacjenta - zaśmiał się doktor - bo woli leżeć na otomanie na końcu szklarni, pośród tych wszystkich czerwonych gwiazd betlejemskich. Przyprawiają mnie o ciarki. Ale co ojciec robi?

Ojciec Brown przystanął na moment i z długiej trawy, gdzie był prawie całkowicie niewidoczny, podniósł dziwny, wygięty, orientalny nóż, bogato zdobiony kolorowymi kamieniami i metalami.

- Co to takiego? - spytał, przyglądając mu się z niejaką dezaprobatą.

- Och, to pewnie Quintona - beztróska odparł doktor Harris. - Ma tu pełno chińskich bibelotów. Albo może to własność tego jego łagodnego Hindusa, którego trzyma na smyczy.

- Jakiego Hindusa? - spytał ojciec Brown, wciąż przypatrując się sztyletowi.

- Och, to jakiś indyjski magik - lekko odpowiedział doktor. - Oczywiście fałszywy.

- Pan nie wierzy w magię? - zapytał ojciec Brown, nie podnosząc wzroku.

- O rany! Magia! - wykrzyknął doktor.

- Jest bardzo piękny - cichym, rozmarzonym głosem powiedział ksiądz. - Kolory są przepiękne. Ale kształt ma niewłaściwy.

- Do czego? - zdziwił się Flambeau.

- Do wszystkiego. To ogólnie zły kształt. Miałeś kiedyś takie wrażenie odnośnie do sztuki wchodu? Kolory są oszałamiająco cudowne, ale kształty wykoślawione i złe - z rozmysłem wykoślawione i złe. W tureckich dywanach dostrzegam niegodziwe rzeczy.

- **Mon Dieu!** - ze śmiechem zawołał Flambeau.

- Są tam litery i symbole w języku, którego nie znam, wiem jednak, że to złe słowa - ciągnął ksiądz coraz cichszym głosem. - Kształty są krzywe celowo, jakby to węże wiły się, szukając drogi ucieczki.

- O czymże, do diaska, ksiądz mówi? - śmiejąc się głośno, zapytał doktor.

Flambeau odezwał się do niego cichym głosem.

- Ojciec czasem ma nad sobą taką mistyczną chmurę - powiedział - ale ostrzegam pana uczciwie, że odkąd go znam, zdarza się to tylko wówczas, gdy w pobliżu dzieje się coś złego.

- Cholerka! - powiedział naukowiec.

- Popatrzcie tylko! - wykrzyknął ojciec Brown, wyciągając zagięty nóż na długość ramienia, jakby był to błyszczący wąż. - Nie dostrzegacie, że ma zły kształt? Nie widzicie, że jego cel nie jest szczyry i jasny? Nie jest prosty jak włócznia. Nie wygina się jak kosa. Nie wygląda jak broń. Wygląda jak narzędzie tortur.

- Cóż, skoro się ojcu nie podoba - stwierdził pogodnie Harris - to lepiej oddać go właścicielowi. Czy to już koniec tej przeklętej cieplarni? Ten dom ma niewłaściwy kształt, skoro już o tym mowa.

- Nie rozumie pan - powiedział ojciec Brown, kręcąc głową. - Kształt tego domu jest osobliwy, nawet zabawny. Ale nie ma w nim nic złego.

Rozmawiając, obeszli zaokrąglony, przeszklony koniec cieplarni, który stanowił jedną całość, jako że nie było tam ani drzwi, ani okna. Szkło jednak było czyste, a słońce, choć zaczynało się już zniżać, świeciło jasno. W środku widzieli nie tylko płonące kolorami kwiaty, ale również kruchą postać poety w brązowym, aksamitnym tużurku, leżącego omdlewająco na sofie, który najwyraźniej zapadł w sen nad książką. Był bladym, szczupłym człowiekiem z rzadkimi, orzechowymi włosami i brodą, która stanowiła na jego twarzy paradoks, bo sprawiała, że wyglądał mniej męsko. Te cechy były dobrze znane wszystkim trzem z nich, ale nawet, gdyby tak nie było, wątpliwe, czy właśnie wtedy przyglądaliby się Quintonowi. Skupieni byli na kimś innym.

Dokładnie na ich ścieżce, tuż za wygięciem szklanego budynku, stał wysoki mężczyzna, którego nieskazitelnie biała szata opadała mu do stóp, i którego bezwłosa, brązowa czaszka, twarz i szyja polśniwały w zachodzącym słońcu jak wspaniały metal. Przez szkło spoglądał na śpiącego i był bardziej nieporuszony niż góra.

- Kto to jest? - wykrzyknął ojciec Brown, robiąc krok do tyłu i z sykiem wciągając powietrze.

- Och, to tylko ten hinduski oszust - burknął Harris - ale nie wiem, co on tutaj, u licha, robi.

- Wygląda to jak hipnotyzm - stwierdził Flambeau, przygryzając swój czarny wąs.

- Dlaczego wy, ludzie nieznający się na medycynie, zawsze wygadujecie te brednie o hipnotyzmie? - zirytował się doktor. - Już bardziej wygląda to na włamanie.

- Cóż, tak czy inaczej porozmawiamy z nim - powiedział Flambeau, który zawsze był gotów do działania. Jeden długi krok wystarczył, by znalazł się tuż obok Hindusa. Pochylając się, bowiem jego wzrost przewyższał nawet wzrost Azjaty, powiedział ze spokojną zuchwałością:

- Dobry wieczór, sir. Szuka pan czegoś?

Dość powoli, jak wielki statek wpływający do portu, duża, żółta twarz odwróciła się i wreszcie spojrzała przez ramię. Z

zaskoczeniem stwierdzili, że jego żółte powieki były na wpół przymknięte, jakby spał.

- Dziękuję - doskonałą angielszczyzną odezwał się mężczyzna. - Niczego mi nie trzeba. - Potem, częściowo unosząc powieki, jakby po to, by pokazać opalizującą gałkę oczną, powtórzył: - Niczego mi nie trzeba. - Następnie otworzył oczy z zaskoczeniem i powiedział po raz kolejny: - Niczego mi nie trzeba - i szeleszcząc, odszedł w głąb szybko ciemniejącego ogrodu.

- Chrześcijanie są skromniejsi - wymamrotał ojciec Brown. - Oni przynajmniej czegoś chcą.

- Co on właściwie robił? - dziwił się Flambeau, ściągając czarne brwi i ścisząc głos.

- Porozmawiamy później - powiedział ojciec Brown.

Słońce nadal świeciło, jednak był to czerwony blask wieczoru i płatanina drzew i krzewów w ogrodzie była na jego tle coraz czarniejsza. Obeszli koniec cieplarni i w milczeniu poszli wzdłuż drugiej strony domu, aby wrócić do drzwi frontowych. Ich kroki wydawały się coś przebudzić, jak budzi się ptak, w głębokim narożniku pomiędzy pracownią a głównym budynkiem, i ponownie zobaczyli fakira w białej szacie, jak wyłania się z cienia i przemyka w stronę drzwi. Jednakże, ku ich zaskoczeniu, nie był sam. Drgnęli nagle i zostali zmuszeni do ukrycia swojego zaskoczenia obecnością pani Quinton, której ciężkie, złote włosy i kwadratowa, blada twarz wyłoniły się z mroku. Wyglądała na nieco surową, ale była absolutnie uprzejma.

- Dobry wieczór, doktorze Harris - powiedziała tylko.

- Dobry wieczór, pani Quinton - serdecznie odparł mały doktor. - Właśnie idę podać pani mężowi środek nasenny.

- Tak - powiedziała czystym głosem. - To chyba już czas. - Uśmiechnęła się do nich i zawróciła do domu.

- Ta kobieta jest u kresu wytrzymałości - powiedział ojciec Brown. - To kobieta tego rodzaju, która wypełnia swoje obowiązki przez dwadzieścia lat, po czym robi coś strasznego.

Mały doktor po raz pierwszy popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- Studiował ojciec kiedyś medycynę? - zapytał.

- Pan musi mieć pojęcie o umyśle, tak samo jak o ciele - odpowiedział ksiądz. - My musimy mieć pojęcie o ciele, tak samo jak o umyśle.

- Cóż - powiedział doktor. - Chyba pójdę i dam Quintonowi jego leki. Wyszli z za narożnika i zbliżyli się do drzwi frontowych. Gdy byli już blisko, po raz trzeci ujrzeli owego mężczyznę w białych szatach. Podeszedł do drzwi, idąc na wprost, aż wydawało się niemożliwe, żeby nie wyszedł z pracowni naprzeciwko. Wiedzieli jednak, że drzwi były zamknięte na klucz.

Ojciec Brown i Flambeau zatrzymali jednak tę dziwną sprzeczność dla siebie, a doktor Harris nie był człowiekiem, który marnowałby myśli na rzeczy niemożliwe. Pozwolił wszechobecnemu Azjacie wyjść, a potem dziarsko wkroczył do holu. Tam zastał postać, o której zdążył już zapomnieć. Wciąż mamrocząc i stukając swoją laseczką w różne przedmioty, kręcił się tam ten durny Atkinson. Przez twarz doktora przemknął skurcz niechęci i zdecydowania.

- Znowu muszę zamknąć drzwi - pospiesznie szepnął do swoich towarzyszy - bo ten szczur wejdzie do środka. Ale wychodzę za dwie minuty.

Gwałtownie otworzył drzwi i zaraz je za sobą zamknął, odpychając po prostu młodego człowieka w meloniku. Rzeczony młodzieniec rzucił się niecierpliwie na krzesło w holu. Flambeau zapatrzył się na perskie ornamenty na ścianie. Ojciec Brown, który wydawał się nieco otumaniony, bezmyślnie gapił się w drzwi. Po jakichś czterech minutach otworzyły się ponownie. Tym razem Atkinson był szybszy. Wystrzelił w przód i przytrzymał skrzydło.

- Och, Quinton - wykrzyknął - powiadam ci, że chcę...

Z drugiego końca pracowni dobiegł czysty głos Quintona, coś pomiędzy ziewnięciem a znużonym śmiechem.

- Och, dobrze wiem, czego chcesz. Bierz to i zostaw mnie w spokoju. Piszę pieśń o pawiach.

Zanim drzwi się przymknęły, przez szparę wyleciał suweren, a Atkinson, robiąc krok do przodu, złapał go z wyjątkową

zręcznością.

- Więc załatwione - powiedział doktor i z wściekłością przekręciwszy klucz w zamku, pomaszerował do ogrodu.

- Biedny Leonard będzie miał wreszcie trochę spokoju - powiedział do ojca Browna. - Na godzinę czy dwie zostanie sam.

- Tak - odparł ksiądz. - A gdy wychodziliśmy, głos miał raczej pogodny. - Potem ponuro rozejrzał się po ogrodzie i zobaczył Atkinsona, jak wpychał do kieszeni pół suwerena, a za nim, w fioletowym mroku, postać Hindusa, siedzącego prosto na trawie, z twarzą

zwróconą w stronę zachodzącego słońca. Potem powiedział gwałtownie:

- Gdzie jest pani Quinton?

- Poszła na górę, do swojego pokoju - wyjaśnił doktor. - Widać jej cień na zasłonie.

Ojciec Brown uniósł wzrok i marszcząc brwi, przyjrzał się ciemnej sylwetce w oświetlonym gazem oknie.

- Tak - zgodził się. - To jej cień. - I przeszedł jard czy dwa, żeby usiąść na ławeczce ogrodowej.

Flambeau usiadł koło niego, doktor jednak należał do tych energicznych ludzi, dla których naturalnym stanem jest używanie nóg. Odszedł, pałac, w zmierzchu, a dwaj przyjaciele zostali razem.

- Mój ojciec - powiedział Flambeau po francusku - co się z tobą dzieje?

Ojciec Brown siedział bez słowa i bez ruchu przez pół minuty.

- Przesady są wbrew religii - powiedział wreszcie - ale w atmosferze tego miejsca coś jest. Myślę, że chodzi o tego Hindusa, przynajmniej po części.

Zamilkł i obserwował majaczącą w oddali postać Hindusa, który siedział tak sztywno, jakby się modlił. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że się nie porusza, ale gdy ojciec Brown mu się przyjrzał, dostrzegł, że mężczyzna kołysze się delikatnie i rytmicznie, tak jak ciemne czubki drzew poruszały się lekko

na wietrze szemrzącym na ciemnych ścieżkach ogrodowych i z lekka przesuającym opadłe liście.

Szybko się ściemniało, jakby szła burza, wciąż jednak byli w stanie dostrzec postacie na ich miejscach. Atkinson z osowiałą twarzą opierał się o drzewo, żona Quintona nadal tkwiła w swoim oknie, doktor poszedł na koniec cieplarni, gdzie widzieli żarzący się ognek jego cygara, a fakir wciąż siedział sztywno, choć kołyszając się, podczas gdy drzewa nad nim zaczęły drzeć i niemal ryczeć. Z pewnością zbliżała się burza.

- Kiedy ten Hindus się do nas odezwał - swobodnym tonem kontynuował Brown - miałem swego rodzaju wizję, wizję jego i całego wszechświata. A jednak tylko powiedział to samo trzy razy. Gdy po raz pierwszy powiedział „niczego mi nie trzeba”, oznaczało to tylko, że jest nieprzenikniony, że Azja nie znika. Potem znowu powiedział

„niczego mi nie trzeba” i wiedziałem, że chciał zaznaczyć, iż wystarcza sam sobie, jak kosmos, że nie potrzeba mu Boga ani nie przyznaje się do żadnych grzechów. A gdy po raz trzeci powiedział „niczego mi nie trzeba”, zrobił to z płonącymi oczami. I wiedziałem, że miał na myśli dosłownie to, co powiedział: że nie ma żądzi ani domu, że był zmęczony nicością jak winem, tą anihilacją, zwyczajną dekonstrukcją wszystkiego...

Spadły dwie krople deszczu i z jakiegoś powodu Flambeau drgnął i spojrzał w górę, jakby go użądliły. A w tej samej chwili doktor, dotąd stojący przy końcu cieplarni, rzucił się biegiem w ich stronę, krzycząc coś po drodze.

Gdy wpadł pomiędzy nich jak bomba, nerwowy Atkinson właśnie skręcał przy narożniku domu. Doktor kurczowo złapał go za kołnierz.

- Głupcze! - krzyknął. - Co ty mu robisz, psie?

Książd poderwał się na nogi i odezwał stalowym głosem generała:

- Żadnych bójek! - huknął zimno. - Jest nas dość, by przytrzymać każdego. Doktorze, o co chodzi?

- Z Quintonem nie jest dobrze - odpowiedział dość pobladły doktor. - Widziałem go właśnie przez szkło i nie podoba mi się

sposób, w jaki leży. W każdym razie nie tak go zostawiłem.

- Chodźmy do niego - krótko zarządził ojciec Brown. - Może pan zostawić pana Atkinsona. Nie spuściłem go z oka, odkąd usłyszeliśmy głos Quintona.

- Ja zostanę tutaj i go przypilnuję - szybko powiedział Flambeau. - Wy idźcie i sprawdźcie.

Doktor i ksiądz pobiegli do drzwi pracowni, otworzyli je i wpadli do pomieszczenia. Niemal przy tym wywrócili duży, mahoniowy stół na środku, przy którym zwykle pisał poeta, jako że pokój oświetlony był tylko małym płomykiem dla chorego. Na środku stołu leżała pojedyncza kartka papieru, ewidentnie pozostawiona tam celowo. Doktor złapał ją, rzucił okiem i podał ją ojcu Brownowi.

- Dobry Boże, niech ojciec spojrzy! - zawołał i pognał do przeszklonej cieplarni, gdzie te okropne, tropikalne kwiaty nadal wydawały się przechowywać szkarłatne wspomnienie zachodu słońca.

Ojciec Brown, zanim odłożył kartkę, przeczytał słowa trzy razy. Brzmiały one: „Ginę z własnej ręki, jednak jestem mordowany!”. Niezwykły charakter pisma bez wątpienia należał do Leonarda Quintona.

Potem ojciec Brown, wciąż z papierem w dłoni, poszedł do cieplarni, po to tylko, by spotkać swego przyjaciela medyka, wracającego z twarzą pewną i zapadniętą.

- Zrobił to - powiedział Harris.

Razem przeszli przez nienaturalne piękno kaktusów i różaneczników, i znaleźli Leonarda Quintona, poetę i autora romansów, z głową zwieszającą się z otomany i rudymi lokami rozsypanymi po ziemi. Po jego lewej stronie wbity był ten dziwny sztylet, który przynieśli z ogrodu, a wiotka dłoń nadal spoczywała na rękojeści.

Na zewnątrz od jednego gromu zaczęła się burza, a ogród i szklany dach pociemniały od lejącego deszczu. Ojciec Brown bardziej niż na ciełe skupiał się na papierze; trzymał go blisko oczu i wydawało się, że próbuje czytać w mroku. Następnie uniósł go ku słabemu światłu, a w momencie, gdy to zrobił, uderzył piorun, sprawiając, że biała kartka wydała się czarna.

Nastała ciemność pełna grzmotów, a potem z mroku rozległ się głos ojca Browna.

- Doktorze, ta kartka ma niewłaściwy kształt.

- Co ma ojciec na myśli? - spytał doktor Harris, marszcząc brwi.

- Nie jest prostokątna - odparł Brown. - Róg jest jakby ucięty. Co to znaczy?

- A skądże mam wiedzieć, do licha? - warknął doktor. - Chyba trzeba by go przenieść, nie sądzicie? Nie żyje.

- Nie - sprzeciwił się ksiądz. - Musimy zostawić go tak, jak leży, i wezwać policję. - Ale wciąż badał papier.

Gdy wracali przez pracownię, zatrzymał się przy stole i podniósł nożyczki do paznokci.

- Ach - powiedział z niejaką ulgą. - Więc to tym to zrobił. Ale mimo wszystko... - Ściągnął brwi.

- Och, niechże ojciec przestanie tak dumać na tym świstkiem - ze współczuciem powiedział doktor. - Taka jego fanaberia. Miał ich setki. Wszystkie kartki przycinał w taki sposób. - Wskazał na stertę papierów leżących na mniejszym stole.

Ojciec Brown podszedł i uniósł jedną kartkę. Miała taki sam, nieregularny kształt.

- Faktycznie - przyznał. - A tu są te odcięte narożniki. - I ku oburzeniu kolegi zaczął je liczyć.

- W porządku - powiedział z przeproszającym uśmiechem. - Dwadzieścia trzy nacięte kartki i dwadzieścia dwa odcięte narożniki. I widzę, że chciałby pan dołączyć szybko do pozostałych.

- Kto powie jego żonie? - spytał doktor Harris. - Pójdzie do niej ojciec, podczas gdy ja wyślę służącego po policję?

- Jak pan sobie życzy - obojętnie odpowiedział ojciec Brown i wyszedł do holu.

Tu także zastał dramat, choć bardziej groteskowy. Jego oczom objawił się jego wielki przyjaciel Flambeau w pozycji, od której dawno się odzwyczaił, podczas gdy u dołu schodów wymachiwał nogami w powietrzu Atkinson, którego melonik i laseczka poleciały w przeciwnych kierunkach. Atkinson

zmęczył się wreszcie niemal ojcowską opieką Flambeau i starał się go powalić, co z całą pewnością nie było proste.

Flambeau właśnie się podrywał, by ponownie unieruchomić wroga, gdy ksiądz poklepał go lekko po ramieniu.

- Przyjacielu, pogódź się proszę z panem Atkinsonem - powiedział. -Przeproście się nawzajem i pożegnajcie. Nie musimy go dłużej kłopotać. - Potem, gdy Atkinson podniósł się dość niepewnie, zabrał swój kapelusz i laskę i ruszył w stronę bramy, ojciec Brown odezwał się poważniejszym tonem:

- Gdzie jest ten Hindus?

Wszyscy trzej (jako że dołączył do nich doktor) odwrócili się mimowolnie w stronę ciemnego, trawiastego zbocza obramowanego drzewami fioletowymi od zmierzchu, gdzie po raz ostatni widzieli owego brązowego człowieka kołyszącego się przy swoich dziwnych modlitwach. Hindus zniknął.

- Sądziłem, że nie wierzy pan w magię - cicho powiedział ojciec Brown.

- Bo nie wierzę - odparł doktor, wywracając oczami. - Wiem tylko, że nie cierpiałem tego żółtego diabła od chwili, gdy uznałem, że jest jakimś fałszywym czarownikiem. I znienawidzę go jeszcze bardziej, jeśli się okaże, że jest prawdziwym.

- Cóż, jego ucieczka nic nie znaczy - powiedział Flambeau. - Bo nic mu nie możemy udowodnić. Trudno wmawiać wiejskiemu policjantowi opowieść o samobójstwie wymuszonym przez magię albo autosugestię.

Tymczasem ojciec Brown wrócił do domu i poszedł przekazać nowinę żonie zmarłego.

Gdy wrócił, wyglądał nieco blado i tragicznie, ale jakie słowa padły między nimi podczas tej rozmowy, nie wiadomo, choć wiadomo wszystko inne.

Flambeau, który rozmawiał cicho z doktorem, był zaskoczony, widząc, jak szybko jego przyjaciel wrócił, Brown jednak w ogóle tego nie skomentował i tylko odciągnął lekarza.

- Posłał pan po policję, prawda? - zapytał.

- Tak - odparł Harris. - Powinni tu być w ciągu dziesięciu minut.

- Wyświadczy mi pan przysługę? - cicho poprosił ksiądz. - Rzecz w tym, że mam kolekcję tych dziwnych historii, które często zawierają elementy, jak w przypadku naszego hinduskiego przyjaciela, których nie można umieścić w raporcie policyjnym. Chciałbym pana prosić o spisanie raportu z tej sprawy na mój prywatny użytek. Pański zawód jest szczególny - powiedział, patrząc doktorowi ponuro w oczy. - Czasami myślę, że zna pan szczegóły tej sprawy, o których nie pomyślał pan, żeby o nich wspomnieć. Mój jest poufny, tak jak pański, i wszystko, co pan zapisze, będzie wyłącznie do mojej wiadomości. Ale proszę spisać wszystko.

Doktor, który słuchał uważnie z głową lekką przechyloną na bok, popatrzył księdzu w oczy.

- Dobrze - zgodził się i poszedł do pracowni, zamykając za sobą drzwi.

- Flambeau - powiedział następnie ojciec Brown. - Na werandzie jest takie długie siedzisko, gdzie możemy usiąść i zapalić pomimo deszczu. Jesteś moim jedynym przyjacielem na tym świecie i chcę z tobą porozmawiać. Albo, być może, pomilczęć.

Usadowili się wygodnie na kanapie na werandzie; ojciec Brown, wbrew swoim zwyczajom, przyjął dobre cygaro i palił je spokojnie i w ciszy, podczas gdy deszcz szemrał i stukał o dach.

- Mój przyjacielu - powiedział wreszcie - to jest bardzo dziwna sprawa. Bardzo dziwna.

- Pewnie tak - z lekkim jakby wzdrygnięciem przyznał Flambeau.

- Ty uważasz, że dziwna, ja uważam, że dziwna - powiedział ksiądz - a jednak mamy na myśli zupełnie inne rzeczy. Współczesny umysł zawsze miesza dwie różne idee: tajemnicę w sensie czegoś nadprzyrodzonego i tajemnicę w sensie czegoś skomplikowanego. To właśnie połowa trudności w kwestii cudów. Cud jest porażający, ale prosty. Jest prosty, ponieważ jest cudem. To moc pochodząca bezpośrednio od Boga (albo od diabła), a nie pośrednio od natury czy woli człowieka. Ty uważasz, że ta sprawa jest nadprzyrodzona, ponieważ jest

cudowna, ponieważ to czary rzucane przez złego Hindusa. Zrozum, nie mówię, że nie ma tu podłoża duchowego czy diabolicznego. Tylko niebo i piekło wiedzą, jaki mają wpływ na dziwne grzechy w ludzkim życiu. Ale w tej chwili chcę powiedzieć, że jeśli była to czysta magia, tak jak sądzisz, to mamy do czynienia z cudem, ale nie jest to tajemnicze - a zatem nie jest skomplikowane. Cechą cudu jest tajemniczość, ale sama kwestia jest prosta. Ta sprawa zaś jest przeciwieństwem prostoty.

Burza, która przycichła na chwilę, znowu zbierała siły i słyszeli słabe grzmoty. Ojciec Brown strzepnął popiół z cygara.

- W całym tym incydencie - kontynuował - jest coś pokręconego, paskudnego, złożonego, co nie należy do prostych działań ani nieba, ani piekła. Tak, jak ktoś może znać pokrętne ścieżki ślimaka, ja znam pokrętną drogę człowieka.

Niebo mrugnęło wielką błyskawicą, znów pociemniało, a ksiądz mówił dalej:

-Ze wszystkich pokrętnych rzeczy najbardziej pokrętną jest kształt tej kartki papieru. Jest jeszcze bardziej pokrętny niż ten sztylet, który go zabił.

- Masz na myśli tę kartkę, na której Quinton przyznał się do samobójstwa - upewnił się Flambeau.

- Mam na myśli tę kartkę, na której Quinton napisał „Ginę z własnej ręki” - odpowiedział ojciec Brown. - Kształt tej kartki, mój przyjacielu, był niewłaściwy, a ja na tym złowrogim świecie widywałem już złe kształty.

- To tylko odcięty róg - zauważył Flambeau - i jak rozumiem, Quinton w ten sposób przycinał cały swój papier.

- To bardzo dziwny sposób - stwierdził ksiądz - i jak na mój gust i myśl, bardzo zły. Posłuchaj, Flambeau, ten Quinton - niech Bóg przyjmie jego duszę do siebie! - być może pod pewnymi względami był draniem, ale naprawdę był artystą ołówka i pióra. Jego pismo, choć trudne do odczytania, jest wyraźne i piękne. Nie jestem w stanie udowodnić swoich słów, nie jestem w stanie udowodnić niczego. Ale powiadam ci z pełnym przekonaniem, że on nigdy nie odcinałby od kartki

takich marnych kawałeczków papieru. Gdyby chciał z jakiegoś powodu przyciąć papier, żeby go do czegoś dopasować czy oprawić, czy cokolwiek, to ciąłby nożyczkami zupełnie inaczej. Pamiętasz ten kształt? To był kształt zły. To był kształt niewłaściwy. Nie pamiętasz?

I pomachał w ciemnościach przed nim palącym się cygarem, wykreślając nieregularne prostokąty tak pospiesznie, że Flambeau naprawdę widział je jako ogniste hieroglify w mroku - hieroglify, które - jak te, o których mówił jego przyjaciel - były nieczytelne, jednak nie znaczyły nic dobrego.

- Ale - zauważył Flambeau, gdy ksiądz znowu umieścił cygaro w ustach i oparł się, wpatrując w dach - założmy, że to ktoś inny użył nożyczek. Dlaczego ktoś, odcinając kawałki z pergaminu, skłonił Quintona do popełnienia samobójstwa?

Ojciec Brown nadal gapił się w dach, ale wyjął cygaro z ust.

- Quinton wcale nie popełnił samobójstwa - oświadczył. Flambeau wbił w niego wzrok.

- No to dlaczego, do diaska - wykrzyknął - przyznał się do samobójstwa?

Ksiądz znowu się pochylił, łokcie oparł na kolanach, popatrzył w ziemię.

- Nigdy nie przyznał się do samobójstwa - powiedział cichym, zdecydowanym głosem.

Flambeau odłożył cygaro.

- Chcesz powiedzieć - zapytał - że to pismo było sfałszowane?

- Nie - zaprzeczył ojciec Brown. - Quinton jak najbardziej je napisał.

- No i tu cię mam - z irytacją powiedział Flambeau. - Quinton napisał „Ginę z własnej ręki”, własną ręką, na pustej kartce.

- O złym kształcie - spokojnie dodał ksiądz.

- Och, szlag z tym kształtem! - krzyknął Flambeau. - Co ma do tego kształt?

- Były tam dwadzieścia trzy nacięte kartki - powtórzył nieporuszony Brown - a tylko dwadzieścia dwa kawałeczki odciętego papieru. Czyli jeden został zniszczony, prawdopodobnie ten od notatki. Czy to ci coś sugeruje?

Na twarzy Flambeau pojawiło się światło.

- Quinton napisał tam coś innego, jakieś inne słowa. „Powiedzą wam, że ginę z własnej ręki” albo „Nie wierzcie w to...”

- Ciepłej, jak mówią dzieci - powiedział jego przyjaciel. - Ale ten kawałek miał raptem pół cala; nie było tam miejsca na jedno słowo, nie mówiąc już o kilku. Przychodzi ci na myśl coś ledwie większego od przecinka, co człowiek z piekłem w sercu musiałby usunąć jako świadectwo przeciwko sobie?

- Nic takiego nie przychodzi mi do głowy - odparł wreszcie Flambeau.

- A co ze znakiem zapytania? - powiedział ksiądz i cisnął swoje cygaro w ciemność, jak spadającą gwiazdę.

Flambeau odjęło mowę, więc ojciec Brown powiedział, jakby wracając do podstaw:

- Leonard Quinton był autorem romansów i pisał romans orientalny o czarach i hipnotyzmie. On...

W tej chwili drzwi za nimi otworzyły się gwałtownie i wyszedł z nich doktor w kapeluszu na głowie. W dłonie księdza włożył podłużną kopertę.

- Oto dokument, o który ojciec prosił - powiedział - a ja muszę wracać do domu. Dobrej nocy.

- Dobranoc - odpowiedział ojciec Brown, gdy doktor ruszył dziarsko w stronę bramy. Frontowe drzwi zostawił otwarte, więc padał na nich blask światła gazowego. W tym świetle Brown otworzył kopertę i przeczytał poniższe słowa:

Drogi ojcze Brown - Visciti Galilee⁷. Innymi słowami, niech przeklęte będą twoje oczy, które są niezwykle przenikliwe. Czy to możliwe, że w całym tym ojca interesie mimo wszystko coś jest? Jestem człowiekiem, który od lat chłopięcych wierzył w Naturę i wszystkie naturalne funkcje i instynkty, czy nazwać je moralnymi, czy niemoralnymi. Na długo przed tym, jak zostałem lekarzem, gdy byłem uczniakiem hodującym myszy i pająki, wierzyłem, że bycie dobrym zwierzęciem to najlepsza rzecz na świecie. Teraz jednak przeżyłem wstrząs. Wierzę w Naturę, wygląda jednak na to, że Natura może zwieść

człowieka. Czy w ojca bajdach może coś być? Naprawdę robię się chory.

Kochałem żonę Quintona. Cóż złego w tym było? Tak mi kazała Natura, a to właśnie miłość wprawia w ruch ten świat. Uważałem również szczerze, że byłaby szczęśliwsza z czystym zwierzęciem jak ja, niż z tym dręczącym ją, małym szaleńcem. Cóż było w tym złego? Patrzyłem wyłącznie na fakty, jak człowiek nauki. Byłaby szczęśliwsza.

Zgodnie z moim własnym credo czułem, że mogę zabić Quintona swobodnie, co byłoby rzeczą najlepszą dla wszystkich, nawet dla niego. Ale jako zdrowe zwierzę nie miałem zamiaru sam ginąć. Zatem zdecydowałem, że nie zrobię tego, póki nie będzie szansy, że zachowam wolność. Szansę taką dostrzegłem dziś rano. W pracowni Quintona byłem dzisiaj trzy razy. Za pierwszym razem mówił tylko o jakiejś dziwacznej historii o tytule „Lekarstwo świętego”, którą pisał, a która w całości dotyczyła jakiegoś hinduskiego pustelnika, który doprowadził angielskiego pułkownika do samobójstwa, jedynie myśląc o nim. Pokazał mi ostatnie strony, a nawet odczytał ostatni akapit, który brzmiał mniej więcej tak: „Zdobywca Pendżabu, zwykły, poźótkły szkielet, jednak nadal ogromny, zdołał unieść się na łokciu i tchnąć do ucha bratanka: Ginę z własnej ręki, jednak ginę zamordowany!”. To była jedna szansa na sto, że właśnie te słowa zapisane były na szczycie

nowej kartki papieru. Wyszedłem z pokoju i poszedłem do ogrodu, zakazony przerażającą możliwością.

Chodziliśmy wokół domu i wydarzyły się dwie rzeczy przemawiające na moją korzyść. Podejrzewaliście Hindusa i znaleźliście sztylet, którego Hindus mógłby używać. Korzystając z okazji, wsadziłem go do kieszeni i wróciłem do pracowni Quintona, zamknąłem drzwi na klucz i podałem mu środek nasenny. Nie miał w ogóle zamiaru odpowiadać Atkinsonowi, ale przekonałem go, aby się odezwał i go uciszył, ponieważ chciałem mieć jasny dowód na to, że gdy po raz drugi wychodziłem z pokoju, Quinton żył. Leżał w cieplarni, a ja przeszedłem przez pracownię. Mam zwinne

dłonie i wystarczyło mi półtorej minuty, by zrobić to, co chciałem. Całą pierwszą część romansu Quintona wrzuciłem do kominka, gdzie spalił się na popiół. Potem zauważyłem niepasujący znak zapytania, więc go odciąłem, a żeby wyglądało to bardziej wiarygodnie, przyciąłem całą ryzę papieru. Potem wyszedłem ze świadomością, że na stole leży przyznanie się Quintona do samobójstwa, podczas gdy sam Quinton leży żywy, choć pogrążony we śnie, w ciepłarni na tyłach.

Ostatni akt był desperacki; może się tego ojciec domyślić. Udałem, że zobaczyłem zwłoki Quintona, i pobiegłem do jego pokoju. Opóźniłem was tym papierem, a mając szybkie ręce, zabiłem go w czasie, gdy wy przyglądaliście się jego samobójczemu wyznaniu. Był na wpół śpiący, oszołomiony lekami, a ja położyłem na nożu jego własną dłoń i poprowadziłem ją do ciała. Ten nóż miał tak dziwny kształt, że tylko chirurg byłby w stanie określić kąt, pod którym sięgnąłby serca. Zastanawiałem się, czy ojciec to zauważył.

Gdy to zrobiłem, wydarzyło się coś niezwykłego. Natura mnie porzuciła. Poczułem się chory. Poczułem się tak, jakbym zrobił coś złego. Myślę, że mój mózg się rozpada. Czuję jakąś rozpaczliwą przyjemność, myśląc, że komuś o tym opowiedziałem, że nie będę musiał być z tym sam, jeśli ożenię się i będę miał dzieci. Ale co się ze mną dzieje... ? Szaleństwo... czy też może wyrzuty sumienia, jakby w jakimś wierszu Byrona! Nie jestem w stanie napisać więcej.

James Erskine Harris.

Ojciec Brown starannie złożył list i schował go do kieszonki na piersi. W tej samej chwili rozległ się głośny dźwięk dzwonka przy furtce, a na drodze za ogrodzeniem zalśniły mokre peleryny przeciwdeszczowe kilku policjantów.

GRZECHY KSIĘCIA SARADINE'A

Gdy Flambeau wziął miesiąc urlopu ze swojego biura w Westminster, spędził go na małej żaglówce, tak małej, że większość czasu służyła jako łódka wiosłowa. Ponadto zabrał ją na małe rzeczki we wschodnich hrabstwach, rzeczki tak wąskie, że ta łódka wyglądała jak magiczny okręt żeglujący po łądzie, po łąkach i polach. W łódce w miarę wygodnie mogło płynąć dwóch ludzi. Było tam miejsce wyłącznie na niezbędne rzeczy, a Flambeau zapchał je tym, co było niezbędne zgodnie z jego specyficzną filozofią. Najwyraźniej ograniczało się to do puszek z łososiem, gdyby zachciało mu się jeść, naładowanych rewolwerów, gdyby przyszło mu walczyć, butelki brandy, przypuszczalnie w przypadku, gdyby miał omdleć, oraz księdza, prawdopodobnie na wypadek, gdyby umierał. Z tym lekkim bagażem spływał w dół małych rzeczek Norfolk, zamierzając ostatecznie dotrzeć do Broads, ale tymczasem rozkoszując się bezkresnymi ogrodami i łąkami, odbijającymi się w wodzie posiadłościami i wioskami, zatrzymując się, by wędkować na płycznach i w zakolach, i w jakimś sensie tuląc się do brzegu.

Jak w przypadku prawdziwego filozofa, wakacje Flambeau nie miały celu; jednakże, jak prawdziwy filozof, miał usprawiedliwienie. Miał swego rodzaju pomysł, który traktował na tyle poważnie, by jego powodzenie było ukoronowaniem wakacji, ale dosyć lekko, by porażka ich nie zepsuła. Lata temu, gdy był królem złodziei i jedną z najszlachetniejszych postaci Paryża, często otrzymywał dzikie wyrazy poparcia, donosy, a nawet wyznania miłosne, jednak z jakiegoś powodu jeden z tych listów utkwiał mu w pamięci. Była to zwykła karta wizytowa w kopercie z angielskim znaczkiem. Na odwrocie, napisane zielonym atramentem, widniały słowa po francusku: „Jeśli kiedykolwiek przejdzie

pan na emeryturę i stanie się szanowanym człowiekiem, proszę przyjechać i spotkać się ze mną. Chcę Pana poznać, tak jak poznałem wszystkich wielkich ludzi moich czasów. Ta pańska sztuczka, gdy jeden detektyw aresztował drugiego, była najwspanialszą sceną w historii Francji". Na froncie biletu widniał oficjalny nadruk: „Książę Saradine, Reed House, Reed Island, Norfolk".

Zatem nieszczególnie przejmował się owym księciem, poza ustaleniem, że w południowych Włoszech był on wspaniałą i modną postacią. W młodości, powiadano, uciekł z zamężną kobietą z klasy wyższej. Sama eskapada niezbyt wstrząsnęła jego światem towarzyskim, ale została w ludzkiej pamięci ze względu na dodatkową tragedię - domniemane samobójstwo znieważonego męża, który rzekomo rzucił się z urwiska na Sycylii. Później książę przez jakiś czas zamieszkiwał w Wiedniu, a kolejne lata wydawał się spędzać na ciągłych i niestrudzonych podróżach. Ale gdy Flambeau, podobnie jak książę, porzucił europejską śmietankę towarzyską i osiadł w Anglii, uznał, że mógłby złożyć temu wpływowemu wygnańcowi niespodziewaną wizytę w Norfolk Broads. W jaki sposób miałby znaleźć to miejsce, nie miał pojęcia. I w istocie - było małe i zapomniane. Jednak, jak się okazało, odnalazł je znacznie wcześniej, niż się spodziewał.

Którejś nocy zacumowali łódkę przy skarpie porośniętej wysokimi trawami i niskimi, ogłowionymi drzewami. Po ciężkim wiosłowaniu wcześniej zasnęli i przez przypadek obaj obudzili się, zanim nastało światło. Mówiąc ściślej, obudzili się, zanim nastało światło dnia, ponieważ tuż nad ich głowami, ponad lasem wysokiej trawy, wisiał wielki, cytrynowy księżyc, a niebo miało żywą, fioletowo-niebieską barwę, nocną, lecz jasną. Obaj mężczyźni jednocześnie pomyśleli o swoim dzieciństwie, o baśniowych czasach pełnych przygód, gdy wysoka trawa zamykała się nad głową jak gęstwina drzew. W świetle wielkiego, nisko zawieszzonego księżyca stokrotki wydawały się gigantyczne, tak samo mleczce. Z jakiegoś powodu przypomniało im to lamperię na tapecie w pokoju dziecinnym. Położenie koryta rzeki powodowało, że tonęli pod

korzeniami wszystkich krzaków i kwiatów, i sprawiało, że patrzyli w górę, w trawy.

- Na Jowisza! - powiedział Flambeau. - To jak kraina wrózek. Ojciec Brown usiadł prosto i przeżegnał się. Jego poruszenie było tak niespodziewane, że przyjaciel z dziwnym spojrzeniem zapytał, co się stało.

- Ludzie, którzy napisali te średniowieczne ballady - odpowiedział ksiądz - wiedzieli o wrózkach więcej niż ty. W bajkowej krainie dzieją się nie tylko miłe rzeczy.

- O rany! - powiedział Flambeau. - Pod tak niewinnym księżycem nie może się wydarzyć nic złego. Jestem za tym, żeby ruszyć i zobaczyć, co będzie. Możemy umrzeć i zgnieć, zanim znowu ujrzymy taki księżyc czy taką scenerię.

- W porządku - zgodził się ojciec Brown. - Nigdy nie powiedziałem, że wejście do krainy wrózek jest zawsze niewłaściwą rzeczą. Powiedziałem tylko, że to zawsze rzecz niebezpieczna.

Ruszyli powoli w górę jaśniejącej rzeki. Lśniący fiolet nieba i blade złoto księżyca coraz bardziej blakły, aż przemieniły się w ten przepastny, pozbawiony kolorów kosmos, który poprzedza barwy świtu. Gdy horyzont od końca do końca rozszczepiły pierwsze słabe paski czerwieni, złota i szarości, na jego tle zobaczyli czarną sylwetkę miasteczka czy wioski, która przysiadła nad rzeką tuż przed nimi. Gdy znaleźli się pod wiszącymi dachami i mostami tej nadrzecznej osady, panował już jasny półmrok, w którym widać wszystko. Domy z długimi, niskimi, stromymi dachami wydawały się schodzić do wodopoju w rzece jak wielkie, szare i czerwone bydło. Rozlewający się biały brzask zdążył się już zmienić w jasne światło dnia, zanim w tej cichej wiosce ujrzeli jakiegokolwiek żywe stworzenie. Wreszcie dostrzegli bardzo pogodnego i dobrze się prezentującego mężczyznę w zarękawkach, o twarzy tak okrągłej, jak niedawny księżyc, i z rudymi bokobrodami, które ją okalały, opierającego się o słupek ponad ospałym nurtem. Flambeau, kierując się impulsem, którego nie zamierzał analizować, wstał w rozkołysanej łodzi, wyprostował się na pełną wysokość i zawołał do mężczyzny,

czy zna Reed Island albo Reed House. Uśmiech zadowolonego mężczyzny jeszcze się poszerzył i zwyczajnie pokazał w górę rzeki, na przeciwległy brzeg. Flambeau bez słowa ruszył w tamtą stronę.

Łódka przepłynęła wiele takich trawiastych zakoli i podążała porośniętym trzcina, cichym nurtem, ale zanim poszukiwania zrobiły się monotonne, pokonali szczególnie ostry zakręt i wpłynęli w spokój swego rodzaju sadzawki czy jeziora, na którego widok instynktownie zamarli. Ponieważ na środku tego rozlewiska, z każdej strony obramowana sitowiem, znajdowała się długa, niska wysepka, a na niej długi, niski dom czy bungalow zbudowany z bambusa albo innej sztywnej, tropikalnej trzciny. Pionowe pędy bambusa, które tworzyły ściany, były bladożółte, te, które tworzyły strzechę, ciemnoczerwone bądź brązowe, poza tym długi budynek był powtarzalny i nudny. Poranny wiaterek szeleścił trzcina wokół wysepki i grał na dziwnym, żebrowanym domu, jakby to była gigantyczna fletnia.

- Na Jerzego! - zawołał Flambeau. - A więc to jest to miejsce! To Reed Island⁸, jeśli w ogóle istnieje. I Reed House, jak mi się wydaje. Wierzę, że ten grubasek z bokobrodami był wróżką.

- Być może - bez uprzedzeń zauważył ojciec Brown. - Jeśli tak, to złą wróżką.

Jednak impulsywny Flambeau prowadził już łódkę do brzegu wśród szeleszczących trzciny i po chwili stanęli na długiej, osobliwej wysepce obok dziwnego i cichego domu.

Budynek stał tyłem do rzeki i jedynej przystani. Główne wejście było po drugiej stronie i wychodziło na długi ogród. Goście podeszli do niego, idąc małą ścieżynką prowadzącą wokół trzech stron domu, pod niskimi okapami. Przez trzy różne okna na trzech różnych bokach zajrzeli do tego samego, długiego, dobrze oświetlonego pomieszczenia, wyłożonego jasnym drewnem, z dużą ilością luster i przygotowanego jakby na elegancki lunch. Po obu stronach wejścia, gdy wreszcie do niego dotarli, stały turkusowe donice z kwiatami. Drzwi otworzył kamerdyner posępniejszego typu - wysoki, chudy, szary i powolny - który wymamrotał, że książkę

Saradine jest chwilowo nieobecny, ale należy się go spodziewać w każdej chwili; dom stale jest przygotowany na niego i jego gości. Okazanie biletu wizytowego z notką wykonaną zielonym atramentem wzbudziło drgnienie życia na pergaminowej twarzy ponurego służącego, który z pewną drżącą uprzejmością zasugerował, by przybysze zaczekali.

- Jego Wysokość może być lada chwila - powiedział - i byłby niezadowolony, gdyby minął się z dżentelmenem, którego zaprosił. Mamy polecenie, by zawsze trzymać zimne przekąski dla niego i jego przyjaciół, i jestem pewien, że pragnąłby je zaproponować.

Wiedziony ciekawością wobec tej niewielkiej przygody Flambeau podziękował grzecznie i poszedł za starym człowiekiem, który poprowadził go ceremonialnie do długiego pokoju w jasnym drewnie. Nie było w nim nic szczególnie znaczącego poza niezwykłą ilością długich, niskich okien i wieloma długimi, niskimi prostokątami zwierciadeł, które temu miejscu nadawały szczególne wrażenie lekkości i nienamacalności. W narożnikach wisiały dwa spokojne obrazy, jednym była szara fotografia bardzo młodego człowieka w mundurze, drugim szkic w czerwonej kredzie, przedstawiający dwóch długowłosych chłopców. Na pytanie Flambeau, czy młodzieniec w mundurze to księżę, kamerdyner odpowiedział przecząco. Był to młodszy brat księcia, kapitan Stephen Saradine, powiedział. I z tymi słowami starzec wydał się utracić całą chęć do rozmowy.

Po lunchu zakończonym doskonałą kawą i likierami goście zostali zaprowadzeni do ogrodu i biblioteki i przedstawieni gosposi - ciemnej, przystojnej damie, wielce majestatycznej, w typie mrocznej Madonny. Wydawało się, że wraz z kamerdynerem są jedynymi ocalałymi z pierwotnych, zagranicznych pokojowców księcia, podczas gdy pozostali służący są nowi i dobrani w Norfolk przez gosposię. Dama owa przedstawiała się jako pani Anthony, jednak mówiła z lekkim włoskim akcentem, a Flambeau był pewien, że Anthony to angielska wersja jakiegoś bardziej łacińskiego nazwiska. Pan Paul, kamerdyner, również sprawiał z lekka

cudzoziemskie wrażenie, jednakże w mowie i zachowaniu był tak angielski, jak wielu najbardziej wyrafinowanych męskich służących kosmopolitycznej arystokracji.

Dom, choć uroczy i niezwykły, miał w sobie jakiś świetlisty smutek. Godziny w nim mijały jak dni. Długie pokoje o licznych oknach pełne były światła, jednak sprawiało ono wrażenie martwego. A pośród wszystkich innych przypadkowych dźwięków, odgłosów rozmów, brzęczenia szkła czy kroków przechodzących sług, ze wszystkich stron dochodził do nich melancholijny szmer rzeki.

- Skręciliśmy w złą stronę i przyjechaliśmy do niewłaściwego miejsca - powiedział ojciec Brown, wyglądając przez okno na szarozielone turzyce i srebrzystą wodę. - Nieważne. Czasami można działać coś dobrego, będąc właściwą osobą w niewłaściwym miejscu.

Ojciec Brown, choć zazwyczaj milczący, był dziwnie sympatycznym człowieczkiem, i przez tych kilka krótkich, choć niekończących się godzin, nieświadomie w tajemnicze Reed House zanurzył się głębiej niż jego przyjaciel profesjonalista. Miał ten zmysł przyjaznego milczenia, który jest tak istotny w przypadku ploteczek, i ledwie się odzywając, od swoich nowych znajomych usłyszał rzeczy, których normalnie pewnie by nie powiedzieli. Kamerdyner był z natury niekomunikatywny. Zdradzał ponure i niemal zwierzęce przywiązanie do swojego pana, który, jak powiedział, został bardzo źle potraktowany. Wielkiej obrazy dopuścił się chyba brat jego wysokości, którego imię sprawiało, że staruszek wysuwał szczękę i parskał przez garbaty nos. Z kapitanem Stephena był wyraźnie nicpoń. Naciągnął swojego życzliwego brata na setki i tysiące. Zmusił go, by porzucił modne życie i żył skromnie na wygnaniu. Tak powiedział Paul, kamerdyner, a Paul był wyraźnie stronniczy.

Włoska gosposia była nieco bardziej rozmowna, a jednocześnie, jak uznał Brown, z jakiegoś powodu mniej przychylna. Jej ton, gdy mówiła o panu, był nieco kwaśny, chociaż niepozbawiony pewnego podziwu. Flambeau i jego przyjaciel stali w lustrzanym pokoju, badając czerwony szkic z

dwoma chłopcami, gdy z jakąś domową sprawą pojawiła się tam gosposia. Szczególną cechą tego błyszczącego, pełnego szkła pokoju było to, że ktokolwiek do niego wszedł, natychmiast odbijał się w czterech czy pięciu lustrach. Ojciec Brown, nie odwracając się, przerwał w środku zdania krytykowanie rodziny. Jednakże Flambeau, który z bliska przypatrywał się obrazkowi, mówił właśnie głośno:

- Pewnie bracia Saradine. Obaj wyglądają całkiem niewinnie. Trudno powiedzieć, który z nich to ten dobry, a który zły.

Wówczas, uświadamiając sobie obecność damy, zakończył zdanie jakimś banałem i wyszedł do ogrodu. Ale ojciec Brown nadal

stał i przypatrywał się czerwonemu szkicowi, a pani Anthony nie spuszczała wzroku z ojca Browna.

Miała duże i dramatyczne brązowe oczy, a oliwkowa twarz połyskiwała ciemno z zaciekawionym i bolesnym zdziwieniem - jakby wątpiła w tożsamość albo cel obcego. Czy to płaszcz i wyznanie małego księdza poruszyły jakieś południowe wspomnienia spowiedzi, czy może uznała, że ksiądz wiedział więcej niż w istocie, zwróciła się do niego jak do towarzysza spiskowca:

- Ten pański przyjaciel ma rację pod pewnym względem - powiedziała cichym głosem. - Mówi, że trudno określić, który z braci jest dobry, a który zły. Och, trudno by było, naprawdę trudno, wskazać tego dobrego.

- Nie rozumiem pani - powiedział ojciec Brown i zaczął odchodzić.

Kobieta zrobiła krok w jego stronę, marszcząc brwi i pochylając się groźnie, jak byk opuszczający rogi.

- Tutaj nie ma tego dobrego - syknęła. - Kapitanem zawładnęło zło, gdy zabrał te pieniądze, ale nie sądzę, żeby księciem powodowała szczególna dobroć, kiedy je dawał. Nie tylko kapitana można o coś oskarżyć.

Na odwróconej twarzy księdza pojawiło się światło, a jego usta uformowały milcząco jedno słowo: szantaż. W tej samej chwili kobieta obróciła nagle pobladłą twarz przez ramię i niemal upadła. Drzwi otworzyły się bezgłośnie i stanął w nich

blady jak duch Paul. Dzięki sztuczce lustrzanych ścian wydawało się, jakby przez te drzwi weszło jednocześnie pięciu Paulów.

- Jego wysokość - oznajmił - właśnie przybył.

W tej samej chwili za pierwszym oknem przesunęła się postać mężczyzny, przecinając rozświetloną szybę jakby to była oświetlona scena. Zaraz potem minął drugie okno i wielość lusterek odbiła kolejno ten sam orli profil i stanowczą postawę. Był wyprostowany i energiczny, ale włosy miał białe, a cerę w dziwnym odcieniu kości słoniowej. Miał ten krótki, wygięty, rzymski nos, który zazwyczaj łączy się z pociągłymi, szczupłymi policzkami i podbródkiem, te jednak były częściowo zasłonięte wąsem i hiszpańską bródką. Wąs był znacznie ciemniejszy od brody, przez co efekt był nieco teatralny. Mężczyzna ubrany był równie ekstrawagancko, mając na sobie

biały cylinder, kwiat orchidei w butonierce, żółtą kamizelkę i żółte rękawiczki, którymi wymachiwał, idąc. Gdy dotarł do drzwi frontowych, usłyszeli, jak sztywny Paul je otwiera, i dobiegł ich wesoły głos przybysza:

- No i widzisz, przyjechałem.

Sztywny Paul ukłonił się i odpowiedział niesłyszalnie. Przez kilka minut ich konwersacja była niemal bezgłówna.

- Wszystko do pańskiej dyspozycji - powiedział potem kamerdyner i wywijający rękawiczkami książe Saradine wmaszerował pogodnie do pokoju, aby ich powitać. Raz jeszcze zobaczyli tę niezwykłą scenę - pięciu książy wchodzących do pomieszczenia przez pięć drzwi.

Książe odłożył biały kapelusz i żółte rękawiczki na stolik i serdecznie wyciągnął rękę na powitanie.

- Panie Flambeau, ogromnie się cieszę, że pana tutaj widzę - powiedział. - Pańska reputacja jest mi bardzo dobrze znana, o ile nie uzna pan tej uwagi za niedyskretną.

- Ależ bynajmniej - ze śmiechem odparł Flambeau. - Nie jestem przewrażliwiony. Niewielu ludzi zdołało zyskać reputację dzięki niezłomnej cności.

Książę spojrzał na niego ostro, chcąc się przekonać, czy ta riposta stanowiła jakiś osobisty przytyk. Potem także się roześmiał i zaproponował wszystkim krzesła.

-Sądzę, że to przyjemne miejsce - powiedział bezstronnie. - Obawiam się, że niewiele tu do roboty, ale wędkowanie udaje się naprawdę dobrze.

Księdzu, który przypatrywał mu się ponurym spojrzeniem dziecka, nasunęła się jakaś osobliwa, ale umykająca definicja. Popatrzył na szare, starannie zakręcone włosy, żółtobiałe oblicze i szczupłą, cokolwiek fircykowatą postać. Nie były nienaturalne, może poza wyrazistym odcieniem, jakby był to kostium osoby stojącej w świetle rampy. Nieokreślone zainteresowanie budziło coś innego, coś w samym zarysie jego twarzy. Browna dręczyło nieuchwytnie wspomnienie, że gdzie już ją widział. Ten człowiek wyglądał jak pewien jego stary przyjaciel w przebraniu. Potem nagle przypomniał sobie lustra i skupił się na rozważaniu efektu psychologicznego tego zwielokrotnienia ludzkich masek.

Książę Saradine rozdzielał uwagę pomiędzy gości z wielką wesołością i taktem. Odkrywając, że detektyw ma sportowe zacięcie, i chętny, by zagospodarować mu wakacje, poprowadził Flambeau i jego łódkę w dół strumienia, na najlepsze miejsce połowu ryb w okolicy, i po dwudziestu minutach wrócił własnym canoe, by dołączyć do ojca Browna w bibliotece i równie uprzejmie zając się bardziej filozoficznymi przyjemnościami księdza. Wydawało się, że ma równie rozległą wiedzę o wędkowaniu, jak i o książkach, choć niekoniecznie o tych najbardziej wybitnych. Mówił pięcioma czy sześcioma językami, choć ich znajomość była raczej potoczna. Wyraźnie zdarzyło mu się zamieszkiwać w różnych miastach i pośród różnej zbieraniny, jako że jego najzabawniejsze historyjki dotyczyły jaskiń hazardu i palarni opium, australijskich opryszków i włoskich bandytów. Ojciec Brown wiedział, że niegdyś fetowany książę Saradine ostatnich kilka lat spędził na niemal ciągłych podróżach, nie sądził jednak, że owe podróże były tak podejrzone i tak zabawne.

W istocie, przy całej swojej godności człowieka światowego, książę Saradine okazał się równie uważnym obserwatorem, co sam ksiądz, roztaczając atmosferę nieco niespokojną, a nawet niewiarygodną. Twarz jego była subtelna, ale oczy dzikie. Miał lekkie tiki nerwowe, jak człowiek osłabiony alkoholem albo narkotykami, i ani nie miał, ani nie twierdził, że ma, ręki do kierowania domowymi sprawami. Te zostawiał w całości dwojgu swoich starych służących, zwłaszcza kamerdynerowi, który wyraźnie stanowił główną podporę domostwa. W istocie pan Paul był nie tyle kamerdynerem, co swego rodzaju zarządcą czy nawet szambelanem. Jadał osobno, ale z niemal taką samą pompą, co jego pan. Bali się go wszyscy służący. Konsultował się z księciem godnie, ale niezłomnie - bardziej, jak gdyby był jego radcą prawnym. Ponura gospodyni w porównaniu była ledwie cieniem. Wydawała się trzymać z daleka i czekała wyłącznie na kamerdynera, a Brown nie usłyszał już żadnych takich wybuchowych szeptów, którymi na wpół przekazała mu, że młodszy brat szantażował starszego. Czy książę naprawdę doznał krzywdy ze strony nieobecnego kapitana, tego nie mógł być pewien, ale w Saradinie było coś niebezpiecznego i tajemniczego, przez co opowieść ta była wcale wiarygodna.

- Wierzy ksiądz w zagładę? - nagle zapytał niespokojny książę Saradine.

- Nie - odpowiedział jego gość. - Wierzę w Sąd Ostateczny. Książę odwrócił się od okna i popatrzył na niego dziwnie, z twarzą w cieniu zachodzącego słońca.

- Co ma ksiądz na myśli?

- To, że my tutaj znajdujemy się po złej stronie tkaniny - odparł ojciec Brown. - Rzeczy, które dzieją się tutaj, nie mają żadnego znaczenia. Mają je gdzieś indziej. Kara na prawdziwego sprawcę spadnie w innym miejscu. Tutaj często wydaje się dotyczyć niewłaściwej osoby.

Książę wydał dziwny, jakby zwierzęcy odgłos. W majaczącej w cieniu twarzy jego oczy lśniły dziwnie. W głowie księdza nagle pojawiła się nowa i przenikliwa myśl. Czy w tej mieszaninie błyskotliwości i bezceremonialności Saradine'a

było coś jeszcze? Czy księżę... czy był całkiem przy zdrowych zmysłach? Powtarzał „niewłaściwa osoba, niewłaściwa osoba” o wiele więcej razy, niż było to naturalne w towarzyskiej rozmowie.

Potem ojciec Brown z opóźnieniem doszedł do kolejnej prawdy. W lustrach przed sobą zobaczył, że drzwi otworzyły się cicho i stanął w nich milczący pan Paul, zwyczajowo bezbarwny.

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli od razu poinformuję - powiedział z tym samym sztywnym szacunkiem starego prawnika rodziny - że do przystani przybiła łódź z sześcioma wioślarzami, a u steru siedzi dżentelmen.

- Łódź! - powtórzył księżę. - Dżentelmen? - I wstał. Zapadła napięta cisza, przerywana tylko nawoływaniem jakiegoś

ptaka w turzycy, a potem, zanim ktokolwiek znowu się odezwał, przed trzema kolejnymi nasłonecznionymi oknami przesunęła się nowa twarz i postać, tak jak godzinę czy dwie wcześniej przeszedł tamtędy sam księżę. Ale poza faktem, że oba profile były orle, niewiele miały ze sobą wspólnego. Gość nie miał białego kapelusza, jak Saradine, ale czarny, o staroświeckim bądź obcym kształcie. Pod nim znajdowała się młoda i bardzo poważna twarz, gładko ogolona, z niebieskim cieniem zarostu na stanowczym podbródku, zdradzająca lekkie podobieństwo to młodego Napoleona. Temu skojarzeniu towarzyszyło coś starego i dziwnego, o odniesieniu do

całego stroju, jakby chodziło o człowieka, który nie kłopotuje się zmianą mody swoich przodków. Miał na sobie szorstki, niebieski płaszcz, czerwoną, wojskową w stylu kamizelkę i coś w rodzaju grubych, białych spodni, popularnych w czasach wczesnowiktoriańskich, dziś jednak dziwnie niestosownych. Ponad wszystkimi tymi ubraniami jak ze sklepu ze starzyzną widać było oliwkową twarz, dziwnie młodą i porażająco szczerą.

- Do licha! - powiedział księżę Saradine i zabierając swój biały cylinder, sam ruszył do drzwi frontowych, otwierając je na ogród pławiący się w blasku zachodzącego słońca.

Do tego czasu nowy przybysz i jego towarzysze rozłożyli się na trawniku jak mała armia. Sześciu wioślarzy wyciągnęło łódź wysoko na brzeg i strzegło jej niemal groźnie, trzymając wiosła prosto, jakby to były włócznie. Byli to śniadzi mężczyźni, a niektórzy z nich nosili kolczyki. Jeden z nich stał przy młodzieńcu o oliwkowej twarzy i w czerwonej kamizelce, trzymając dużą, czarną skrzynkę nietypowego kształtu.

- Pańskie nazwisko - powiedział młody człowiek - to Saradine? Saradine potwierdził raczej niedbale.

Nowo przybyły miał nieciekawę, jakby psie, brązowe oczy, różniące się pod każdym względem od niespokojnych i błyszczących szarych oczu księcia. Ale raz jeszcze ojca Browna zaczęło dręczyć poczucie, że gdzieś widział replikę tej twarzy, i znowu przypomniał sobie kolejne odbicia w lustrzanym pokoju i ów zbieg okoliczności złożył na ich karb.

-Do diaska z tym kryształowym pałacem! - wymamrotał. - Wszystko widzi się zbyt wiele razy. To zupełnie jak sen.

- Skoro pan jest księciem Saradinem - powiedział młodzieniec -mogę panu powiedzieć, że nazywam się Antonelli.

- Antonelli - rozwlekłe powtórzył książę. - Skądś znam to nazwisko.

- Proszę pozwolić, bym się przedstawił - powiedział młody Włoch.

Lewą ręką grzecznie zdjął swój staroświecki kapelusz, prawą uderzył księcia Saradine'a w twarz, aż zadzwoniło, a biały cylinder potoczył się po schodach i spadł na jedną z niebieskich donic z kwiatami.

Książę, czego by o nim nie mówić, z pewnością nie był tchórzem. Błyskawicznym ruchem złapał wroga za gardło i prawie cisnął nim o trawę. Jednak wróg otrząsnął się z niemal niestosowną i pospieszną uprzejmością.

- W porządku - powiedział, dysząc, w sztywnej angielszczyźnie. -Zostałem znieważony. Żądam satysfakcji. Marco, otwórz skrzynkę.

Mężczyzna z kolczykami, stojący u jego boku, zaczął otwierać czarną skrzynkę. Wyjął z niej dwa długie, włoskie rapiery, ze wspaniałymi stalowymi rękojeściami i ostrzami, które

skierował w stronę ziemi. Dziwny młodzieniec o żółtej i mściwej twarzy, stojący twarzą do wejścia, dwa rapiery stojące w trawie jak krzyże na cmentarzu i szereg potężnych mężczyzn z tyłu - wszystko to sprawiało wrażenie, że ma się do czynienia z jakimś barbarzyńskim sądem. Jednak wszystko inne było niezmienione, tak niespodziewane było to przejście. Złoto zachodzącego słońca wciąż opromieniało trawnik, a trzmiel wciąż buczał, jakby ogłaszał jakieś małe, ale straszliwe przeznaczenie.

- Książę Saradinie - powiedział Antonelli - gdyś był dziećciem w kołysce, zabiłeś mojego ojca i ukradłeś moją matkę. Ojciec mój miał więcej szczęścia. Nie zabiłeś go uczciwie, tak jak ja zabiję ciebie. Ty i moja niegodziwa matka zawieźliście go w ustronne miejsce na Sycylii, zrzuciliście z klifu i udaliście się w swoją stronę. Potrafię cię naśladować, jeśli zechcę, ale to zbyt obrzydliwe. Podążałem za tobą po całym świecie, a ty zawsze mi umykałeś. Ale to jest koniec świata - i twój koniec. Teraz cię mam i dam ci szansę, której ty nie dałeś memu ojcu. Wybierz jeden z tych rapiersów.

Książę Saradine, ze ściągniętymi brwiami, przez moment wydawał się wahać, jednak w uszach dalej dzwoniło mu od uderzenia, zatem sięgnął i ujął jedną z rękojeści. Ojciec Brown również się wychylił, chcąc zażegnać spór, szybko się jednak zorientował, że jego obecność pogorszyłaby sprawy. Saradine był francuskim wolnomularzem i zaciekłym ateistą, a ksiądz poruszył go na zasadzie przeciwieństwa. A co do tamtego, nie trafiał do niego ani ksiądz, ani osoba świecka. Ten młody mężczyzna o twarzy Bonapartego i brązowych oczach był kimś znacznie surowszym od purytanina - był poganinem. Od zarania świata był zwykłym zabójcą, człowiekiem epoki kamiennej - człowiekiem z kamienia.

Została tylko jedna nadzieja: przyzwanie służby. Ojciec Brown wbiegł z powrotem do domu. Odkrył jednakże, że autokratyczny Paul dał wszystkim służącym wolne i po długich pokojach niespokojnie krążyła tylko ponura pani Anthony. Ale w chwili, gdy zwróciła na niego straszne spojrzenie, rozwiązał jedną z zagadek lustrzanego domu.

Ciężkie, brązowe oczy Antonellego były ciężkimi, brązowymi oczami pani Anthony. W nagłym rozbłysku dostrzegł połowę historii.

- Na zewnątrz jest pani syn - powiedział bez ogródek - i albo zginie on, albo księżę. Gdzie jest pan Paul?

- Na przystani - słabo odpowiedziała kobieta. - On... on... wzywa pomoc.

- Pani Anthony - poważanie powiedział ojciec Brown. - Nie ma czasu na nonsensy. W dole rzeki, z łódki, wędkuje mój przyjaciel. Łodzi pani syna strzegą jego ludzie. Jest tylko jedno canoe. Co z nim robi pan Paul?

- Santa Maria! Nie wiem - odparła i osunęła się na wyłożoną matami podłogę.

Ojciec Brown przeniósł ją na sofę, oblał ją dzbankiem wody, zawołał o pomoc, a potem pognął na przystań małej wyspy. Jednak canoe było już na rzece, a stary Paul wiosłował w górę rzeki z energią niewiarygodną w jego wieku.

- Ocalę mojego pana - krzyknął z obłąkańczym błyskiem w oczach. - Ocalę go!

Ojciec Brown mógł tylko patrzeć, jak łódź mozolnie przesuwana się w górę strumienia, i modlić się, by staruszek zdołał na czas dotrzeć do miasteczka.

- Pojedynek to nic dobrego - mruknął, mierzwiąc swoje szpakowate włosy. - Ale z tym pojedyńkiem jest coś mocno nie w porządku, nawet jak na pojedynek. Czuję to w kościach. Ale o co może tu chodzić?

Gdy tak stał, wpatrując się w wodę, falujące lustro zachodu słońca, z drugiego końca ogrodu usłyszał niegłośny, ale charakterystyczny dźwięk - zimne zetknięcie stali. Odwrócił głowę.

Na oddalonym cyplu długiej wysepki, na skrawku darni za ostatnim rzędem róż, pojedyńkowicze zdążyli skrzyżować szpady. Wieczór był jak kopuła z dziewiczego złota, a pomimo odległości dało

się dostrzec każdy szczegół. Zdjęli płaszcze, ale żółta kamizelka i białe włosy Saradine'a oraz czerwona kamizelka i białe spodnie Antonellego połyskiwały w stłumionym świetle

jak barwy mechanicznych lalek. Obie szpady błyszczały jak diamentowe szpilki. W tych dwóch postaciach, które wydawały się takie małe i pogodne, było coś przerażającego. Wyglądały jak dwa motyle próbujące nawzajem przyszpilić się do korka.

Ojciec Brown pobiegł tak szybko, jak tylko potrafił, jego krótki nogi pracowały jak koła. Ale gdy dotarł do pola walki, stwierdził, że dotarł za późno i za wcześnie - za późno, aby powstrzymać waśń toczącą się w cieniu ponurych Sycylijczyków opierających się o wiosła, i za wcześnie, by przewidzieć katastrofę z nimi związaną. Obaj walczący byli wyjątkowo dobrze dobrani, ksiązę wykorzystywał swoje umiejętności ze swego rodzaju cyniczną pewnością siebie, Sycylijczyk swoje z morderczą uwagą. W zatłoczonych amfiteatrach rzadko oglądać można było wspanialsze pojedynki niż ten, który z brzękiem i migotaniem toczył się na tej zapomnianej wyspie na rzece zarośniętej sitowiem. Oszalamiająca walka toczyła się tak długo w wyrównanym stylu, że w protestującym księdzu zaczęła odzywać nadzieja. Było wielce prawdopodobne, że Paul wkrótce zjawi się wraz z policją. Pomogłoby nawet, gdyby Flambeau wrócił z ryb, jako że Flambeau pod względem fizycznym wart był czterech ludzi. Nie było jednak ani śladu Flambeau, ani też, co uznać należało za znacznie dziwniejsze, Paula i policji. Na wodzie nie unosiła się żadna inna jednostka. Na tej wysepce zagubionej w wielkim, pustym rozlewisku byli tak odcięci od świata, jakby znajdowali się na skale na środku Pacyfiku.

W tej samej chwili, gdy nasza go ta myśl, dzwonienie rapierów przyspieszyło, ramiona księcia uniosły się i czubek ostrza wszedł mu w bark. Cofnął się z obrotem, jakby coś rzucał. Rapier wypadł mu z ręki jak spadająca gwiazda i zanurkował w rzece. On sam zaś upadł z takim rozmachem, że połamał wielki krzew różany i posłał w niebo chmurę czerwonego pyłu - jak dym z jakiejś ofiary całopalnej. Sycylijczyk złożył swemu ojcu ofiarę z krwi.

Ksiądz natychmiast opadł na kolana przy zwłokach, ale po to tylko, by upewnić się, że ma do czynienia z trupem. Gdy wciąż

przeprowadzał beznadziejne testy, po raz pierwszy usłyszał głosy dochodzące

z górnego biegu rzeki i zobaczył łódź policyjną cumującą przy przystani, w której znajdowali się konstable i inni ważni ludzie, łącznie z podekscytowanym Paulem. Mały ksiądz podniósł się z wyraźnie powątpiewającą miną.

- No i proszę - wymamrotał. - Nie mógł przyplłynąć wcześniej?

Jakieś siedem minut później na wyspie zaroilo się od ludzi z miasteczka i policji, przy czym ta ostatnia położyła ręce na zwycięzcy pojedynku, rytualnie oznajmiając mu, że wszystko, co powie, może zostać wykorzystane przeciwko niemu.

- Nic nie powiem - odpowiedział ten monomaniak z zachwyconą i spokojną twarzą. - Już nigdy nic nie powiem. Jestem bardzo szczęśliwy i pragnę tylko, aby mnie powieszono.

Następnie, gdy go zabierali, zamknął usta, i jest niezwykłym, ale pewnym faktem, że na tym świecie nie otworzył ich już nigdy więcej, poza słowem „winny” podczas swojego procesu.

Ojciec Brown zapatrzył się w nagle pełen ludzi ogród, aresztowanie awanturnika, zabranie ciała po tym, jak obejrzał je lekarz, bardziej tak, jakby był to zły sen. Stał bez ruchu, jak człowiek pogrążony w koszmarze. Jako świadek podał swoje nazwisko i adres, ale odrzucił propozycję przewiezienia łodzią na brzeg i został sam w tym wyspiarskim ogrodzie, wpatrując się w połamany krzew róży i całą zieloną scenę tej nagłej i niewytłumaczalnej tragedii. Za rzeką zgasło światło, nad bagnistymi brzegami uniosła się mgła; przemknęło przez nią zgrabnie kilka spóźnionych ptaków.

Pogrążony w odmętach swojej podświadomości (która była niezwykle żywa), czuł z niewypowiedzianą pewnością, że jest tu jeszcze coś, co nie zostało wyjaśnione. To poczucie trzymało się go przez cały dzień i nie można go było całkowicie wytłumaczyć jego fantazjami o „krainie luster”. Z jakiegoś powodu nie dostrzegał samej historii, ale jakąś grę czy maskaradę. Jednakże ludzie nie dają się wieszać czy zabijać dla jakiejś szarady.

Gdy usiadł, rozmyślając, na stopniach przystani, uświadomił sobie, że w dół lśniącej rzeki cicho przesuwa się ciemna łódź, i poderwał się na nogi, czując taki napływ uczuć, że niemal zapłakał.

- Flambeau! - zawołał i ku jego sporemu zdumieniu raz za razem potrząsał obiema rękami przyjaciela, który wraz ze swoimi wędkami zszedł na brzeg. - Więc ty żyjesz?

- Żyjesz! - z wielkim zaskoczeniem powtórzył wędkarz. - Ale dlaczego miałbym nie żyć?

- Och, bo nie żyją prawie wszyscy inni - dosyć dziko odpowiedział jego towarzysz. - Saradine został zamordowany, Antonelli chce, żeby go powiesić, jego matka zemdłała, a ja choć raz nie wiem, czy żyję w tym świecie, czy w kolejnym. Ale, dzięki Bogu, ty jesteś w tym samym. - I ujął oszołomionego Flambeau za ramię.

Zawrócili od przystani i weszli pod okapy niskiego domu z bambusa. Zajrzeli przez jedno z okien, tak jak zrobili to tuż po przybyciu. Dostrzegli oświetlone lampami wnętrze obliczone na to, by przykuć ich wzrok. Gdy człowiek będący zgubą Saradine'a spadł na wyspę jak grom, stół w długiej jadalni zastawiony był do kolacji. A teraz kolacja trwała w najlepsze, z panią Anthony siedzącą nieco ponuro u stóp stołu, podczas gdy na jego szczycie zasiadał pan Paul, główny służący, jedząc i pijąc spokojnie. Jego błyszczące, niebieskie oczy dziwnie nie pasowały do twarzy, oblicze miał kamienne, ale w żadnym wypadku niepozbawione zadowolenia.

Z gestem wielkiego zniecierpliwienia Flambeau zastukał do okna, otworzył je i ze zgorzeniem wsunął głowę do jasno oświetlonego pokoju.

- Coś takiego - wykrzyknął. - Rozumiem, że możesz pan potrzebować się odświeżyć, ale naprawdę, żeby kraść posiłek pana, podczas gdy on sam leży zamordowany w ogrodzie...

- W tym długim i przyjemnym życiu ukradłem mnóstwo rzeczy - uprzejmie odparł ten dziwny, stary dżentelmen - ale ta kolacja jest jedną z nielicznych, których nie ukradłem. Tak się składa, że ta kolacja i ten dom oraz ogród są moją własnością.

Na twarzy Flambeau rozbłysła pewna myśl.

- Chcesz pan powiedzieć - zaczął - że testament księcia Saradine'a...

- Ja jestem księciem Saradinem - powiedział starzec, chrupiąc solonego migdała.

Ojciec Brown, który przypatrywał się ptakom, podskoczył, jakby go postrzelono, i wsunął w okno twarz bladą jak rzepa.

- Kim pan jest? - powtórzył ostrym głosem.

- Paul, księżę Saradine, do pańskich usług - odpowiedział grzecznie wiekowy mężczyzna, unosząc kieliszek sherry. - Żyję tu bardzo

spokojnie, jako że jestem raczej domatorem, a w imię skromności nazywany jestem panem Paulem, w odróżnieniu od mojego nieszczęsnego brata, pana Stephena. Jak słyszałem, zmarł niedawno - w ogrodzie. Oczywiście to nie moja wina, że wrogowie ścigali go aż tutaj. To kwestia pożalowania godnej nieregularności jego życia. Nie usiadł w miejscu.

Ponownie zamilkł i wpatrywał się w ścianę tuż nad pochyloną głową posępnej kobiety. Wyraźnie dostrzegli rodzinne podobieństwo, które męczyło ich w przypadku zamordowanego. Potem stare ramiona zaczęły się nieco trząść, jakby się krztusił, ale jego twarz pozostała niezmienną.

- Mój Boże! - zawołał po chwili Flambeau. - On się śmieje!

- Zabierajmy się stąd - powiedział ojciec Brown, który był dosyć blady. - Zabierajmy się z tego piekielnego domu. Wsiadajmy na naszą uczciwą łódkę.

Zanim odpłynęli z wysepki, nad brzegami i rzeką zapadła noc, a oni płynęli w dół strumienia w ciemnościach, ogrzewając się dwoma wielkimi cygarami, które żarzyły się jak szkarłatne latarnie na statku.

- Pewnie jesteś już w stanie odgadnąć całą historię? - powiedział ojciec Brown, wyjmując cygaro z ust. - W końcu jest dość prymitywna. Pewien człowiek miał dwóch wrogów. Był mądrym człowiekiem. I tak odkrył, że dwóch wrogów jest lepszych niż jeden.

- Nie nadażam - przyznał się Flambeau.

- Och, to doprawdy proste - podjął jego przyjaciel. - Proste, choć z całą pewnością nie niewinne. Obaj Saradine'owie byli szumowinami, ale książę, ten starszy, był szumowiną tego rodzaju, która pcha się na szczyt, a młodszy, kapitan, taką, która ląduje na dnie. Ten odrażający oficer z żebraka stał się szantażystą, a któregoś wstrętnego dnia zwrócił się przeciwko bratu, księciu. Ewidentnie chodziło o ciężkie przewinienie, jako że książę Paul Saradine był bezwzględny i w oczach społeczeństwa nie miał reputacji, którą mógłby utracić. Mówiąc prostymi słowami, była to gardłowa sprawa, a Stephen dosłownie trzymał nóż na gardle brata. W jakiś sposób doszedł prawdy o tym sycylijskim romansie i zdołał udowodnić, że Paul zamordował w górach starego Antonellego. Kapitan przez

dziesięć lat korzystał z pieniędzy za milczenie, aż nawet wspaniały majątek księcia zaczął wyglądać trochę marnie.

Jednakże książę Saradine dźwigał jeszcze inny ciężar, poza swoim pazernym bratem. Wiedział, że syn Antonellego, w chwili morderstwa zaledwie dziecko, został wychowany w surowej, sycylijskiej lojalności i żył tylko po to, by pomścić ojca, nie przy pomocy szubienicy (bo nie miał dowodów), ale starym narzędziem vendetty. Chłopak uczył się szermierki, aż doszedł do perfekcji, a gdy dorósł na tyle, by zrobić użytek ze swoich umiejętności, książę Saradine zaczął, zgodnie z tym, co mówiły gazety, podróżować. Prawda jest taka, że zaczął uciekać, aby ratować życie, przenosząc się z miejsca na miejsce jak ścigany przestępca, jednak szukał go tylko jeden bezlitosny człowiek. Tak wyglądała sytuacja księcia Paula, bez wątplenia nieciekawa. Im więcej pieniędzy tracił na unikanie Antonellego, tym mniej ich miał, żeby zapewnić sobie milczenie Stephena. Im więcej wydawał na uciszanie Stephena, tym mniejszą miał szansę, że wreszcie ucieknie Antonellemu. Wtedy właśnie objawił się jako wielki człowiek -geniusz pokroju Napoleona.

Zamiast opierać się obu wrogom, nagle poddał się im obu. Ugiął się jak japoński zapaśnik, a jego przeciwnicy upadli przed nim. Dał sobie spokój z jeżdżeniem po całym świecie i

przekazał swój adres młodemu Antonellemu. Potem wszystko oddał swojemu bratu. Posłał Stephenowi dosyć pieniędzy na fikuśne ubrania i wygodną podróż wraz z listem mówiącym mniej więcej: „To wszystko, co mi pozostało. Wydrenowałeś mnie do czysta. Wciąż mam mały dom w Norfolk, ze służbą i piwniczką, i jeśli chcesz ode mnie jeszcze więcej, musisz wziąć to. Jeśli chcesz, przyjeżdżaj i zabierz to sobie, a ja będę żył tu spokojnie jako twój przyjaciel, zarządca czy ktokolwiek”. Wiedział, że Sycyliczyk nigdy nie widział braci Saradine, może ewentualnie na jakichś obrazach. Wiedział, że są do siebie dosyć podobni, obaj z szarymi, hiszpańskimi bródkami. Zatem ogolił twarz i czekał. Pułapka zadziałała. Nieszczęsny kapitan w nowym ubraniu wkroczył do tego domu triumfalnie jak księżę i nadział się prosto na szpadę Sycyliczyka.

Był tylko jeden problem i wynikał z honoru ludzkiej natury. Złe duchy pokroju Saradine'a często popełniają błąd, nie spodziewając się ludzkich cnót. Przyjął za pewnik, że zemsta Włocha,

gdy nadejdzie, będzie mroczna, brutalna i bezimienna, jak czyn, który miała pomścić. Że ofiara zostanie zasztyletowana w nocy albo zastrzelona w lesie i że umrze bez słowa. To była zła chwila dla księcia Paula, gdy Antonelli zaproponował rycerski pojedynek ze wszystkimi jego możliwymi wytłumaczeniami. Właśnie wtedy zastałem go, jak z obłędem w oczach odpływał łódką. Uciekał tak jak stał, w otwartej łodzi, zanim Antonelli mógłby się zorientować, kim jest.

Jednakże, jakkolwiek wzburzony, nie był w beznadziejnej sytuacji. Znał tego awanturnika i znał tego fanatyka. Było wcale prawdopodobne, że Stephen, awanturnik, powściągnie język dla zwyczajnej, teatralnej przyjemności z odgrywania roli, ze swojej żądzy przejęcia nowej, przytulnej kwatery, ze względu na wiarę w szczęście drania i umiejętności w robieniu szpada. Pewne było, że Antonelli, fanatyk, powściągnie język i zostanie powieszony, nie zdradzając rodzinnych historii. Paul zatem kręcił się po rzece, czekając, aż pojedynek się zakończy. Następnie popłynął do miasteczka, sprowadził policję, ujrzał,

jak obaj pokonani wrogowie znikają na zawsze i z uśmiechem zasiadł do kolacji.

- Śmiejąc się, Boże dopomóż! - powiedział Flambeau z silnym wzdrygnięciem. - Chyba sam szatan podsuwa im takie pomysły.

- Ten pomysł podsunąłeś mu ty - odpowiedział ksiądz.

- Boże uchwaj! - wykrzyknął Flambeau. - Ja! Co masz na myśli?

Ksiądz wyciągnął z kieszeni bilet wizytowy i przytrzymał go w słabym blasku swojego cygara. Był napisany zielonym atramentem.

- Nie pamiętasz jego zaproszenia? - zapytał. - I tego komplementu odnośnie do twoich przestępczych wyczynów? „Ta pańska sztuczka, gdy jeden detektyw aresztował drugiego”? Po prostu powtórzył twoją sztuczkę. Mając wrogów po obu stronach, zszedł z drogi i pozwolił, żeby na siebie wpadli i się pozabijali.

Flambeau wyrwał księdzu wizytówkę księcia Saradine'a i wściekle podarł ją na małe kawałeczki.

-To koniec tej starej, pirackiej bandery - powiedział, rzucając strzępki na ciemne i znikające fale strumienia. - Ale boję się, że ryby się potniją.

Ostatni błysk białej kartki i zielonego atramentu zatonął i pociemniał. Niebo zmieniły blade i jasne kolory świtu, a księżyc ponad trawami zbladł. Dryfowali w milczeniu.

- Ojciec - nagle odezwał się Flambeau - myślisz, że to wszystko to był sen?

Ksiądz pokręcił głową, czy to w sprzeczności, czy wyrażając wątpliwości, ale zachował ciszę. Z ciemności dobiegła ich woń głógów i sadów, mówiąc, że zbudził się wiatr. W następnej chwili rozkołysał ich małą łódkę i nadał jej żagiel, i popchnął ich w dół rzeki, w stronę szczęśliwszych miejsc i domów nieszkodliwych ludzi.

TRZY NARZĘDZIA ŚMIERCI

Ze względu na powołanie i przekonania ojciec Brown lepiej niż większość z nas zdawał sobie sprawę, że po śmierci każdy człowiek jest pełen godności. Jednak nawet on poczuł nieprzyjemne ukłucie, gdy obudzono go o świcie wiadomością, że sir Aaron Armstrong został zamordowany. W tym sekretnym akcie przemocy było coś absurdalnego i niestosownego, zwłaszcza że chodziło o tak zabawną i popularną postać. Sir Aaron Armstrong był zabawny do granic komizmu, a z tego powodu tak popularny, że stał się niemal legendą. To było zupełnie tak, jakby usłyszeć, że cyrkowy klaun się powiesił, albo że Samuel Pickwick zmarł w więzieniu Hanwell. Bo chociaż sir Aaron był filantropem i z tego powodu miał do czynienia z ciemniejszą stroną naszego społeczeństwa, to dumny był, że radził z tym sobie w możliwie najbardziej pogodny sposób. Jego przemowy polityczne i społeczne były wodotryskami anegdot i głośnego śmiechu, cieszył się kwitnącym zdrowiem, etykę jego cechował wielki optymizm, a z problemem picia (jego ulubiony temat) poradził sobie z tą nieśmiertelną czy nawet męczącą wesołością, która tak często charakteryzuje szczęśliwych, całkowitych abstynentów.

Ustalona opowieść o jego nawróceniu była znana przy co bardziej purytańskich stołach, mówiono o tym, jak będąc zaledwie chłopcem, odszedł od szkockiej teologii do szkockiej whisky, i o tym, jak wyrósł z nich obu i stał się (jak to skromnie ujmował) tym, kim był. Jednakże jego wielka, biała broda, twarz cherubinka i błyszczące

okulary podczas niezliczonych kolacji i kongresów, na jakich się pojawiał, sprawiały, że z jakiegoś powodu trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek miał związek z czymś tak chorym,

jak nałogowe picie albo kalwinizm. Czuło się, że był on najradośniejszym z synów człowieczych.

Mieszkał na wiejskich przedmieściach Hampstead, w pięknym domu, wysokim, ale niezbyt rozległym, w nowoczesnym i zwyczajnym wieżowcu. Najwyższy z jego wąskich boków wznosił się ponad zielonym nasypem kolejowym i wstrząsany był przez przejeżdżające pociągi. Sir Aarona Armstronga, jak tłumaczył gromko, w ogóle to nie denerwowało. Ale jeżeli pociągi często wprawiały budynek we wstrząsy, tego ranka role się odwróciły i to budynek wprawił pociąg we wstrząs.

Machina zwolniła i zatrzymała się tuż za tym punktem, gdzie narożnik budowli wznosił się nad ostrym nachyleniem terenu. Zatrzymanie większości urządzeń mechanicznych musi być powolne, tym razem jednak żywy powód przestoju był bardzo pospieszny. Człowiek odziany od stóp do głów w czerń, nawet (jak zapamiętano) w kwestii tak okropnego szczegółu, jak czarne rękawiczki, pojawił się na szczycie ponad lokomotywą i pomachał czarnymi rękami jak jakiś złowieszczy wiatrak. To samo w sobie nie zatrzymałoby wlokącego się pociągu. Jednak człowiek ten wydał z siebie okrzyk, o którym mówiono później, że był w jakiś sposób głęboko nienaturalny i zaskakujący. Był to jeden z tych okrzyków, które są koszmarne charakterystyczne, nawet gdy nie słyszymy, co się krzyczy. W tym przypadku słowem tym było „Morderstwo!”.

Jednak maszynista przysięga, że zatrzymałby się tak samo, gdyby usłyszał tylko ten okropny i ostateczny ton, a nie samo słowo.

We wreszcie zatrzymanym pociągu powierzchowne spojrzenie znalazłoby wiele znamion tragedii. Mężczyzną w czerni na zielonym nasypie był służący sir Aarona Armstronga, Magnus. Baronet w swoim optymizmie często śmiał się z czarnych rękawiczek tego ponurego sługi, jednak w tej chwili nikomu nie było do śmiechu.

Gdy tylko jeden czy dwóch ciekawskich zeszło z torów i przepchnęło się przez okopcony żywopłot, ujrzeli leżące niemal u podnóża nasypu ciało starca w żółtej podomce z jaskrawą,

szkarłatną podszewką. Na nogach miał kawałek liny, poplątanej zapewne w wyniku

walki. Widać był smugę krwi, choć bardzo niewielką, ciało jednakże wygięte było bądź złamane w pozycji niemożliwej dla żywej istoty. Był to sir Aaron Armstrong. Po kolejnych kilku pełnych oszołomienia chwilach pojawił się duży mężczyzna o jasnej brodzie, którego paru pasażerów mogłoby pozdrowić. Był to sekretarz zmarłego, Patrick Royce, niegdyś dobrze znany w środowisku artystycznym, a nawet znany ze swoich dzieł sztuki. W sposób bardziej stonowany, ale tym bardziej przekonujący, przejawiał rozpacz podobną rozpaczy służącego. Do czasu gdy do ogrodu, potykając się i machając, weszła trzecia postać z tego domostwa, Alice Armstrong, córka zmarłego, maszynista zakończył postój. Odezwał się gwizdek, a pociąg, sapiąc, potoczył się, by wezwać pomoc na następnej stacji.

Zatem ojciec Brown został wezwany pospiesznie na prośbę Patricka Royce'a, wielkiego sekretarza, byłego artysty. Royce z urodzenia był Irlandczykiem i tego rodzaju powierzchownym katolikiem, który nie pamięta o swojej religii, póki nie znajdzie się w tragicznej sytuacji. Jednakże prośba Royce'a mogłaby zostać wyrażona znacznie później, gdyby jeden z policyjnych śledczych nie był przyjacielem i wielbicielem prywatnego detektywa Flambeau - a niemożliwym było przyjaźnić się z Flambeau i nie słyszeć niezliczonych opowieści o ojcu Brownie. Stąd, gdy młody śledczy (nazywał się Merton) prowadził małego księdza przez pola w stronę torów kolejowych, ich rozmowa była swobodniejsza, niż można by się spodziewać pomiędzy dwoma zupełnie obcymi ludźmi.

- Z tego, co widzę - szczerze powiedział pan Merton - w tym wszystkim kompletnie nie ma sensu. Magnus to poważny, stary dureń -o wiele za durny na zabójcę. Royce od lat jest najlepszym przyjacielem baroneta, a jego córka bez wątpienia go uwielbia. Poza tym to wszystko jest zupełnie absurdalne. Kto miałby zabijać takiego wesołego staruszka jak Armstrong? Kto miałby sobie brudzić ręce krwią tak powszechnie lubianego człowieka? To jakby zabić Świętego Mikołaja.

- Tak, to był radosny dom - zgodził się ojciec Brown. - Był radosny, póki on żył. Sądzi pan, że teraz, gdy zmarł, też będzie radosny?

Merton zdziwił się nieco i spojrzał z ożywieniem na swojego towarzysza.

- Teraz, gdy zmarł? - powtórzył.

- Tak - flegmatycznie ciągnął ksiądz. - Był radosny. Ale czy on przekazał tę swoją pogodę? Szczerze, czy oprócz niego w tym domu był ktoś radosny? Przez okienko w umyśle Mertona wpadło dziwne światło zaskoczenia, które pojawia się w chwili, gdy po raz pierwszy dostrzegamy rzeczy, o których już nam wiadomo. Często bywał u Armstrongów w związku z drobnymi policyjnymi sprawami filantropa, a teraz, gdy zaczął się nad tym zastanawiać, dotarło do niego, że ten dom sam w sobie był przygnębiający. Pokoje były bardzo wysokie i bardzo zimne, ozdoby marne i tandetne, pełne przeciągów korytarze oświetlone lampami elektrycznymi, które dawały światło bardziej sine od księżycowego. A chociaż rumiana twarz i srebrna broda staruszka w każdym pokoju czy przejściu świeciła jak palenisko, to nie zostawało za nią żadne ciepło. Bez wątplenia widomy dyskomfort tego miejsca po części związany był z wielką żywotnością i żywiołowością właściciela - nie potrzebował grzejników ani lamp, jak by powiedział, bo nosił ciepło w sobie. Gdy Merton jednak przypomniał sobie innych domowników, musiał przyznać, że również byli jak cienie swojego pana. Ten posępny służący w okropnych, czarnych rękawiczkach był niemal jak koszmar senny. Royce, sekretarz, był silnym, postawnym mężczyzną ubierającym się w tweedy, z krótką brodą - broda słomkowego koloru przyprószona była jednak wyraźnie szarością, jak tweedy, a szerokie czoło poznaczone przedwczesnymi zmarszczkami. Także odznaczał się dobroduszną naturą, ale była to jakaś taka smutna dobroduszość, niemal jakby była wynikiem złamanego serca - roztaczał wokół siebie atmosferę życiowej porażki. Co do córki Armstronga, to było niemal niewiarygodne, że to było jego dziecko, tak była blada i

delikatnej budowy. Odznaczała się wdziękiem, ale figura jej była jak drżąca osika. Merton zastanawiał się czasami, czy nauczyła się bać huk przejeżdżających pociągów.

- Widzi pan - powiedział ojciec Brown, mrugając skromnie - nie jestem przekonany, czy wesołość Armstronga w istocie dawała taką radość innym ludziom. Mówi pan, że nikt nie zabiłby tak szczęśliwego staruszka, ale ja nie jestem pewien.

Ne nos inducas in tentationem⁹ Gdybym kiedykolwiek kogoś zamordował - dodał z prostotą - podejrzewam, że byłby to jakiś optymista.

- Dlaczego? - ze zdumieniem wykrzyknął Merton. - Uważa pan, że ludzie nie lubią wesołości?

- Ludzie lubią częsty śmiech - odpowiedział ojciec Brown - ale nie wydaje mi się, żeby lubili ciągły uśmiech. Radość bez humoru to coś bardzo męczącego.

Przez jakiś czas szli w milczeniu wzdłuż owiewanego wiatrem trawiastego nasypu kolejowego, a gdy weszli w wydłużony cień wysokiego domu Armstronga, ojciec Brown odezwał się zniechęcony, jak człowiek, który raczej odsuwa kłopotliwą myśl, niż podchodzi do niej poważnie.

- Oczywiście picie samo w sobie nie jest ani dobre, ani złe. Ale czasem nachodzi mnie natrętna myśl, że ludzie pokroju Armstronga potrzebują od czasu do czasu szklaneczki wina, żeby posmutnieć.

Oficjalny zwierzchnik Mertona, szpakowaty i kompetentny detektyw o nazwisku Glider, stał na zielonym nasypie, czekając na koronera, rozmawiając z Patrickiem Royce'em, którego rozłożyste ramiona i szpeciniasta broda i włosy wyraźnie nad nim górowały. Było to tym bardziej zauważalne, że Royce chodził zawsze jakby pochylony w gotowości, a swoje urzędnicze i domowe obowiązki wydawał się wykonywać w ciężkim i pokornym stylu, jak wół ciągnący wóz.

Na widok księdza uniósł głowę z niezwykłą przyjemnością i odszedł z nim na kilka kroków. Tymczasem Merton zwrócił się do starszego detektywa z widomym szacunkiem, niepozabawionym jednakże pewnej chłopięcej niecierpliwości.

- Cóż, panie Glider, ustalił pan coś więcej w tej tajemniczej sprawie?

- Nie ma tu żadnej tajemnicy - odparł Glider, spoglądając sennie na gawrony.

- Dla mnie jednak jest - z uśmiechem powiedział Merton. - Mój chłopcze, to zupełnie proste - zauważył starszy śledczy, strosząc szarą, hiszpańską bródkę. - Trzy minuty po tym, jak poszedł pan po tego księdza pana Royce'a, wszystko się wyjaśniło. Zna pan tego bladego służącego w czarnych rękawiczkach, który zatrzymał pociąg?

- Wszędzie bym go poznał. Z jakiegoś powodu przyprawiał mnie o dreszcze.

-Cóż - mruknął Glider - gdy pociąg znowu ruszył, on także zniknął. To znamie zimnego przestępcy, nie sądzi pan, uciec tym samym pociągiem, który pojechał wezwać policję?

- Wydaje się pan być pewien - zauważył młodzieniec - że on naprawdę zabił swojego pana.

- Tak, mój synu. Jestem tego pewien - sucho odpowiedział Glider. -Ze względu na taki drobiazg, że zniknął wraz z dwudziestoma tysiącami funtów, które znajdowały się w biurku jego pana. Nie, jedyną rzeczą, która może okazać się trudna, to ustalenie, w jaki sposób go zabił. Czaszka wygląda na rozbitą jakimś wielkim narzędziem, ale niczego takiego tu nie widać, a mordercy trudno by było zabrać je ze sobą, chyba że broń jest za mała, żeby ją ktoś zauważył.

- A może broń jest za duża, żeby ją ktoś zauważył - z dziwnym chichotem odezwał się ksiądz.

Glider obejrzał się, słysząc tę wariacką uwagę, i dość sztywno zapytał, co też Brown ma na myśli.

- To głupi sposób ujęcia tej myśli, wiem - przepraszająco powiedział ojciec Brown. - Brzmi jak jakaś bajka. Ale nieszczęsny Armstrong został zabity wielką, zieloną pałką, za dużą, żeby ją dostrzec, a którą nazywamy ziemią. Został powalony o ten zielony nasyp, na którym stoimy.

- Co ma ojciec na myśli? - szybko zapytał detektyw.

Ojciec Brown zwrócił swoją okrągłą jak księżyc w pełni twarz na wąską fasadę domu i beznadziejnie popatrzył w górę.

Podążając za jego wzrokiem, ujrzeni, że na samym szczycie górnego piętra budynku widać stojące otworem okno na strychu.

- Nie rozumiecie - wyjaśnił, pokazując nieco niezdarnie, jak dziecko - że ktoś go stamtąd wypchnął?

Glider, marszcząc brwi, uważnie przyjrzał się oknu.

- Cóż, to z pewnością możliwe - powiedział. - Ale nie rozumiem, dlaczego jest pan tego taki pewien.

Brown szeroko otworzył swoje szare oczy.

- Cóż - powiedział - wokół nogi tego denata jest oplątany kawałek liny. Nie widzi pan w rogu okna drugiego kawałka?

Na tej wysokości lina wyglądała jak włos, ale bystry śledczy był zadowolony.

- Ma pan rację, sir - powiedział do ojca Browna. - Z pewnością punkt dla pana.

Niemal zaraz potem z za zakrętu po ich lewej stronie wyłonił się pociąg specjalny z jednym wagonem. Gdy się zatrzymał, wysypała się z niego kolejna grupa policjantów, pośród których widać było zawstydzonego Magnusa, zbiegłego służącego.

- Na Jowisza! Złapali go - wykrzyknął Glider i z nową energią ruszył naprzód. - Macie pieniądze? - zawołał do pierwszego policjanta.

Mężczyzna spojrzał na niego z dość dziwną miną.

- Nie - odparł. - Przynajmniej nie tutaj.

- Przepraszam, gdzie jest inspektor? - spytał człowiek zwany Magnusem.

Gdy się odezwał, wszyscy zrozumieli natychmiast, w jaki sposób ten głos mógł zatrzymać pociąg. Był tępowo wyglądającym człowiekiem z przylizanymi, czarnymi włosami, twarzą pozbawioną kolorów i słabą sugestią wschodniego pochodzenia w kącikach oczu i ust. W istocie jego krew i nazwisko pozostawały wątpliwe odkąd sir Aaron „uratował” go od kelnerowania w londyńskiej restauracji i (jak powiadali niektórzy) od bardziej haniebnych rzeczy. Głos jednak miał tak żywy, jak twarz martwą. Czy to przez staranność posługiwania się obcym językiem, czy przez poszanowanie swojego pana

(który był cokolwiek przygłuchy), głos Magnusa był wyjątkowo dźwięczny i przenikliwy, a cała grupa niemal podskoczyła, gdy się odezwał.

- Zawsze wiedziałem, że do tego dojdzie - powiedział z bezczelną bezradnością. - Mój biedny, stary pan śmiał się ze mnie, że noszę czerń, ale ja zawsze mu mówiłem, że powinienem być przygotowany na jego pogrzeb.

I zrobił szybki ruch dłońmi odzianymi w ciemne rękawiczki.

- Sierżancie - powiedział inspektor Glider, z oburzeniem patrząc na czarne ręce - proszę założyć temu człowiekowi kajdanki. Wygląda na niebezpiecznego.

- Cóż, sir - odparł sierżant, wciąż z tym dziwnym spojrzeniem - Nie wiem, czy możemy.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - spytał ostro detektyw. - Przecież go aresztowaliście?

Usta skrzywiły się z lekką pogardą, a gwizd zbliżającego się pociągu wydawał się dziwnie parodiować tę kpinę.

- Aresztowaliśmy go - grobowo wyjaśnił sierżant - w chwili, gdy wychodził z posterunku policji w Highgate, gdzie zdeponował wszystkie pieniądze swojego pana pod opieką inspektora Robinsona.

Glider z głębokim zdumieniem spojrzał na służącego.

- Na litość boską, dlaczego pan to zrobił? - spytał Magnusa.

- Oczywiście, żeby zabezpieczyć je przed przestępcą - uprzejmie odparł mężczyzna.

- Z pewnością - powiedział Glider - pieniądze sir Aarona można by bezpiecznie zostawić z jego rodziną.

Koniec jego wypowiedzi zginął w ryku pociągu zbliżającego się z turkotem i postukiwaniem, jednak pomimo piekielnego hałasu, który regularnie zalewał ten nieszczęsny dom, słyszeli odpowiedź Magnusa wygłoszoną głosem jak dzwon:

- Nie mam powodu, by pokładać ufność w rodzinie sir Aarona.

Wszyscy nieruchomi mężczyźni mieli dziwne odczucie, jakby pojawił się ktoś nowy. Merton prawie nie był zaskoczony, gdy podniósł wzrok i ponad ramieniem ojca Browna ujrzał bladą twarzyczkę córki Armstronga. Nadal była młoda i piękna w

srebrzystym stylu, ale jej włosy miały tak przykurzony i pozbawiony wyrazu odcień brązu, że w pewnym oświetleniu wydawały się zupełnie szare.

- Proszę uważać, co pan wygaduje - szorstko powiedział Royce. -Przestraszy pan pannę Armstrong.

- Mam taką nadzieję - czystym głosem odparł służący.

Gdy kobieta się skrzywiła, a wszyscy pozostali zaczęli się zastanawiać, mówił dalej:

- Poniekąd przywykłem do rozdygotania panny Armstrong. Oglądałem to przez całe lata. Niektórzy powiadali, że trzęsa się z zimna, inni, że ze strachu, ale ja wiem, że trzęsa się z nienawiści i obłąkanego gniewu - diabłów, które dziś rano miały swoje święto. Gdyby nie ja, to wraz ze swoim kochankiem i wszystkimi pieniędzmi byłaby już daleko. Odkąd mój biedny pan zapobiegł jej małżeństwu z tym zapijaczonym łajdakiem...

- Stop - ostro odezwał się Glider. - Nie mamy nic wspólnego z pańskimi żalami i podejrzeniami co do tej rodziny. Jeżeli nie może pan przedstawić konkretnych dowodów, pańskie opinie...

-Och! Przedstawię konkretny dowód - ze swoim suchym akcentem wciął się Magnus. - Panie inspektorze, będzie pan musiał

wezwać mnie do sądu jako świadka, a wówczas powiem prawdę. A prawda jest następująca: chwilę po tym, jak stary pan, krwawiąc, został wypchnięty przez okno, pobiegłem na strych i zastałem jego córkę, omdlałą na podłodze, wciąż z czerwonym sztyletem w dłoni. Pozwolę sobie przekazać go stosownym władzom. - Z kieszeni u pasa wyjął długi, oprawiony w róg nóż z czerwonymi śladami na ostrzu i uprzejmie podał go sierżantowi. Potem znowu się wyprostował, a szparki jego oczu niemal zniknęły mu z twarzy, gdy uśmiechnął się szerokim, chińskim uśmiechem.

Merton na ten widok poczuł wyraźne mdłości.

- Chyba uzna pan słowo panny Armstrong przeciwko temu? - wymamrotał do Glidera.

Ojciec Brown nagle uniósł twarz tak absurdalnie świeżą, że wyglądała, jakby właśnie ją umył.

- Tak - powiedział, promieniując niewinnością - ale czy panna Armstrong zaprotestuje?

Dziewczyna wydała z siebie przestraszony, osobliwy okrzyk. Wszyscy na nią spojrzeli. Sylwetkę miała sztywną, jakby doznała paraliżu. Tylko jej twarz, obramowana jasnobrązowymi włosami, była ożywiona przerażonym zaskoczeniem. Stała, jakby ktoś nagle złapał ją na łąso i ścisnął gardło.

- Ten człowiek - posępnie powiedział pan Glider - powiada, że po morderstwie zastał panią nieprzytomną, ściskającą nóż.

- Mówi prawdę - odparła Alice.

Następnym, co ujrzeli, był Patrick Royce, który z pochyloną głową wkroczył do ich kręgu.

- Cóż - powiedział - skoro już trzeba, to niech mam z tego trochę przyjemności.

Uniósł wielkie ramię i posłał potężną pięść w nijaką, mongolską twarz Magnusa, powalając go, płaskiego jak ryba, na trawnik. Dwóch czy trzech policjantów natychmiast położyło na Royce'a ręce, jednak reszta miała wrażenie, jakby wszelka logika zniknęła, a wszechświat pograżył się w bezmyślnej błazenadzie.

- Nic z tego, panie Royce! - władczo krzyknął Glider. - Aresztuję pana za napaść.

- Nic podobnego - głosem jak żelazny gong odpowiedział sekretarz. - Aresztuje mnie pan za morderstwo.

Glider spojrział z zaniepokojeniem na powalonego mężczyznę, ale skoro ten już siedział i ocierał zasadniczo nienaruszoną twarz ze znikomej ilości krwi, powiedział tylko krótko:

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- To w zasadzie prawda, co powiedział ten człowiek - wyjaśnił Royce - że panna Armstrong zemdląła z nożem w dłoni. Ale nie złapała tego noża po to, by zaatakować swego ojca, ale po to, by go bronić.

- Bronić go - grobowym tonem powtórzył Glider. - Przed kim?

- Przede mną - odpowiedział sekretarz.

Alice spojrzała na niego ze ściągniętą i zakłopotaną twarzą.

- Po tym wszystkim wciąż się cieszę, że jesteś odważny - powiedziała cichym głosem.

- Chodźmy na górę - ciężko zaproponował Patrick Royce - to pokażę wam całą tę przeklętą rzecz.

Na strychu, na którym mieścił się prywatny pokój sekretarza (a była to cela raczej mała dla tak wielkiego pustelnika), w istocie znać było ślady przemocy. Mniej więcej na środku podłogi leżał duży rewolwer, jakby odrzucony. Bliżej lewej turlała się butelka whisky, otwarta, ale nie do końca opróżniona. Obrus z małego stołu był ściągnięty i pognieciony, a kawałek sznura, takiego jaki znaleziono na zwłokach, zwisał z okiennego parapetu. Na gzymsie nad kominkiem były dwa potłuczone wazoniki, a jeden na dywanie.

- Byłem pijany - powiedział Royce, a ta prostota w przedwcześnie postarzałym człowieku miała patos pierwszego grzechu dziecka. -Wszyscy o mnie wiecie - ciągnął chrapliwie. - Wszyscy wiedzą, jaki jest początek mojej historii i że pewnie skończy się tak samo. Niegdyś nazywano mnie inteligentnym człowiekiem i mogłem być szczęśliwy. Armstrong uratował z tawern resztki mózgu i ciała, i zawsze był dla mnie dobry na swój sposób, biedak! Tyle tylko, że nie pozwoliby mi poślubić tej tutaj Alice, i zawsze będzie się mówić, że miał rację. Cóż, możecie wysnuć własne wnioski i nie będziecie chcieli, abym zagłębiał się w szczegóły. Ta na wpół opróżniona butelka whisky w kącie jest moja, rewolwer na dywanie też jest mój. To sznur z mojej skrzyni został znaleziony przy zwłokach i to z mojego okna te zwłoki zostały wypchnięte. Nie trzeba detektywów, by poznać moją tragedię - to rzecz bardzo powszechna na tym świecie. Pójdę na szubienicę i, na Boga, wystarczy tego!

Na dyskretny sygnał policjanci otoczyli wielkiego mężczyznę, żeby go zabrać, jednakże ich niedelikatność była w jakiś sposób złagodzona znaczącą obecnością ojca Browna, który na czworakach stał na dywanie pod drzwiami, jakby pogrążony w jakiejś dziwacznej modlitwie. Będąc całkowicie niepamięnym tego, w czym przeszkadzał, pozostał w tej pozycji,

ale rozjaśnioną, okrągłą twarz uniósł ku zgromadzonym, wyglądając jak czworonóg z bardzo komiczną ludzką głową.

- Powiadam wam - oświadczył dobrodusznie - że to wszystko zupełnie do siebie nie pasuje. Na początku mówiliście, że nie znaleźliście żadnej broni. Teraz jednak widzimy jej aż za dużo: mamy tu nóż, żeby dźgnąć, linę do duszenia i pistolet do strzelania, a mimo wszystko on złamał sobie kark, wypadając z okna! To nie pasuje. To nie jest ekonomiczne. - I potrząsnął głową jak koń, którego ugryzła mucha.

Inspektor Glider otworzył usta, ale zanim zdążył coś powiedzieć, groteskowa postać na podłodze znowu odezwała się potoczyście:

- A teraz trzy niemożliwe rzeczy. Po pierwsze, te dziury w dywanie, w który wbiło się sześć kul. Po co ktoś miałby strzelać do dywanu? Pijany człowiek strzela do głowy swojego wroga, tej rzeczy, która się z niego naśmiewała. Płaczą mu się nogi albo leży na dywanie. I ta lina... - Kończąc z dywanem, ojciec Brown uniósł ręce i wsadził je do kieszeni, choć wciąż został na klęczkach. - Jak trzeba być pijanym, żeby próbować owinać liną szyję człowieka, a ostatecznie owinać ją wokół nogi? Royce w każdym razie aż tak pijany nie był, bo do tej chwili spałby już jak kłoda. I jeszcze najprostsza rzecz, ta butelka whisky. Pan sugeruje jakąś pijacką walkę o flaszkę, przy czym człowiek, który ją wygrał, odrzuca ją w kąt, połowę wylewa, a połowę zostawia. To ostatnia rzecz, jaką zrobiłby pijak.

Podniósł się chwiejnie do pozycji stojącej. - Mój drogi panie, bardzo mi przykro, ale pańska opowieść to kompletne bzdury - powiedział z żalem do domniemanego mordercy.

- Sir - cichym głosem zwróciła się do księdza Alice Armstrong. - Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać na osobności?

Prośba ta skłoniła rozmownego księdza do wyjścia na klatkę schodową, a zanim przeszli do drugiego pomieszczenia, dziewczyna zaczęła mówić z dziwną ostrością:

- Jest pan mądrym człowiekiem - powiedziała - i próbuje pan uratować Patricka, wiem. Ale to na nic. Jądro tego

wszystkiego jest czarne, a im więcej rzeczy się pan dowie, tym bardziej będzie przeciwko temu żalosnemu człowiekowi, którego kocham.

- Jak to? - spytał Brown, patrząc na nią spokojnie.

- Ponieważ - odparła równie spokojnie - sama widziałam, jak popełnia tę zbrodnię.

- Ach! - westchnął nieporuszony Brown. - I co takiego zrobił?

- Byłam w tym pokoju, przylegającym do jego - wyjaśniła. - Jedne i drugie drzwi były zamknięte, ale nagle usłyszałam głos, jakiego nigdy w życiu nie słyszałam, ryczący: „Diabli, diabli, diabli”, raz za razem, a potem drzwi zatrzęsły się po pierwszym wystrzale z rewolweru. Były jeszcze trzy wystrzały, zanim otworzyłam oboje drzwi i zobaczyłam, że tamten pokój jest pełen dymu, ale pistolet dymił w dłoni mojego biednego, szalonego Patricka, i na własne oczy widziałam, jak strzela po raz ostatni. Potem pochylił się nad moim ojcem, który w przerażeniu kurczowo trzymał się parapetu, i próbował udusić go sznurem, który przerzucił mu przez głowę, ale który po ramionach zsunął się na nogi. Potem zacisnął się na jednej nodze, a Patrick szarpał nim jak wariat. Z serwety złapałam nóż, wepchnęłam się pomiędzy nich i próbowałam przeciąć sznur, zanim zemdlałam.

- Rozumiem - z tą samą drewnianą uprzejmością powiedział ojciec Brown. - Dziękuję pani.

Gdy dziewczyna pogrążyła się we wspomnieniach, ksiądz przeszedł sztywno do pokoju obok, gdzie zastał Glidera i Mertona samych z Patrickiem Royce'em, który z rękami w kajdankach siedział na krześle.

- Czy mógłbym zamienić słowo z więźniem w pańskiej obecności? - zapytał pokornie. - I czy można by mu na chwilę zdjąć te śmieszne kajdanki?

- To bardzo silny człowiek - półgłosem powiedział Merton. - Dlaczego chce ojciec, żeby je zdjąć?

- Otóż dlatego - skromnie odpowiedział ksiądz - że być może będę miał wielki honor uścisnąć jego dłoń.

Obaj detektywi gapili się na niego.

- Nie powiedział im pan, sir? - dodał ojciec Brown.

Człowiek na krześle pokręcił rozczochraną głową, a ksiądz odwrócił się zniecierpliwiony.

- Wobec tego ja to zrobię - oświadczył. - Życie prywatne ma większe znaczenie od publicznej reputacji. Zamierzam ocalić żywych i pozwolić, by pogrzebali swoich zmarłych.

Podszedł do fatalnego okna i mówiąc, wyglądał przez nie.

- Powiedziałem wam, że w tym przypadku było za dużo rodzajów broni, a tylko jedna śmierć. Teraz mówię, że to nie była broń i nie została użyta do spowodowania zgonu. Wszystkie te makabryczne narzędzia, lina, zakrwawiony nóż, strzelający pistolet, były narzędziami osobliwej litości. Nie zostały użyte, aby zabić sir Aarona, ale by go uratować.

- Uratować! - powtórzył Glider. - A przed czym?

- Przed nim samym - odparł ojciec Brown. - Był opętany obsesją samobójstwa.

- Co takiego? - z niedowierzaniem wykrzyknął Merton. - A ta Religia Radości...

- To okrutna religia - przerwał mu ksiądz, patrząc przez okno. - Dlaczego nie pozwolić sobie na odrobinę płaczu, jak płakali jego ojcowie? Jego plany traciły elastyczność, poglądy kostniały. Za tą radosną maską znajdował się pusty umysł ateisty. I wreszcie, aby utrzymać swój publiczny poziom wesołości, wrócił do ostrego picia, które porzucił wiele lat temu. Jednak w prawdziwym abstynencie alkoholizm budzi przerażenie: wyobraża sobie i oczekuje psychicznego piekła, przed którym ostrzegał innych. Nieszczęsnego Armstronga dosięgło ono przedwcześnie, a do tego poranka był w takim stanie, że siedział tutaj i płakał, że jest w piekle, głosem tak oszalałym, że nie rozpoznała go własna córka. Był oszalały na myśl o śmierci i ze sprytem szaleńca rozrzucił wokół siebie śmierć w wielu odmianach - dyndający strybek, rewolwer przyjaciela i nóż. Royce wszedł przez przypadek i zadziałał w mgnieniu oka. Nóż rzucił na stolik za sobą, złapał rewolwer i nie mając czasu, by go rozładować, raz za razem strzelał w podłogę. Samobójca dostrzegł czwarty kształt śmierci i rzucił się do okna. Ratownik zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić - pobiegł za nim z liną i próbował go

związać. Wówczas wbiegła tu ta pechowa dziewczyna i, źle zrozumiawszy te zmagania, próbowała odciąć ojca. Najpierw jedynie zraniła dłoń nieszczęsnego Royce'a i stąd ta mizer-

na ilość krwi w całej tej sprawie. Ale oczywiście zauważyliście, że na twarzy tego służącego zostawił krew, ale nie ranę? Tuż przed tym, jak ta biedna kobieta zaśląbla, udało jej się odciąć ojca i tak z hukiem przeniósł się przez to okno do wieczności.

Zapadła długa cisza, przerwana wreszcie metalicznym szczęknięciem kajdanek, które z nadgarstków Patricka Royce'a zdjął Glider.

- Myślę sir, że powinien pan być powiedzieć prawdę - zwrócił się do niego. - Pan i ta młoda dama jesteście warci więcej niż wzmianki w nekrologu Armstronga.

-Do diabła z nekrologiem Armstronga - gwałtownie krzyknął Royce. - Czy wy nie rozumiecie, że to dlatego, że ona nie może się dowiedzieć?

- Czego nie może się dowiedzieć? - zapytał Merton.

-Tego, że zabiła własnego ojca, ty głupcze! - ryknął tamten. - Gdyby nie ona, nadal by żył. To ją może doprowadzić do szaleństwa.

- Nie, nie wydaje mi się - stwierdził ojciec Brown, podnosząc kapelusz. - Raczej sam jej powiem. Nawet najbardziej mordercze pomyłki nie zatruwają życia tak, jak grzechy. Tak czy inaczej uważam, że oboje możecie być teraz szczęśliwsi. Muszę wracać do szkoły dla głuchoniemych.

Gdy wyszedł na smaganą wiatrem trawę, zatrzymał go znajomy z Highgate.

- Przyjechał koroner - powiedział. - Zaczyna badanie. -Muszę wracać do szkoły dla głuchoniemych - odparł ojciec

Brown. - Przykro mi, że nie mogę zostać.

MĄDROŚĆ OJCA BROWNA

BÓG GONGÓW

Było to jedno z tych mroźnych i pustych popołudni wczesną zimną, gdy światło dzienne jest raczej srebrne niż złote i raczej cynowe niż srebrne. W setkach ponurych biur i rozziwanych salonach panowała posępna atmosfera, jeszcze bardziej posępnie było wzdłuż wybrzeża Essex, gdzie monotonia była tym bardziej niehumanitarna przez to, że w bardzo dużych odległościach stały latarnie, które wyglądały mniej cywilizowanie od drzew, albo drzewa, które wizualnie były paskudniejsze od latarni. Lekki opad śniegu stopniał do kilku pasemek, które również wyglądały bardziej jak ołowiane niż srebrne, gdy znowu utwardził je mróz. Nie spadł żaden świeży śnieg, ale wstążka starego ciągnęła się wzdłuż samego skraju wybrzeża, równoległe do bladej wstęgi piany.

Brzeg morza wydawał się zamrożony w bardzo jaskrawym odcieniu fioletowego błękitu, jak żyła na zamrożonym palcu. Całymi milami, w jedną i w drugą stronę, nie było żywego ducha oprócz dwóch pieszych maszerujących w szybkim tempie, chociaż jeden miał znacznie dłuższe nogi i robił znacznie dłuższe kroki.

To nie wydawało się być szczególnie zachęcające miejsce ani czas na wakacje, ale ojciec Brown rzadko miewał urlop i musiał go sobie robić, kiedy to było możliwe, i starał się zawsze w miarę możliwości spędzać go w towarzystwie swego starego przyjaciela Flambeau, byłego przestępcy i byłego detektywa. Ksiądz miał ochotę odwiedzić swoją starą parafię w Cobhole i zmierzał na północny wschód wzdłuż wybrzeża.

Po przejściu kolejnej mili czy dwóch stwierdzili, że brzeg zaczyna wyglądać bardziej cywilizowanie, jakby na promenadzie. Paskudne latarnie ustąpiły gęściej postawionym, bardziej ozdobnym, ale równie brzydkim lampom. Pół mili dalej ojciec Brown zdziwił się po raz pierwszy

na widok małych labiryntów z pozbawionych kwiatów donic, porośniętych niskimi, płaskimi, nijakimi w kolorach roślinami, które bardziej niż ogród przypominały mozaikę chodnikową pomiędzy wąskimi, krętymi ścieżynkami obstawionymi ławkami o wygiętych oparciach. Odetchnął lekko atmosferą swego rodzaju nadmorskiego miasteczka, o które nie troszczył się specjalnie, a patrząc wzdłuż nadbrzeżnego deptaku ujrzał coś, co przegoniło wątpliwości. W szarej oddali wielki pomost kąpieliska wznosił się jak wielki grzyb na sześciu nóżkach.

- Przypuszczam - powiedział ojciec Brown, stawiając kołnierz płaszcza i ciasniej owijając szyję wełnianym szalikiem - że zbliżamy się do ośrodka wypoczynkowego.

- Obawiam się - odparł Flambeau - że jest to ośrodek wypoczynkowy, w którym niewiele osób obecnie wypoczywa. Próbują ożywić to miejsce zimą, ale to się nigdy nie udaje poza Brighton i innymi starymi miastami. To musi być Seawood, eksperyment lorda Pooleya. Na Boże Narodzenie sprowadzał sycylijskich pieśniarzy i mówiło się o rozgrywaniu tutaj wielkich walk bokserskich. Ale będą musieli zepchnąć to przegniłe ustrojstwo do morza - jest równie przygnębiające co porzucony wagon kolejowy.

Dotarli pod wielki podest, a ksiądz popatrzył w górę z ciekawością, która miała w sobie coś dziwnego, głowę pochylił lekko na bok, jak ptak. Jak na swoje przeznaczenie była to zwyczajna, dość pretensjonalna budowla: spłaszczona kopuła czy daszek, tu i ówdzie połączana i podparta sześcioma smukłymi słupami z pomalowanego drewna. Całość wznosiła się na drewnianej, okrągłej jak bęben platformie, jakieś pięć stóp ponad promenadą. Jednak w śniegu połączonym ze sztucznym złotem było coś fantastycznego, co męczyło Flambeau tak samo jak jego przyjaciela, przypominając mu coś, czego nie mógł uchwycić, ale co rozpoznawał od razu jako artystyczne i obce.

- Już wiem - powiedział wreszcie. - To japońskie. Jak te fikuśne japońskie sztychy, gdzie śnieg na szczycie góry wygląda jak cukier,

a pozłota na pagodach jak lukier na pierniczkach. To wygląda zupełnie jak jakaś mała, pogańska świątynia.

- Tak - zgodził się ojciec Brown. - Chodźmy zerknąć na boga.

I ze zrećznością, o którą trudno by było go podejrzewać, wskoczył na wysoką platformę.

- Och, niech będzie - ze śmiechem zgodził się Flambeau i w następnej chwili jego własna wysoka postać znalazła się na tym osobliwym wzniesieniu.

Pomimo że różnica wysokości była nieznaczna, w takiej pustce dawała poczucie, że sięga się wzrokiem ponad lądem i morzem. W głębi lądu małe, zimowe ogrody wyblakły do niewyraźnych, szarych zagajników, a dalej widać było bardzo długie, niskie zabudowania samotnej farmy, a jeszcze dalej nic poza rozległymi równinami wschodniej Anglii. Na morzu nie było widać żadnych żagli ani śladu życia poza kilkoma mewami - a nawet one wyglądały jak ostatnie płatki śniegu i sprawiały wrażenie, jakby bardziej dryfowały niż latały.

Flambeau, słysząc za sobą jakiś okrzyk, odwrócił się gwałtownie. Dźwięk wydawał się dochodzić ze zbyt niskiej wysokości, niż można było się spodziewać, i kierować raczej do jego stóp niż głowy. Natychmiast wyciągnął rękę, ale ledwie był w stanie powstrzymać się od śmiechu przez to, co zobaczył. Z jakiegoś powodu platforma załamała się pod ojcem Brownem, a pechowy, mały człowiek zapadł się na poziom chodnika. Był dość wysoki - albo dość niski - żeby przez dziurę w drewnianej podłodze wystawała tylko jego głowa, która wyglądała jak głowa Jana Chrzciciela na tacy. Głowa miała zakłopotany wyraz, jak być może głowa Jana Chrzciciela.

Po chwili zaczął się cicho śmiać.

- Drewno musiało być spróchniałe - powiedział Flambeau. - Chociaż dziwne, że mnie utrzymało, a ty przeleciałeś przez to słabe miejsce. Pomogę ci się wydostać.

Ale mały ksiądz rozglądał się z niejakim zaciekawieniem po kątach i brzegach rzekomo spróchniałego drewna, a na twarzy miał swego rodzaju zadumę.

- Dalej - z niecierpliwością zawołał Flambeau, wciąż trzymając wyciągniętą dużą, brązową dłoń. - Nie chcesz

stamtąd wyjść?

Ksiądz ujął między dwa palce odłamek pękniętego drewna i nie odpowiedział natychmiast.

- Czy nie chcę wyjść? - powiedział wreszcie z zadumą. - Nie, chyba nie. Raczej chciałbym dostać się głębiej.

I zanurkował w ciemność pod drewnianą podłogą tak nagle, aż spadł mu duży, kapłański kapelusz, który został na deskach, pozbawiony wypełniającej go głowy.

Flambeau raz jeszcze popatrzył na ląd i na wodę, i raz jeszcze nie zauważył niczego poza morzem, równie zimowym jak śnieg, i śniegiem na poziomie morza.

Za sobą usłyszał chrobot i mały ksiądz wygrzebał się z dziury szybciej, niż w nią wpadł. Na twarzy nie miał już zdziwienia, ale zdecydowanie i, być może ze względu na światło odbijające się od śniegu, był bledszy niż zazwyczaj.

- No? - spytał jego wysoki przyjaciel. - Znalazłeś boga tej świątyni?

- Nie - odparł ojciec Brown. - Znalazłem coś ważniejszego. Ofiarę.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - wykrzyknął Flambeau, cokolwiek zaalarmowany.

Ojciec Brown nie odpowiedział. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w krajobraz. Nagle wskazał na coś palcem.

- Co to za dom? - zapytał.

Flambeau, podążając za jego spojrzeniem, po raz pierwszy zobaczył narożniki budynku leżącego bliżej niż farma, ale w większej części zasłoniętego drzewami. Nie był to duży budynek i stał w znacznym oddaleniu od brzegu - ale błysk ornamentu wskazywał, że stanowił część tego samego stylu dekoracyjnego kąpieliska, co podest dla orkiestry, małe ogrody i powyginane, żelazne ławki.

Ojciec Brown zeskoczył ze sceny, za nim jego przyjaciel. Gdy szli w kierunku budynku, drzewa odsuwały się na prawo i lewo, aż ujrzeli niewielki, dosyć krzykliwy hotel, typu powszechnego w kurortach - raczej hotel z pubem niż eleganckim barem. Prawie cały front był pokryty złoconym gipsem i szlifowanym szkłem, a pomiędzy szarym morzem i

szarymi, przypominającymi wieżmy drzewami jego tandetny wygląd wzbudzał niemal upiorną melancholię. Obaj mieli niejasne odczucie, że jeśli ten przybytek proponuje cokolwiek wędrowcom, to są to puste talerze i puste kubki.

Co do tego jednakże nie byli całkiem przekonani. Gdy podeszli bliżej do budowli, na froncie sali restauracyjnej, ewidentnie zamkniętej, zobaczyli jedną z tych żelaznych ławek ogrodowych z wygiętymi

oparciami, które zdobiły ogrody, ale znacznie dłuższą, ciągnącą się niemal przez całą długość frontu. Przypuszczalnie było to miejsce pomyślane, aby goście mogli usiąść i popatrzeć na morze, ale przy takiej pogodzie trudno się było kogokolwiek spodziewać.

Tym niemniej przy samym końcu tego wielkiego, żelaznego siedziska stał mały, okrągły stolik restauracyjny, a na nim mała butelka chablis i talerz migdałów i rodzynek. Za stolikiem zasiadał ciemnowłosy, młody mężczyzna z gołą głową i wpatrywał się w morze w niemal zdumiewającym bezruchu.

Jednakże, choć mógłby być figurą woskową, podczas gdy znajdowali się jakieś cztery jardy od niego, gdy zbliżyli się na trzy, podskoczył jak oparzony.

- Wejdą panowie do środka? - zapytał w pełen szacunku, choć pozbawiony uniżenia sposób. - Obecnie nie mam tu pracowników, ale coś prostego mógłbym przygotować sam.

- Będziemy wielce zobowiązani - odparł Flambeau. - A więc jest pan właścicielem?

- Tak - potwierdził śniady młodzieniec, znowu popadając w niejaki bezruch. - Wszyscy moi kelnerzy to Włosi, rozumieją panowie, i uznałem, że powinni zobaczyć, jak ich ziomek pokonuje czarnego, o ile to faktycznie możliwe. Wiedzą panowie, że ta wielka walka pomiędzy Malvolim i Czarnuchem Nedom jednak się odbędzie?

- Obawiam się, że nie skorzystamy szczególnie z pańskiej gościnności - odezwał się ojciec Brown. - Ale jestem pewien, że mój przyjaciel chętnie wypiłby kieliszek sherry, żeby pozbyć się zimna i oblać wygraną włoskiego mistrza.

Flambeau nie rozumiał, o co chodziło z sherry, ale ostatecznie nie miał nic przeciwko.

- Och, dziękuję bardzo - powiedział tylko uprzejmie.

- Sherry, sir. Oczywiście - potwierdził ich gospodarz. - Proszę mi wybaczyć, że opuszczę panów na kilka minut. Jak już powiedziałem, nie ma pracowników. - I ruszył w stronę czarnych okien swojego zamkniętego i pozbawionego światła przybytku.

- Och, to doprawdy nie jest konieczne - zaczął Flambeau, ale mężczyzna odwrócił się, aby go uspokoić.

- Mam klucze - powiedział. - I potrafię odnaleźć drogę w ciemności.

- Nie chciałem... - zaczął Flambeau.

Przerwał mu grzmiący, ludzki głos dobywający się z trzewi niezamieszkałego hotelu. Wykrzyknął jakieś obce imię - głośno, ale niezrozumiale - i właściciel hotelu gwałtownie odwrócił się w jego stronę. Jak wykazały dowody, właściciel mówił - wtedy i później - wyłącznie dosłowną prawdę. Ale zarówno Flambeau, jak ojciec Brown często przyznawali, że w trakcie wszystkich ich przygód (często niesłychanych), nic nie zmroziło im krwi w żyłach tak, jak ten głos ogra rozlegający się zniecka w cichym i pustym hotelu.

-Mój kucharz! - pospiesznie zakrzyknął właściciel. - Zapomniałem o swoim kucharzu. Zaraz wychodzi. Sherry, sir?

I w istocie w drzwiach pojawiła się wielka, biała postać w białej czapie i białym fartuchu przewidzianych dla kucharza, ale z niepotrzebną dezaprobatacją na czarnej twarzy. Flambeau często słyszał, że czarni dobrze gotują. Ale coś w kontraście koloru i przynależności klasowej tym bardziej wzmogło jego zaskoczenie, że właściciel hotelu odpowiada na wezwanie kucharza, a nie kucharz na wezwanie właściciela. Uznał jednak, że głowa kucharza była przysłowiowo arogancka. A poza tym ich gospodarz wrócił z sherry, a to była wspaniała rzecz.

- Ciekawe - powiedział ojciec Brown - że mimo tej wielkiej walki na plaży jest tak mało ludzi. Przez całe mile spotkaliśmy tylko jednego człowieka.

Właściciel hotelu wzruszył ramionami.

- Przychodzą z drugiego końca miasteczka, ze stacji, jakieś trzy mile stąd. Interesuje ich wyłącznie sport i zatrzymają się w hotelach tylko na tę jedną noc. Mimo wszystko to nie jest pogoda na spacer po brzegu.

- Albo na siedzenie na ławkach - powiedział Flambeau i pokazał na mały stolik.

- Muszę zachowywać czujność - odparł mężczyzna z nieporuszoną twarzą.

Był cichym człowiekiem o regularnych rysach i raczej ziemistej cerze. Ciemne ubranie nie miało w sobie niczego niezwykłego, poza czarnym krawatem, który nosił dość wysoko, jak dyby, i zabezpieczał złotą szpilką z jakąś groteskową główką. W twarzy nie miał niczego charakterystycznego, poza czymś, co było przypuszczalnie zwykłym

tikiem nerwowym - nawykiem mrużenia jednego oka bardziej niż drugiego, przez co miało się wrażenie, że to drugie jest większe albo, być może, sztuczne.

Cisza, która zapanowała, została przerwana przez ciche słowa gospodarza.

- Gdzie podczas spaceru spotkali panowie tego jedyne go człowieka?

- To ciekawe - odpowiedział ksiądz. - Blisko stąd, tuż przy estradzie. Flambeau, który przysiadł na długiej, żelaznej ławce, żeby dopić sherry, odłożył kieliszek i wstał, ze zdumieniem patrząc na przyjaciela. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, potem je zamknął.

- Ciekawe - z zadumą powiedział ciemnowłosy mężczyzna. - Jak wyglądał?

- Gdy go zauważyłem, było już dość ciemno - zaczął ojciec Brown - ale był...

Jak już było powiedziane, właściciel hotelu mówił prawdę w dosłownym znaczeniu. Jego zdanie, że kucharz wychodzi, potwierdziło się co do joty, jako że gdy jeszcze mówił, kucharz wyszedł, naciągając rękawiczki.

Jednak bardzo się różnił do tej masy czerni i bieli, która na chwilę pojawiła się w drzwiach. Był zapięty po samą szyję i ubrany ogromnie efektownie. Na dużą, czarną głowę nasadzony miał czarny cylinder, lśniący jak lustro. Ale ten czarny człowiek w jakiś sposób przypominał ten czarny kapelusz. Jego równie czarna, ale lśniąca skóra odbijała światło. Nie trzeba wspominać, że kamizelka miała białą podszewkę, i że nosił do niej białe getry. Z butonierki agresywnie wyglądał czerwony kwiatek, który sprawiał wrażenie, jakby z niej nagle wyrósł. A w sposobie, w jaki w jednej ręce trzymał laskę, a w drugiej cygaro, było coś szczególnego - coś, o czym należy pamiętać zawsze, gdy mowa o uprzedzeniach rasowych. Coś niewinnego i zuchwałego - **cake walk**¹⁰.

- Czasami - powiedział Flambeau, patrząc za nim - nie dziwię się, że ich linczują.

- Ja nigdy się nie dziwię - odparł ojciec Brown - żadnej robocie piekła. Ale, jak mówiłem... - podjął, gdy Murzyn, nadal ostentacyjnie nakładający żółte rękawiczki, ruszył dziarsko w stronę kąpieliska, dziwna postać z przedstawienia na tle szarej i pokrytej szronem sceny - jak mówiłem, nie jestem w stanie opisać tego człowieka zbyt dokładnie, miał jednak bujne, staroświeckie bokobrody i wąsy, ciemne albo ufarbowane, jak na tych zdjęciach zagranicznych finansistów, a szyję owiniętą długim, fioletowym szalem, który trzepotał na wietrze. Zamotany był na gardle mniej więcej tak, jak opiekunki zakładają szaliki dzieciom, mocując je zapinką. Tylko to - dodał ksiądz, spokojnie patrząc na morze - nie była zapinka.

Mężczyzna siedzący na długiej, żelaznej ławce także spokojnie wpatrywał się w morze. Teraz znowu odpoczywał. Flambeau doszedł do wniosku, że to jedno oko miał większe z natury. Teraz oba były otwarte i miał wrażenie, jakby lewe robiło się coraz większe.

- To była bardzo długa, złota spinka z głową małpy czy czegoś takiego - kontynuował ksiądz - i była dosyć dziwnie wpięta. Miał też pincenez i szeroki, czarny...

Nieporuszony mężczyzna nadal patrzył na morze, a jego oczy mogłyby należeć do dwóch różnych ludzi. Potem zrobił ruch szybki jak błyskawica.

Ojciec Brown siedział plecami do niego, a to uderzenie mogło spaść na jego twarz. Flambeau nie miał broni, ale na końcu długiej, żelaznej ławki spoczywały jego wielkie, brązowe ręce. Jego ramiona gwałtownie zmieniły kształt i uniósł całe, ciężkie siedzisko nad głowę, jakby to była siekiera w rękach drwala. Przez samą swoją długość ławka, gdy trzymał ją pionowo, wyglądała teraz jak długa, żelazna drabina, zapraszająca ludzi, by wspięli się do gwiazd. Ale w stłumionym, wieczornym świetle długi cień wyglądał tak, jakby należał do olbrzyma wymachującego wieżą Eiffla. Zaskoczeniem było, że ten cień, zanim żelazo opadło, drgnął i zrobił unik, a potem pognął w głąb swojego zajazdu, płaski i błyszczący sztylet zostawiając dokładnie tam, gdzie upadł.

- Natychmiast musimy się stąd wynosić - krzyknął Flambeau, z pełną furii obojętnością ciskając wielką ławkę na plażę. Złapał małego księdza za łokieć i pociągnął go w dół, w szarą perspektywę ogołoczonego, tylnego ogrodu, na końcu którego znajdowała

się zamknięta furtka. Flambeau pochylił się nad nią i powiedział: -Zamknięta na klucz.

Gdy mówił, z jednej z ozdobnych jodeł, muskając rondo jego kapelusza, spadło czarne pióro. Przeraziło go to bardziej niż niewielka i odległa detonacja, która rozległa się tuż przedtem. Potem słychać było kolejny daleki wybuch i furtka, którą próbował otworzyć, zadygotała od pocisku, który się w nią wbił. Zarys ramion Flambeau znowu się zmienił. Trzy zawiasy i zamek pękły w tym samym momencie i wyszedł na pustą ścieżkę, niosąc wielką furtkę ogrodową, tak jak Samson unosił wrota Gazy.

Potem cisnął nią nad murem ogrodu w chwili, gdy trzeci strzał poderwał chmurę śniegu i kurzu u jego stóp. Bez ceregieli porwał małego księdza, zarzucił go sobie na ramiona i pognął w stronę Seawood tak szybko, jak tylko niosły go długie nogi. Swojego małego towarzysza postawił na ziemi

dopiero dwie mile dalej. Nie można było tego nazwać dystyngowaną ucieczką pomimo klasycznego modelu Anchizesa¹¹, ale na twarzy ojca Browna widać było szeroki uśmiech.

- No - powiedział Flambeau po chwili zniecierpliwionego milczenia, gdy podjęli bardziej konwencjonalny marsz przez uliczki na skraju miasteczka, gdzie nie trzeba się było obawiać żadnych aktów przemocy. - Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale zakładam, że mogę wierzyć własnym oczom i że nigdy nie widziałeś człowieka, którego tak dokładnie opisałeś.

- W pewnym sensie go widziałem - odparł Brown, dość nerwowo przygryzając palec. - Naprawdę widziałem. I było zbyt ciemno, żeby dokładnie mu się przyjrzeć, bo to było pod tym podestem dla orkiestry. Obawiam się jednak, że mimo wszystko nie opisałem go aż tak dokładnie, bo jego pincenez leżały pod nim połamane, a ta jego złota szpilka nie była wbita w fioletowy szal, ale w jego serce.

- I przypuszczam - powiedział Flambeau cichym głosem - że ten facet ze szklanym okiem miał z tym coś wspólnego.

- Miałem nadzieję, że niewiele - nieco zakłopotanym tonem odpowiedział Brown - i może niewłaściwie postąpiłem. Działiałem pod wpływem impulsu. Obawiam się jednak, że jego interes ma głębokie korzenie i pełen jest ciemności.

W milczeniu szli po ulicach. W zimnym, niebieskim zmierzchu zaczynano rozpalać żółte latarnie. Wyraźnie zbliżali się do bardziej centralnych części miasta. Na murach porozlepiane były kolorowe plakaty zapowiadające walkę pięściarską pomiędzy Czarnuchem Nedom a Malvolim.

- Cóż - odezwał się Flambeau - nigdy nikogo nie zamordowałem, nawet w czasach, gdy parałem się przestępstwem, ale prawie jestem w stanie zrozumieć każdego, kto robi to w tak przygnębiającym miejscu. Ze wszystkich zapomnianych przez Boga i Naturę miejsc, chyba najbardziej rozpaczliwe są takie, jak ta estrada dla orkiestry, które miały być pełne radości, a stoją opuszczone. Mogę sobie wyobrazić ponurego człowieka czującego, że musi zabić rywala w samotności i ironii takiej sceny. Pamiętam, jak kiedyś

zrobiłem sobie wyprawę po tych twoich wspaniałych wzgórzach Surrey, myśląc tylko o skowronkach i jałowcu, gdy wyszedłem na rozległy krąg ziemi, a nade mną wznosiła się wielka, cicha budowla, całe rzędy wznoszących się siedzeń, wielka jak rzymski amfiteatr i kompletnie pusta. Po niebie nad nią żeglowały ptaki. To były trybuny sportowe w Epsom. I poczułem, że nikt nigdy nie będzie już tam szczęśliwy.

-Dziwne, że wspomniałeś akurat Epsom - powiedział ksiądz. -Pamiętasz tę sprawę nazywaną Zagadką Sutton, ponieważ dwóch podejrzanych - chyba chodziło o sprzedawców lodów - akurat mieszkało w Sutton? W końcu zostali uwolnieni. Podobno znaleziono jakiegoś człowieka, uduszonego, na wzgórzach w tej okolicy. Z tego co wiem (od irlandzkiego policjanta, który jest moim przyjacielem), faktycznie znaleziono go w pobliżu trybun Epsom - tak naprawdę, to ukryty był za drzwiami na niższym poziomie.

- To osobliwe - przyznał Flambeau. - Ale w zasadzie potwierdza mój pogląd, że takie przyjemne miejsca po sezonie wyglądają na okropnie samotne, inaczej nikt by tu nikogo nie mordował.

- Nie jestem pewien, czy on... - zaczął ojciec Brown, potem przerwał.

- Nie jesteś pewien, czy został zamordowany? - dociekał jego towarzysz.

- Nie jestem pewien, czy został zamordowany po sezonie - z prostotą odparł mały ksiądz. - Flambeau, nie wydaje ci się, że w tej

samotności jest coś dziwnego? Jesteś pewien, że bystry morderca zawsze będzie szukał odosobnionego miejsca? Bardzo, bardzo rzadko się zdarza, żeby człowiek był zupełnie sam. I do tego im bardziej jest sam, tym pewniejsze, że ktoś go zobaczy. Nie - sądzę, że musi być w tym coś innego. O, jesteśmy w tym Pawilonie czy Pałacu, czy jak tam się to nazywa.

Wyszli na niewielki plac, jasno oświetlony, przy którym stał budynek użyteczności publicznej, pogodny dzięki złoceniom,

jaskrawy przez plakaty i obstawiony przez dwie ogromne fotografie Malvoliego i Czarnucha Neda.

- No proszę! - z wielkim zaskoczeniem zawołał Flambeau, gdy jego pobożny przyjaciel wkroczył prosto na szerokie schody. - Nie wiedziałem, że zainteresowałaś się boksem. Zamierzasz obejrzeć walkę?

- Nie wydaje mi się, żeby była jakaś walka - odparł ojciec Brown.

Szybko przeszli przez poczekalnie i wewnętrzne sale. Przemierzyli salę, gdzie miała się odbyć walka, z ringiem, linami i mnóstwem siedzeń, a kapłan nie zatrzymywał się ani nie rozglądał, póki nie dotarli do urzędnika za biurkiem wystawionym za drzwiami oznaczone jako „Administracja”. Tam się zatrzymał i poprosił o spotkanie z lordem Pooleyem. Asystent oznajmił, że lord jest bardzo zajęty, jako że zbliża się walka, ale ojciec Brown potrafił powtarzać się do znudzenia, na co urzędnicze umysły generalnie nie są przygotowane. Po kilku chwilach cokolwiek skonsternowany Flambeau znalazł się w towarzystwie człowieka, który ciągle wykrzykiwał polecenia do ludzi wychodzących z pomieszczenia.

- Uważaj, wiesz, na te liny na czwartej... No i co zrobisz, ciekaw jestem!

Lord Pooley był dżentelmenem i jak większość z tych nielicznych, którzy nam pozostali, martwił się - zwłaszcza o pieniądze. Miał na poły szare, na poły słomkowe włosy, rozgorączkowane oczy i garbaty, zaczerwieniony od mrozu nos.

- Ja tylko słówko - powiedział ojciec Brown. - Przyszedłem, żeby zapobiec morderstwu.

Lord Pooley poderwał się z krzesła jakby wyrzucony sprężyną. - Niech mnie szlag, jeśli będę musiał znieść jeszcze więcej! - krzyknął. - Wy i wasze komitety, proboszczowie i petycje! Czy

w dawniejszych czasach, gdy walczono bez rękawic, nie było proboszczów? Teraz walczy się w przepisowych rękawicach i nie ma żadnej możliwości, żeby któryś z bokserów zginął.

- Nie miałem na myśli bokserów - odpowiedział mały ksiądz. - No proszę, proszę! - powiedział szlachcic z odrobiną suchego

humoru. - No to kto ma zginąć? Sędzia?

- Nie wiem, kto zginie - z zamyślonym spojrzeniem odparł ojciec Brown. - Gdybym wiedział, nie musiałbym panu psuć przyjemności. Mógłbym po prostu pomóc mu uciec. Nigdy nie widziałem nic złego w walkach bokserskich. Ale w tej sytuacji muszę pana prosić, by ogłosił pan, że walka chwilowo się nie odbędzie.

- Coś jeszcze? - szyderczo spytał dżentelmen z płonącymi oczami. - A co pan powie tym dwóm tysiącom ludzi, którzy przyjechali, żeby ją obejrzeć?

- Powiem im, że gdy walka się skończy, będzie ich tysiąc dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu - powiedział ojciec Brown.

Lord Pooley spojrział na Flambeau.

- Czy pański przyjaciel jest wariatem? - zapytał.

- Bynajmniej - brzmiała odpowiedź.

- No coś takiego - podsumował zgryźliwie Pooley. - No to tym gorzej. Do tego mam tu całą paczkę italiańców, którzy będą kibicować Malvoliemu - śniadych, bojowych kumpli z któregoś z tych krajów w każdym razie. Wiecie, jakie są te śródziemnomorskie rasy. Jeżeli tylko wspomnę o odwołaniu walki, to wpadnie mi tu sam Malvoli na czele jakiegoś korsykańskiego klanu.

-Lordzie, to sprawa życia lub śmierci - powiedział ksiądz. - Niech pan da znać i przekona się, czy odpowie właśnie Malvoli.

Szlachcic z dziwną, nową ciekawością uderzył w dzwonek na stole.

- Muszę zaraz ogłosić poważną wiadomość - powiedział urzędnikowi, który niemal natychmiast pojawił się w drzwiach. Tymczasem niech pan będzie tak miły i przekaże naszym dwóm czempionom, że walkę trzeba będzie przełożyć.

Urzędnik przez kilka chwil wyglądał, jakby zobaczył demona, po czym zniknął.

- Jaką ma ksiądz pewność co do tego, co mówi? - gwałtownie zapytał lord Pooley. - Z kim się pan konsultował?

-Konsultowałem się z podestem dla orkiestry - odparł ojciec Brown, drapiąc się w głowę. - Choć nie, źle mówię; konsultowałem się także z książką. Kupiłem ją na straganie w Londynie, bardzo tanio.

Z kieszeni wyciągnął mały, gruby, oprawny w skórę wolumin, a Flambeau, zerkając mu przez ramię, zobaczył, że to książka opisująca jakieś dawne podróże i że jest w nią wsunięta zakładka.

- „Jedyną formą, w której voodoo...” - ksiądz zaczął czytać na głos.

- Jedyne co w czym? - zdumiał się jego lordowska mość.

- „...w której voodoo - niemal z upodobaniem powtórzył ksiądz - jest szeroko znane poza samą Jamajką, to forma Małpy lub Boga Gongów, która jest potężna w wielu częściach obu kontynentów amerykańskich, zwłaszcza wśród ludzi mieszanego pochodzenia, z których wielu wygląda dokładnie jak biali. Od większości innych form czci oddawanej diabłu i składania ofiar z ludzi różni się tym, że krwi nie przelewa się formalnie na ołtarzu, ale przez swego rodzaju zabójstwo w tłumie. Gongi uderzają ogłuszająco w momencie otwarcia drzwi do świątyni i uwolnienia małpiego boga, niemal cała kongregacja wbija w niego ekstatyczne spojrzenie. Jednakże później...”

Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i wywracając oczami, stanął w nich szykowny Murzyn w jedwabnym kapeluszu, wciąż zuchwale nasadzonym na głowę.

- Ha! - wykrzyknął, pokazując małpie zęby. - O co tu chodzi? Ha! Ha! Kradniesz nagrodę dla kolorowego człowieka - nagrodę, którą już... Se pan myślisz, że pan uratujesz tego białasa, tego italskiego śmiecia...

- Sprawa jest tylko odroczone - cicho powiedział szlachcic. - Za minutę czy dwie wszystko ci wytłumaczę.

- A pan to kto?! - wrzasnął Murzyn, zaczynając się wściekać.

- Nazywam się Pooley - odpowiedział tamten z całkowitym spokojem. - To ja organizuję to wydarzenie i radzę, by natychmiast pan stąd wyszedł.

- A ten to kto? - zażądał czarny mistrz, lekceważąco wskazując na księdza.

- Nazywam się Brown - zabrzmiała odpowiedź. - I radzę, żeby natychmiast wyjechał pan z tego kraju.

Bokser stał, gapiąc się przez kilka sekund, a potem, ku niejakiemu zaskoczeniu Flambeau i pozostałych, wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

- Cóż - zaczął ojciec Brown, szarpiąc swoje szare włosy - co pan sądzi o Leonardzie da Vinci? Piękna, włoska głowa.

- Proszę posłuchać - powiedział lord Pooley. - Wziąłem na siebie znaczącą odpowiedzialność, kierując się wyłącznie pańskim słowem. Uważam, że powinien mi pan powiedzieć o tym coś więcej.

- Ma pan rację, lordzie - zgodził się Brown. - To nie potrwa długo. - Niewielką skórzaną książeczkę odłożył do kieszeni. - Chyba wiemy wszystko, co może nam to powiedzieć, ale powinien pan sprawdzić, czy mam rację. Ten Murzyn, który właśnie wyszedł, jest jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi na ziemi, ponieważ ma mózg Europejczyka, ale instynkty kanibala. To, co pomiędzy jego barbarzyńskimi towarzyszami było czystą, rozsądną rzezią, przemienił w bardzo nowoczesne i naukowe tajne stowarzyszenie zabójców. Nie wie, że ja o tym wiem, ani, skoro już o tym mowa, że nie jestem w stanie tego udowodnić.

Na chwilę zapanowała cisza, po czym mały człowieczek mówił dalej.

- Ale gdybym chciał kogoś zamordować, to czy na pewno byłoby najlepiej, gdybym został z tą osobą sam?

Gdy lord Pooley patrzył na małego księdza, jego wzrok odzyskał mroźny błysk.

- Gdyby chciał pan kogoś zamordować, to właśnie bym radził - powiedział tylko.

Ojciec Brown pokręcił głową jak morderca o znacznie większym doświadczeniu.

- Tak też powiedział Flambeau - odpowiedział z westchnieniem. - Jednak proszę się zastanowić. Im bardziej człowiek czuje się sam, tym mniej może być pewien, że jest

sam. To musi oznaczać puste przestrzenie wokół niego, a to właśnie one sprawiają, że jest wyraźnie widziany. Nie widział pan nigdy z wysokości jednego oracza czy pojedynczego pasterza w dolinie? Nigdy nie szedł pan wzdłuż klifu i widział pojedynczego człowieka idącego po piasku? Nie widział pan, kiedy zdarzyło mu się zabić kraba i czy nie widziałby pan, gdyby zabił wierzyciela? Nie! Nie! Nie! Dla mordercy inteligentnego, jakim

mógłby być pan albo ja, niemożliwym jest opracować plan, który dawałby pewność, że nikt na pana nie patrzy.

- Zatem jaki może być inny plan?

- Tylko jeden - odparł ksiądz. - Upewnić się, że wszyscy patrzą na coś innego. W Epsom uduszono człowieka na trybunie. Gdyby było tam pusto, mógłby to zobaczyć ktokolwiek - każdy włóczęga pod krzakami czy automobilista na wzgórzach. Ale nikt tego nie widział, gdy trybuny były pełne ludzi krzyczących, gdy faworyt przychodził pierwszy - albo nie przychodził. Zacisnąc kołnierz, a potem wcisnąc ciało za drzwi można błyskawicznie - pod warunkiem, że to naprawdę jest błyskawicznie. Oczywiście tak samo było - kontynuował, zwracając się do Flambeau - z tym biednym człowiekiem pod estradą. Został wrzucony przez dziurę (to nie była jakaś przypadkowa dziura) podczas jakiegoś wielce dramatycznego momentu przedstawienia, gdy rozlegał się dźwięk skrzypiec jakiegoś wielkiego wiolinisty czy głos wielkiego śpiewaka. A tutaj, oczywiście, gdy nadejdzie nokautujące uderzenie -to nie będzie jedyne. Taką to małą sztuczkę Czarnuch Ned przejął od swojego starego Boga Gongów.

- A przy okazji, Malvoli... - zaczął Pooley.

- Malvoli - odparł ksiądz - nie ma z tym nic wspólnego. Śmiem twierdzić, że są z nim jacyś Włosi, ale nasi mili przyjaciele Włochami nie są. To mulaci i różni półkrwi Afrykanie różnych odcieni, ale obawiam się, że my, Anglicy, uważamy, że wszyscy cudzoziemcy, póki są ciemni i brudni, wyglądają z grubsza tak samo. Ponadto - dodał -boję się, że w angielskim nie da się nakreślić wyraźnego

rozdzielenia pomiędzy charakterem moralności będącej produktem mojej religii i tej, która kwitnie na gruncie voodoo.

Zanim dwaj przyjaciele znowu tam trafili, w Seawood wybuchła wiosna, zaśmiecając brzegi żebrakami i budkami kąpielowymi, wędrownymi kaznodziejami i murzyńskimi minstrelami. Jednocześnie było to na długo przed tym, jak rozpętał się pościg za dziwnym, tajnym stowarzyszeniem, które zniknęło. Jego tajemnicze cele nadal były nieznane. Człowiek z hotelu utonął i znaleziono go na morzu dryfującego jak wodorosty. Prawe oko miał spokojnie zamknięte, ale lewe szeroko otwarte i w świetle księżycy połyskujące jak szkło.

Czarnucha Neda dogoniono milę czy dwie dalej, gdzie lewą pięścią zamordował trzech policjantów. Ostatni oficer był zaskoczony - nie, obolały - i Murzyn zbiegł. Jednak to wystarczyło, żeby wszystkie angielskie gazety płonęły z podniecenia, i przez jakiś miesiąc czy dwa Imperium Brytyjskie ścigało fircykowatego czarnego, który mógłby uciekać z jakiegokolwiek angielskiego portu. Osoby o sylwetce z grubsza go przypominającej były poddawane nadzwyczajnym przesłuchaniom, kazano im myć twarze, zanim wpuszczono je na pokład, jakby biała skóra miała być maską albo farbą. Każdy Murzyn w Anglii podlegał specjalnym przepisom i musiał się meldować. Wypływające statki na pokład prędzej wzięłyby bazyliuszka niż czarnego. Ludzie dowiedzieli się, jak straszna, wielka i cicha była siła tego morderczego, tajnego stowarzyszenia, a do czasu, gdy Flambeau i ojciec Brown w kwietniu opierali się o barierki promenady, Czarny Człowiek stał się w Anglii niemal tym, czym niegdyś był w Szkocji.

- Nadal musi być w Anglii - zauważył Flambeau - i to diabelnie dobrze ukryty. Gdyby tylko pobielł sobie twarz, złapałoby go w jakimś porcie.

- Widzisz, to naprawdę przebiegły człowiek - przepraszająco powiedział ojciec Brown. - Jestem pewien, że nie pobieliby twarzy.

- Ale co miałyby zrobić?

- Myślę - odparł ojciec Brown - że ją przyczerni.

Flambeau, opierając się spokojnie o balustradę, wybuchnął śmiechem.

- Mój drogi! - powiedział.

Ojciec Brown, również opierając się spokojnie o barierkę, palcem wskazał w kierunku wysmarowanych sadzą Murzynów śpiewających na plaży.

SALATKA PUŁKOWNIKA CRAYA

Dziwnego, białego poranka, gdy mgły unosiły się powoli, ojciec Brown wracał piechotą z nabożeństwa do domu. Był to jeden z tych poranków, gdy samo światło wydaje się czymś tajemniczym i nowym. Nierówne drzewa wyłaniały się stopniowo z oparu, jakby najpierw zostały naszkicowane szarą kredą, a potem węglem. A jeszcze dalej widać było domy na poszarpanej granicy przedmieść - ich sylwetki stawały się coraz wyraźniejsze, aż był w stanie rozpoznać wiele domów, w których miał znajomych, i jeszcze więcej tych, których były mu znane nazwiska właścicieli. Ale wszystkie okna i drzwi były pozamykane. Żaden z tych ludzi nie należał do rannych ptaszków, a tym bardziej w takim dniu. Jednak gdy przechodził pod pewną piękną willą z werandą i rozległymi, ozdobnymi ogrodami, usłyszał dźwięk, przez który zatrzymał się niemal mimowolnie. Był to niemożliwy do pomylenia odgłos wystrzału z pistoletu, karabinu czy innej lekkiej broni palnej, ale nie to zdziwiło go najbardziej. Zaraz po tym pierwszym, głośnym dźwięku, nadeszła seria słabszych - gdy je policzył, około sześciu. Przypuszczał, że to echo - dziwne jednak, że to echo nie przypominało wcale oryginalnego dźwięku. Nie przypominało też niczego, co potrafił sobie wyobrazić. Najbliższym skojarzeniem był dźwięk syfonu z wodą gazowaną, jeden z wielu dźwięków wydawanych przez zwierzę i dźwięk wydawany przez kogoś, kto próbuje stłumić śmiech. Żaden z nich nie miał większego sensu.

W ojcu Brownie było dwóch ludzi. Jeden był człowiekiem czynu, skromnym jak pierwiosnek i punktualnym jak zegarek, który zajmował się swoimi małymi obowiązkami i nigdy nie marzył, aby je zmienić. Drugi był człowiekiem zadumy, który był znacznie prostszy, ale też znacznie silniejszy, którego nie dało się łatwo powstrzymać, którego myśli (w jedynie

inteligentnym znaczeniu słów) zawsze były nieskrępowane. Nie mógł się powstrzymać, by nawet nieświadomie nie zadawać sobie wszystkich pytań, które należało zadać, i odpowiadać na tak wiele z nich, na ile był w stanie; było to dla niego równie naturalne jak oddychanie albo krążenie krwi. Jednakże w swych działaniach nigdy świadomie nie wykraczał poza zakres swoich obowiązków, a w tym przypadku obie części jego osobowości zostały poddane testowi. Już miał na nowo podjąć marsz w półmroku, mówiąc sobie, że to nie jego sprawa, ale instynktownie obracał w głowie dwadzieścia teorii, co mogły oznaczać te dziwne dźwięki. Wtenczas szara linia nieba pojaśniała do srebra, a w miarę jak się rozjaśniało, uświadomił sobie, że znajduje się przed domem należącym do anglo-hinduskiego majora o nazwisku Putnam i że major miał kucharza pochodzącego z Malty, który był jego wyznania. Przypomniawszy sobie, że strzały z pistoletu czasami oznaczają poważne rzeczy, a towarzyszą im konsekwencje, które wprawiały go w autentyczne zatroskanie. Zawrócił i przeszedł przez furtkę do ogrodu, zmierzając do drzwi frontowych.

W połowie długości domu stała przybudówka przypominająca bardzo niską szopę. Jak później odkrył, był to wielki pojemnik na odpadki. Zza jego rogu wyłoniła się jakaś postać, początkowo tylko jako cień w mroku, wyraźnie przykucnięty i rozglądający się dookoła. Potem, gdy podszedł bliżej, cień zmienił się w postać, która wydawała się nadzwyczaj solidna. Major Putnam był łysym człowiekiem o byczym karku, niskim i bardzo barczystym, o jednej z tych raczej apoplektycznych twarzy, które są wynikiem długich starań, aby połączyć orientalny klimat z zachodnimi wygodami. Była to jednak twarz dobroduszną i nawet teraz, chociaż wyraźnie zdziwioną i zaintrygowaną, ubrana była w swego rodzaju niewinny uśmiech. Miał wielki kapelusz z liści palmowych zsunięty na tył głowy (sugerujący aureolę, która w żaden sposób do

tej twarzy nie pasowała), ale poza tym miał na sobie wielce jaskrawą piżamę w szkarłatne i żółte paski, która - choć

wyrazista na tyle, że nie dało się jej nie zauważyć - w ten rzeński poranek nie mogła dawać wiele ciepła. Ewidentnie wyszedł z domu w pośpiechu, a ksiądz nie był zaskoczony, gdy bez ceremonii zawołał głośno:

- Słyszał ojciec ten hałas?

- Tak - odparł ojciec Brown. - Pomyślałem, że lepiej to sprawdzę, na wypadek gdyby coś było na rzeczy.

Major spojrział na niego dziwnie swoimi agrestowymi oczami.

- Jak ojciec sądzi, co to był za hałas? - zapytał.

- Brzmiało to jak broń czy coś takiego - z niejakim wahaniem odpowiedział ksiądz - ale miał chyba dość osobliwe echo.

Major nadal patrzył na niego w milczeniu, ale wytrzeszczonymi oczami, gdy drzwi frontowe otworzyły się gwałtownie, zalewając rzednącą mgłą powodzią światła gazowego, i do ogrodu wpadła, czy też wypadła, kolejna osoba w piżamie. Ta postać była znacznie wyższa, szczuplejsza i bardziej atletyczna. Piżama, choć również przewidziana raczej na tropiki, była relatywnie gustowna, w pasy białe i jasnożółte. Człowiek ten wyglądał mizernie, ale był przystojny, bardziej ogorzały niż ten drugi. Miał orli profil i dość głęboko osadzone oczy, i nieco dziwny wygląd wynikający z połączenia włosów czarnych jak węgiel i znacznie jaśniejszych wąsów. Ojciec Brown zauważył to wszystko zupełnie bezwiednie. Przez chwilę widział w tym człowieku tylko jedną rzecz: rewolwer w jego dłoni.

- Cray! - wykrzyknął major, wpatrując się w niego. - To pan strzelał?

- Owszem, ja - gorąco odparł czarnowłosy dżentelmen. - I pan także by to zrobił na moim miejscu. Gdyby wszędzie ścigały pana diabły i prawie...

Major włączył się dość pośpiesznie.

- To mój przyjaciel, ojciec Brown - powiedział, a potem zwrócił się do Browna. - Nie wiem, czy miał ojciec okazję poznać pułkownika Craya z Artylerii Królewskiej.

- Oczywiście słyszałem o nim - niewinnie powiedział ksiądz. - Czy pan... czy pan cokolwiek trafił?

- Tak sądziłem - z powagą odrzekł Cray.

- Czy on... - ściszone głosem zapytał major Putnam - czy on upadł, krzyknął, czy coś?

Pułkownik Cray dziwnym i nieruchomym spojrzeniem przypatrywał się swojemu gospodarzowi.

- Powiem panu dokładnie, co zrobił - oświadczył. - Kichnął. Dłoń ojca Browna zatrzymała się w pół drogi do jego głowy w geście człowieka, który stara się przypomnieć sobie czyjeś imię. Wiedział tylko, że nie chodziło ani o syczenie wody sodowej, ani o parskanie psa.

- Cóż - wykrzyknął zdumiony major - Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś nie przejął się rewolwerem.

- Ani ja - słabo powiedział ojciec Brown. - Całe szczęście, że nie wytoczył pan całej swojej artylerii, inaczej mógłby się paskudnie przeziębic. - Potem, po chwili pełnej zdumienia ciszy, powiedział: -Czy to był włamywacz?

- Wejdźmy do środka - dosyć ostrym tonem powiedział major Putnam i poprowadził ich do domu.

Wewnątrz widać było paradoks często zauważany o tak wczesnej porze: że pokoje wydawały się jaśniejsze niż niebo na zewnątrz, nawet po tym jak major skręcił jedną z lamp gazowych we frontowym holu. Ojciec Brown z zaskoczeniem zobaczył, że cały stół jadalny był zastawiony jak do wystawnego posiłku, z serwetkami w pierścieniach i kieliszkami do wina w sześciu niepotrzebnych kształtach przy każdym talerzu. O tej porze poranka normalnym było zobaczyć pozostałości bankietu z poprzedniego wieczoru, ale ujrzeć, że tak wcześnie wszystko jest świeżo przygotowane, było czymś niezwykłym.

Gdy stał niezdecydowanie w holu, major Putnam przeszedł obok niego i szybko spojrzał na prostokątny stół.

- Zniknęły wszystkie srebra! - wyjąkał wreszcie. - Noże i widelczyki do ryb. Stare przyprawniki. Nawet stary dzbanuszek na śmietankę. A teraz, ojciec Brown, mogę odpowiedzieć na ojca pytanie, czy był to włamywacz.

- To tylko przykrywka - z uporem powiedział Cray. - Lepiej od was wiem, dlaczego ludzie prześladują ten dom. Lepiej od was wiem, dlaczego...

Major poklepał go po ramieniu gestem podobnym do tego, jakim uspokaja się chore dziecko.

- To był włamywacz - powiedział. - To ewidentnie był włamywacz.

- Paskudnie przeziębiony włamywacz - zauważył ojciec Brown. - To może pomóc w tropieniu go w sąsiedztwie.

Major ponuro pokręcił głową.

- Obawiam się, że jest już daleko - powiedział.

Potem, gdy niezmordowany mężczyzna z rewolwerem znowu ruszył w stronę drzwi do ogrodu, dodał ochrypłym, konfidencjonalnym głosem:

- Wątpię, czy powinienem posyłać po policję, obawiam się bowiem, że mój przyjaciel nieco zbyt swobodnie używa rewolweru i znalazł się po niewłaściwej stronie prawa. Mieszkał w bardzo dzikich miejscach i - szczerze mówiąc - sądzę, że czasami wymyśla sobie różne rzeczy.

- Chyba mówił mi pan kiedyś - powiedział Brown - że wierzy, że ściga go jakieś tajne indyjskie stowarzyszenie.

Major Putnam pokiwał głową, ale jednocześnie wzruszył ramionami.

- Chyba lepiej chodźmy za nim - powiedział. - Nie chcę więcej ... powiedzmy, kichania?

Wyszli na światło poranka, teraz już ozłoczone słońcem, i ujrzeli wysoką postać pułkownika Craya złożoną niemal na dwoje, uważnie przyglądającego się stanowi żwiru i trawy. Major dyskretnie ruszył w jego stronę, a ksiądz równie ostrożnie zawrócił i obszedł narożnik domu, wychodząc jard czy dwa od pojemnika na śmieci.

Przez minutę czy dwie stał, przyglądając się temu ponuremu obiektowi, a potem podszedł do niego, uniósł pokrywę i wsadził głowę do środka. Gdy to zrobił, ze środka poderwał się kurz i inne rzeczy, ale ojciec Brown nigdy nie zauważył własnego wyglądu, choć zauważał wszystko inne. Przez pewien czas pozostawał w tej pozycji, jakby pogrążony w jakichś tajemniczych modlitwach. Potem znowu się wyłonił, z popiołem na włosach, i obojętnie się oddalił.

Zanim wrócił do ogrodu, natknął się na grupkę, która w miarę jak słońce rozwiewało mgłę, wydawała się odzyskiwać rozum. To

w żaden sposób nie było uspokajające - było to zwyczajnie komiczne. Wyglądało jak zgromadzenie bohaterów Dickensa. Major Putnam zdołał wślizgnąć się do środka i wdziac bardziej stosowną koszulę i spodnie z szerokim, szkarłatnym pasem, a na to jasną marynarkę; tym samym jego czerwona, wesoła twarz, choć już normalnie wyrazista, wydawała się tryskać pospolitą serdecznością. W istocie był człowiekiem stanowczym, ale potem wdał się w rozmowę ze swoim kucharzem - śniadym Maltańczykiem, którego pociągła, żółta i raczej zmartwiona twarz kontrastowała ciekawie ze śnieżnobiłą czapą i fartuchem. Kucharz zaiste mógł być udręczony, bo gotowanie było hobby majora. Był jednym z tych amatorów, którzy zawsze wiedzą lepiej niż profesjonaliści. Jediną inną osobą, którą dopuszczał do wypowiedzania się na temat omletu, był jego przyjaciel Cray - a gdy Brown sobie o tym przypomniał, odwrócił się, żeby spojrzeć na drugiego oficera. W świetle dnia i w obecności ludzi stosownie odzianych i przy zdrowych zmysłach jego widok stanowił pewien szok. Wyższy i bardziej elegancki mężczyzna nadal miał na sobie nocny strój, czarne włosy miał potargane, a obecnie pełzał po ogrodzie na czworakach, nadal szukając śladów włamywacza i raz po raz, niepomny na obecność innych ludzi, wałąc ręką o ziemię w gniewie, że ich nie znajduje. Widząc go w takiej pozycji na trawie, ksiądz z niejakim smutkiem uniósł brwi i po raz pierwszy pomyślał, że to „wymyślanie różnych rzeczy” może być eufemizmem.

Trzecia postać w towarzystwie kucharza i smakosza również była ojcu Brownowi znana: była to Audrey Watson, wychowanka i gosposia majora - a w tej chwili, sądząc z fartucha, podwiniętych rękawów i stanowczego zachowania, znacznie bardziej gosposia niż wychowanka.

- No i dobrze - mówiła. - Zawsze panu powtarzałam, żeby pozbył się pan tego staroświeckiego dzbanuszka.

- Ja go lubiłem - dobrotliwie powiedział Putnam. - Sam jestem staroświecki, a te rzeczy idą w parze.

- I w parze znikają, jak pan widzi - odparowała. - Cóż, skoro nie ma pan zamiaru zawracać sobie głowy włamywaczem, ja nie powinnam zawracać sobie głowy lunchem. Jest niedziela i nie możemy posłać do miasteczka po ocet winny i całą resztę, a wam,

indyjscy dżentelmeni, to, co nazywacie obiadem, nie smakuje bez masy ostrych przypraw. Wobec tej sytuacji mam wielką nadzieję, że nie poprosił pan kuzyna Olivera, żeby zabrał mnie na mszę muzyczną. Nie ma jeszcze wpół do dwunastej, a pułkownik musi do tego czasu wyjść. Nie wierzę, że wy, panowie, poradzicie sobie ze wszystkim sami.

- Ależ tak, poradzimy sobie, moja droga - odparł major, spoglądając na nią z wielką czułością. - Marco ma wszystkie sosy i często radziliśmy sobie w bardzo surowych miejscach, jak być może już wiesz. I, Audrey, musisz sprawić sobie czasem jakąś przyjemność. Nie możesz być gosposią przez cały czas. Wiem, że chcesz posłuchać muzyki.

- Chcę pójść do kościoła - powiedziała z poważnym spojrzeniem.

Była jedną z tych przystojnych kobiet, które zawsze będą przystojne, ponieważ ich piękno nie jest kwestią zachowania czy koloru cery, ale samego kształtu głowy i rysów. Ale chociaż nie weszła jeszcze w wiek średni, a jej kasztanowe włosy były iście tycjanowskie, gdy chodzi o gęstość i kolor, wokół jej ust i oczu było coś, co wskazywało, że wyniszczyły ją jakieś smutki, tak jak wiatry niszczą wreszcie pozostałości greckich świątyń. W istocie bowiem te małe, domowe trudności, o których mówiła teraz tak stanowczo, były raczej komicznie niż tragiczne. Z toku konwersacji ojciec Brown uznał, że Cray, kolejny smakosz, musi wyjść przed normalną porą lunchu, ale że Putnam, jego gospodarz, nie chcąc zrezygnować z ostatniej uczty ze swoim starym przyjacielem, zamówił specjalne śniadanie, które miało zostać podane i skonsumowane o poranku, podczas gdy Audrey i inne poważniejsze osoby będą na porannym nabożeństwie. Miała tam pojechać pod opieką

swojego krewnego i starego przyjaciela, doktora Olivera Omana, który, jakkolwiek był człowiekiem nauki o dość zgorzkniałym podejściu, był również entuzjastą muzyki i żeby jej posłuchać, poszedłby nawet do kościoła. W tym wszystkim nie było niczego, co mogłoby być w oczach panny Watson jakąś wielką tragedią. Kierowany na wpół świadomym instynktem ojciec Brown znowu odwrócił się do domniemanego wariata pełzającego w trawie.

Gdy ruszył w jego stronę, czarna, nieuczesaona głowa poderwała się gwałtownie, jakby w zaskoczeniu, że ksiądz nadal tam jest. I w istocie, ojciec Brown, w powodów znanych wyłącznie sobie, zabawił tu o wiele dłużej, niż wymagała uprzejmość, czy nawet -w zwykłym sensie - niż na to pozwalała.

- No proszę! - zawołał Cray z dzikim wzrokiem. - Ksiądz pewnie też ma mnie za wariata, jak pozostali?

- Zastanawiam się nad tą teorią - spokojnie odpowiedział mały człowiek. - I skłaniam się ku opinii, że nie jest pan wariatem.

- Co ma ojciec na myśli? - nieco napastliwe zapytał Cray.

- Prawdziwi szaleńcy - wyjaśnił ojciec Brown - zawsze wzmacniają swój stan. Nigdy z nim nie walczą. Ale pan próbuje znaleźć ślady tego włamywacza, nawet gdy żadnych nie ma. Walczy pan z tym. Chce pan tego, czego nigdy nie chce żaden szaleniec.

- A cóż to takiego?

- Chce, żeby panu udowodniono, że się pan myli - powiedział Brown. W tej chwili Cray się poderwał i wbił w księdza zaciekawione spojrzenie.

-Do diaska, toż to słowa prawdy! - wykrzyknął. - Wszyscy tutaj twierdzą, że ten człowiek przyszedł tylko po srebra - jakbym sam nie chciał tak myśleć! Ona na mnie naskoczyła - rozczochraną, czarną głową wskazał w stronę Audrey - naskoczyła na mnie dzisiaj, że jestem okrutny, strzelając do biednego, bezbronno włamywacza, i jakież jest we mnie diabeł walczący z biednymi, nieszkodliwymi tubylcami. A

ja nigdyś byłem człowiekiem dobrodusznym - tak dobrodusznym jak Putnam.

- Proszę posłuchać - odezwał się po pauzie - nigdy dotąd ojca nie widziałem, ale powinien ojciec osądzić całość historii. Stary Putnam i ja byliśmy przyjaciółmi z tej samej kantyny, ale ze względu na pewne wypadki na granicy afgańskiej ja zacząłem dowodzić znacznie wcześniej niż większość ludzi. Przez jakiś czas obaj przebywaliśmy w sanatorium. Byłem zaręczony z tą tutaj Audrey i wszyscy razem tam wracaliśmy. Ale podczas podróży powrotnej wydarzyły się pewne rzeczy. Ciekawe rzeczy. W rezultacie Putnam chciał zerwania tych zaręczyn i nawet Audrey trzyma

je w zawieszeniu - i wiem, o co im chodzi. Wiem, co sobie o mnie myślą. Tak jak i ojciec.

Cóż, oto są fakty. Naszego ostatniego dnia w indyjskim mieście zapytałem Putnama, gdzie mogę dostać cygara Trichinopoli, a on skierował mnie do małego miejsca naprzeciwko jego kwater. W zasadzie miał rację, ale „naprzeciwko” to niebezpieczne słowo, gdy jeden porządny dom stoi naprzeciwko pięciu czy sześciu zapuszczonych. Musiałem pomylić drzwi. Otworzyły się z trudem, a za nimi była tylko ciemność, ale gdy się odwróciłem, drzwi za mną zamknęły się i zatrzasnęły na niezliczone zasuwy. Mogłem tylko iść naprzód - co zrobiłem - korytarz po korytarzu, w smolistej ciemności. Potem dotarłem do schodów, a potem do zamkniętych drzwi zabezpieczonych zasuwą skomplikowanej, wschodniej roboty, co mogłem stwierdzić wyłącznie na dotyk, ale którą w końcu udało mi się poluzować. Znowu wszedłem w mrok, który był na poły rozjaśniony przez zielonkawe światło mnóstwa małych, ale płonących spokojnie na podłodze lampek. Dzięki nim widać było zaledwie dół czy obramowania jakiejś wielkiej i pustej budowli. Tuż przede mną było coś, co wyglądało jak góra. Przyznaję, że o mało nie spadłem z wielkiej, kamiennej platformy, na którą wyszedłem, i uświadomiłem sobie, że to był bożek. A co najgorsze, bożek odwrócony do mnie plecami.

Był ledwie w połowie ludzki, tak mi się wydaje, sądząc po małej, opuszczonej głowie, a znacznie bardziej po czymś jakby ogonie czy dodatkowej kończynie wyciągniętej do tyłu i wskazującej, jak jakiś koszmarny, wielki palec, na jakiś symbol wyryty w centrum rozległej, kamiennej ściany. W tym mętnym świetle, nie bez strachu, zacząłem się mu przyglądać, gdy wydarzyła się okropnie szata rzecz. W ścianie świątyni za mną cicho otworzyły się drzwi, z których wyszedł mężczyzna o brązowej twarzy, ubrany w czarną szatę. Na twarzy miał szeroki uśmiech, miedziane ciało i żółtawe zęby, ale chyba najstraszniejsze było to, że na sobie miał europejski strój. Byłem przygotowany, chyba, na kapłanów w całunach czy gołych fakirów. Ale to wydawało się mówić, że zło czai się na całym świecie. I przekonałem się, że tak jest w istocie.

„Jeżeli widziałeś tylko Stopy Małpy - powiedział, wciąż się uśmiechając i bez żadnych wstępów - będziemy bardzo delikatni. Zostaniesz jedynie poddany torturom i umrzesz. Jeśli zobaczysz Twarz Małpy, nadal będziemy bardzo umiarkowani, bardzo tolerancyjni. Zostaniesz jedynie poddany torturom i będziesz żył. Ale jeśli ujrzałeś Ogon Małpy, musimy wypowiedzieć to, co najgorsze, czyli -odejdz wolno”.

Gdy wypowiedział te słowa, usłyszałem jak ta skomplikowana, żelazna zasuwka, z którą walczyłem, automatycznie się otwiera, a potem, daleko w głębi korytarzy, przez które przeszedłem, usłyszałem, jak cofają się zasuwki na ciężkich drzwiach prowadzących na zewnątrz.

„Daremnie jest błagać o litość, musisz odejść wolno” - powiedział ten uśmiechnięty mężczyzna. „Odtąd włos będzie wobec ciebie jak miecz, oddech będzie gryzący jak żmija, broń celować będzie do ciebie znikąd, a tym samym umrzesz wielokrotnie”. I z tymi słowami ponownie zagłębił się w murze za sobą, a ja wyszedłem na ulicę.

Cray zamilkł, a ojciec Brown bezpretensjonalnie usiadł na trawniku i zaczął zbierać stokrotki.

- Putnam, oczywiście - wrócił do opowieści stary żołnierz -z tym swoim chłopskim, zdrowym rozsądkiem, zbył wszystkie moje lęki. Od tego czasu datują się jego wątpliwości co do

mojej równowagi umysłowej. Cóż, powiem ojcu wprost, możliwie najbardziej skrótowo, o trzech rzeczach, które wydarzyły się od tamtego czasu, a ojciec sam osądzi, który z nas ma rację.

Pierwsza rzecz przydarzyła się w indyjskiej wiosce na skraju dżungli, ale całe setki mil od tej świątyni, miasta czy plemienia i tradycji, która rzuciła na mnie tę klątwę. Obudziłem się w środku ciemnej nocy i leżałem, nie myśląc o niczym szczególnym, gdy poczułem słabe łaskotanie, jakby nitki pajęczyny albo włosa przeciąganego przez moje gardło. Odsunąłem się od tego i nie mogłem się powstrzymać, by nie myśleć o tych słowach w świątyni. Ale gdy wstałem, zapaliłem światła i spojrzałem w lustro, na szyi miałem krwawą linię.

Druga rzecz miała miejsce w kwaterze w Port Said, podczas naszej wspólnej podróży do domu. Było to skrzyżowanie tawerny

i sklepiku z ciekawostkami, i chociaż nie było tam niczego, co choćby w odległy sposób sugerowało kult Małpy, to oczywiście możliwe, że w takim miejscu znalazły się jakieś jej wyobrażenia czy talizmany. W każdym razie klątwa tam była. Znowu obudziłem się w nocy z odczuciem, którego nie można określić inaczej czy bardziej dosłownie niż oddech gryzący jak żmija. Egzystencja była agonią unicestwienia. Waliłem głową o ściany, aż uderzyłem nią w okno i raczej wypadłem, niż wyskoczyłem, do ogrodu poniżej. Putnam, biedak, który nazwał poprzednie wydarzenie przypadkowym zadrapaniem, musiał poważnie potraktować fakt, że o świcie znalazł mnie na trawie, na wpół przytomnego. Obawiam się jednak, że przejął się moim stanem umysłowym, a nie opowieścią.

Trzecia rzecz wydarzyła się na Malcie. Byliśmy w tamtejszej fortecy. Tak się złożyło, że nasze sypialnie wychodziły na morze, które sięgało niemal do parapetów, poza gładką, białą, zewnętrzną ścianą, równie nagą co morze. Znowu się przebudziłem, ale nie było ciemno. Gdy podszedłem do okna, ujrzałem pełnię księżyca. Mógłbym dostrzec ptaka na blankach czy żagiel na horyzoncie. Tym jednak,

co zobaczyłem, był jakiś kij czy gałąź, wirujący na pustym niebie. Wpadł prosto w moje okno i roztrzaskał lampę stojącą przy poduszce, z której dopiero co się podniosłem. Była to jedna z tych maczug o dziwnym kształcie, których używają niektóre wschodnie plemiona. Nie rzuciła jej jednak żadna ludzka ręka.

Ojciec Brown odrzucił wianek ze stokrotek, który splatał, i podniósł się z zadumaną miną.

- Czy major Putnam - zapytał - ma jakieś wschodnie bibeloty, posążki, broń czy coś takiego, które mogłyby stanowić wskazówkę?

- Całe mnóstwo, choć obawiam się, że nie będzie z nich większego pożytku - odparł Cray. - Ale proszę zajrzeć do jego gabinetu.

Wchodząc, minęli pannę Watson zapinającą rękawiczki przed wyjściem do kościoła i usłyszeli głos Putnama, który na dole dalej pouczał kucharza, jak ma gotować. W gabinecie majora i magazynie osobliwości natknęli się na trzecią osobę, mężczyznę w jedwabnym kapeluszu i wyjściowym stroju, który przy stoliku z przyborami do palenia zgłębiał otwartą książkę - książkę, którą - odwracając się - upuścił z pewnym zakłopotaniem.

Cray przedstawił go w dosyć uprzejmy sposób jako doktora Omana, na twarzy jednak miał taką niechęć, że ojciec Brown domyślił się, że -czy Audrey o tym wiedziała, czy nie - byli rywalami. Nie żeby kapłan się temu dziwił. Doktor Oman w istocie był znakomicie ubranym dżentelmenem, o regularnych rysach twarzy, choć niemal tak śniady jak Azjata. Ojciec Brown musiał sobie jednak ostro przykazać, że należy być wspaniałomyślnym nawet wobec tych, którzy woskują swoje hiszpańskie bródki, którzy mają drobne dłonie w rękawiczkach i którzy przemawiają doskonale modulowanymi głosami.

Cray wydawał się dostrzegać coś wyjątkowo irytującego w małym modlitewniku, który Oman trzymał w rękach obleczonych w ciemne rękawiczki.

- Nie wiedziałem, że to pańska specjalność - powiedział nieco niegrzecznie.

Oman zaśmiał się łagodnie, ale bez urazy.

- Wiem, już bardziej to - powiedział, kładąc dłoń na wielkiej księdze, którą upuścił. - Słownik trucizn i temu podobnych rzeczy. Ale to raczej za duża księga, żeby zabierać ją do kościoła.

Potem zamknął książkę i znowu wydawał się to robić z lekkim pośpiechem i zakłopotaniem.

- Przypuszczam - odezwał się ksiądz, chcąc, zdaje się, szybko zmienić temat - że wszystkie te oszcypy i inne rzeczy pochodzą z Indii?

- Zewsząd - odparł doktor. - Putnam to stary żołnierz, był w Meksyku i w Australii, i z tego co wiem, na Wyspach Kanibali.

- Mam nadzieję, że to nie na Wyspach Kanibali nauczył się gotować - powiedział Brown i omiótł wzrokiem kociołki i inne dziwne utensylia na ścianie.

W tej chwili wesoły temat ich konwersacji wsunął do pokoju swoją roześmianą, czerwoną jak homar twarz.

- Chodź, Cray - zawołał. - Twój lunch zaraz będzie gotowy. A dla tych, którzy wybierają się do kościoła, biją już dzwony.

Cray wślizgnął się na górę, by się przebrać. Doktor Oman i panna Watson uroczyście udali się w dół ulicy wraz ze strumieniem innych ludzi zmierzających do kościoła, ojciec Brown zauważył jednak, że doktor odwrócił się dwukrotnie i przyjrzał domowi, a nawet cofnął się do rogu ulicy, aby spojrzeć na niego jeszcze raz.

Ksiądz wyglądał na zakłopotanego.

- Nie mógł siedzieć w tym pojemniku na śmieci - wymamrotał. - Nie w tym ubraniu. A może był tu dzisiaj wcześniej?

Ojciec Brown, stykając się z innymi ludźmi, był wrażliwy jak barometr. Dziś jednak wydawał się przejawiać wrażliwość nosorożca. Nie było żadnych zasad towarzyskich, pisanych lub niepisanych, dzięki którym mógłby dołączyć do lunchu anglo-indyjskich przyjaciół, zasiedział się jednak, pokrywając swój nietakt strumieniem zabawnej, choć raczej niepotrzebnej

rozmowy. Jego zachowanie było tym dziwniejsze, że nie wydawał się chcieć żadnego lunchu. Gdy na stół trafiały kolejne, doskonale zbalansowane potrawy z curry wraz z winami ze stosownych roczników, rozdzielane pomiędzy tych dwóch, powtarzał tylko, że jest to jeden z jego dni postnych, skubał kromkę chleba i nie tknął nawet zimnej wody w kieliszku. Jednakże mówił z prawdziwym entuzjazmem.

- Powiem panom, co dla nich zrobię - wykrzyknął. - Przygotuję panom sałatkę! Nie mogę jej zjeść, ale przygotuję ją jak anioł! Macie tutaj sałatę?

- Obawiam się, że to jedyna rzecz, jaką mamy - wesoło odpowiedział major. - Musi ojciec pamiętać, że musztarda, ocet winny, oliwa i cała reszta zniknęła wraz z przyprawnikiem i włamywaczem.

- Wiem - nieco nieprzytomnie odpowiedział ojciec Brown. - Właśnie tego zawsze się obawiałem. Dlatego wszędzie zabieram ze sobą własny przyprawnik. Uwielbiam sałatki.

I ku zdumieniu biesiadników z kieszeni kamizelki wyciągnął pieprzniczkę i postawił ją na stole.

- Zastanawiam się, po co włamywaczowi była potrzebna także musztarda - ciągnął, z kolejnej kieszeni wyciągając pojemnik. - Pewnie do kataplazmu. I ocet winny. - Wyciągnął ten składnik. - Zdaje mi się, że słyszałem coś o occie i czarnym pieprzu? A co do oliwy, to chyba wsadziłem ją do lewej...

Jego gadulstwo urwało się w jednej chwili. Unosząc wzrok, zobaczył coś, czego nie widział nikt inny - czarną postać doktora Omana stojącego na zalanym słońcem trawniku i zagląającego do pokoju. Zanim się pozbierał, odezwał się Cray.

- Jest ojciec niezwykłym człowiekiem - powiedział, wpatrując się w niego. - Przyjdę i posłucham ojca mszy, jeśli są równie zabawne co ojca zachowanie. - Jego głos zmienił się nieco, a on odchylił się na krześle.

- Och, w przyprawnikach też są nabożeństwa - dość grobowo oświadczył ojciec Brown. - Słyszał pan o wierze jak ziarenko gorczycy czy miłości bliźniego namaszczonego olejem? A co do

octu, czy jakikolwiek żołnierz może zapomnieć o tym samotnym żołnierzu, który, gdy pociemniało słońce...

Pułkownik Cray pochylił się nieco i ścisnął obrus.

Ojciec Brown, który przygotowywał sałatkę, do kieliszka z wodą przed sobą wrzucił dwie łyżeczki musztardy. Powstał i powiedział nowym, głośnym i mocnym głosem:

- Proszę to wypić!

Po chwili doktor, stojący dotąd nieporuszenie w ogrodzie, ruszył biegiem i z hukiem otworzył okno.

- Jestem potrzebny? - zawołał. - Został otruty?

- Prawie - z cieniem uśmiechu odpowiedział Brown, jako że środek wymiotny zadziałał gwałtownie. Cray spoczywał na leżance, dysząc jakby w walce o życie, ale żywy.

Major Putnam poderwał się z purpurową twarzą poznaczoną żyłkami.

- Zbrodnia! - krzyknął ochryple. - Wezwę policję!

Ksiądz usłyszał, jak zrywa z kołka swój kapelusz z liści palmy i wypada przez drzwi frontowe. Usłyszał, jak zatraskuje się furtka. Jednakże stał tylko i przypatrywał się Crayowi.

- Nie powinienem z panem dużo rozmawiać - odezwał się po chwili ciszy - ale powiem panu to, co chce pan wiedzieć. Nie cięży

na panu żadna klątwa. Świątynia Małpy była albo zbiegiem okoliczności, albo częścią mistyfikacji. Mistyfikacja ta była sztuczką białego człowieka. Jest tylko jedna broń, która utoczy krwi muśnięciem lekkim jak piórko: brzytwa trzymana przez białego człowieka. Jest tylko jeden sposób, by zwyczajny pokój napełnić niewidzialną, potężną trucizną: włączenie gazu - zbrodnia białego człowieka. I jest tylko jeden typ maczugi, który może zostać wyrzucony przez okno, obrócić się w powietrzu i wrócić do okna obok: australijski bumerang. W gabinecie majora widziałem ich kilka.

Z tymi słowami wyszedł na zewnątrz i przez chwilę rozmawiał z doktorem. Zaraz potem do domu wpadła Audrey Watson i uklękła przy fotelu Craya. Nie słyszał, co do siebie mówili,

ale ich twarze ożywiało zdumienie, nie nieszczęście. Doktor i ksiądz ruszyli powoli w stronę furtki.

- Przypuszczam, że major też się w niej kochał - powiedział z westchnieniem ojciec Brown. Gdy doktor pokiwał głową, zauważył: -Był pan niezwykle wspaniałomyślny, doktorze. Zrobił pan wspaniałą rzecz. Ale co wzbudziło pańskie podejrzenia?

- Zupełny drobiazg - odparł Oman - ale nie mogłem usiedzieć w kościele i musiałem wrócić i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Ta księga na stole była pracą dotyczącą trucizn i była otwarta na stronie opisującej pewną indyjską truciznę, której działanie, choć śmiertelne i trudne do wyśledzenia, można było łatwo odwrócić dzięki użyciu najzwyklejszych emetyków¹². Przypuszczam, że czytał o niej w tej ostatniej chwili...

- I przypomniał sobie, że w przyprawniku były emetyki - powiedział ojciec Brown. - Dokładnie. Przyprawnik wyrzucił do śmieci - gdzie znalazłem go wraz z innymi srebrami - utrzymując, że to robota włamywacza. Ale jeśli przyjrzałby się pan tej pieprzniczce, którą postawiłem na stole, zauważyłby pan niewielką dziurkę. Tam właśnie trafiła kula Craya, wytrąsając pieprz i zmuszając przestępcę do kichnięcia.

Zapadła cisza. Potem ponuro odezwał się doktor Oman.

- Major bardzo długo szuka tej policji.

- A może to policja szuka pana majora? - odparł ksiądz. - Cóż, do widzenia.

BAJKA O OJCU BROWNIE

Malowniczość i położenie miasta sprawiały, że Heiligwaldenstein wyglądało jak jedno z tych zabawkowych królestw, które wciąż można znaleźć w niektórych częściach Imperium Niemieckiego. Historycznie dosyć późno dostało się pod pruską hegemonię - ledwie pięćdziesiąt lat przed pięknym, letnim dniem, gdy Flambeau i ojciec Brown zasiedli w jego ogrodach, popijając piwo. Jak szybko się okaże, w pamięci żyjących nie było ani odrobiny wojny czy zemsty. Ale jedynie na nie patrząc, nie można było przeoczyć pewnej dziecięcej naiwności, która stanowi najbardziej czarującą stronę Niemiec - te małe farsy, paternalistyczne monarchie, w których król wydaje się być równie swojski co kucharz. Niemieccy żołnierze w niezliczonych budkach strażniczych wyglądali osobliwie jak niemieckie zabawki, a starannie odrobione blanki zamku, wyłoczone słońcem, wyglądały bardziej jak lukrowany piernik. Pogoda była wyborna. Niebo miało odcień błękitu pruskiego, jak tylko mógłby sobie tego życzyć Poczdam, kolor ten jednak był tak głęboki i lśniący, jakby pochodził z dziecięcego pudełka farbek za szylinga. Nawet drzewa o szarych gałęziach wydawały się młode, jako że ich pąki nadal były różowe, a na tle jaskrawoniebieskiego nieba tworzyły wzór przypominający niezliczone dziecięce postacie.

Pomimo swojego zwyczajnego wyglądu i ogólnie praktycznego podejścia do życia ojciec Brown nie był pozbawiony pewnej skłonności do romantyzmu, choć generalnie swoje sny na jawie za-

chowował dla siebie, tak jak robi to wiele dzieci. Pośród rześkich, jasnych kolorów takiego dnia i w heraldycznej strukturze takiego miasteczka czuł się w istocie tak, jakby znalazł się w bajce. Odczuwał dziecięcą przyjemność, jakby

młodsze braci, patrząc na wspaniałą laskę z ukrytą szpadą, którą Flambeau wymachiwał zawsze podczas chodzenia, a która w tej chwili stała prosto obok jego kufla. Ba, w swojej sennej lekkomyślności złapał się nawet na tym, że wpatruje się w guzowatą i wytartą rączkę własnego zniszczonego parasola, śledząc niewyraźne wspomnienia maczugi ogra z jakiejś kolorowej książeczki. Nigdy jednak nie ułożył żadnej fikcyjnej opowieści poza tą:

- Zastanawiam się - powiedział - czy w takim miejscu można przeżyć prawdziwą przygodę. To wspaniała sceneria dla przygód, ale zawsze mam wrażenie, że walczyłyby się tutaj drewnianymi mieczami, a nie prawdziwymi, śmiertelnościami ostrzami.

- Mylisz się - odparł jego przyjaciel. - W takim miejscu nie tylko walczy się mieczami, ale zabija bez ich pomocy. A to jeszcze gorsze.

- Co takiego? - zapytał ojciec Brown.

- Ano to - odparł tamten. - Powiem tak: to jedyne miejsce w Europie, gdzie kiedykolwiek zastrzelono człowieka bez użycia broni palnej.

- Masz na myśli łuk i strzały? - z niejakim zdziwieniem spytał Brown.

- Mam na myśli kulę w głowie - odpowiedział Flambeau. - Nie znasz historii ostatniego księcia tego miejsca? Jakies dwadzieścia lat temu była to jedna z wielkich zagadek policyjnych. Pamiętasz oczywiście, że to księstwo zostało siłą zajęte w ramach najwcześniejszych wizji Bismarcka dotyczących konsolidacji - to znaczy siłą, ale wcale niełatwo. Imperium (czy też kraj aspirujący do tego miana) wysłało księcia Ottona von Grossenmarka, żeby rządził tu zgodnie z imperialnymi interesami. Widzieliśmy jego portret w tutejszej galerii - przystojny, stary dżentelmen, gdyby tylko miał włosy albo brwi i nie był pomarszczony jak sęp, ale dręczyły go różne rzeczy, jak zaraz ci wyjaśnię. Był żołnierzem o wybitnych umiejętnościach i zasługach, ale z tym niewielkim miejscem nie poszło mu łatwo. W kilku bitwach został pokonany przez słynnych braci

Arnhold - trzech patriotów z partyzantki, o których Swinburne napisał wiersz:

Wilki z gronostajową sierścią, Ukoronowane wrony i królowie
-Są jak robactwo.

Jeszcze trzeba przestrzegać tych rzeczy.

Czy coś w tym rodzaju. Tak czy inaczej nie jest pewne, czy okupacja by się nie powiodła, gdyby niejeden z trzech braci, Paul, który haniebnie, ale bardzo stanowczo odmówił dalszego trwania w tej sytuacji i dzięki temu, że wydał wszystkie tajemnice insurekcji, zapewnił jej upadek i ostatecznie własne wyniesienie na stanowisko marszałka dworu księcia Ottona. Po tym Ludwig, jedyny prawdziwy bohater spośród bohaterów Swinburne'a, został zabity z szablą w dłoni podczas szturm na miasto, a trzeci, Heinrich, który -jakkolwiek nie był zdrajcą - w porównaniu ze swoimi aktywnymi braćmi był potulny, a nawet bojaźliwy, wycofał się do czegoś na kształt pustelni, nawrócił się na chrześcijański kwietyzm¹³, który był niemalże kwakerski, i nigdy nie kontaktował się z ludźmi poza tym, że prawie wszystko oddał biednym. Mówi się, że jeszcze niedawno nadal okazjonalnie widywano go w okolicy, człowieka w czarnej pelerynie, niemalże ślepego, z bardzo zmierzwionymi białymi włosami, ale o twarzy emanującej zdumiewającą łagodnością.

- Wiem - powiedział ojciec Brown. - Raz go widziałem. Przyjaciel spojrzał na niego z lekkim zaskoczeniem.

- Nie wiedziałem, że już tutaj byłeś - powiedział. - Może wiesz o tym wszystkim tyle samo, co ja. W każdym razie taka jest historia Arnholdów i ich ostatniego ocalałego. Tak, no i wszystkich ludzi, którzy odegrali swoje role w tym dramacie.

- Czyli że księżę także zmarł dawno temu?

- Zmarł - powtórzył Flambeau - i w zasadzie tylko tyle można o tym powiedzieć. Musisz zrozumieć, że pod koniec życia zaczęły mu szwankować nerwy, co wcale często zdarza się tyranom. Bardzo wzmocnił zwyczajowe dzienne i nocne stráže wokół swojego zamku, a osobnicy wzbudzający wątpliwości zostali bezlitośnie powystrzelani. Prawie cały czas przebywał w małym pokoju, który stanowił samo centrum ogromnego

labiryntu innych pomieszczeń, i nawet w nim wznosił kolejną jakby szarzę czy kredens, obstawiony stalą, jak schronienie czy statek wojenny. Niektórzy powiadają, że pod podłogą była tam jeszcze ukryta dziura w ziemi, ledwie jego wielkości, tak więc, ogromnie chcąc uniknąć grobu, wolał udać się do miejsca, które bardzo grób przypominało. Ale posunął się jeszcze dalej. Po stłumieniu rewolty ludność miała się rozbroić, ale Otto zaczął nalegać, na co rządy nalegają bardzo rzadko, na absolutne i dosłowne rozbrojenie. Zostało ono przeprowadzone na małej i znajomej przestrzeni, z nadzwyczajną starannością i surowością, przez bardzo dobrze zorganizowanych urzędników i, o ile ludzka siła i nauka mogą być czegokolwiek całkowicie pewne, książę Otto zyskał całkowitą pewność, że do Heiligwaldenstein nikt nie wniesie niczego więcej niż pistoletu-zabawki.

- Ludzka nauka nigdy nie może mieć zupełnej pewności co do takich rzeczy - zauważył ojciec Brown, wciąż patrząc na czerwone, obsypane pąkami gałęzie nad swoją głową. - Choćby tylko ze względu na trudności co do definicji i skojarzenia. Czym jest broń? Ludzie mordują się przy pomocy najłagodniejszych domowych przedmiotów; z pewnością za pomocą imbryków do herbaty, być może kapturków na imbryki. Z drugiej strony, jeśli pokazałbyś rewolwer starożytnemu Brytowi, wątpię, żeby się domyślił, że to broń - oczywiście póki by do niego nie wypalił. Być może ktoś wniósł broń tak nową, że nawet nie wyglądała jak broń. Może wyglądała jak naporstek czy coś takiego. Czy ta kula była pod jakimś względem szczególna?

- Nic na ten temat nie słyszałem - odpowiedział Flambeau - ale moje informacje są fragmentaryczne i pochodzą tylko od mojego starego przyjaciela Grimma. Był znakomitym detektywem w służbie Niemiec i próbował mnie aresztować, zamiast tego ja go aresztowałem i odbyliśmy wiele bardzo interesujących pogawędek. Dowodził tutaj dochodzeniem w sprawie księcia Ottona, ale zapomniałem go wypytać o tę kulę. Zgodnie z tym, co powiedział Grimm, wyglądało to w następujący sposób...

Zamilkł na chwilę, by jednym łykiem osuszyć większą część swojego ciemnego lagera, i wrócił do opowieści.

- Wspomnianego wieczora książę miał się pojawić w jednym z zewnętrznych pokoi, ponieważ musiał przyjąć pewnych gości, z którymi naprawdę chciał się spotkać. Byli to eksperci geologii przysłani, aby zbadać stare przekazy o rzekomych zasobach złota w okolicznych skałach, na których (jak mówiono) to małe miasto - państwo tak długo budowało swoją wiarygodność i mogło negocjować z sąsiadami nawet pod nieustannym ostrzałem ze strony większych armii. Do tej pory nie udało się go znaleźć mimo nadzwyczaj szczegółowych poszukiwań, które mogły...

- Które z dużą pewnością mogły doprowadzić do odkrycia pistoletu-zabawki - z uśmiechem powiedział ojciec Brown. - Ale co z tym bratem, który zdradził? Nie miał nic do powiedzenia księciu?

- Zawsze utrzymywał, że nic nie wiedział - odparł Flambeau.

- Że tą jedną tajemnicą bracia nigdy się z nim nie podzielili. Można tylko powiedzieć, że miało to oparcie we fragmentarycznych słowach - wypowiedzianych przez wielkiego Ludwiga w godzinie śmierci, gdy spojrzał na Heinricha, ale wskazał na Paula i powiedział: „Nie powiedziałaś mu...”, a wkrótce potem nie był już w stanie mówić. Tak czy inaczej delegacja znakomitych geologów i mineralogów z Paryża i Berlina była tam, a jej przedstawiciele odziani byli wspaniale i jak najbardziej stosownie, jako że nikt nie lubi obnosić się ze swoimi insygniami tak bardzo, jak ludzie nauki

- co wie każdy, komu przydarzyło się być na wieczorku w Towarzystwie Królewskim. Było to wytworne spotkanie, ale bardzo późne, i stopniowo marszałek - jego portret też widziałeś: mężczyzna z czarnymi brwiami, poważnymi oczami i nic niemówiącym uśmiechem - marszałek, powiadam, odkrył, że było tam wszystko, oprócz samego księcia. Przeszukał wszystkie zewnętrzne salony, potem, przypominając sobie szalone napady lęku tego człowieka, pospieszył do komnaty wewnętrznej. Ona również była pusta, ale by otworzyć tę stalową wieżyczkę czy szafkę,

trzeba było trochę czasu. Gdy mu się to udało, zobaczył, że tam także było pusto. Poszedł i zajrzał do tej dziury w ziemi, która wydawała się jakby głębsza i w jakiś sposób przypominała grób - to oczywiście jego odczucia. A gdy to

zrobił, usłyszał, że w długich pokojach i łączących je korytarzach wybuchły krzyki i zamieszanie.

- Początkowo był to odległy gwar i dreszcz zwiastujący coś niemożliwego na obrzeżach tłumy, nawet poza zamkiem. Potem pozbawiona słów wrzawa, tym razem bardzo bliska i dość głośna, żeby ją zrozumieć, gdyby te słowa się nie zlewały. Następnie rozległy się przeraźliwie wyraźne słowa, jeszcze bliżej, a następnie pojawił się jeden człowiek, który wpadł do pokoju i przekazał wieści tak skrótowo, jak to bywa w takich przypadkach.

Otto, książę Heiligwaldenstein i Grossenmar, leżał na rosie, w ciemniejszym mroku w lasach wokół zamku, z rozrzuconymi ramionami i twarzą skierowaną ku księżycowi. Z jego roztrzaskanej skroni i szczęki wciąż spływała krew, ale była to jedyna jego część, która zachowywała się jak coś żywego. Miał na sobie oficjalny, biało-żółty mundur, jakby miał podejmować swoich gości, poza tym, że szarfa była rozwiązana i leżała zmięta przy jego boku. Zanim udało się go podnieść, nie żył. Ale, żywy czy martwy, był zagadką - on, który zawsze ukrywał się w tej wewnętrznej komnacie, znalazł się w lesie, nieuzbrojony i sam.

- Kto znalazł jego ciało? - spytał ojciec Brown.

- Jakaś dziewczyna związana z dworem, Hedwig von coś tam - odparł jego przyjaciel - która była w lesie i zbierała dzikie kwiaty.

- A zebrała jakieś? - zainteresował się ksiądz, dość pustym wzrokiem wpatrując się w welon gałązek nad sobą.

- Owszem - potwierdził Flambeau. - Pamiętam akurat, że marszałek czy stary Grimm, czy ktoś tam powiedział, że to było koszarne, gdy przybyli tam na jej wezwanie i zobaczyli dziewczynę trzymającą wiosenne kwiaty i pochylającą się nad tym - tym zakrwawionym trupem. Wracając do sprawy, rzecz

w tym, że zanim dotarła pomoc, księżę był martwy, a wieści, oczywiście, musiały trafić na zamek. Konsternacja, którą wywołały, przekraczała nawet naturalną reakcję dworu wobec upadku magnata. Zagraniczni goście, zwłaszcza specjaliści od górnictwa, byli ogromnie podekscytowani i snuli najdziksze dywagacje, podobnie jak wielu ważnych pruskich oficjeli, i wkrótce zaczęło być jasne, że plan odnalezienia skarbów miał znacznie większe znaczenie dla interesów, niż ktokolwiek przypuszczał. Ekspertom i oficjelom przyobiecano wielkie nagrody albo międzynarodowe synekury, nie-

którzy mówili nawet, że tajne komnaty księcia i silna ochrona wojska mniej miały wspólnego ze strachem przed ludźmi, a więcej z naciskami pewnego prywatnego śledztwa prowadzonego przez...

- Czy te kwiaty miały długie łodygi? - przerwał ojciec Brown. Flambeau wbił w niego wzrok.

- Ależ z ciebie dziwak! - powiedział. - Ale dokładnie to powiedział stary Grimm. Powiedział, że za najobrzydliwsze uznał - bardziej obrzydliwe niż krew i kulę - że te kwiaty były dosyć krótkie, zerwane blisko główki.

- Oczywiście - stwierdził ksiądz - gdy dorosła dziewczyna naprawdę zbiera kwiaty, to tak, żeby miały jak najdłuższe łodyżki. Jeśli tylko poobrywa im główki, jak robią to dzieci, to wygląda jak... -zawahał się.

- No? - ponaglił go tamten.

- No, to wygląda raczej tak, jakby obrywała je nerwowo, żeby mieć usprawiedliwienie na swoją tam obecność - cóż, po tym, jak tam była.

- Rozumiem, do czego zmierzasz - dość ponuro powiedział Flambeau. - Ale to i każde inne podejrzenie załamuje się w jednym punkcie -braku broni. Mógł zostać zabity, tak jak mówisz, przy pomocy mnóstwa innych rzeczy - nawet swojej własnej szarfy, ale my musimy wyjaśnić nie to, w jaki sposób został zabity, ale w jaki sposób został zastrzelony. A fakt jest taki, że nie potrafimy. Dziewczyna została bardzo starannie przeszukana; jako że, prawdę mówiąc, była trochę podejrzana jako bratanica i gosposia niegodziwego starego

marszałka, Paula Arnholda. Była jednak wielką romantyczką i podejrzewano ją o sympatyzowanie ze starym rewolucyjnym entuzjazmem swojej rodziny. A jednak, jak by człowiek nie był romantyczny, nie potrafił sobie wyobrazić wielkiego pocisku w ludzkiej szczęce czy mózgu, który nie zostałby wystrzelony z broni palnej. A tam nie było żadnego pistoletu, choć widać było dwa strzały. To, mój przyjacielu, zostawiam tobie.

- Skąd wiesz, że były dwa strzały? - zapytał mały ksiądz.

- W głowie miał tylko jedną kulę - przyznał jego towarzysz - ale w szarfi była kolejna dziura po kuli.

Ojciec Brown nagle zmarszczył brwi.

- Znaleziono tę drugą kulę? - spytał.

Flambeau lekko drgnął.

- Nie przypominam sobie - odparł.

- Zaraz, zaraz, zaraz! - wykrzyknął Brown, jeszcze bardziej ściągając brwi, z nadzwyczaj skoncentrowaną ciekawością. - Nie uznaj mnie za nieuprzejmego. Pozwól, że przez chwilę pomyślę.

- W porządku - roześmiał się Flambeau i dokończył swoje piwo.

Kwitnącymi drzewami poruszyła lekka bryza, podrywając w powietrze chmury białych i różowych płatków, przez co niebo wydawało się jeszcze bardziej błękitne, a cała ta kolorowa scena bardziej urokliwa. Brakowało tylko cherubinków wlatujących do domu przez okna, jakby do jakiegoś niebiańskiego żłobka. Najstarsza wieża zamku, Smocza Wieża, wznosiła się groteskowo jak kufel na piwo, ale sprawiała równie domowe wrażenie. Dopiero za wieżą widać był las, w którym zginął ksiądz.

- Co w końcu stało się z Hedwig? - wreszcie zapytał ksiądz.

- Wyszła za generała Schwartz - odparł Flambeau. - Na pewno słyszałeś o jego karierze, która była dosyć romantyczna. Wyróżniał się nawet przed swoimi wyczynami w Sadowej i Gravelotte¹⁴. W istocie walczył bezpośrednio, co jest bardzo niezwykle nawet w przypadku najmniejszego z niemieckich...

Ojciec Brown wyprostował się gwałtownie.

-Walczył bezpośrednio! - wykrzyknął i złożył usta jakby do gwizdnięcia. - No, no, co za niezwykła historia! Co za niezwykły sposób zabicia człowieka; przypuszczam jednak, że jedyny możliwy. Ale pomyśleć, że istnieje nienawiść tak cierpliwa...

- Co chcesz powiedzieć? - zdziwił się Flambeau. - W jaki sposób zabili człowieka?

- Zabili go szarfą - ostrożnie powiedział Brown, a potem, uciszając protesty Flambeau: - Tak, tak, wiem o kuli. Być może powinienem powiedzieć, że zginął od posiadania szarfy. Wiem, że nie brzmi to tak, jakby cierpiał na jakąś chorobę.

-Przypuszczam - powiedział Flambeau - że coś ci chodzi po głowie, ale cokolwiek to jest, nie będzie łatwo pozbyć się tej kuli z jego głowy. Jak już wcześniej wyjaśniałem, łatwo można go było udusić. Ale został zastrzelony. Przez kogo? Z czego?

- Został zastrzelony na własny rozkaz - oświadczył ksiądz.

- Chcesz powiedzieć, że popełnił samobójstwo?

-Nie powiedziałem, że na własne życzenie - sprostował ojciec Brown. - Powiedziałem, że na własny rozkaz.

- No dobrze, jak by nie było, jaka jest twoja teoria? Ojciec Brown się roześmiał.

- Ja tylko jestem na wakacjach - powiedział. - Nie mam żadnych teorii. Tyle tylko, że to miejsce przypomina mi o różnych bajkach, a jeśli chcesz, to jedną ci opowiem.

Małe, różowe chmurki, które wyglądały raczej jak wata cukrowa, pofrunęły ku blankom zamku z lukrowanego piernika, a różowe, dziecinne paluszki na kwitnących drzewach wydawały się rozciągać i sięgać ku nim. Niebieskie niebo zaczęło przybierać liliowy odcień wieczoru. Ojciec Brown znienacka znowu zaczął mówić:

-Było to pewnej ponurej nocy... Z drzew kapał deszcz i opadała już rosa, gdy księżę Otto von Grossenmark pospiesznie wyszedł z bocznych wrót zamku i pomaszerował w stronę lasu. Jeden z niezliczonych strażników mu zasalutował, ale on tego nie zauważył. Sam nie bardzo chciał być zauważony. Zadowolony był, gdy wielkie drzewa, szare i śliskie od deszczu, pochłonęły go jak bagnisko. Z rozmysłem wybrał

najrzadziej odwiedzaną część swojego pałacu, jednakże nawet ona odwiedzana była częściej, niż by sobie życzył. Nie było jednak wielkich szans na to, by ścigały go teraz oficjalne czy dyplomatyczne obowiązki, bowiem wyszedł pod wpływem nagłego impulsu. Wszyscy ci wystrojeni na galowo dyplomaci, których zostawił, byli nieważni. Uświadomił sobie nagle, że poradziłby sobie bez nich.

Jego wielką namiętnością nie był znacznie bardziej szacowny lęk przed śmiercią, ale dziwne pożądanie złota. Właśnie dla tej legendy o złocie zostawił Grossenmark i najechał Heiligwaldenstein. Dlatego i wyłącznie dlatego kupił zdrajcę i zarznął bohatera, dlatego długo przesłuchiwał fałszywego marszałka, póki nie uznał, że renegat faktycznie powiedział prawdę. Z tego powodu, jakkolwiek niechętnie, zapłacił i obiecał pieniądze na konto większych zysków, i dlatego

wykradł się z własnego pałacu w deszczu jak złodziej - ponieważ pomyślał o innym sposobie zaspokojenia żądz swoich oczu i uznał, że robi to tanim kosztem.

Powyżej górnego końca zalanej wodą górskiej ścieżyny, którą szedł, pośród strzelistych skał wzdłuż grani, która zwiesza się nad miasteczkiem, znajdowała się pustelnia, nie więcej niż jaskinia ogrodzona cierniami, w której trzeci z wielkich braci od dawna skrywał się przed światem. On, myślał sobie księżę Otto, nie może mieć żadnych rozsądnych powodów, żeby nie zrezygnować ze złota. Od lat zna miejsce jego położenia i nie zrobił nic, żeby je znaleźć, nawet przed tym, jak jego nowe, ascetyczne credo odsunęło go od kwestii posiadania czy przyjemności. Istotnie, niegdyś był wrogiem, obecnie jednak wyznawał zasadę nieposiadania wrogów. Jakieś ustępstwo w jego sprawie, jakieś odwołanie do jego zasad, przypuszczalnie pozwolą wydobyć z niego tajemnicę kruszcu. Otto, pomimo powziętych przez siebie militarnych środków ostrożności, nie był tchórzem, a w każdym razie jego zachłanność była silniejsza niż strach. Nie żeby miał jakieś szczególne powody do obaw. Skoro był pewien, że w całym księstwie nie było prywatnej broni, to tym bardziej pewien był, że nie ma jej w małej pustelni na wzgórzu, gdzie

ów kwakier żył pośród ziół z dwoma podstarzałymi służącymi przez lata nie słysząc głosów innych ludzi. Książę Otto ze swego rodzaju ponurym uśmiechem popatrzył na jasne, prostokątne labirynty oświetlonego lampami miasta poniżej. Wszędzie w zasięgu wzroku widać było karabiny jego przyjaciół i ani szczypty prochu dla jego wrogów. Karabiny były nawet na tyle blisko tej góry, że jeden jego okrzyk sprowadziłby żołnierzy, nie mówiąc już o tym, że sam las i grań były regularnie patrolowane. A wokół pałacu karabiny były przy wrotach zachodnich i wrotach wschodnich, przy północnych i przy południowych, roily się od nich wszystkie cztery strony fasady. Był bezpieczny.

Było to jeszcze wyraźniejsze, gdy wspiał się na grań i ujrzał, jak nagie było gniazdo jego dawnego wroga. Znalazł się na małej, skalnej platformie, z trzech stron kończącej się urwiskiem. Dalej była czarna jaskinia zarośnięta zielonymi cierniami, tak niska, że trudno było uwierzyć, że mógł do niej wejść człowiek. Był z niej widok na stromy klif i szeroką, choć mglistą dolinę. Na małym odłamku skały stał stary pulpit z brązu, skrzypiący pod ciężarem wielkiej Biblii Niemieckiej. Jego brąz czy też miedź z latami mijającymi w tym odosobnionym miejscu pokryła się zielonym nalotem, a Ottona naszała nagła myśl: „Nawet jeśli mają broń, to do teraz jest zardzewiała”. Księżyc wszedł już za graniami i skałami i zaczął padać deszcz.

Za tym pulpitem, spoglądając na dolinę, stał bardzo stary człowiek w czarnej szacie, która opadała tak stromo, jak klify wokół niego, ale którego białe włosy i słaby głos wydawały się być podobne do fal na wietrze. Wyraźnie czytał jakąś przypowieść jako część swoich codziennych praktyk religijnych. „Jedni wolą rydwany...”

„Sir” - odezwał się książę Heiligwaldensteinu z raczej niezwykłą grzecznością. - „Chciałbym zamienić z panem słowo”.

- „... .drudzy konie - ciągnął słabo starzec - a nasza siła w imieniu Pana, Boga naszego...”¹⁵ - jego ostatnie słowa były niesłyszalne, ale z szacunkiem zamknął księgę i, będąc niemal

ślepcem, po omacku chwycił pulpit. Jego dwaj służący natychmiast wysliznęli się z nisko sklepionej jaskini i pomogli mu. Odziani byli w czarne czaty podobne do jego, ale ich włosy nie były przyprószone srebrem, również na ich twarzach nie było znać wieku. Byli chłopami, Chorwatami czy Madziarami, z szerokimi, otwartymi twarzami i mrugającymi oczami. Książę po raz pierwszy poczuł się niepewnie, ale jego odwaga i umiejętności dyplomatyczne kazały mu zostać.

„Obawiam się, że nie mieliśmy okazji się spotkać - powiedział - od tej okropnej strzelaniny, w której zginął wasz nieszczęsny brat”.

„Wszyscy moi bracia nie żyją” - odpowiedział starzec, nadal patrząc na dolinę. Potem, w jednej chwili zwróciwszy ku Otto swoją obwisłą, delikatną twarz i zimowe włosy, które wydawały się opadać mu na oczy jak sople, dodał: - „Widzisz, ja także nie żyję”.

„Mam nadzieję, że zrozumiecie - powiedział książę, kontrolując się niemal jak rozjemca - że nie przyszedłem tutaj, aby was przesładować, jak jakiś duch tych wielkich waśni. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, kto miał rację, a kto nie, ale przynajmniej w jednym punkcie nie myliliśmy się nigdy, bo wyście zawsze mieli rację. Cokolwiek można powiedzieć o polityce waszej rodziny, nikt ani przez moment nie sądził, że zależy wam wyłącznie na złocie; dowiedziście tego ponad wszelkie podejrzenie...”

Do tej pory starzec w czarnej szacie wpatrywał się w niego wodnistoniebieskimi oczami ze swego rodzaju osłabłą mądrością na twarzy. Ale gdy padło słowo „złoto”, wyciągnął dłoń, jakby coś chwycił, i odwrócił wzrok w stronę gór.

„On mówi o złocie” - powiedział. - „On mówi o rzeczach, które nie są sprawiedliwe. Niech przestanie mówić”.

Otto cierpiał na przywarę swojego pruskiego typu i tradycji, która postrzega sukces nie jako przypadek, ale jako przymiot. Pojmował siebie i sobie podobnych jako ludzi, którzy wciąż podbijają i wciąż są podbijani. W konsekwencji nie spodziewał się zaskoczenia i nie był przygotowany na kolejny ruch, który

go zaskoczył i usztywnił. Otworzył usta, aby odpowiedzieć pustelnikowi, gdy usta mu zamarły, a głos został zdławiony przez mocny, miękki knebel, który owinał się wokół jego głowy jak opaska uciskowa. Minęło całych czterdzieści sekund, zanim w ogóle sobie uświadomił, że zrobiło to tych dwóch węgierskich służących, i że zrobili to jego własną, wojskową szarfą.

Starzec znowu słabo wrócił do swojej wielkiej biblii, odwrócił stronę z cierpliwością, w której było coś koszmarnego, i zaczął czytać: „Tak samo język, mimo że jest małym członkiem, lecz pyszni się z wielkich rzeczy. Jakże wielki las zapala mały ogień!”¹⁶

Coś w samym jego głosie kazało księciu odwrócić się gwałtownie i runąć górską ścieżynką, którą się wspiał. Był w połowie drogi do ogrodów pałacowych, zanim w ogóle spróbował zerwać szarfę zadzierzgniętą na swojej szyi i szczęce. Próbował raz za razem, ale nie był w stanie. Ludzie, którzy zamotali ten knebel, znali różnicę pomiędzy tym, co człowiek może zrobić z rękami z przodu, a co może zrobić, mając ręce z tyłu. Nogi miał wolne i przebierał nimi jak antylopa, ręce miał wolne, mógł wykonać dowolny gest czy pomachać, dając jakiś sygnał, ale nie mógł nic powiedzieć. Był z niego niemy diabeł.

Zbliżył się do lasów otaczających zamek, zanim dotarło do niego w pełni, co oznacza jego niemota, i co miała oznaczać. Raz jeszcze ponuro spojrzął w dół na jasne, regularne labirynty oświetlonego lampami miasta poniżej i już się nie uśmiechał. Poczuł, że z morderczą ironią powtarza zdania swoich wcześniejszych myśli. Jak okiem sięgnąć widział karabiny swoich przyjaciół, z których każdy go zastrzeli, jeśli nie usłyszy odpowiedzi na wezwanie. Strzelcy byli tak blisko, że las i grań mogły być regularnie patrolowane, zatem ukrywanie się w lesie do rana nie miało racji bytu. Strzelcy ulokowani byli tak daleko, że żaden wróg żadną drogą nie mógł się dostać do miasta, zatem daremne były próby powrotu do miasta okrężną drogą. Jeden jego krzyk sprowadziłby na wzgórze żołnierzy. Jednak on nie był w stanie krzyknąć.

Księżyc wzniósł się w powodzi srebra, a na niebie pojawiły się pasma jasnego, nocnego błękitu pomiędzy czarnymi pasmami sosen nad zamkiem. Jakieś dzikie, pierzaste kwiaty - nigdy dotąd nie zauważał takich rzeczy - w świetle księżyca jednocześnie były lśniące i pozbawione koloru, a ich kępy wydawały się nieopisanie fantastyczne, jakby wdrapywały się po korzeniach drzew. Być może jego rozsądek został zniwola zburzony nienaturalnym zniewoleniem, które niósł na sobie, ale w lesie tym poczuł coś niezgłębienie niemieckiego - bajkę. Połową umysłu wiedział, że zbliża się do zamku Ogra - zapomniał, że to on sam był tym ogrem. Pamiętał, jak pytał matkę, czy w starym parku przy domu żyją niedźwiedzie. Zatrzymał się, żeby zerwać jakiś kwiat, jakby to był urok przeciwko czarowi. Łodyga była mocniejsza, niż się spodziewał, i złamała się z cichym trzaskiem. Próbując ostrożnie umieścić go na swojej szarfie, usłyszał głos. „Kto tam idzie?” Potem przypomniał sobie, że szarfa nie znajdowała się na swoim zwykłym miejscu.

Próbował krzyknąć, lecz nieskutecznie. Rozległo się drugie wezwanie, a potem strzał, który z gwizdem powalił go na ziemię. Otto von Grossenmark leżał bardzo spokojnie pośród bajkowych drzew i nie skrzywdziłoby go już ani złoto, ani stal - tylko srebrny ołówek księżyca tu i ówdzie przebijał się przez korony drzew, oblewając skomplikowany ornament na jego mundurze czy stare zmarszczki na czole. Niech Bóg zlituje się nad jego duszą.

Strażnik, który strzelił, zgodnie ze ścisłymi rozkazami ze swojego garnizonu, oczywiście pobiegł szukać śladów swojej ofiary. Był to szeregowy o nazwisku Schwartz, wcale znany w swoim zawodzie, i znalazł łysego mężczyznę w mundurze, ale z twarzą tak obandażowaną jego własną, wojskową szarfą, że widać było tylko jego otwarte, martwe oczy, połśniewające kamiennie w świetle księżyca. Pocisk przeszedł przez knebel i utkwiał w szczękę; stąd właśnie dziura po kuli w szarfie, ale tylko jeden strzał. Oczywiście, choć nieprawidłowo,

młody Schwartz zdarł tę tajemniczą, jedwabną maskę i rzucił ją na trawę, a potem zobaczył, kogo zabił.

Co do następnej fazy nie możemy mieć pewności. Ale skłaniam się ku opinii, że mimo wszystko w tym niewielkim lesie trwała bajka, tak się zdarzyło, że okropna. Czy ta młoda dama o imieniu Hedwig miała jakąś wiedzę o żołnierzu, którego uratowała i za którego ostatecznie wyszła, czy też przypadkowo natknęła się na ten wypadek i tak tej nocy rozpoczęła się ich zażyłość, przypuszczalnie nie dowiemy się nigdy. Uważam jednak, że możemy uznać, że owa Hedwig była bohaterką i zasłużyła, by poślubić mężczyznę, który stał się swego rodzaju bohaterem. Zrobiła bardzo mądrą rzecz. Namówiła strażnika, aby ten wrócił na swój posterunek, gdzie nie było niczego, co mogłoby go połączyć z tą katastrofą; był jednym z najbardziej lojalnych i karnych żołnierzy spośród około pięćdziesięciu, którzy byli w zasięgu głosu. Została przy ciele i podniosła alarm. Jej również z tą katastrofą nie łączyło nic, skoro nie miała, i nie mogła mieć, żadnej broni palnej.

- Cóż - powiedział ojciec Brown, podnosząc się wesóło. - Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał go przyjaciel.

- Idę raz jeszcze rzucić okiem na ten portret marszałka, tego Arnholda, który zdradził własnych braci - odparł ksiądz. - Zastanawiam się, która część... Zastanawiam się, czy człowiek jest zdrajcą w mniejszym stopniu, jeśli zdradził dwa razy?

I rozmyślał długo przed portretem białowłosego mężczyzny o czarnych brwiach i różowym sztucznym uśmiechu, który zdawał się zaprzeczać czarnemu ostrzeżeniu w jego oczach.

NIEDOWIARSTWO OJCA
BROWNA

SKRZYDLATY SZTYLET

W pewnym okresie swojego życia ojciec Brown miał trudności

z odwieszaniem swojego kapelusza na kołek bez konieczności tłumienia lekkiego wzdrygnięcia. Podłożem tej idiosynkrazji był w istocie drobny detal związany ze znacznie bardziej skomplikowanymi wydarzeniami - był to chyba jednak jedyny detal, który w jego pracowitym życiu przypominał mu o całej tej sprawie. Jego odległe początki odnaleźć można w faktach, które w pewien mroźny, grudniowy poranek doprowadziły doktora Boyne'a, medyka zatrudnionego w siłach policyjnych, do posłania po księdza.

Doktor Boyne był dużym, śniadym Irlandczykiem, jednym z tych wprawiających w zakłopotanie Irlandczyków, których spotkać można na całym świecie, którzy z pełnym zaangażowaniem opowiadają się za naukowym sceptycyzmem, materializmem i cynizmem, ale którzy nigdy nie chcieli odwoływać się do niczego zahaczającego o rytuał religijny inny niż odnoszący się do tradycyjnej religii ich ziemi rodzinnej. Trudno byłoby powiedzieć, czy ich credo to bardzo powierzchowna pozłotka, czy też coś bardzo fundamentalnego, ale najprawdopodobniej jedno i drugie, z całą masą materializmu pomiędzy. W każdym razie, gdy pomyślał, że mogą tu wchodzić w grę kwestie tego rodzaju, poprosił o wezwanie ojca Browna, choć w żaden sposób nie odwołał się do tego jego aspektu.

- Nie jestem pewien, czy księdza chcę, rozumie ksiądz - było jego powitaniem. - W sumie to jeszcze niczego nie jestem pewien.

Niech mnie diabli, jeśli potrafię powiedzieć, czy to sprawa dla lekarza, policji czy księdza.

- Cóż - z uśmiechem odparł ojciec Brown - skoro, jak sędzę, jest pan jednocześnie policjantem i lekarzem, to wychodzi, że jestem raczej w mniejszości.

- Przyznaję, że jest ksiądz tym, kogo politycy nazywają uświadomioną mniejszością - odpowiedział doktor. - To znaczy wiem, że niewiele mieliście do czynienia z naszą branżą. Ale naprawdę trudno powiedzieć, czy ta sprawa to wasza działka, czy nasza, czy po prostu lekarzy od obłądu. Właśnie otrzymaliśmy wiadomość od człowieka mieszkającego w pobliżu, w tym białym domu na wzgórzu, z prośbą o ochronę przed morderczymi zakusami. Zebraliśmy możliwie dużo faktów... Może lepiej opowiem księdzu tę historię tak, jak zapewne się zdarzyła, od początku.

Wygląda na to, że mężczyzna o nazwisku Aylmer, który był bogatym właścicielem ziemskim w West Country, ożenił się raczej późno i miał trzech synów, Philipa, Stephena i Arnolda. Ale w swoich kawalerskich czasach, gdy myślał, że nie będzie miał spadkobiercy, adoptował chłopca, którego uważał za bardzo bystrego i obiecującego, który posługiwał się nazwiskiem John Strake. Jego pochodzenie jest dość niejasne - niektórzy mówią, że był podrzutkiem, inni, że Cyganem. Myślę, że to ostatnie ma związek z tym, że Aylmer w zaawansowanym wieku amatorsko parał się różnymi brudnymi sztuczkami okultystycznymi, włączając w to chiromancję i astrologię, a jego trzej synowie powiadają, że Strake go do tego zachęcał. Powiedzieli, że Strake to wyjątkowy łajdak i fenomenalny kłamca; geniusz, jeśli chodzi o wymyślanie kłamstw na potrzeby chwili i opowiadanie ich tak, że detektyw by się nabrał. Jednak w świetle tego, co zaszło, równie dobrze może to być naturalne uprzedzenie.

Być może jest ksiądz mniej więcej w stanie wyobrazić sobie, co się stało. Stary praktycznie wszystko zostawił swojemu adoptowanemu synowi, a gdy zmarł, trzej naturalni synowie zakwestionowali jego testament. Powiedzieli, że ojciec był zastraszony i całkowicie uległy, i że praktycznie zmienił się w bełkoczącego idiotę. Powiedzieli, że Strake wykorzystywał

najdziwniejsze i najbardziej przebiegłe sposoby, żeby go zastraszyć, pomimo obecności pielęgniarzek

i rodziny, i terroryzował go na jego łożu śmierci. W każdym razie chyba udało im się czegoś dowieść odnośnie kondycji umysłowej zmarłego, ponieważ sąd uchylił ostatnią wolę i synowie dostali spadek. Strake podobno załamał się okropnie i poprzysiągł, że zabije wszystkich trzech, jednego po drugim, i że w żaden sposób nie zdołają ujść jego zemście. To trzeci, bądź ostatni z braci, Arnold Aylmer, poprosił o ochronę policyjną.

- Trzeci i ostatni - powiedział ksiądz, spoglądając na niego ponuro.

- Tak - potwierdził Boyne. - Pozostali dwaj nie żyją. - Zamilkł na chwilę, potem mówił dalej. - I tutaj właśnie pojawiają się wątpliwości. Nie ma żadnego dowodu na to, że zostali zamordowani, ale to możliwe. Najstarszy, który objął swoją pozycję dziedzica, podobno popełnił samobójstwo w swoim ogrodzie. Drugi, który zajął się handlem jako fabrykant, uderzył się w głowę o maszynę we własnej fabryce - równie dobrze mógł się potknąć i przewrócić. Ale jeśli to Strake ich zabił, to z pewnością bardzo przebiegle zabiera się do działania i znika. Z drugiej strony jest bardziej niż prawdopodobne, że to wszystko to jakaś mania prześladowcza zasadzająca się na zbiegu okoliczności. Proszę posłuchać, oto, czego chcę. Chcę, żeby ktoś rozsądny, kto nie jest oficjalnie związany z tą sprawą, poszedł tam i porozmawiał z panem Arnoldem Aylmerem i wyrobił sobie na jego temat zdanie. Ksiądz wie, jak zachowuje się człowiek opanowany złudzeniami i jak wygląda ktoś, kto mówi prawdę. Chciałbym, żeby stanowił ksiądz straż przednią, zanim my się tym zajmujemy.

- Trochę to dziwne - zauważył ojciec Brown - że nie zajmowaliście się tym już wcześniej. Jeżeli faktycznie coś w tym jest, to ciągnie się już chyba od dłuższego czasu. Czy jest jakiś szczególny powód, dlaczego posłał po was akurat teraz, a nie kiedykolwiek wcześniej?

- Niech mi ksiądz wierzy, mnie też przyszło to do głowy - odpowiedział doktor Boyne. - W istocie przedstawił powód, ale przyznaję, że jest on jedną z rzeczy, które skłaniają mnie do zastanowienia, czy to wszystko nie jest aby tylko imaginacją jakiegoś na wpół stukniętego ekscentryka. Oświadczył, że wszyscy jego służący nagle zastrajkowali i go zostawili, tak więc był zmuszony wezwać policję, aby pilnowała jego domu. A zadając pytania, stwierdziłem, że z tego domu na wzgórzu faktycznie nastąpił ogólny exodus służby. I oczywiście całe miasteczko huczy od plotek, jakkolwiek śmiem twierdzić, że bardzo stronniczych. Twierdzą, jakoby ich pracodawca zrobił się niemożliwie nerwowy, pełen lęków i pretensji. Że chciał, by pilnowali domu jak strażnicy albo siedzieli jak nocne pielęgniarki w szpitalu, że nigdy nie mogli zostawić go samego. Zatem ogłosili wszem i wobec, że to wariat, i odeszli. To oczywiście nie dowodzi, że jest wariatem, jednak obecnie wydaje się nieco dziwne, żeby człowiek oczekiwał od swojego służącego czy pokojówki, żeby się zachowywali jak uzbrojeni strażnicy.

- I dlatego - z uśmiechem powiedział ksiądz - chce, żeby policjant zachowywał się jak jego pokojówka, bo jego pokojówka nie będzie się zachowywała jak policjant.

- Ja także uważam to za grubą przesadę - zgodził się doktor - ale nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za odmowę, póki nie spróbuję uzyskać jakiegoś kompromisu. A tym kompromisem jest ksiądz.

- Znakomicie - z prostotą odparł ojciec Brown. - Jeśli pan chce, od razu pójdę się z nim rozmówić.

Falująca kraina wokół małego miasteczka była skuta mrozem, a niebo jasne i zimne jak stal, poza północnym wschodem, gdzie na nieboskłonie zaczynały się spiętrzać chmury o jaskrawych otoczkach. Na tle tych ciemniejszych i złowieszczych barw dom na wzgórzu lśnił jasnymi filarami, tworzącymi krótką kolumnadę w klasycznym stylu. Prowadziła tam wietrzna droga biegnąca w górę wzgórza i nurkująca w gęstwinę ciemnych krzewów. Tuż przed nimi powietrze wydawało się robić coraz zimniejsze i zimniejsze, jakby zbliżał

się do domu z lodu albo do bieguna północnego. Był jednak osobą wielce praktyczną, nigdy nie traktującą takich fantazji inaczej jak fantazji. Ledwie uniósł wzrok na wspaniale żywe kolory wspinające się ponad domem.

- Będzie śnieg - zauważył pogodnie.

Przez niską, zdobioną, żelazną furtkę włoskiego wzoru wszedł do ogrodu sprawiającego wrażenie zapuszczonego, tak jak to bywa w przypadku bałaganu w uporządkowanej przestrzeni. Ciemnozielone krzewy były szare od cienkiej pokrywy szronu, wielkie chwasty obramowywały nieporządnie pozostałości po klombach, a sam dom stał jakby po pas w skarłowaciałych krzakach. Roślinność składała się przede wszystkim z iglaków albo roślin zimnotrwałych, pomimo jednak swojej gęstości i ciężaru były zbyt północne, aby nazwać je bogatymi. Można by to określić jako arktyczną dżunglę. W pewnym sensie to samo odnosiło się do domostwa, które miało rząd kolumn i klasyczną fasadę, którą można było uznać za śródziemnomorską, która jednak obecnie wydawała się obumierać pod naporem wiatru od Morza Północnego. Klasyczne zdobienia tu i ówdzie wzmacniały ten kontrast - z narożników budynku w dół spoglądały kariatydy i wykrzywione maski komedii i tragedii, lustrując szarą płataninę ścieżek w ogrodzie, twarze jednakże wydawały się być naruszone mrozem. Same woluty kapiteli mogły się zwinąć od zimna.

Ojciec Brown wszedł na śliskie schody prowadzące na prostokątny ganek obramowany wielkimi filarami i zapukał do drzwi. Jakieś cztery minuty później zapukał ponownie. Potem stanął, wciąż czekając cierpliwie, plecami do drzwi i spoglądał na z wolna ciemniejący krajobraz. Ciemniał ze względu na mrok sprowadzony przez jeden wielki kontynent chmur, który nadpływał z północy. Nawet gdy ojciec Brown sięgał wzrokiem poza kolumny ganku, które w mroku wydawały się ogromne i ciemne, widział opalizującą otoczkę wielkiej chmury przesuwającej się ponad dachem i zwieszającej się nad gankiem jak baldachim. Ów wielki baldachim o kolorowych obrzeżach wydawał się opadać coraz niżej i niżej

na rozciągający się ogród, aż to, co jeszcze przed chwilą był czystym i bladym zimowym niebem, zmieniło się w kilka srebrzystych wstążek i skrawków, jak jakiś chorobliwy zachód słońca. Ojciec Brown czekał, a wokół nie rozlegały się żadne dźwięki.

Następnie dziarsko zszedł ze stopni i obszedł dom w poszukiwaniu innego wejścia. Wreszcie znalazł boczne drzwi w murze. Również w nie załomotał i czekał przed nimi. Potem nacisnął klamkę i odkrył, że drzwi są najwyraźniej zamknięte na jakąś zasuwę. Potem ruszył wzdłuż ściany budynku, rozmyślając nad tą sytuacją i zastanawiając się, czy ekscentryczny pan Aylmer zabarykadował się zbyt głęboko, żeby usłyszeć jakiegokolwiek wezwania, czy też może tym bardziej się zabarykadował, przewidując, że wszelkie wezwania muszą pochodzić od łaknącego zemsty Strake'a. Możliwe, że uciekający służący, gdy odchodzili z rana, otworzyli tylko jedne drzwi, a ich pan je potem zamknął, jednak, jakkolwiek mógł tak postąpić, to było mało prawdopodobne, by pod wpływem tamtej chwili służący tak starannie troszczyli się o obronę domu.

Książd kontynuował obchód budynku - nie był on bardzo duży, choć być może nieco pretensjonalny - a po kilku chwilach stwierdził, że zatoczył pełne koło. Chwilę później znalazł to, czego szukał i czego się spodziewał. Francuskie okno, osłonięte zasłoną i ocienione pnączami, było odrobinę uchylone, bez wątplenia przypadkowo. Wszedł przez nie do centralnego pomieszczenia, urządzonego komfortowo w dość staroświecki sposób, z klatką schodową po jednej i drzwiami po drugiej stronie. Naprzeciwko niego znajdowały się kolejne drzwi z wprawioną w nie czerwoną szybką, cokolwiek zbyt krzykliwe jak na współczesne gusta - coś, co wyglądało jak postać w czerwonej szacie w tanim witrażu. Na okrągłym stoliku po prawej stało jakby akwarium - wielka misa pełna zielonkawej wody, w której pływały ryby i inne stworzenia, a dokładnie naprzeciw niego stała jakaś palma o wielkich, zielonych liściach. Wszystko to sprawiało wrażenie tak zakurzonego i tak bardzo z epoki wczesno-wiktoriańskiej,

że telefon, widoczny w osłoniętej wnęce, stanowił niemal zaskoczenie.

- Kto tam jest? - rozległ się ostry i pełen podejrzliwości głos zza witrażowych drzwi.

- Czy mógłbym się zobaczyć z panem Aylmerem? - przepraszająco zapytał ksiądz.

Drzwi się otworzyły i z pytającą miną wyszedł z nich dżentelmen w tuzurku barwy pawiej zieleni. Włosy miał cokolwiek rozczochrane, jakby leżał w łóżku albo właśnie powoli wstawał, ale wzrok miał nie tylko rozbudzony, ale czujny, a niektórzy mogliby powiedzieć, że zaalarmowany. Ojciec Brown wiedział, że taka sprzeczność była całkiem prawdopodobna w przypadku człowieka, który żył w cieniu czy to złudzenia, czy niebezpieczeństwa. Miał przystojny, orli profil, jednak twarz widziana od frontu pogłębiała wrażenie zapuszczenia, a nawet dzikości, ze względu na rozwichrzoną, brązową brodę.

- To ja jestem Aymler - powiedział - ale już raczej nie spodziewam się gości.

Coś w czujnym spojrzeniu pana Aylmera kazało księdzu zmierzać prosto do sedna. Jeżeli prześladowanie tego człowieka były tylko monomanią, nie będzie raczej czuł o to urazy.

- Zastanawiałem się - łagodnie powiedział ojciec Brown - czy to prawda, że nie spodziewa się pan gości.

- Ma ksiądz rację - spokojnie odpowiedział gospodarz. - Zawsze spodziewam się jednego gościa. A on może być tym ostatnim.

- Mam nadzieję, że nie - westchnął ojciec Brown - ale przynajmniej z ulgą stwierdzam, że nie jestem do niego szczególnie podobny.

Pan Aylmer parsknął swego rodzaju dzikim śmiechem.

- Z całą pewnością ksiądz nie jest - przyznał.

- Panie Aylmer - szczerze powiedział ojciec Brown - przepraszam za swoje swobodne poczynania, ale pewni moi przyjaciele opowiedzieli mi o pańskich kłopotach i poprosili mnie, bym się przekonał, czy mogę coś dla pana zrobić.

Prawda jest taka, że posiadam niejaki doświadczenie w podobnych sprawach.

- Nie ma spraw podobnych do tej - oświadczył Aylmer.

- Chce pan powiedzieć - zapytał ojciec Brown - że te tragedie, które spadły na pańską nieszczęsną rodzinę, nie były normalnymi zgonami?

- Chcę powiedzieć, że to nie były nawet normalne morderstwa - odpowiedział tamten. - Człowiek, który nas wszystkich ściga, to piekielny ogar, a jego moc pochodzi od diabła.

- Każde zło ma swój początek - ponuro powiedział ksiądz. - Ale skąd pan wie, że to nie były normalne morderstwa?

Aylmer gestem wskazał swojemu gościowi fotel. Potem powoli, marszcząc brwi, usadowił się w drugim, ręce składając na kolanach, jednak gdy podniósł wzrok, jego mina była łagodniejsza i bardziej zamyślona, a głos bardziej serdeczny i stonowany.

- Sir - powiedział - Nie chcę, by uważał mnie pan za człowieka co najmniej niezrównoważonego. Doszedłem do tych konkluzji z określonego powodu, ponieważ ów powód, niestety, naprawdę do nich prowadzi. Bardzo dużo czytałem o tych tematach, jako że tylko ja odziedziczyłem wiedzę mojego ojca dotyczącą tych cokolwiek tajemniczych spraw, i odziedziczyłem również jego bibliotekę. Jednak to, co panu mówię, nie opiera się na tym, co przeczytałem, ale na tym, co widziałem.

Ojciec Brown kiwnął głową, a Aylmer mówił dalej, jakby dobierając słowa.

- W przypadku mojego starszego brata początkowo nie miałem pewności. Tam, gdzie został znaleziony zastrzelony, nie było żadnych śladów stóp, a pistolet leżał obok niego. Ale krótko wcześniej dostał list z pogrózkami, z całą pewnością od naszego wroga, ponieważ oznaczony był symbolem sztyletu ze skrzydłami, co jest jedną z jego piekielnych, kabalistycznych sztuczek. A służąca powiedziała, że widziała, jak w mroku coś się rusza wzdłuż ogrodowego muru, coś o wiele za dużego na kota. Tę kwestię zostawiam. Mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli morderca nadejdzie, to jest w stanie nie pozostawić żadnych

śladów. Jednakże gdy zginął mój brat Stephen, było inaczej i od tego czasu mam pewność. Maszyna pracowała w otwartym rusztowaniu pod wieżą fabryczną. Chwilę po tym, jak upadł pod ciosem żelaznego młota, wspiałem się na platformę. Nie zobaczyłem niczego innego, co by mogło go uderzyć, ale widziałem, co widziałem.

Pomiędzy mną a wieżą fabryczną unosiła się wielka chmura fabrycznego dymu, ale przez krawędź na jej szczycie zobaczyłem ciemną sylwetkę ludzką owiniętą w coś, co wyglądało jak czarna peleryna. Potem znowu pomiędzy nas napłynął siarczany dym, a gdy się oczyściło, popatrzyłem na odległy komin - nikogo tam nie było. Jestem człowiekiem racjonalnym i pytam wszystkich racjonalnych ludzi, w jaki sposób dostał się na zupełnie nieosiągalny komin i jak z niego zszedł.

Z wyzywającą miną sfinksa popatrzył na księdza. Potem, po chwili milczenia, odezwał się nagle:

- Zwoje mózgowie mojego brata został zniszczone, ale ciało nie odniosło szczególnych obrażeń. A w jego kieszeni znaleźliśmy jedną z tych wiadomości ostrzegawczych datowaną na dzień wcześniej i oznaczoną latającym sztyletem. Jestem pewien - ciągnął ponuro - że ten symbol skrzydlatego sztyletu nie jest przypadkowy. W tym odrażającym człowieku nic nie jest przypadkowe. Jest on starannie przemyślany, choć w efekcie to człowiek bardzo mroczny i skomplikowany. Jego umysł pełen jest nie tylko wyszukanych planów,

ale wszelkiego rodzaju tajemnych języków i symboli, niemych sygnałów i bezsłownych obrazów nazywających rzeczy bezimienne. To najgorszy znany światu rodzaj człowieka: niegodziwy mistyk. Cóż, nie mam zamiaru udawać, że zgłębiłem wszystko, co ten symbol wyraża, wydaje się jednak pewne, że musi mieć związek z tym wszystkim, co było najbardziej znaczące, czy wręcz niewiarygodne, w jego poczynaniach, gdy wisiał nad moją nieszczęsną rodziną. Czy nie ma żadnego związku pomiędzy ideą uskrzydłonej broni i tajemnicą, przez którą Phillip padł martwy na własnym trawniku, na którym nie było jakichkolwiek śladów stóp na

piasku czy trawie? Czy nie ma związku pomiędzy upierzonym sztyletem lecącym jak pierzasta strzała i postacią na szczycie wielkiego komina, odzianą w pelerynę dla możliwości lotu?

- Chce pan powiedzieć - z namysłem odezwał się ojciec Brown

- że człowiek ów potrafi lewitować.

- Robił to Szymon Mag¹⁷ - wytknął Aylmer - a jedną z najbardziej powszechnych przepowiedni Ciemnych Wieków było to, że Antychryst będzie latał. Tak czy inaczej, na tym dokumencie znajdował się latający sztylet, a czy faktycznie latał, czy też nie, z pewnością był w stanie ugodzić.

- Zwrócił pan uwagę, jaki to był papier? - zapytał ojciec Brown.

- Zwyczajny papier?

Twarz podobna Sfinksowi wykrzywiła się nagle w spazmie ostrego śmiechu.

- Sam może pan zobaczyć, jaki to papier - pośepnie odparł Aylmer -bo dziś rano sam dostałem wiadomość.

Odchylił się w swoim fotelu, nogi wysunął spod zielonego tużurka, który był na niego nieco za krótki, a brodaty podbródek oparł na piersi. Dłoń wsunął głęboko do kieszeni tużurka i sztywno wyciągnął trzepoczący papier. Całe jego zachowanie sugerowało jakiś paraliż, charakteryzujący się zarazem usztywnieniem i zapaścią. Jednakże następną uwagę księdza w ciekawy sposób go pobudziła.

Ojciec Brown mrugał krótkowzrocznie na zaprezentowany mu papier. Był to papier dość szczególny, szorstki, lecz niepospolity, jakby ze szkicownika artysty; na nim widniał narysowany mocną kreską, czerwonym atramentem, sztylet ozdobiony skrzydłami jak kaduceusz, z napisanymi słowami: „Śmierć przybędzie następnego dnia po tym, tak jak przybyła po twoich braci”.

Ojciec Brown cisnął kartkę na podłogę i wyprostował się w fotelu.

-Nie wolno panu pozwolić, by te brednie pana ogłupiły - oświadczył ostro. - Te diabły zawsze próbują odebrać nam nadzieję i tym samym uczynić bezsilnymi.

Raczej ku swojemu zaskoczeniu ujrzał, że przez sztywną postać przechodzi jakby ożywcza fala, a mężczyzna poderwał się z fotela jakby wyrwany ze snu.

- Ma ksiądz rację, ma ksiądz rację! - wykrzyknął Aylmer z dość dziwnym ożywieniem. - A te diabły przekonają się, że mimo wszystko nie jestem tak pozbawiony nadziei ani też bezsilny. Być może mam więcej nadziei i lepszą pomoc, niż ksiądz sobie wyobraża.

Marszcząc brwi, z rękami w kieszeniach stanął nad księdzem, który przez moment poczuł napływ wątpliwości, czy aby długotrwałe niebezpieczeństwo nie nadwerężyło jego mózgu. Jednak gdy się odezwał, przemówił raczej trzeźwo.

- Wierzę, że moi nieszczęśni bracia ponieśli klęskę, bowiem użyli niewłaściwej broni. Philip nosił rewolwer, i stąd jego śmierć została uznana za samobójstwo. Stephen miał ochronę policyjną, ale również miał poczucie, że jest przez to niedorzeczny, i nie mógł pozwolić, aby policjant wspiął się za nim po drabinie na rusztowanie, gdzie stał tylko przez chwilę. Obaj byli szydercami, sceptycyzmem reagując na dziwny mistycyzm ostatnich dni mojego ojca. To prawda, że studiując magię, został skażony czarną magią - czarną magią tego parszywca Strake'a. Ale moi bracia mylili się co do antidotum. Antidotum na czarną magię nie jest brutalny materializm czy światowa mądrość. Antidotum na czarną magię jest magia biała.

- To raczej zależy - zauważył ojciec Brown - od tego, co rozumieć jako białą magię.

- Mam na myśli srebrną magię - odparł tamten ściszone głosem, jak ktoś zdradzający tajemnicę. - Wie ksiądz, co rozumiem

przez srebrną magię? - powiedział po chwili ciszy. - Proszę chwilę poczekać.

Odwrócił się i otworzył centralne drzwi z czerwoną szybką, po czym wszedł w korytarz, który był za nimi. Dom był mniej przestronny, niż wydało się ojcu Brownowi. Drzwi, zamiast otwierać się na wewnętrzne pokoje, prowadziły na korytarz, który kończył się kolejnymi drzwiami, prowadzącymi do

ogrodu. Po jednej stronie przejścia znajdowały się drzwi do pojedynczego pokoju - bez wątpienia, powiedział ksiądz do siebie, sypialni właściciela, z której wyszedł odziany w tużurek. Po tej stronie był już tylko zwyczajny wieszak na kapelusze i odzież wierzchnią, ale widać tam też było coś bardziej interesującego: bardzo ciemną, starą, dębową szalkę zastawioną jakimiś starymi srebrami, a nad nią jakieś trofea czy ozdoba w postaci starej broni. Przy niej właśnie zatrzymał się Arnold Aylmer, spoglądając w górę na długi, przestarzały pistolet z wylotem lufy w kształcie dzwonka.

Drzwi na końcu korytarza były zaledwie uchylone, a przez szczelinę wpadała smuga białego światła dziennego. Ksiądz miał dobry instynkt co do rzeczy naturalnych, a coś w niezwyklej jasności tej białej linii powiedziało mu, co dzieje się na zewnątrz. Było to dokładnie to, co przewidział, zbliżając się do tego domu. Przebiegł obok swojego raczej zaskoczonego gospodarza i otworzył owe drzwi, by zmierzyć się z czymś, co jednocześnie było pustką i blaskiem. Lśnienie, które dostrzegł w szparze drzwi, nie było tylko najbardziej negatywową bielą światła dziennego, ale pozytywową bielą śniegu. Wszędzie wokół falujące połacie tej krainy pokryte były błyszczącą bladością, która jednocześnie sprawia wrażenie sędziwej i niewinnej.

- Oto jest biała magia - radosnym głosem powiedział ojciec Brown. - I pewnie srebrna także - wymamrotał, wracając do holu, bo biały blask przepysznie dotknął sreber i rozjarzył stare, stalowe elementy pociemniałej broni. Potargana głowa zadumanego Aylmera, gdy odwrócił się z twarzą w cieniu i dziwacznym pistoletem w dłoni, wydawała się być otoczona aureolą srebrnego ognia.

- Wie ksiądz, dlaczego wybrałem ten stary garłacz? - zapytał.
-Ponieważ mogę go załadować taką kulą.

Podniósł małą łyżkę z wizerunkiem apostoła i siłą odłamał figurkę z jej szczytu.

- Wróćmy do drugiego pokoju - dodał. - Czytał ksiądz kiedyś o śmierci Dundee'go? - zapytał, gdy znowu się usadowili. Otrząsnął się już z chwilowej irytacji wywołanej przez

żywiłowość ojca Browna. -Graham z Claverhouse, wie ksiądz, który prześladował zwolenników prezbiterianizmu i miał czarnego konia, który potrafił się wspiąć na urwisko. Nie wie ksiądz, że można go było zastrzelić wyłącznie srebrną kulą, ponieważ zaprzedał się diabłu? Jedna jest z wami dobra rzecz - wiecie przynajmniej na tyle dużo, żeby wierzyć w diabła.

- Och, tak - zgodził się ojciec Brown. - Wierzę w diabła. Nie wierzę jednakże w samego Dundee'go. To znaczy tego Dundee'go z legend o porozumieniu z prezbiterianami, z tym jego upiornym koniem. John Graham był po prostu siedemnastowiecznym żołnierzem zawodowym, raczej lepszym od większości. Skoro ich prześladował, to dlatego, że miał takie rozkazy, a nie dlatego, że był diabłem. Z mojego doświadczenia wynika, że nie jest to tego rodzaju pyszałkowaty wojak, który podpisuje pakt z piekłem. Znani mi czciciele diabła są zdecydowanie inni. Nie będę wymieniał nazwisk, żeby nie wywołać poruszenia w towarzystwie. Słyszał pan kiedykolwiek o Dalrymlu ze Stair?

- Nie - burknął tamten.

- Słyszał pan o tym, co zrobił - powiedział ojciec Brown - a było to gorsze od wszystkiego, co kiedykolwiek zrobił Dundee, jednak zapomnienie pozwoliło mu uniknąć niesławy. To on był sprawcą masakry w Glencoe. Był wielce uczonym człowiekiem i błyskotliwym prawnikiem, mężem stanu o bardzo poważnych i szeroko zakrojonych poglądach na temat kierowania państwem, cichym człowiekiem o bardzo subtelnej i inteligentnej twarzy. Właśnie tacy ludzie sprzedają się diabłu.

Aylmer, wiedziony entuzjazmem, na poły uniósł się z fotela.

- Na Boga! Ma ksiądz rację - wykrzyknął. - Subtelna, inteligentna twarz! Toż to twarz Johna Strake'a.

Potem powstał i spojrzał na księdza z dziwnym skupieniem.

- Jeśli ksiądz byłby uprzejmy chwilę poczekać - powiedział - to coś księdzu pokażę.

Wyszedł przez główne drzwi, zamykając je za sobą. Zmierzał, jak przypuszczał ojciec Brown, do starej szafki bądź może do swojej

sypialni. Ojciec Brown pozostał na miejscu, z zadumą wpatrując się w dywan, na którym znać było słaby, czerwony poblask od szyby w drzwiach. Raz wydawał się pojaśnić jak rubin, a potem znowu pociemniał, jakby w ten burzowy dzień słońce przesunęło się od chmury do chmury. Nie poruszało się nic poza wodnymi stworzeniami, które pływały tam i z powrotem w ciemnawej, zielonej misie. Ojciec Brown usilnie myślał.

Minutę czy dwie później wstał i wślizgnął się cicho do alkowy z telefonem, skąd zadzwonił do swojego przyjaciela, doktora Boyne'a, do kwatery głównej policji.

- Chcę panu opowiedzieć o Aylmerze i jego sprawach - powiedział cicho. - To przedziwna historia, ale skłaniam się ku opinii, że coś w niej jest. Na pańskim miejscu zaraz przysłałbym tutaj kilku ludzi; powiedzmy czterech lub pięciu, żeby otoczyli dom. Jeżeli faktycznie cokolwiek się wydarzy, to w sposobie ucieczki prawdopodobnie będzie coś zaskakującego.

Potem wrócił i znowu się rozsiadł, wpatrując w ciemny dywan, który w świetle od przeszklonych drzwi znowu polśniewał krwawą czerwienią. Coś w tym przefiltrowanym świetle sprawiło, że jego umysł, wraz z pierwszym białym światłem dnia przed nastaniem kolorów, zawędrował na istne bezdroża myśli, i cała ta zagadka na zmianę objawiała się i znikwała w symbolu okien i drzwi.

Zza zamkniętych drzwi dobiegło nieludzkie wycie ludzkiego głosu, niemal równocześnie z odgłosem wystrzału. Zanim umilkły echa strzału, drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju zatoczył się gospodarz, w tużurku na wpół zerwanym z ramienia i z dymiącym pistoletem w dłoni. Wydawało się, że każda jego kończyna drży, jednak po części drżał z nienaturalnego śmiechu.

-Chwała białej magii! - wykrzyknął. - Chwała srebrnej kuli! Ten piekielny ogar o jeden raz za dużo wypuścił się na polowanie i moi bracia wreszcie zostali pomszczeni.

Opadł na fotel, a pistolet wślizgnął mu się z ręki i spadł na podłogę. Ojciec Brown przebiegł obok niego, wślizgnął w

oszkłone drzwi i poszedł w dół korytarza. Po drodze położył rękę na klamce do drzwi sypialni, jakby mając zamiar tam wejść. Potem zatrzymał się na moment, jakby coś sprawdzał - a potem biegiem dopadł drzwi na zewnątrz i otworzył je.

Na polu śniegu, który ledwie chwilę wcześniej był taki nieskalany, leżał jeden czarny obiekt. Na pierwszy rzut oka wyglądał trochę jak ogromny nietoperz. Na drugi okazało się, że była to, mimo wszystko, postać ludzka. Leżała na twarzy, z całą głową okrytą szerokim, czarnym kapeluszem mającym cokolwiek latynoamerykański wygląd. Złudzenie czarnych skrzydeł brało się z luźnych rękawów bardzo szerokiego, czarnego okrycia rozpostartego na boki, być może przez przypadek, na niemalże całą długość. Obie ręce były schowane, chociaż ojciec Brown uznał, że jest w stanie określić pozycję jednej z nich, a tuż przy niej, pod skrajem peleryny, dostrzegł błysk jakiejś metalowej broni. Jednakże zasadniczy efekt ciekawie przywodził na myśl proste ekstrawagancje heraldyki; jakby czarny orzeł rozpostarty na białym tle. Ale obchodząc go i zaglądając pod kapelusz, ksiądz dostrzegł twarz, która w istocie była taką, jak określił ją jego gospodarz - subtelna i inteligentna, nawet sceptyczna i surowa: twarz Johna Strake'a.

- No, a niech mnie - wymamrotał ojciec Brown. - To naprawdę wygląda jak jakiś wielki wampir, który zanurkował jak ptak.

- A jak inaczej miałyby się tu dostać? - od drzwi dobiegł głos, a ojciec Brown podniósł wzrok i ponownie ujrzał Aylmera.

- A nie mógł po prostu przyjść? - wymijająco odpowiedział ojciec Brown.

Aylmer wyciągnął rękę i szerokim gestem objął biały krajobraz.

- Niech ksiądz popatrzy na ten śnieg - powiedział głębokim głosem, który miał w sobie pewien dreszcz. - Czyż śnieg nie jest tak nieskalany jak biała magia, jak sam go ksiądz nazwał? Czy w promieniu wielu mil jest na nim jakiś ślad, poza tym jednym odrażającym, czarnym kleksem, który tam

upadł? Nie ma żadnych śladów stóp, poza kilkoma księdza i moimi, znikąd żadne nie zbliżają się do domu.

Potem przez chwilę ze skupioną i dziwną miną popatrzył na księdza.

- Powiem księdzu coś innego - dodał. - Ta peleryna, na której lata, jest zbyt długa, żeby w niej chodzić. To nie był szczególnie wysoki człowiek - ciągnęłaby się za nim jak królewski tren. Jeśli ksiądz chce, niech ją ksiądz rozłoży wokół jego ciała i sam się przekona.

- Co przydarzyło się wam obu? - gwałtownie zapytał ojciec Brown.

- To działo się za szybko, żeby coś opisać - odpowiedział Aylmer. - Wyrzłem przez drzwi i właśnie się odwracałem, gdy wokół mnie zerwał się jakby wiatr, jakbym znalazł się na kole unoszącym się w powietrzu. W jakiś sposób się odwróciłem i wystrzeliłem na ślepo, a potem zobaczyłem to, na co ksiądz patrzy teraz. Jestem jednak duchowo przekonany, że nie widziałby ksiądz tego, gdyby nie srebrna kula w mojej broni. Na śniegu leżałoby inne ciało.

- A przy okazji - zauważył ojciec Brown - mamy je zostawić tutaj, na śniegu? Czy może wolałby pan zabrać je do pańskiego pokoju - przypuszczam, że w korytarzu znajduje się pańska sypialnia?

- Nie, nie - gwałtownie odpowiedział Aylmer. - Musimy zostawić je tutaj, póki nie obejrzy go policja. Poza tym na tę chwilę mam już wszystkiego dosyć. Cokolwiek się jeszcze wydarzy, ja zamierzam się napić. A potem mogą mnie powiesić, jeśli zechcą.

W centralnym pokoju, pomiędzy palmą a misą z rybkami, Aylmer opadł na fotel. Gdy chwiejnym krokiem wszedł do pomieszczenia, niemal zrzucił misę, ale po ślepym macaniu dłonią po kilku szafkach i narożnikach udało mu się znaleźć butelkę brandy. Dotąd bynajmniej nie sprawiał wrażenia człowieka metodycznego, w tej chwili jednakże jego rozkojarzenie musiało być ogromne. Wypił jednym, długim łykiem i zaczął mówić, dość gorączkowo, jakby chciał wypełnić ciszę.

- Widzę, że ksiądz nadal ma wątpliwości - powiedział. - Pomimo że widział pan wszystko na własne oczy. Proszę mi wierzyć, w tej kłótni pomiędzy duchem Strake'a a duchem domu Aylmerów było coś więcej. Poza tym ksiądz nie ma interesu w niewierze. Powinien ksiądz bronić tych wszystkich rzeczy, które ci głupi ludzie nazywają zabobonami. Nie sądzi ksiądz, że dużo jest choćby w tych opowieściach starych bab o szczęściu, urokach i innych takich, łącznie ze srebrnymi kulami? Co ksiądz mówi o nich jako katolik?

- Mówię, że jestem agnostykiem - z uśmiechem odpowiedział ojciec Brown.

-Nonsens - stwierdził zniecierpliwiony Aylmer. - Wierzyć w różne rzeczy to księdza zawód.

- Cóż, istotnie, w pewne rzeczy wierzę - przyznał ojciec Brown - i stąd oczywiście w inne rzeczy nie wierzę.

Aylmer się pochylił i popatrzył na niego dziwnie intensywnie, jakby był mesmerystą.

- Ależ ksiądz w to wierzy - powiedział. - Wierzy ksiądz we wszystko. Wszyscy wierzymy we wszystko, nawet jeśli wszystko negujemy. Ci co negują, wierzą. Wierzą niewierzący. Czy w głębi serca nie czuje ksiądz, że te sprzeczności wcale sprzeczne nie są, że istnieje kosmos, który mieści je wszystkie? Dusza obraca się jakby na gwiazdzystym kole i wszystko wraca; być może Strake i ja walczyliśmy w wielu postaciach, zwierzę przeciwko zwierzęciu i ptak przeciwko ptakowi, i być może wiecznie będziemy walczyć. Ale skoro szukamy i potrzebujemy się nawzajem, to nawet taka wieczysta nienawiść jest wieczystą miłością. Dobro i zło obracają się w kręgu, które jest jednym, nie wieloma. Czy w głębi serca nie uświadamia sobie ksiądz, czy poza wszystkimi swoimi przekonaniem nie wierzy, że istnieje tylko jedna rzeczywistość, a my jesteśmy jej cieniami, i że wszystkie rzeczy są jedynie aspektami jednej rzeczy: centrum, gdzie ludzie roztapiają się w Człowieku, a Człowiek w Bogu?

- Nie - odparł ojciec Brown.

Na zewnątrz zaczął zapadać zmierzch. Był to tego rodzaju wieczór, gdy przysypana śniegiem ziemia wygląda na

jaśniejszą niż niebo. Na ganku przy głównym wejściu przez na wpół zasłonięte okno ojciec Brown widział niewyraźnie masywną postać. Rzucił okiem na francuskie okno, przez które wszedł sam, i zobaczył, że zasłaniają je dwie podobnie nieruchome postacie. Wewnętrzne drzwi z witrażem były lekko uchylone, a w krótkim korytarzu za nimi widział dwa długie cienie, wyciągnięte i zniekształcone przez słabe światło wieczoru, wciąż jednak przypominające szare karykatury ludzkich sylwetek. Doktor Boyne poważnie potraktował wiadomość telefoniczną. Dom był otoczony.

- Co dobrego jest w zaprzeczaniu? - naciskał jego gospodarz, wciąż z tym samym, hipnotycznym spojrzeniem. - Na własne oczy widział ksiądz część tego wiecznego dramatu. Widział ksiądz niebezpieczeństwo, że John Strake zamorduje Arnolda Aylmera za pomocą czarnej magii. Widział ksiądz, że Arnold Aylmer zgładził Johna Strake'a za pomocą białej magii. Widzi ksiądz, że Arnold Aylmer żyje i z księdzem rozmawia. A jednak ksiądz w to nie wierzy.

- Nie, nie wierzę - potwierdził ojciec Brown i wstał z fotela jak ktoś kończący wizytę.

- Dlaczego nie? - zapytał tamten.

Głos księdza podniósł się tylko odrobinę, ale rezonował w każdym kącie pokoju jak dzwon.

- Ponieważ nie jest pan Arnoldem Aylmerem - powiedział. - Wiem, kim pan jest. Nazywa się pan John Strake i zamordował pan ostatniego z braci, który leży na zewnątrz na śniegu.

Wokół tęczówek tamtego pojawił się biały okrąg. Wydawał się, wytrzeszczając oczy, po raz ostatni próbować zahipnotyzować i zawładnąć swoim towarzyszem. Potem nagle poruszył się na boki, a w chwili, gdy to robił, drzwi za nim otworzyły się i rosły detektyw w zwykłym ubraniu cicho położył mu dłoń na ramieniu. Druga dłoń zwisała swobodnie, ale trzymał w niej rewolwer. Mężczyzna dziko rozejrzał się dookoła i w każdym rogu cichego pokoju zobaczył mężczyzn w zwykłych ubraniach.

Tego wieczoru ojciec Brown odbył kolejną, tym razem dłuższą rozmowę z doktorem Boynem. Rozmawiali o tragedii rodziny Aylmerów. Do tego czasu nie było już wątpliwości co do głównego faktu tej sprawy, jako że John Strake potwierdził swoją tożsamość i nawet przyznał do swoich zbrodni - choć należałoby raczej powiedzieć, że chełpił się swoimi zwycięstwami. W porównaniu do faktu, że dzieło jego życia zakończyło się wraz ze śmiercią ostatniego z Aylmerów, wszystko inne, łącznie z samą egzystencją, wydawało się być mu obojętne.

- Ten człowiek to swego rodzaju monomaniak - powiedział ojciec Brown. - Nie interesuje go nic innego, nawet kolejne morderstwo. Coś mu przez to zawdzięczam; tego popołudnia refleksja ta wielokrotnie mnie uspokajała. Jak pan niewątpliwie zauważył, zamiast opowiadać te wszystkie androny o skrzydlatych wampirach i srebrnych kulach, mógł wpakować we mnie najzwyklejszą kulę z ołowiu i wyjść z domu. Zapewniam pana, że całkiem często przychodziło mi to do głowy.

- Ciekawe, dlaczego tego nie zrobił - mruknął Boyne. - Nie rozumiem tego, ale na razie niczego nie rozumiem. Jak ksiądz to odkrył i, do licha, co ksiądz właściwie odkrył?

- Och, dostarczył mi pan ogromnie cennych informacji - skromnie odpowiedział ojciec Brown - a zwłaszcza jedna rzecz była naprawdę ważna. Mam na myśli te słowa, że Strake to bardzo pomysłowy i błyskotliwy kłamca, potrafiący kłamać bardzo spójnie. Tego popołudnia potrzebował tej umiejętności, ale dorósł do tej sytuacji. Być może jedynym popełnionym przez niego błędem było wybranie historii nadprzyrodzonej. Uznał, że skoro jestem kapłanem, to uwierzę we wszystko. Wielu ludzi tak sądzi.

- Ale ja nie wiem, gdzie to ma ręce i nogi - poskarżył się doktor.

- Naprawdę musi ksiądz zacząć od początku.
- Początkiem jest tużurek - z prostotą odparł ojciec Brown.
- To jeden z najlepszych kamuflaży, z jakimi kiedykolwiek się spotkałem. Kiedy w domu natykasz się na człowieka w

tużurku, automatycznie zakładasz, że znajduje się on we własnym domu. Ja sam tak założyłem. Ale potem zaczęły się takie różne dziwne drobiazgi. Gdy zdjął ten pistolet, nacisnął spust, trzymając broń w wyciągniętej ręce, jak to robi człowiek chcący się upewnić, czy obca broń nie jest załadowana. Oczywiście wiedziałby, czy pistolet znajdujący się w jego własnym holu jest naładowany czy nie. Nie spodobało mi się to, jak szukał brandy, czy to, jak prawie zrzucił misę z rybkami. Jak na człowieka, który na wyposażeniu pokoju ma coś tak kruchego, powinien mieć dość mechaniczny nawyk unikania tego. Ale te rzeczy mogły być przypadkami. Pierwszym twardym dowodem było co innego. Wyszedł z małego korytarzyka pomiędzy dwojgiem drzwi, a w tym korytarzyku były tylko jedne drzwi prowadzące do pokoju, uznałem więc, że była to jego sypialnia, z której właśnie wyszedł. Próbowałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz, zajrzałem więc przez dziurkę od klucza. To był kompletnie pusty pokój, najwyraźniej opuszczony; żadnego łóżka, niczego. Zatem nie wyszedł z żadnego pokoju, tylko przyszedł z zewnątrz domu. A gdy to zrozumiałem, uznałem, że mam pełen obraz.

Nieszczęsny Arnold Aylmer bez wątpienia sypiał i być może żył na górze, i zszedł na dół ubrany w tużurek, i przeszedł przez te drzwi z czerwoną szybą. Na końcu korytarza, na tle zimowego dnia, zobaczył czarną sylwetkę wroga swojego domu. Zobaczył wysokiego, brodatego człowieka w kapeluszu z szerokim rondem

i obszernej, trzepoczącej pelerynie. Na tym świecie nie było mu dane zobaczyć o wiele więcej. Strake ruszył na niego, udusił go albo zadźgał nożem - tego nie będziemy wiedzieć do czasu sekcji. Potem Strake, stojąc w wąskim przejściu pomiędzy wieszakiem na kapelusze i starą szafką, patrząc z triumfem na ostatniego ze swoich nieprzyjaciół, usłyszał coś, czego się nie spodziewał. W salonie z tyłu usłyszał kroki. To byłem ja sam, wchodzący przez francuskie okno.

Jego maskarada była istnym cudem improwizacji. To był nie tylko kamuflaż, ale także fantazja - improwizowana fantazja.

Zdjął swój wielki, czarny kapelusz i pelerynę i nałożył tużurek zmarłego. Potem zrobił coś dosyć makabrycznego; przynajmniej ja odbieram to jako bardziej makabryczne od całej reszty. Powiesił ciało na haczyku na kapelusze, jak jeden z płaszczy. Okrył je własną, długą peleryną i stwierdził, że sięga ona dobrze poniżej stóp. Głowę okrył całkowicie własnym, szerokim kapeluszem. To był jedyny możliwy sposób, żeby ukryć je w małym korytarzu z zamkniętymi drzwiami, ale był to sposób naprawdę przebiegły. Ja sam przeszedłem obok tego wieszaka na kapelusze, nie zdając sobie sprawy, że jest tam coś więcej niż nakrycia wierzchnie. Ta moja nieświadomość już chyba zawsze będzie mnie przyprawiać o dreszcze.

Pewnie mógłby je tak zostawić, ale w każdej chwili mogłem odkryć ciało, a tam, gdzie wisiało, były to zwłoki domagające się wytłumaczenia. On zaś zdecydował się na śmielsze podejście, odkrywając je samemu i samemu to tłumacząc.

Wtedy w tym dziwacznym i przerażająco delikatnym umyśle zaświtała koncepcja zamiany, odwrócenia ról. Przyjął już rolę Arnolda Aylmera. Dlaczego jego martwy wróg nie miałby przyjąć roli Johna Strake'a? W tym musiało być coś pokręconego, żeby upodobać sobie tego mrocznie dziwnego człowieka. To było jak jakiś przerażający bal kostiumowy, podczas którego dwóch śmiertelnych wrogów przebrało się za siebie nawzajem. Tyle tylko, że ten bal maskowy był tańcem śmierci, a jeden z tancerzy był martwy. Wyobrażam sobie, że tak właśnie ten człowiek to widział i mogę sobie wyobrazić, że się uśmiechał.

Ojciec Brown wpatrywał się w pustkę swoimi dużymi, szarymi oczami, które gdy nie były zamglone przez jego sztuczkę z mruga-

niem, były jedyną wyrazistą częścią jego twarzy. Wrócił do rozmowy, mówiąc z prostotą i poważnie:

- Wszystkie rzeczy pochodzą od Boga, a przede wszystkim rozsądek, wyobraźnia i wielkie talenty umysłu. Same w sobie są dobre - nie wolno nam zapominać o ich pochodzeniu, nawet gdy ulegają wypaczeniu. Ten zaś człowiek posiadał wielce

szlachetny talent, który mógł się wypaczyć: talent do snucia opowieści. Był wielkim powieściopisarzem, tyle tylko, że swoją twórczą moc wykorzystywał praktycznie i niewłaściwie, oszukując ludzi przy pomocy zmyślonych faktów. Zaczęło się to od oszukiwania starego Aylmera rozbudowanymi wymówkami i pomysłowo szczegółowymi kłamstwami, ale nawet to mogło być z początku jedynie opowiastkami dziecka, które może równie dobrze powiedzieć, że widziało króla Anglii, jak króla wrózek. Wzmacniało się to w nim przez przywarę, która utrwała wszystkie wady, przez pychę - był coraz bardziej i bardziej prózny dzięki temu, że z taką łatwością wymyślał oryginalne historie i z takim kunsztem je rozwijał. To właśnie miał na myśli młody Aylmer, mówiąc, że zawsze był w stanie rzucić na ich ojca zaklęcie - i to była prawda. Było to tego rodzaju zaklęcie, które bajarka rzuciła na tyrana w **Opowieściach Tysiąca i Jednej Nocy**. I do samego końca przemierzał świat z dumą poety i z fałszywą, choć niepojętą odwagą wielkiego kłamcy. Gdyby jego życie było zagrożone, zawsze mógł wymyślić kolejne opowieści tysiąca i jednej nocy. A dziś jego życie było zagrożone.

Ale, tak jak mówię, jestem pewien, że rozkoszował się tą fantazją tak samo, jak konspiracją. Zdał sobie sprawę z tego, że prawdziwą historię opowiedział w niewłaściwy sposób: martwego człowieka traktując jak żywego, a żywego jak martwego. Założył już tużurek Aylmera, zaczął wchodzić w jego skórę. Popatrzył na zwłoki tak, jakby to jego własne ciało leżało martwe na śniegu. Potem rozłożył je w ten dziwny sposób mający zasugerować lot nurkowy ptaka na ofiarę i przyozdobił je nie tylko przy pomocy własnej czarnej peleryny, ale też całej mrocznej bajki o czarnym ptaku, którego zabić może wyłącznie srebrna kula. Nie wiem, czy na tej szafce błyszczało srebro, czy to blask śniegu zza drzwi podpowiedział jego bardzo artystycznemu temperamentowi temat białej magii i białego metalu

używanego przeciwko magom. Ale z czego by to nie wynikało, wykorzystał to po swojemu, jak poeta, i zrobił to bardzo sprawnie, jak człowiek praktyczny. Zakończył podmianę i

zamianę ról wyrzuceniem ciała na śnieg jako ciała Strake'a. Zrobił, co mógł, by rozwinąć koncepcję Strake'a jako czegoś, co mogło gdziekolwiek spaść z powietrza, harpii o śmigłych skrzydłach i szponach niosących śmierć, aby wytłumaczyć brak śladów stóp i innych rzeczy. Ze względu na ten artystyczny tupet ogromnie go podziwiam. Faktycznie zdołał jedną ze sprzeczności w tej sprawie obrócić na swoją korzyść, i mówiąc, że peleryna tego człowieka była dla niego zbyt długa, dowiódł, że nie chodził on po ziemi jak zwyczajny śmiertelnik. Ale mówiąc to, patrzył na mnie bardzo uważnie i coś mi powiedziało, że w tym właśnie momencie próbował naprawdę wielkiego blefu.

Doktor Boyne się zadumał.

- To wtedy odkrył ksiądz prawdę? - zapytał. - Myślę, że jest coś bardzo dziwnego i szarpiącego nerwy w pojęciach mających wpływ na tożsamość. Nie wiem, co tu jest dziwniejsze, domyślić się czegoś takiego wcześniej czy później. Zastanawiam się, kiedy ksiądz nabrał podejrzeń i kiedy się upewnił.

- Podejrzeń nabrałem chyba wtedy, gdy do pana zatelefonowałem - odparł jego przyjaciel. - I chodziło tylko o to czerwone światło przeświecające przez zamknięte drzwi i przyciemniające dywan. Wyglądało jak plama krwi, coraz jaskrawsza, gdy domaga się zemsty. Dlaczego miałyby się zmieniać w taki sposób? Wiedziałem, że słońce się nie pokazało, a więc mogło to być tylko w wyniku otwarcia, a potem zamknięcia drzwi do ogrodu. Ale jeżeli wyszedłby na zewnątrz i wtedy ujrzał swojego wroga, wówczas podniósłby alarm, a minęło trochę czasu, zanim doszło do tej awantury. Zacząłem czuć, że wyszedł, żeby coś zrobić... żeby coś przygotować... ale to, kiedy nabrałem takiej pewności, to już inna sprawa. Wiedziałem, gdy pod sam koniec próbowałem mnie zahipnotyzować, zawładnąć mną poprzez czarną sztukę oczu jak talizmany i głosu jak inkantacja. Tak właśnie postępował ze starym Aylmerem, bez wątplenia. Ale nie chodziło tylko o sposób, w jaki mówił, ale o to, co mówił. Była w tym religia i filozofia.

- Obawiam się, że ja jestem człowiekiem praktycznym - nieco zgryźliwie powiedział doktor - i nieszczególnie zawracam sobie głowę religią i filozofią.

- Dopóty pan tego nie zrobi, nie będzie pan człowiekiem praktycznym - odparł ojciec Brown. - Doktorze, proszę posłuchać... Zna mnie pan całkiem nieźle, wie pan chyba, że nie jestem bigotem. Wie pan, że wiem, że we wszystkich religiach jest wszystko: dobrzy ludzie w złych i źli ludzie w dobrych. Istnieje jednakże jeden mały fakt, który poznałem po prostu jako człowiek praktyczny, który zrozumiałem na podstawie doświadczenia, jak sztuczki zwierzęcia czy znak handlowy dobrego wina. Nigdy nie spotkałem przestępcy, który by w ogóle nie filozofował, który nie odnosił się do orientalizmu, powtarzalności i reinkarnacji, koła przeznaczenia i węża gryzącego własny ogon. Z praktyki stwierdziłem, że na sługach tego węża ciąży klątwa - powinni pełzać na brzuchu i żywić się pyłem, i że nigdy nie było urodzonego łajdaka czy rozpustnika, który nie potrafiłby rozprawić o tego rodzaju duchowości. Może to mieć niewiele wspólnego z faktycznymi podstawami religijnymi, ale tutaj, w naszym zapracowanym świecie, to jest religia łotrów, a ja wiedziałem, że to właśnie łotr przemawiał.

-Jak to - zdziwił się Boyne - ja pomyślałbym raczej, że łotr może wyznawać każdą religię, jaką wybierze.

- Owszem - zgodził się ksiądz - może wyznawać jakąkolwiek religię, czy raczej może udawać przywiązanie do jakiejkolwiek religii. Gdyby chodziło tutaj wyłącznie o mechaniczną hipnozę i nic więcej, bez wątpienia dałby sobie z tym radę i zwykły, mechaniczny hipokryta. Na każdą twarz można nałożyć każdą maskę. Każdy może się nauczyć określonych zdań czy twierdzić, że wyznaje określone poglądy. Ja mogę wyjść na ulicę i twierdzić, że jestem metodystą czy sandemańczykiem¹⁸, chociaż obawiam się, że nie mam zbyt przekonującego akcentu. My jednak mówimy o artyście, a dla rozkoszowania się sztuką maska do pewnego stopnia musi się stopić z jego twarzą. To, co pokazuje na zewnątrz, musi korespondować z czymś w jego wnętrzu - efekt może uzyskać

wyłącznie bazując na określonych materiałach ze swojej duszy. Przypuszczam, że mógłby powiedzieć, że jest metodystą, nigdy jednak nie mógłby być elokwentnym metodystą tak, jak mógł być elokwentnym mistykiem i fatalistą. Mówię tu o takiego rodzaju ideale, o jakim myśli człowiek, gdy naprawdę próbuje być idealistą. Prowadził ze mną całą grę, starając się być tak idealistycznym, jak to tylko możliwe, a gdy próbuje tego człowiek tego rodzaju, to generalnie można stwierdzić, że to jest swego rodzaju ideał. Taki człowiek może ociekać krwią, ale zawsze będzie w stanie dosyć szczerze stwierdzić, że buddyzm jest lepszy od chrześcijaństwa. Ba, powie panu szczerze, że buddyzm jest bardziej chrześcijański od chrześcijaństwa. Już samo to wystarczy, żeby rzucić okropne światło na jego pojmowanie chrześcijaństwa.

- Na moją duszę - ze śmiechem powiedział doktor - nie mogę zdecydować, czy ksiądz go oskarża, czy broni.

- Powiedzenie, że człowiek jest geniuszem, to nie jest obrona - powiedział ojciec Brown. - W żadnym razie. A to prosty psychologiczny fakt, że artysta zdradzi się przez jakąś szczerłość. Leonardo Da Vinci nie potrafił rysować tak, jakby nie potrafił. Nawet gdyby spróbował, to zawsze byłaby mocna parodia słabej rzeczy. Ten człowiek kościoła metodystycznego zrobiłby coś znacznie bardziej przerażającego i cudownego.

Gdy ksiądz skończył mówić i ruszył w stronę domu, zimno zrobiło się jeszcze bardziej dojmujące i przenikliwe. Drzewa stały jak srebrne kandelabry z jakimiś niewiarygodnymi, zimnymi, oczyszczającymi ogniami. Chłód był przeszywający, jak srebrne ostrze czystego bólu, który przebijał samą czystość. Jednak nie był to chłód zabójczy, poza tym, że wydawało się, że ma zamiar pozabijać wszystkie śmiertelne przeszkody na drodze do naszego nieśmiertelnego i niezmiernego życia. Bładozielone niebo zmierzchu, z jedną gwiazdą niby gwiazda betlejemska, przez jakieś dziwne przeciwieństwo wydawało się być idealnie przejrzyste. Sprawiało wrażenie, jakby był tam zielony piec zimna, które budziło wszystko do życia jak ciepło, a im bardziej zagłębiało

się w te zimne, krystaliczne kolory, tym bardziej przypominały skrzydlate stworzenia i były jasne jak kolorowe szkło! Wibrowało prawdą i oddzielało prawdę od kłamstwa jak lodowe ostrze, ale wszystko to, co zostało,

nigdy nie czuło się bardziej żywe. Było to tak, jakby wszelka radość była klejnotem w sercu lodowej góry. Ksiądz, wchodząc głębiej i głębiej w ten zielony blask, spijając kolejne i kolejne łyki tej dziewiczej rzeźkości powietrza, ledwie rozumiał własny nastrój. Wydawało się, że znika jakiś zapomniany mętlik i choroba, starte tak, jak śnieg zatarł ślady stóp brutalnego człowieka. Gdy przez śnieg człapał do domu, wymruczał do siebie:

- A jednak miał trochę racji co do tego, że biała magia istnieje. Gdyby tylko wiedział, gdzie jej szukać...

ZAGŁADA DARNAWAYÓW

Dwóch malarzy pejzażystów stało, spoglądając na jeden krajobraz, który obejmował również morze, i obaj byli pod wrażeniem, jakkolwiek ich wrażenia nie były dokładnie takie same. Dla jednego z nich, który był wschodzącą gwiazdą z Londynu, było to coś nowego i osobliwego. Drugiemu, który był lokalnym artystą, ale też kimś więcej niż tylko lokalną sławą, widok ten był dobrze znany, ale przez to, co o nim wiedział, być może tym dziwniejszy.

W terminach barwy i formy, tak jak postrzegali je ci mężczyźni, była to długa plama piasku na tle plamy zachodzącego słońca, cała scena utrzymana w pasmach posępnych kolorów, martwej zieleni, brązach i szarości, która nie była do końca mdła, ale w tym świetle wydawała się być bardziej tajemnicza niż złoto. Te poziome linie przełamane były przez długi budynek, który sięgał od łąk do połaci morskiego piasku, tak że rośliny i krzewy, którymi był obsadzony, prawie spotykały się z wodorostami. Ale jego najbardziej charakterystyczną cechą było to, że górna kondygnacja wyglądała jak ruina podziurawiona taką ilością dużych okien i pęknięć, że na tle gasnącego światła wyglądało to wszystko jak ciemny szkielet, zaś niższa część budynku była niemalże pozbawiona okien, z czego większość była zaślepiona cegłami, a w mroku ich zarysy ledwie można było odróżnić. Jednak przynajmniej jedno okno wciąż było oknem; a to, że było w nim światło, zakrawało na rzecz najdziwniejszą ze wszystkich.

- Któż, do licha, mieszka w takiej starej ruinie? - wykrzyknął londyńczyk, który był dużym, ekstrawagancko wyglądającym mężczyzną, młodym, ale z potarganą czerwoną brodą, która go postarzała. W Chelsea znano go jako Harry'ego Payne'a.

- Można by przypuszczać, że duchy - odpowiedział jego przyjaciel, Martin Wood. - Cóż, ludzie, którzy tam mieszkają, w sumie są jak duchy.

To był niemal paradoks, że londyński artysta w swojej żywiołowej świeżości i zachwycie wydawał się prawie naiwny, podczas gdy miejscowy artysta wydawał się być osobnikiem bardziej przenikliwym i doświadczonego, traktując go z dojrzałością i łagodnym rozbawieniem; w istocie był zarazem spokojniejszy i bardziej konwencjonalny, nosząc ciemniejsze ubranie, a kanciastą, beznamietną twarz goląc na gładko.

- To rzecz jasna jedynie znak czasów - kontynuował - albo przemijania starych czasów i starych rodzin wraz z nim. W tym domu mieszkają ostatni z wielkich Darnawayów, a niewielu współczesnych biedaków jest tak biednych, jak oni. Nie stać ich nawet na utrzymanie górnego piętra w stanie zdatnym do zamieszkania i muszą żyć w niższych pokojach ruiny, jak nietoperze i sowy. Mają jednak portrety rodzinne sięgające czasów Wojny Dwóch Róż¹⁹ i pierwszy portret namalowany w Anglii, a niektóre z nich doprawdy wspaniałe. Wiem o tym, bo tak się złożyło, że poprosili mnie o profesjonalną poradę odnośnie ich renowacji. Zwłaszcza jeden z najwcześniejszych jest niezwykle, jest tak dobry, że miałby pan ciarki.

- Całe to miejsce przyprawia o ciarki - odpowiedział Payne.

- Cóż - mruknął jego przyjaciel - prawdę mówiąc, faktycznie. Późniejszą ciszę zakłócił słaby szelest w krzakach przy fosie, a gdy wyłoniła się z nich ciemna postać, poruszając się gwałtownie i niemal jak przestraszony ptak, nic dziwnego, że obaj drgnęli nerwowo. Był to jednak tylko mężczyzna idący szybko z czarną torbą w ręce -mężczyzna o pociągłej, ziemistej twarzy i przenikliwych oczach, które na obcego z Londynu zerkały nieco złowrogo i podejrzliwie.

- To tylko doktor Barnet - z niejaką ulgą powiedział Wood. - Dobry wieczór, panie doktorze. Idzie pan do domu? Mam nadzieję, że nikt nie zachorował.

- W takim miejscu zawsze wszyscy są chorzy - warknął doktor. -Czasami tylko są zbyt chorzy, żeby o tym wiedzieć.

Już samo powietrze w tym domu niesie zarazę. Nie zazdroścę temu młodzieńcowi z Australii.

- A kim - zapytał Payne gwałtownie i nieco nieprzytomnie - może być ten młodzieniec z Australii?

- Ach! - parsknął doktor. - Pański przyjaciel nie powiedział panu o nim? O ile mi wiadomo, przyjeżdża dzisiaj. W sumie to istny romans w starym, melodramatycznym stylu: dziedzic wraca z kolonii do swego zrujnowanego zamku, wszystko się zgadza, łącznie ze starą rodzinną umową, że poślubi damę osadzoną w porośniętej bluszczem wieży. Stare dziwactwa, prawda? Ale takie rzeczy naprawdę się czasem dzieją. Młodzieniec ma nawet trochę pieniędzy, co jest jedynym jasnym punktem w całym tym interesie.

- A co o tym interesie myśli sama panna Darnaway w swojej porośniętej bluszczem wieży? - sucho zapytał Martin Wood.

- Do tej pory pomyślała już o wszystkim - odpowiedział doktor.

- Nie przejmuje się starymi przesądami, jedynie marzy i dryfuje. Wydaje mi się, że zgadza się na ten rodzinny kontrakt i kolonialnego męża jako część Zagłady Darnawayów, sam pan wie. Myślę, że jeśli pan młody okaże się garbatym Murzynem z jednym okiem i morderczymi zapędami, ona uzna to jedynie za ostatni szlif pasujący do mrocznej scenerii.

- Nie daje pan mojemu przyjacielowi z Londynu szczególnie żywego obrazu moich przyjaciół ze wsi - ze śmiechem powiedział Wood. - Miałem zamiar zabrać go tam na wizytę; żaden artysta nie powinien stracić okazji obejrzenia tych portretów Darnawayów, jeśli ma taką możliwość. Może jednak lepiej to odłożyć, skoro są w środku australijskiej inwazji.

- Och, ależ idźcie tam i oglądajcie, na litość boską - ciepło powiedział doktor Barnet. - Wszystko, co rozjaśni ich parszywe życie, sprawi, że moje zadanie będzie łatwiejsze. Trzeba by naprawdę wielu kolonialnych kuzynów, żeby poprawić stan rzeczy, tak sądzę

- a im więcej, tym weselej. Chodźcie, sam was zaprowadzę.

Gdy zbliżyli się do domu, widać było, że jest izolowany jak wyspa otoczona fosą pełną słonawej wody, nad którą przeszli

po moście. Po drugiej stronie rozpościerał się dosyć rozległy, kamienny dziedziniec czy nasyp z wielkimi spękaniem w poprzek, z których tu i ówdzie wybijały chwasty. W szarym zmięczeniu skalna platforma wydawała się wielka i naga, a Payne ledwie mógł uwierzyć, że w takim zakamarku przestrzeni może mieścić się tyle dziczy. Platforma ta wyciągała się na jedną stronę jak jakiś gigantyczny próg, a za nią znajdowały się drzwi; bardzo niski łuk w stylu Tudorów stał otworem, jednak ciemno w nim było jak w jaskini.

Gdy dziarski doktor bez ceregieli wprowadził ich do środka, Payne poczuł następne uderzenie przygnębia. Spodziewałby się wspinaczki na bardzo zrujnowaną wieżę przez wąziutkie, wietrzne klatki schodowe, tymczasem pierwsze kroki w tym domu prowadziły po schodach w dół. Przez kilka niskich i zniszczonych klatek schodowych dostali się do dużych, marnie oświetlonych pokojów, które - gdyby nie rzędy ciemnych obrazów i zakurzonych półek z książkami - mogłyby być tradycyjnymi lochami pod zamkową fosą. Tu i ówdzie pojedyncza świeca w starym kandelabrze oświetlała jakiś zakurzony, przypadkowy detal umarłej elegancji. Gość jednakże mógłby popaść w przygnębia nie tyle przez to sztuczne oświetlenie, ale przez blade przebłyski światła naturalnego. Gdy szedł w dół długiego pomieszczenia, w murze zauważył tylko jedno okno -interesujące, niskie, owalne okno w stylu późnego wieku siedemnastego. Dziwne w nim jednak było to, że nie wychodziło bezpośrednio na żadną przestrzeń czy niebo, tylko na odbicie nieba; blade pasek dziennego światła odbijający się słabo w fosie pod ciężkim cieniem skarpy. Payne przypomniał sobie Lady Shallott, która poza tym, co odbijało się w zwierciadle, nigdy nie widziała świata na zewnątrz. Lady Shallott nie tylko w pewnym sensie świat widziała w lustrze, ale nawet widziała go do góry nogami.

- Zupełnie jakby dom Darnawayów walił się zarówno dosłownie jak metaforycznie - ściszone głosem powiedział Wood. - Jakby bardzo powoli zapadał się w bagno albo lotne piaski, aż morze zakryje go jak zielony dach.

Nawet krzepki doktor Barnet drgnął lekko na widok postaci, która w ciszy podeszła, aby ich przywitać. Pomieszczenie w istocie

było tak ciche, że wszyscy drgnęli, uświadomiwszy sobie, że nie jest puste. Gdy weszli, znajdowało się w nim troje ludzi: trzy ciemne postacie tkwiące bez ruchu w ciemnym pokoju. Wszyscy troje ubrani byli na czarno i wyglądali jak mroczne cienie. Gdy najbardziej wysunięta do przodu osoba podeszła bliżej szarego światła sączącego się z okna, pokazała twarz niemal równie szarą, co jej włosy. Był to stary Vine, zarządca, od śmierci ekscentrycznego rodzica, ostatniego lorda Darnawaya, pełniący obowiązki ojca. Gdyby nie brak zębów, byłby przystojnym starcem. Ostał mu się tylko jeden, który widać było od czasu do czasu, co sprawiało, że wyglądał dość złowieszczo. Z wielką uprzejmością przyjął doktora i jego przyjaciół i odprowadził ich do miejsca, gdzie siedziały pozostałe dwie osoby w czerni. Jedna z nich wywarła na Paynie wrażenie pasującej do ponurej starości zamku tylko przez to, że była księdzem katolickim, który w dawnych, mrocznych czasach mógłby wyjść z jakiejś księżej dziury²⁰. Payne był w stanie wyobrazić go sobie, jak mamrocze w tym domu modlitwy albo odmawia różaniec, albo bije w dzwony, albo zajmuje się różnymi niejasnymi i melancholijnymi rzeczami w tym melancholijnym miejscu. Można by się spodziewać, że niesie damie pociechę religijną, trudno jednak było przypuszczać, żeby ta pociecha była bardzo kojąca czy w jakikolwiek sposób dająca radość. Co do reszty, ksiądz raczej nie miał w sobie nic przyciągającego wzrok, a rysy zwyczajne i raczej pozbawione wyrazu, dama jednakże to było coś innego. Jej twarzy z pewnością nie można było nazwać zwyczajną czy pozbawioną wyrazu; odcinała się od jej ciemnej sukni, włosów i wnętrza bladością, która była niemal odstręczająca, ale pięknem niemalże nieznośnie żywym. Payne wpatrywał się w nią tak długo, jak stało mu śmiałości, a przed śmiercią miał patrzeć na nią o wiele dłużej.

Wood jedynie wymienił z przyjaciółmi te miłe i uprzejme zdania, które miały prowadzić do jego celu, czyli ponownego

obejrzenia portretów. Przeprosił za najście w dniu, który, jak słyszał, miał być ważny dla rodziny, wkrótce jednak przekonał się, że rodzina odczuła raczej ulgę, mając gości łagodzących czy przełamujących szok. Nie wahał się zatem poprowadzić Payne'a przez centralny hol do leżącej za nim biblioteki, gdzie wisiał portret specjalnie wyeksponowany, by go pokazywać nie tylko jako obraz, ale niemal jak zagadkę. Mały ksiądz podreptał za nimi. Wydawał się wiedzieć to i owo o starych obrazach, tak jak o starych modlitwach.

- Można powiedzieć, że jestem dumny, że to zauważyłem - powiedział Wood. - Sądzę, że to Holbein. A jeżeli nie, to ktoś żyjący w czasach Holbeina, kto był równie wielkim malarzem, co on.

Był to portret wykonany w mocnym, ale szczerym i żywym stylu epoki, przedstawiający mężczyznę przyodzianego w czerni obramowaną złotem i futrem, z ciężką, pełną, dosyć bladą twarzą, ale czujnymi oczami.

- Co za szkoda, że sztuka nie mogła na zawsze zatrzymać się na tym właśnie etapie przejściowym - wykrzyknął Wood - i więcej się nie zmieniać. Widzi pan, że to dość realistyczne, aby było prawdziwe? Widzi pan, że ta twarz przemawia tym bardziej, ponieważ wyróżnia się w sztywniejszym obramowaniu mniej istotnych rzeczy? A oczy są jeszcze bardziej prawdziwe od twarzy. Na moją duszę, wydaje mi się, że te oczy są zbyt prawdziwe dla tej twarzy! Zupełnie jakby te przebiegłe, szybkie źrenice wyzierały ze wspaniałej, bladej maski.

- Myślę, że ta sztywność rozciąga się nieco na samą postać - powiedział Payne. - Pod koniec średniowiecza anatomia nie była szczególnie dobrze znana, przynajmniej na północy. Lewa noga wy-daje mi się sięgać daleko poza rysunek.

- Nie jestem pewien - cicho odpowiedział Wood. - Ci malarze, którzy malowali u samych początków realizmu, a zanim zaczęli się wypaczać, często cechowali się większym realizmem, niż sądzimy. Prawdziwe cechy portretowanego umieszczali w rzeczach, które uważa się za zwyczajne. Można by powiedzieć, że brwi czy oczodoły tego człowieka są nieco rozstawione na

boki; założę się jednak, że gdyby go pan znał, odkryłby pan, że jedna jego brew faktycznie sięga bardziej na bok niż druga. Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że był kulawy czy coś, i że ta czarna noga miała być tak wygięta.

- Wygląda iście na starego diabła! - nagle wybuchnął Payne.

-Ufam, że wielebny wybaczy mi mój język.

- Wierzę w diabła, dziękuję panu - powiedział ksiądz z nieprzeniknioną twarzą. - Co ciekawe, istniała legenda o diable, który był kulawy.

- Ależ - zaprotestował Payne - nie może ksiądz naprawdę mieć na myśli, że był diabłem. Ale kimże on, do diabła, był?

- Był lordem Darnawayem pod panowaniem Henryka VII i Henryka VIII - odpowiedział jego towarzysz. - Ale o nim też krążą niezwykle legendy. Jedna z nich odnosiła się do tej inskrypcji wokół ramy i została potem rozwinięta w notatkach, które ktoś zostawił w książce, jaką tu znalazłem. Jedno i drugie to zdecydowanie interesująca lektura.

Payne pochylił się, wyciągając szyję tak, by prześledzić archaiczną inskrypcję wokół ramy. Pomijając archaiczne liternictwo i zapis, wydawało się, że to jakaś rymowanka:

„W siódmym dziedzicu powrócę, w siódmej godzinie odejdę.
Nikt w tej godzinie nie patrzy mi na ręce i biada temu, kto
trzyma me serce”.

- Trochę to upiorne - powiedział Payne - ale może po części dlatego, że nie rozumiem ani słowa.

- To jest upiorne, nawet gdy rozumiesz - cichym głosem powiedział Wood. - Zapiski poczynione w późniejszym czasie, w tej starej księdze, którą znalazłem, mówią wyłącznie o tym, jak ten piękniś z rozmysłem się zabił w taki sposób, że jego żonę skazano na śmierć za to, że go zamordowała. Kolejna notka wspomina kolejną tragedię, siedmiu potomków później - za panowania Jerzego - gdy kolejny Darnaway popełnił samobójstwo, uprzednio z rozmysłem wrzucając truciznę do wina swojej żony. Podobno oba samobójstwa miały miejsce o siódmej wieczorem. Przypuszczam, że konkluzja jest taka, że naprawdę powraca z każdym siódmym potomkiem i sprawia, zgodnie z tym, co sugeruje ten napis, że sprawy robią

się nieprzyjemne dla każdej damy na tyle nierozsądnej, aby go poślubić.

- Taka sytuacja - odparł Payne - byłaby wybitnie nieprzyjemna dla następnego siódmego dżentelmena.

- To nowy spadkobierca będzie siódmy - powiedział Wood nadal ściszym głosem.

Harry Payne nagle uniósł swoją wielką pierś i ramiona jak człowiek zrzucający jakiś ciężar.

- O jakich mu tu bzdurach w ogóle mówimy? - wykrzyknął. - Wszyscy chyba jesteśmy wykształconymi ludźmi oświeconych czasów. Zanim nie zanurzyłem się w tę przeklętą, zawilgłą atmosferę, nigdy bym nie uwierzył, że będę rozmawiał o takich rzeczach, pomijając śmianie się z nich.

- Ma pan rację - zgodził się Wood. - Jeśli pomieszkać dłużej w tym podziemnym pałacu, zaczyna się mieć odmienne odczucia co do różnych rzeczy. Ja zacząłem czuć się dziwnie odnośnie tego obrazu, tyle miałem z nim do czynienia podczas renowacji i wieszania go. Czasami odnoszę wrażenie, że ta namalowana twarz jest bardziej żywa niż martwe twarze ludzi, którzy tutaj mieszkają, że to swego rodzaju talizman albo magnes, że rządzi żywiołami i określa przeznaczenie ludzi i rzeczy. Pewnie nazwałby pan to bardzo wysanym z palca.

- Co to był za hałas? - nagle wykrzyknął Payne.

Wszyscy nasłuchiwali i wydawało się, że nie słyszą niczego poza stłumionym hukiem odległego morza. Potem zaczęli mieć poczucie, że coś się z tym dźwiękiem miesza - coś jakby głos przekrzykujący dźwięk przyboju, początkowo zduszony, ale coraz bliższy i bliższy. W następnej chwili byli pewni: na zewnątrz, w mroku, ktoś wołał.

Payne odwrócił się do niskiego okienka z tyłu i pochylił, żeby wyrzucić. Z tego okna nic nie dało się zobaczyć, poza fosą odbijającą skarpę i niebo. Ale ten odwrócony widok nie był taki sam jak wcześniej. Pod cieniem skarpy, w wodzie zwieszały się dwa ciemne cienie odbijające się od stóp i nóg postaci stojącej wyżej na zboczu. Przez tę ograniczoną widoczność widzieli tylko te dwie nogi czerniejące na tle odbicia bladego i sinego zachodu słońca. Jednak z jakiegoś

powodu to, że głowa była niewidoczna, jakby w chmurach, sprawiało, że w dźwięku, jaki do nich dobiegł, było coś strasznego; był to głos człowieka, który głośno krzychał coś, czego nie byli w stanie dokładnie usłyszeć ani zrozumieć. Zwłaszcza Payne z wykrzywioną twarzą wyglądał przez to okienko.

- Jak on dziwacznie stoi! - powiedział zmienionym głosem.

- Nie, nie - uspokajającym szeptem powiedział Wood. - Rzeczy w odbiciu często tak wyglądają. To przez falowanie wody ma pan takie wrażenie.

- Jakie wrażenie? - krótko zapytał ksiądz.

- Że jego lewa noga jest chroma - odparł Wood.

Payne o tym owalnym okienku myślał jak o jakimś tajemniczym zwierciadle. Wydało mu się, że odbijają się w nim kolejne niezliczone obrazy zagłady. Poza tą postacią było coś jeszcze, czego nie rozumiał: trzy cieńsze nogi odcinające się ciemnymi liniami na tle zachodu słońca, jakby to był jakiś monstrualny, trójnogi pająk albo ptak stojący obok obcego. Potem naszła go mniej szalona myśl o trójnogu takim, jak w pogańskich wyroczeniach, a w następnej chwili owa rzecz zniknęła z widoku, podobnie jak nogi postaci ludzkiej.

Odwrócił się i ujrzał bladą twarz Vine'a, zarządcy, z otwartymi ustami, gotowego, by przemówić, pokazującego swój jedyne zęby.

- Przybył - oznajmił. - Dziś rano przyplłynął statek z Australii. W chwili, gdy z biblioteki wrócili do głównego salonu, usłyszeli kroki przybysza stukające na schodach wejściowych, a za nim zobaczyli różne sztuki lekkiego bagażu. Gdy Payne ujrzał jeden z nich, roześmiał się z ulgą. Jego trójnog był tylko teleskopowymi nogami przenośnego aparatu fotograficznego, łatwego do pakowania i rozpakowywania, a człowiek, który go niósł, zdawał się przejawiać równie solidne i normalne cechy. Ubrany był w ciemną odzież, ale swobodną i wakacyjną; koszulę miał z szarej flaneli, a buty stukały stanowczo w tych cichych komnatach. Gdy podszedł, aby poznać się ze swoją nową rodziną, jego krok ledwie sugerował jakieś niedomaganie. Jednak Payne i jego towarzysze

wpatrywali się jego twarz i nie mogli oderwać od niej oczu. Wyraźnie czuł, że w jego przyjęciu jest coś osobliwego i niekomfortowego, jednak mogli przysiąc, że nie wiedział, jaka jest tego przyczyna. Lady, która w jakimś sensie była już z nim zaręczona, była z pewnością dość urodziwa, by zrobić na nim wrażenie, jednakże ewidentnie także się go przestraszyła. Stary zarządca złożył mu coś w rodzaju hołdu feudalnego, odniósł się jednak do niego tak, jakby był rodzinnym duchem. Książę nadal wpatrywał się w niego z nie-odgadnioną miną, która być może była jeszcze bardziej niepokojąca. Przez umysł Payne'a zaczęła się przewijać ironia nowego rodzaju, bardziej grecka. Dumął o tym obcym jak o diable, ale to, że był nieświadomym narzędziem przeznaczenia, było niemal gorsze. Wydawał się zmierzać w stronę zbrodni z koszmarną niewinnością Edypa.

Do posiadłości rodzinnej zbliżył się z tak ślepo pogodnym duchem, że widząc ją po raz pierwszy, musiał rozstawić swój aparat i zrobić zdjęcie - a nawet ten aparat upodobił się do pytyjskiego trójnogu.

Payne był zaskoczony, gdy wychodząc chwilę później, zobaczył coś, co pokazywało, że Australijczyk nie był już tak nieświadomy swojego otoczenia.

- Niech pan nie wychodzi... - powiedział ściszym głosem. - Albo szybko wraca. Pan wygląda jak istota ludzka. To miejsce doprawdy przyprawia mnie o dreszcze.

Gdy Payne wyłonił się z tych niemalże katakumb i wyszedł na nocne powietrze, i gdy dotarł do niego zapach morza, poczuł się tak, jakby wyrwał się z zaświatów pełnych snów, w których wydarzenia piętrzą się w sposób jednocześnie niepokojący i nierealny.

Przybycie obcego krewniaka było w jakiś sposób niezadowolające oraz jakby nieprzekonujące. Zdublowanie tej samej twarzy na starym portrecie i w nowym przybyszu skonfundowało go tak, jakby ujrzał dwugłowego potwora. A jednak nie był to do końca koszmarny - nie była to nawet ta twarz, którą ujrzał tak wyraźnie.

- Co pan mówił? - zapytał doktora, gdy maszerowali razem przez piasek wzdłuż pociemniałego morza. - Mówił pan, że ten młody człowiek jest zaręczony z panną Darnaway na mocy jakiegoś rodzinnego porozumienia czy czegoś? To brzmi jak z powieści.

- Ale powieści historycznej - odpowiedział doktor Barnet. - Wszyscy Darnawayowie zapadli w sen kilka stuleci temu, gdy wszystko załatwiało się tak, jak obecnie czytamy wyłącznie w romansach. Tak, wierzę, że istnieje jakaś tradycja rodzinna, na mocy której kuzynowie w drugiej lub trzeciej linii zawsze wstępują w związek małżeński, gdy osiągną odpowiedni wiek, w celu połączenia majątku. Przekłeta, głupia tradycja, powiedziałbym, a jeżeli często się tak pobierają w ramach rodziny, to ich degeneracja może być kwestią dziedziczną.

- Nie powiedziałbym - nieco sztywno odpowiedział Payne - żeby wszyscy byli zdegenerowani.

- Cóż - odparł doktor - ten młodzieniec nie wygląda na zdegenerowanego, oczywiście, choć z pewnością kuleje.

- Ten młodzieniec! - wykrzyknął Payne, który nagle i bez powodu wpadł w złość. - Cóż, jeśli uważa pan, że ta młoda lady wygląda

na zdegenerowaną, to powiedziałbym, że to pan ma zdegenerowany gust.

Twarz lekarza pociemniała i zgorzkniała.

- Sądzę, że wiem więcej niż pan - warknął.

W milczeniu dokończyli spacer. Obaj czuli, że byli irracjonalnie nieuprzejmi i tak samo potraktowani z irracjonalną nieuprzejmością, a Payne musiał się tym gryźć sam, jako że jego przyjaciel Wood został, by zająć się swoimi sprawami w związku z obrazami.

Payne ochoczo skorzystał z zaproszenia wystosowanego przez kolonialnego kuzyna, który chciał, żeby go ktoś rozweselił. W czasie kolejnych kilku tygodni wiele razy odwiedził ciemne wnętrza domu Darnawayów, chociaż można by powiedzieć, że nie w pełni poświęcał się zabawianiu kolonialnego kuzyna. Melancholia lady była chroniczna i być może potrzebowała

więcej uwagi - tak czy inaczej wykazał wyjątkową gotowość, aby się tym zajmować. Nie był jednakże pozbawiony sumienia, a ta sytuacja nie była dla niego komfortowa i budziła wątpliwości. Mijały kolejne tygodnie, a z zachowania nowego Darnawaya nikt nie potrafił wywnioskować, czy uważa się za zaręczonego zgodnie z tą starą umową, czy nie. Snuł się po mrocznych galeriach i stał, wpatrując nieprzytomnie w ciemny i złowieszczy obraz. Cienie tego lochu z pewnością zaczynały go osaczać i niewiele zostało z jego australijskiej pewności siebie. Ale Payne nie zdołał odkryć niczego w sprawie, która najbardziej go interesowała. Raz spróbował zwierzyć się swojemu przyjacielowi, Martinowi Woodowi, który objął się przy wieszaniu obrazów, ale nawet to nie przyniosło mu uspokojenia. - Według mnie niczego nie może pan wskórać -krótko powiedział Wood - przez te zaręczyny.

- Oczywiście, że jeśli są zaręczeni, to nie będę nawet próbował -warknął jego przyjaciel - ale czy są? Rzecz jasna, nie odezwałem się do niej ani słowem, ale widziałem dosyć, żeby się upewnić, że ona tego nie uznaje, nawet jeśli uważa, że może tak być. On nic nie mówi na ten temat, nawet nie robi żadnych aluzji, że powinni być zaręczeni. Według mnie to przeciąganie sprawy jest niesprawiedliwością wobec wszystkich.

- A szczególnie wobec pana, jak sądzę - nieco oschle powiedział Wood. - Ale skoro już pan pyta, to powiem panu, co myślę. Myślę, że on się boi.

- Boi się odmowy? - zapytał Payne.

- Nie. Boi się, że zostanie przyjęty - odparł Wood. - Niechże mi pan nie urywa głowy; nie mam na myśli, że boi się lady. Chcę powiedzieć, że boi się tego obrazu.

- Boi się obrazu! - powtórzył Payne.

- Konkretnie, boi się kłątwy - uściślił Wood. - Pamięta pan tę rymowaną o zagładzie domu Darnawayów, która ma na nich spaść.

- Owszem, ale przecież nawet zagłada Darnawayów nie może zadziałać dwutorowo - wykrzyknął Payne. - Najpierw mi pan mówi, że nie wolno mi się mieszać ze względu na umowę, a

teraz, że umowie nie wolno dojść do skutku ze względu na klątwę. Ale skoro ta klątwa może zniszczyć umowę, to dlaczego lady miałyby się przejmować umową? Jeśli boją się ślubu ze sobą, to mogą swobodnie poślubić kogoś innego i taki będzie koniec. Dlaczego mam cierpieć, obserwując coś, co dla nich jest krępujące? Dla mnie pańskie położenie wydaje się bardzo nieracjonalne.

- Oczywiście to wszystko jest bardzo poplątane - z niejakim rozdrażnieniem odpowiedział Wood i wrócił do zbijania ramy na płótno.

Nieoczekiwanie, pewnego poranka nowy spadkobierca przerwał swoje długie i wprawiające w zakłopotanie milczenie. Zrobił to w ciekawy sposób, nieco szorstko, po swojemu, ale z oczywistym zamiarem, aby postąpić słusznie. Szczerze poprosił o radę, ale nie tej czy owej pojedynczej osoby, jak zrobił to Payne, ale ogółu. Gdy już się odezwał, robił to, stojąc przed wszystkimi, jak polityk wybierający się w kraj. Nazwał to „odkryciem kart”. Na szczęście lady nie była włączona w ten szeroki gest, a Payne zadrżał, gdy pomyślał o jej uczuciach. Ale Australijczyk był raczej szczery - uznał za rzecz naturalną poprosić o pomoc i informacje, zwołując coś w rodzaju rady rodzinnej, podczas której wyłożył swoje karty na stół. Można by powiedzieć, że je rzucił na stół, jako że towarzyszyła temu atmosfera niejakiej desperacji, jak u kogoś, kto całymi dniami i nocami męczył się pod narastającą presją problemu. W tym krótkim czasie mrok tego domu o niskich oknach i zalanych podłogach dziwnie go zmienił i wzmocnił pewne wspomnienia, które krążyły w pamięci wszystkich.

Pięciu mężczyzn, łącznie z doktorem, siedziało przy stole, a Payne'a naszała bezsensowna refleksja, że jego własne jasne tweedy

i rude włosy to jedyne kolory w tym pomieszczeniu, jako że ksiądz i zarządca ubrani byli na czarno, a Wood i Darnaway zwyczajowo nosili ciemnoszare garnitury, które wyglądały prawie jak czarne. Być może ta nieprzystawalność była tym, co miał na myśli ów młody człowiek, nazywając go istotą

ludzką. W tej chwili młodzieniec we własnej osobie podniósł się gwałtownie z krzesła i zaczął mówić. Chwilę później oszołomiony artysta wiedział, że mówił on o najbardziej niesamowitej rzeczy na świecie.

- Czy w tym coś jest? - mówił. - To właśnie pytanie zadaję sobie prawie do obłądu. Nigdy bym nie uwierzył, że będę się zastanawiał nad takimi rzeczami, ale myślę o tym portrecie i rymowance, i zbiegach okoliczności, czy jak tam je nazywać, i robi mi się zimno. Czy w tym coś jest? Czy jest jakaś Zagłada Darnawayów, czy to tylko przeklęty, dziwny przypadek? Czy mam prawo, by się żenić, czy ściągnę z niebios coś wielkiego i czarnego, o czym nic nie wiem, na siebie i kogoś jeszcze? Wzrokiem nerwowo przesuwiał wokół stołu, aż zatrzymał się na zwykłej twarzy księdza, do którego wydawał się zwracać. Ukryta praktyczność Payne'a podnosiła protest wobec problemu przesądów omawianych przed tym skrajnie przesądnym trybunałem. Siedział obok Darnaway'a i odezwał się, zanim ksiądz otworzył usta. - Cóż, te zbiegi okoliczności się ciekawe, przyznaję - powiedział z dosyć wymuszoną nutą wesołości - ale z pewnością.. - i w tym momencie zamilkł, jakby rażony piorunem. Darnaway gwałtownie odwrócił głowę przez ramię, a wraz z tym ruchem jego lewa brew uniosła się znacznie powyżej prawej i przez chwilę twarz z portretu wpatrywała w niego z upiorną przesadą. Pozostali też to zauważyli i wszyscy poczuli zmieszanie tą chwilą światła. Stary zarządca jęknął głucho.

- To na nic - powiedział ochryple. - Mamy do czynienia z czymś zbyt strasznym.

- Tak - cichym głosem zgodził się ksiądz - mamy do czynienia z czymś strasznym. Z najstraszniejszą rzeczą, jaką znam, a nazywa się ona nonsens.

- Co ksiądz powiedział? - zdziwił się Darnaway, wciąż patrząc w jego stronę.

- Powiedziałem: nonsens - powtórzył ksiądz. - Jak dotąd nie powiedziałem niczego szczególnego, bo to nie była moja sprawa,

wypełniałem jedynie swoje tymczasowe obowiązki w sąsiedztwie i panna Darnaway chciała się ze mną zobaczyć. Ale skoro zwracacie się do mnie osobiście i z bliska, to łatwo mi udzielić odpowiedzi. Oczywiście nie ma żadnej Zagłady Darnawayów, która zabraniałaby wam poślubić każdego, kogo byście chcieli. Człowiek nie jest skazany na popełnianie choćby najmniejszych grzechów, nie mówiąc już o zbrodniach pokroju samobójstwa i morderstwa. Nic nie może zmusić pana do czynienia zła wbrew pańskiej woli dlatego, że nazywa się pan Darnaway, nie bardziej niż mnie dlatego, że nazywam się Brown. Zagłada Brownów - dodał z upodobaniem. - Tajemnica Brownów brzmiałaby nawet jeszcze lepiej.

- I ze wszystkich ludzi - odpowiedział Australijczyk - to ksiądz mówi mi, co mam o tym myśleć.

- Mówię panu, żeby pomyślał pan o czymś innym - wesoło odparł ksiądz. - Co się dzieje ze wschodzącą sztuką fotografii? Jak radzi sobie aparat? Wiem, że tutaj, na dole, jest dosyć ciemno, ale głębokie łuki na piętrze wyżej łatwo można przekształcić w pierwszorzędne studio fotograficzne. Kilku robotników szybko pokryje je szklanym dachem.

- Doprawdy - zaprotestował Martin Wood - sądziłbym, że będzie ksiądz ostatnią osobą na świecie, która majstrowałaby przy tych pięknych gotyckich łukach, które są najlepszym dziełem, które własna religia księdza kiedykolwiek zostawiła na tym świecie. Sądziłbym, że ma ksiądz jakieś uczucia wobec tego rodzaju sztuki. Ale nie rozumiem, dlaczego jest ksiądz tak niespotykanie przychylny fotografii.

- Jestem niespotykanie przychylny światłu dnia - odciął się ojciec Brown - zwłaszcza w tym brudnym interesie. A fotografia, tak się składa, zależy od światła dziennego. A skoro pan nie wie, że starłbym wszystkie gotyckie łuki świata na pył, byle tylko ocalić zdrowie psychiczne jednego człowieka, nie wie pan o mojej religii tak dużo, jak pan sądzi.

Młody Australijczyk poderwał się na nogi, jakby wróciły mu siły.

- Na Jerzego! Co za słowa - wykrzyknął - choć nigdy bym nie sądził, że usłyszę je z tej połowy boiska. Coś panu powiem,

wielebny sir, zrobię coś, co pokaże, że mimo wszystko nie utraciłem jeszcze odwagi.

Stary zarządca wciąż spoglądał na niego z drżącą czujnością, jakby w wyzywającym zachowaniu młodego człowieka wyczuwał coś nie z tego świata.

- Och! - zawołał. - Co pan ma zamiar teraz zrobić?

- Sfotografuję ten portret - oświadczył Darnaway.

Jednak ledwie tydzień później ta katastrofalna burza wydawała się zaciągać niebo, zaciemniając to słońce zdrowego rozsądku, do którego na próżno odwoływał się ksiądz, i raz jeszcze pogrążając posiadłość w mroku Zagłady Darnawayów. Nie było trudno przyszykować nowe studio, a widziane od środka, wyglądało zupełnie jak każde inne tego rodzaju studio, puste, poza masą białego światła. Człowiek wchodzący tam z mrocznych pomieszczeń na dole miał większe niż normalnie poczucie, że wkracza w bardziej niż nowoczesną jasność, równie pustą, co przyszłość. Na sugestię Wooda, który dobrze znał zamek i doszedł już do siebie po pierwszych protestach natury estetycznej, mały pokój, który w wyższej części ruin pozostał nietknięty, przekształcono w ciemnię, do której Darnaway wchodził z jasnego światła dnia, by zanurzyć się w szkarłatnym świetle lampy ciemniowej. Wood powiedział, śmiejąc się, że ta czerwona lampa pozwoliła mu się pogodzić z wandalizmem - że ta krwawa ciemność była równie romantyczna, co jaskinia alchemika.

Tego dnia, gdy miał zamiar sfotografować tajemniczy portret, Darnaway poderwał się bladym świtem i wyniósł go z biblioteki, przepychając się przez wąską klatkę ze spiralnymi schodami, która łączyła oba piętra. Następnie ustawił go w dziennym świetle na czymś w rodzaju sztalug, a przed nim zainstalował swój trójnóg fotograficzny. Powiedział, że nie może się doczekać, aby posłać odbitkę do znanego antykwariusza, który pisał o pamiątkach w tym domu, pozostali wiedzieli jednak, że była to wymówka kryjąca znacznie głębsze rzeczy. Był to, jeśli nawet niezupełnie pojedynek duchowy pomiędzy Darnawayem a domowym

obrazem, to przynajmniej pojedynek pomiędzy Darnawayem i jego własnymi wątpliwościami. Chciał przeciwstawić dzienne światło fotografii mrocznemu arcydziełu malarstwa i przekonać się, czy światło nowej sztuki nie wypędzi cieni ze starej.

Być może właśnie dlatego wolał zrobić to samodzielnie, nawet jeśli pewne szczegóły wydawały się zabierać więcej czasu i powodować większe opóźnienie niż normalnie. Tak czy inaczej generalnie zniechęcał tych kilka osób, które odwiedzały jego studio w dniu eksperymentu, i które zastały go skupionego i kręcącego się w bardzo odosobniony i niejasny sposób. Gdy odmówił zejścia na dół, zarządca zostawił mu posiłek. Stary dżentelmen wrócił po kilku godzinach i znalazł posiłek zjedzony mniej więcej normalnie, jednak gdy go przyniósł, w podziękowaniu usłyszał tylko burknięcie. Payne raz zaszedł na górę zobaczyć, co się dzieje, ale stwierdzając, że fotograf nie jest zainteresowany rozmową, ponownie zszedł. Ojciec Brown dyskretnie zajrzał, by przekazać Darnawayowi list od eksperta, do którego miała trafić fotografia. Zostawił jednak list na tacy, a cokolwiek pomyślał sobie o wielkiej szklarni pełnej światła i oddania hobby, o świecie, który w pewnym sensie sam stworzył, zachował to dla siebie i wrócił na dół. Miał powód, by bardzo niedługo przypomnieć sobie, że to on jako ostatni schodził po tej odosobnionej klatce schodowej łączącej kondygnacje, zostawiając za sobą samotnego człowieka w pustym pomieszczeniu. Pozostali kręcili się po salonie, z którego przechodziło się do biblioteki tuż pod wielkim, czarnym, hebanowym zegarem, który wyglądał jak gigantyczna trumna.

- I jakże radził sobie Darnaway - nieco później zapytał Payne - gdy ksiądz tam zaglądał?

Ojciec Brown przesunął ręką po czole.

- Niech mi pan nie mówi, że robi się ze mnie wróżka - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Wierzę, że oszałamia mnie nieco światło dzienne w tym pokoju i nie byłem w stanie wyraźnie widzieć. Szczerze, to miałem przebłysk, że w postaci

Darnawaya stojącego przed tym portretem było coś niesamowitego.

- Och, to ta chroma noga - szybko powiedział Barnet. - Wszyscy o niej wiemy.

- Wie pan co - gwałtownie, lecz ścisząc głos, powiedział Payne - nie sądzę, żebyśmy wszyscy wiedzieli wszystko o niej czy czymkolwiek innym. O co chodzi z tą jego nogą? O co chodzi z nogą jego przodka?

- Och, było coś na ten temat w tej książce, którą tu czytałem, w archiwach rodzinnych - powiedział Wood. - Poszukam tego dla pana.

I poszedł do przyległej biblioteki.

- Myślę - cicho odezwał się ojciec Brown - że pan Payne ma jakiś konkretny powód, żeby o to pytać.

- Równie dobrze mogę to powiedzieć raz na zawsze - przyznał Payne, ale jeszcze cichszym głosem. - Mimo wszystko istnieje racjonalne wytłumaczenie. Człowiek znikąd mógł się postarać, aby wyglądać jak portret. Co my wiemy o Darnawayu? Zachowuje się dosyć dziwnie...

Pozostali wpatrywali się w niego z niejakim zaskoczeniem, ksiądz jednak wydawał się to przyjmować bardzo spokojnie.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek ktoś sfotografował stary portret - powiedział. - Właśnie dlatego chce to zrobić. Nie wydaje mi się, żeby było w tym coś dziwnego.

- To faktycznie raczej zwyczajna sprawa - z uśmiechem odezwał się Wood; właśnie wrócił z książką w rękach. A gdy mówił, w wielkim, czarnym zegarze za nim rozległ się brzęk i pokój rozedrgało siedem kolejnych uderzeń. Wraz z ostatnim z piętra wyżej doszedł huk, który wstrząsnął domem jak grom, a zanim dźwięk wybrzmiał, ojciec Brown już był na wietrznej klatce schodowej dwa stopnie w górę.

- Mój Boże! - mimowolnie wykrzyknął Payne. - On jest tam zupełnie sam.

- Tak - nie odwracając się, potwierdził ojciec Brown, znikając na schodach. - I powinniśmy zastać go samego.

Gdy pozostali otrząsnęli się z pierwszego paraliżu i pobiegli bezładnie w górę kamiennych schodów, żeby dostać się do

nowego studio, faktycznie zastali go samego. Zastali go leżącego na rozbitym aparacie, którego trzy połamane nogi wyciągały się groteskowo w trzy strony, a na wierzchu leżał Darnaway z krzywą, czarną nogą wyciągniętą w czwartą, równoległą do podłogi. Przez chwilę ta ciemna sterta wyglądała jak jakiś ogromny i koszmarny pająk. Wystarczyło im jedno spojrzenie i dotknięcie, by stwierdzić, że nie żył. Jedyne portret stał nietknięty na sztalugach i można by uznać, że uśmiechnięte oczy błyszczały.

Godzinę później ojciec Brown, pomagając się uspokoić wstrząśniętym domownikom, natknął się na starego zarządcę mruczącego niemal tak mechanicznie, jak stary zegar tykał i wybił ową straszną

godzinę. Niemal nie słysząc słów, wiedział, czego muszą dotyczyć.

„W siódmym dziedzicu powrócę, w siódmej godzinie odejdę”.

Właśnie gdy ksiądz miał powiedzieć coś kojącego, starzec jakby się nagle obudził i zeszywniał z gniewu. Jego mamrotanie przeszło w przenikliwe krzyki.

- Ojciec! - krzyknął. - Ojciec i jego światło dzienne! Nawet ojciec nie powie teraz, że nie ma żadnej Zagłady Darnawayów.

- Moja opinia co do tej sprawy nie uległa zmianie - łagodnie powiedział ojciec Brown. Potem, po pauzie, dodał: - Mam nadzieję, że spełni pan ostatnie życzenie nieszczęsnego Darnaway'a i dopilnuje wysłania tej fotografii.

- Fotografia! - ostro krzyknął doktor. - A co z niej dobrego? W gruncie rzeczy to w sumie ciekawe, ale tu nie ma żadnej fotografii. Wygląda na to, że pomimo przymiarek w końcu jej nie zrobił.

Ojciec Brown odwrócił się gwałtownie.

- Więc niech pan ją sam zrobi - powiedział. - Biedny Darnaway miał całkowitą rację. To ogromnie ważne, żeby zrobić tę fotografię.

Gdy wszyscy goście - doktor, ksiądz i dwóch artystów - szli czarną i ponurą procesją po brązowych i żółtych piaskach, początkowo byli bardziej lub mniej milczący, raczej jakby oszołomieni. A z pewnością wypełnienie się tego

zapomnianego przesądu w czasach, które najbardziej zapominały o takich rzeczach, to było coś jak grom z jasnego nieba. Doktor i ksiądz umysły mieli pełne racjonalizmu, tak jak fotograf swoje pomieszczenia pełne światła. Mogli być sobie tak bardzo racjonalni, jak tylko chcieli, ale siódmy potomek wrócił w jasnym świetle dnia i w jasnym świetle dnia, w siódmej godzinie, szczeł.

- Obawiam się, że teraz już zawsze wszyscy będą wierzyć w te przesady związane z Darnawayami - powiedział Martin Wood.

- Znam jedną osobę, która nie będzie - ostrym tonem odpowiedział doktor. - Mam ulegać przesądom dlatego, że ktoś uległ chęci popełnienia samobójstwa?

- Sądzi pan, że biedny pan Darnaway popełnił samobójstwo? - zainteresował się ksiądz.

- Jestem tego pewien - odparł doktor.

- To możliwe - zgodził się ojciec Brown.

- Był tam na górze sam, a w ciemni miał cały magazyn trucizn. Poza tym to właśnie coś takiego, co robią Darnawayowie.

- Nie uważa pan, żeby chodziło o wypełnienie się rodzinnej klątwy?

- Owszem - powiedział doktor. - Wierzę w jedną rodzinną klątwę, a jest nią rodzinny stan umysłu. Mówiłem księdzu, że to dziedziczne, i że oni wszyscy są na wpół obłąkani. Jeżeli trwa się w stagnacji i krzyżuje w obrębie swojego bagienka, to degeneracja nastąpi, czy się tego chce, czy nie. Prawa dziedziczenia nie da się oszukać, prawom nauki nie da się zaprzeczyć. Umysły Darnawayów rozpadają się na kawałki, na kawałki rozpadają się ich stare kamienne mury, pożerane przez morze i słone powietrze. Samobójstwo - oczywiście, że popełnił samobójstwo. Śmiem twierdzić, że cała reszta też popełni samobójstwo. Zresztą może to i najlepsza rzecz, jaką mogą zrobić.

Gdy tak mówił, w pamięci Payne'a nagle i z niezwykłą ostrością pojawiła się twarz córki Darnawayów, tragiczna maska, blada na tle nieprzeniknionej czerni, ale sama w sobie

o oślepiającym i niegodnym śmiertelników pięknie. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i odkrył, że brak mu słów.

- Rozumiem - powiedział ojciec Brown do doktora. - Czyli że mimo wszystko wierzy pan w ten przesąd?

- Co ma ksiądz na myśli - wierzy w ten przesąd? Wierzę w samobójstwo jako kwestię naukowej konieczności.

- Cóż - odpowiedział ksiądz - nie widzę konieczności, żeby wprowadzać rozróżnienie pomiędzy przesądem naukowym i innymi przesądami magicznymi. Jedne i drugie ostatecznie wydają się zmieniać ludzi w paralityków, którzy nie są w stanie ruszać rękami i nogami, czy uratować własnego życia czy duszy. Rymowanka mówi, że zabija Zagładą Darnawayów, a notatki naukowe, że Zagładą Darnawayów jest samobójstwo. Jedno i drugie podejście robi z ludzi niewolników.

- Ale wydawało mi się, że mówił ksiądz, że wierzy w racjonalne wytłumaczenie tych rzeczy - odezwał się doktor Barnet. - Nie wierzy ksiądz w dziedziczenie?

- Powiedziałem, że wierzę w światło dnia - głośnym i czystym głosem odparł ksiądz. - I nie będę wybierał pomiędzy dwoma tunelami podziemnych zabobonów, z których oba kończą się ciemnością. A oto dowód: wszyscy błądzicie w ciemnościach odnośnie tego, co naprawdę wydarzyło się w tym domu.

- Mówi ojciec o samobójstwie? - zapytał Payne.

- Mówię o morderstwie - odpowiedział ojciec Brown, a jego głos, choć jedynie nieznacznie podniesiony, wydawał się jakoś rezonować na całym brzegu. - To było morderstwo, ale morderstwo jest kwestią woli, którą Bóg stworzył wolną.

Co w tej chwili odpowiedzieli inni, Payne nigdy się nie dowiedział, jako że słowa te wywarły na nim dosyć interesujący efekt: wstrząsnęło nim jak ryk trąby i zatrzymało w miejscu. Stał nieruchomo na środku piaszczystej połaci i pozwolił, by pozostali go wyprzedzili. Czuł, jak przepływa krew w jego żyłach i że włosy stanęły mu dęba, a jednocześnie czuł nowe i nienaturalne szczęście. Proces psychologiczny za szybki dla niego i zbyt skomplikowany, aby za nim nadażył, doprowadził go już do konkluzji, której nie potrafił poddać analizie, jednakże konkluzja ta niosła ulgę. Po tym,

jak przez chwilę stał nieruchomo, odwrócił się i powoli poszedł po piasku w stronę domu Darnawayów.

Fosę przekroczył tak stanowczo, że most zadygotał, zszedł po schodach i przemierzył długie pokoje, swoimi krokami budząc echa, aż dotarł do miejsca, gdzie w poświacie z niskiego, owalnego okna siedziała Adelaide Darnaway, wyglądająca niemal jak jakaś zapomniana święta zostawiona w krainie śmierci. Uniosła wzrok, a wyraz zaskoczenia sprawił, że jej twarz stała się jeszcze cudowniej sza.

- O co chodzi? - zapytała. - Dlaczego pan wrócił?

- Przybyłem po Śpiącą Królownę - odpowiedział głosem, w którym drżał śmiech. - Ten stary dom, jak powiedział doktor, dawno temu zapadł w sen, ale to niemądre z pani strony udawać, że jest pani stara. Proszę wyjść na światło dnia i wysłuchać prawdy. Przyniosłem pani słowo - to okropne słowo, ale złamie zaklęcie pani niewoli.

Nie zrozumiała ani słowa z tego, co powiedział, ale coś kazało jej się podnieść i pozwolić, by poprowadził ją w dół długiego holu, w górę po schodach i na zewnątrz, pod wieczorne niebo. Ruiny martwego ogrodu ciągnęły się w stronę morza, a stara fontanna z posągami trytona zielonego od śniadzi stała tam z godnością, niczego nie przelewając z wyschłego rogu do pustej sadzawki. Przechodząc, często widywał tę samotną sylwetkę na tle wieczornego nieba i pod wieloma względami przywodziła mu ona na myśl upadłe fortuny. Bez wątpienia niedługo te puste źródła napelnią się znowu, ale

bladozieloną, gorzką wodą morską, a kwiaty zostaną zatopione i zduszone przez wodorosty. Więc, powiedział sobie, córka Darnawayów w istocie może zostać zaślubiona, ale zaślubiona śmierci i zagładzie tak głuchej i bezwzględnej jak morze. Teraz jednak dłoń, która była jak dłoń olbrzyma, oparł na brązowym trytonie i potrząsnął nim, jakby miał zamiar powalić go jak idola czy złego bożka ogrodu.

- Co ma pan na myśli? - pytała wciąż i wciąż. - Co to za słowo, które nas uwolni?

- To słowo to „morderstwo” - odparł - a wolność, którą przynosi, jest tak świeża, jak wiosenne kwiecie. Nie, nie chcę

przez to powiedzieć, że kogoś zamordowałem. Nie rozumie pani? Ale to, że każdy może zostać zamordowany sam w sobie to dobra wiadomość po tych złych snach, w których pani żyje. Nie rozumie pani? W tym pani śnie wszystko, co się pani przydarza, bierze się z pani wnętrza. Zagłada Darnawayów została złożona w samych Darnawayach, rozwinęła się jak jakiś koszmarny kwiat. Nie ma przed nią ucieczki, chyba że przez szczęśliwy przypadek. To wszystko było nieuniknione, czy chodziło o Vine'a i opowieści jego starej żony, czy o Barneta i jego nowomodną teorię dziedziczenia. Ale ten człowiek, który zmarł, nie był ofiarą magicznej klątwy czy dziedzicznego obłądzenia. Został zamordowany, a dla nas to morderstwo jest tylko przypadkiem - tak, niech spoczywa w pokoju -ale szczęśliwym przypadkiem. To promień jasnego światła, ponieważ przychodzi z zewnątrz.

Lady nagle się uśmiechnęła.

- Tak, wierzę, że rozumiem. Przypuszczam, że mówi pan jak szaleniec, ale rozumiem. Ale kto go zamordował?

- Nie wiem - odpowiedział spokojnie - ale ojciec Brown wie. A jak mówi ojciec Brown, morderstwo przynajmniej jest aktem woli, wolnej jak ten wiatr znad morza.

- Ojciec Brown to wspaniały człowiek - powiedziała po chwili ciszy. -Był jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek w jakikolwiek w ogóle sposób rozjaśniał moją egzystencję, dopóki...

- Dopóki co? - zapytał Payne i zrobił ruch niemalże gwałtowny, pochylając się w jej stronę i odpychając potwora z brązu, aż wydawał się kołysać na swoim postumencie.

- Cóż, póki pan się nie pojawił - odparła i uśmiechnęła się raz jeszcze.

Tak więc pogrążony we śnie pałac się obudził, a opisywanie stadiów tego przebudzenia nie należy do tej historii, choć większość z nich przeszła, zanim zmrok tego wieczoru zmienił się w noc. Gdy Harry Payne raz jeszcze zmierzał w stronę domu przez te ciemne piaski, które pokonywał w tak rozmaitych nastrojach, był szczęśliwy w najwyższym stopniu, jakiego zdarzyło mu się doświadczyć w swoim

śmiertelnym życiu - i całe, kryjące się w nim, czerwone morze wzbierało falą przyływu. Nie miał żadnych trudności z wyobrazeniem sobie całego tego miejsca znowu pełnego kwiatów i brązowego trytona jako złotego boga, i fontanny tryskającej wodą lub winem. Ale cała ta jasność i rozkwit stanęły mu przed oczami na jedno słowo, „morderstwo”, a to nadal było słowo, którego nie rozumiał. Przyjął je na wiarę, a nie był głupcem. Był on jednym z tych, którzy wyczuwają prawdę.

Minął przeszło miesiąc, gdy Payne wrócił do swojego londyńskiego domu, by stawić się na umówione spotkanie z ojcem Brownem, zabierając ze sobą wymaganą fotografię. Jego osobisty romans rozwijał się znakomicie, biorąc pod uwagę, że toczył się w cieniu takiej tragedii, a sam ten cień raczej nieszczególnie go obciążał. Trudno jednak było go widzieć jako coś innego niż tylko cień rodzinnego fatum. Pod wieloma względami był bardzo zajęty, a dopóki domostwo Darnawayów nie wróciło do swojej, cokolwiek sztywnej, rutyny, a portret nie został odniesiony na swoje miejsce w bibliotece, nie miał czasu zrobić zdjęcia z lampą magnezjową. Zanim posłał je do antykwariusza, jak było to oryginalnie zaplanowane, przywiózł je do księdza, który domagał się tego z wielkim naciskiem.

- Nie rozumiem księdza stosunku do tego wszystkiego, ojciec Brown - powiedział. - Zachowuje się ksiądz tak, jakby w jakiś sposób rozwiązał już ten problem na własną rękę.

Ksiądz żałobnie pokręcił głową.

- Bynajmniej - odparł. - Widać jestem bardzo głupi, ale utknąłem. Utknąłem w najbardziej praktycznym punkcie ze wszystkich. To dziwna sprawa, do pewnego punktu bardzo prosta, a potem... Mogę rzucić okiem na tę fotografię?

Przez chwilę trzymał ją blisko zmrużonych, krótkowzrocznych oczu.

- Ma pan może szkło powiększające? - zapytał wreszcie.

Payne wyciągnął lupę, a ksiądz przez pewien czas wpatrywał się w nią z natężeniem.

- Proszę spojrzeć na tytuł tej książki na skraju półki obok ramy - powiedział. - To „Historia papieżycy Joanny”. Zastanawiam się teraz... tak, pióra George'a. A ta powyżej to coś o Islandii. Boże! Jakiż przedziwny sposób, żeby to znaleźć! Jaki ze mnie skończony osioł, że tego nie zauważyłem, gdy tam byłem!

- Ale czego się ojciec dowiedział? - niecierpliwie dopytywał się Payne.

- To ostatnie ogniwo - odpowiedział ojciec Brown. - I ruszyłem z miejsca. Tak, chyba już wiem, skąd wzięła się ta nieszczęśliwa historia.

- Ale jak to? - nalegał tamten.

- Ano tak to - z uśmiechem odrzekł ksiądz. - W bibliotece Darnawayów znajdują się książki o papieżycy Joannie i Islandii, nie wspominając już o innej, którą widziałem, o tytule zaczynającym się od „Religia Fredericka”, co nie jest takie trudne do dokończenia. - Wówczas, widząc poirytowanie rozmówcy, stał uśmiech z twarzy i powiedział bardziej poważnie: - W gruncie rzeczy ten ostatni punkt, chociaż stanowi ostatnie ogniwo, nie jest zasadniczą kwestią. W tej sprawie pojawiły się znacznie ciekawsze wątki niż ten. Jedną z nich są raczej osobliwe dowody. Zacznę od czegoś, co może pana zaskoczyć. Darnaway nie zmarł o siódmej wieczorem. Był martwy przez cały dzień.

- Zaskoczenie to dość łagodne słowo - ponuro powiedział Grimly - skoro obaj widzieliśmy go, jak chodził.

- Wcale nie - cicho zareplikował ojciec Brown. - Sądzę, że obaj widzieliśmy, albo sądziliśmy, że widzimy go, kręcącego się przy obiektywie swojego aparatu. Czy gdy przechodził pan przez to pomieszczenie, nie miał głowy pod tą czarną płachtą? Tak było, gdy ja tam wszedłem. I dlatego właśnie odniosłem wrażenie, że w tej postaci jest coś dziwnego. Nie chodziło o to, że jedna jego noga była krzywa, tylko że nie była. Ubrana była w tego samego rodzaju ciemne ubranie, ale jeśli widzi pan coś, co uważa za pojedynczego człowieka stojącego tak, jak stoi inny, to uzna pan, że jego pozycja jest dziwna i napięta.

- Naprawdę chce ksiądz powiedzieć - z jakby wzdygnięciem jęknął Payne - że to był jakiś obcy człowiek?

- To był morderca - powiedział ojciec Brown. - Darnawaya zabił o świecie i wraz z ciałem ukrył się w ciemni - to doskonała kryjówka, bo normalnie nikt tam nie wchodzi, a jeśli nawet wejdzie, to nie zobaczy za dużo. Ale o siódmej wieczorem pozwolił, by ciało spadło na podłogę, by całą rzecz można było wytłumaczyć kłutwą.

- Ale ja nie rozumiem - przyznał się Payne. - Wobec tego dlaczego nie zabił go o tej siódmej, zamiast przez czternaście godzin ukrywać się wraz z ciałem?

- Zadam panu inne pytanie - powiedział ksiądz. - Dlaczego nie było tam zrobionej fotografii? Ponieważ morderca postarał się go zabić, gdy tylko wstał, i zanim ją zrobił. Dla mordercy kluczową sprawą było nie dopuścić, aby ta fotografia trafiła do eksperta od antyków Darnawayów.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem ksiądz cichszym głosem podjął opowieść:

- Nie widzi pan, jakie to proste? Wszak sam pan dostrzegł jedną stronę tej możliwości, ale to prostsze, niż pan sądził. Powiedział pan, że człowiek mógłby być podstawiony tak, aby przypominał stary obraz. To z pewnością łatwiejsze niż sfalszowanie obrazu tak, aby przypominał człowieka. Prostymi słowami, w pewien sposób to prawda, że nie ma żadnej Zagłady Darnawayów. Nie było żadnego starego obrazu, nie było żadnej starej rymowanki, nie było żadnej legendy o człowieku, który doprowadził do śmierci swojej żony. Był za to bardzo niegodziwy i bardzo przebiegły człowiek, który chciał spowodować śmierć innego, żeby obrabować go z przyrzeczonej żony.

Ksiądz zniechęca uśmiechnął się smutno do Payne'a, jakby chciał go pocieszyć.

- Przez chwilę miałem wrażenie, że myśli pan, że mówię o panu - powiedział - ale nie był pan jedyną osobą, która nawiedzała ten dom z powodów sentymentalnych. Zna pan tego człowieka, czy raczej sądzi pan, że go zna. Ale w człowieku zwanym Martinem Woodem, artyście i

antykwarium, były wielkie głębokości, których nie domyślał się żaden z jego artystycznych znajomych. Proszę sobie przypomnieć, że został wezwany, aby ocenił i skatalogował obrazy - w takim arystokratycznym śmietniku oznacza to generalnie powiedzenie Darnawayom, jakie skarby sztuki posiadają. Nie byłoby

zaskoczeni znalezieniem rzeczy, których nigdy dotąd nie zauważyli. Trzeba to było zrobić porządnie, i tak było. Może i miał rację, mówiąc, że jeśli to nawet nie Holbein, to ktoś równie genialny.

- Czuję się cokolwiek oszołomiony - powiedział Payne - i jest ze dwadzieścia rzeczy, których nadal nie rozumiem. Skąd wiedział, jak wyglądał Darnaway? Jak dokładnie go zabił? Lekarze na ten moment wydają się raczej zakłopotani.

-Widziałem fotografię, którą ten Australijczyk przesłał lady przed swoim przyjazdem - odparł ksiądz - i istnieje sporo sposobów, by mógł dowiedzieć się różnych rzeczy o tym nowym spadkobiercy. Może i nie znamy takich szczegółów, ale to nie są trudności. Pamięta pan, że pomagał w ciemni - mnie wydaje się to idealnym miejscem, żeby, powiedzmy, ukłuć kogoś zatrutą igłą, skoro pod ręką były najróżniejsze trucizny. Nie, powiadam, że tu nie było trudności. Utknąłem na tym, w jaki sposób Wood mógł przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. W jaki sposób mógł wyciągnąć ciało z ciemni i rzucić je na aparat w taki sposób, by upadło w kilka sekund, bez schodzenia na dół, gdy był bibliotece, szukając książki? A ja byłem takim durniem, że nigdy nie przyjrzałem się książkom w tej bibliotece, i tylko na tej fotografii, dzięki niezasłużonemu szczęściu, zobaczyłem prosty fakt w postaci książki o papieżu Joannie.

- Najlepszą zagadkę zostawił sobie ksiądz na koniec - ponuro stwierdził Payne. - Co do diaska ma z tym wspólnego papieża Joanna?

- Niech pan nie zapomina o tej książce o Islandii - odpowiedział ksiądz - i o religii kogoś o imieniu Frederick. Zostaje tylko spytać, jakim człowiekiem był ostatni lord Darnaway.

- Och, doprawdy? - ciężko zapytał Payne.

- Przypuszczam, że był kulturalnym, dowcipnym ekscentrykiem -ciągnął ojciec Brown. - Jako człowiek kulturalny wiedział, że nie było kogoś takiego jak papieżycą Joanna. Jako człowiek dowcipny prawdopodobnie pomyślał o tytule „Węże Islandii” czy czymś innym, co nie istniało. Ostatni tytuł pozwolę sobie zrekonstruować jako „Religię Fredericka Wielkiego” - który również nie istnieje. A teraz, czy nie uderza pana, że byłyby to akurat takie tytuły, które można by umieścić na grzbietach nieistniejących książek - czy też, innymi słowy, w szafce na książki, która nie była szafką na książki?

- Ach! - wykrzyknął Payne. - Teraz rozumiem, co ma książdz na myśli. Była tam jakaś ukryta klatka schodowa...

- Prowadząca do pomieszczenia, które Wood sam wybrał na ciemnię -powiedział książdz, kiwając głową. - Przykro mi. Nie można było nic na to poradzić. To okropnie banalne i głupie, tak głupie, jak ja się okazałem w tej banalnej sprawie. Ale zostaliśmy wmanewrowani w naprawdę zatechłą, starą opowieść o spleśniałym splendorze i upadającej, rodzinnej rezydencji, i zbytkiem nadziei byłoby liczyć, że umkniemy, mając tajne przejście. To była księża dziura, a ja zasługuję na to, żeby mnie tam wsadzić.

TAJEMNICA OJCA BROWNA

TAJEMNICA OJCA BROWNA

Flambeau, niegdyś najszlachetniejszy przestępca we Francji, a później bardzo prywatny detektyw w Anglii, dawno zrezygnował z obu tych profesji. Można by powiedzieć, że w związku z karierą kryminalisty zostało mu zbyt wiele skrupułów, żeby zrobić karierę detektywistyczną. W każdym razie po życiu pełnym romantycznych ucieczek i zwodniczych sztuczek skończył w miejscu, które można by uznać za stosowne: w zamku w Hiszpanii. Zamek ów był solidny, chociaż relatywnie mały, a czarna winnica i zielone pasy kuchennego ogrodu pokrywały znaczącą część brązowego wzgórza. Co do Flambeau, po wszystkich jego awanturniczych przygodach wciąż miał to, co było udziałem wielu Latynosów, a czego brak (na przykład) tak wielu Amerykanom, a była to energia, by przejść na emeryturę. Widzi się to u wielu właścicieli wielkich hoteli, których jedyną ambicją jest być drobnym wieśniakiem. Widzi się to u wielu prowincjonalnych, francuskich sklepikarzy, którzy zatrzymują się w chwili, gdy mogliby rozwinąć interesy tak, by zostać obrzydliwymi milionerami i kupić sobie całą ulicę ze sklepami, ale wycofują się spokojnie w wygodę domu i grę w domino. Flambeau po prostu i niemal gwałtownie zakochał się w pewnej hiszpańskiej damie, poślubił ją i wszedł do dużej rodziny w hiszpańskiej posiadłości, nie wykazując żadnego wyraźnego pragnienia, by znowu szwendać się poza jej granicami. Jednakże w jeden szczególny poranek rodzina obserwowała jego niezwykle niepokój i podekscytowanie: prześcignął małych chłopców

i pokonał większą część drogi w dół długiego, górskiego zbocza, aby powitać gościa, który nadchodził przez dolinę, mimo że ów gość nadal był tylko czarną kropką w oddali.

Owa czarna kropka stopniowo powiększyła się, nieszczerólnie zmieniając swój kształt; nadal, mówiąc wprost, była okrągła i czarna. Czarne ubrania kapłanów były znane na tych wzgórzach, ale te ubrania, jakkolwiek księżowskie, w zestawieniu z sutanną miały w sobie coś pospolitego i jednocześnie prawie beztroskiego, i określały swojego właściciela jako człowieka z północno-zachodnich wysp tak wyraźnie, jakby miał metkę Clapham Junction. Trzymał krótki, czarny parasol z rączką jak laska, na widok którego jego hiszpański przyjaciel niemal zalał się łzami z sentymentu, ponieważ występował w wielu przygodach, które dawno temu przeżyli wspólnie. Był to angielski przyjaciel Francuza, ojciec Brown, składający od dawna wyczekiwaną, ale długo odkładaną wizytę. Korespondowali regularnie, ale nie widzieli się od lat.

Ojciec Brown wkrótce został otoczony przez rodzinę, która była dość duża, by wywoływać ogólne wrażenie towarzystwa czy społeczności. Został zaprowadzony przed wielkie podobizny Trzech Króli z pomalowanego i pozłoczonego drewna, którzy przynosili dzieciom prezenty na Boże Narodzenie - Hiszpania bowiem jest krajem, gdzie dzieci są bardzo ważne w życiu domowym. Pokazano mu psa, kota i żywy inwentarz na farmie. Tak się również złożyło, że został przedstawiony jednemu z sąsiadów, który, podobnie jak on sam, przyniósł do tej doliny ubiór i maniery obcych krajów.

Było to trzeciej nocy pobytu księdza w tym małym **chateau**, gdy ujrzał imponującego nieznajomego, który okazywał swój szacunek dla hiszpańskiego domostwa ukłonami, których nie byłby w stanie naśladować żaden hiszpański grand. Był wysokim, szczupłym i bardzo przystojnym dżentelmenem o szarych włosach, a jego ręce, mankiety i spinki przy mankietach w swoim błysku miały coś władczego. Jednak jego pociągła twarz nie miała w sobie tego rozmarzenia, które na karykaturach naszego własnego kraju połączone są z długimi mankietai i zadbanymi dłońmi. Była raczej wyraźnie pobudzona i czujna, a oczy miały niewinną, pytającą intensywność, która nieczęsto idzie w parze z szarymi

włosami. Już samo to mogłoby określić narodowość tego człowieka, podobnie jak nosowa

nuta w jego subtelnym głosie i aż przesadna gotowość, by zakładać starożytne pochodzenie wszystkich europejskich rzeczy dookoła. Był to, w rzeczy samej, sam pan Grandison Chace z Bostonu, amerykański podróżnik, który na jakiś czas zrobił sobie przerwę w swoich amerykańskich wояżach, biorąc w dzierżawę sąsiedni majątek: poniekąd podobny zameczek na poniekąd podobnym wzgórzu. Był zachwycony swoim starym zamkiem, a swoje przyjazne sąsiedztwo postrzegał jako lokalną starożytność tego samego rodzaju. Flambeau bowiem, jak już powiedzieliśmy, naprawdę wyglądał na zakorzenionego. Mógłby tutaj od wieków rosnać wraz z własną winoroślą i drzewami figowymi. Powrócił do swojego prawdziwego nazwiska Duroc, jako że tytuł „Pochodni”²¹ był tylko pseudonimem tego rodzaju, pod którym człowiek taki jako on często toczy wojnę ze społeczeństwem. Cieszył się swoją żoną i rodziną, nigdy nie oddalił się od posiadłości bardziej, niż trzeba było do małego polowania, i amerykańskiemu globtroterowi wydawał się ucieleśnieniem tego kultu słonecznej szacowności i umiarkowanego luksusu, które ów Amerykanin był na tyle mądry, by dostrzec w ludziach basenu Morza Śródziemnego. Ten niebieski ptak z Zachodu cieszył się, mogąc na chwilę przysiąść na tej solidnej skale Południa. Ale pan Chace słyszał o ojcu Brownie i jego ton zmienił się delikatnie, jakby obcował ze sławą. Obudziła się w nim ciekawość, taktowna, ale intensywna. Gdyby spróbował potraktować ojca Browna, jakby ten był zębem, byłby to przykład najbardziej zręcznej i bezbolesnej amerykańskiej stomatologii.

Siedzieli na swego rodzaju częściowo zadaszonym, zewnętrznym dziedzińcu domu, który często stanowi wejście do hiszpańskich budynków. Zmierzch przechodził w ciemność, a gdy po zachodzie słońca górskie powietrze wyostrzyło nagle wszystkie kontury, na bruku stanął mały piecyk, którego czerwone oczy żarzyły się jak u goblina i rysowały czerwony wzór na ziemi, ale jego światło ledwie sięgało do niższych

cegieł wielkiej stodoły, brązowej, ceglanej ściany, która wznosiła się nad nimi w granatowe niebo. Potężna postać Flambeau o szerokich ramionach i rozłożystych, szablastych wusach poruszała się lekko w mroku, gdy pochylał się, żeby dolać sobie ciemnego wina

z dużej karafki i przekazać ją dalej. W jego cieniu ksiądz, pochylając się nad piecykiem, wydawał się bardzo skurczony i mały, ale amerykański gość pochylił się elegancko z łokciem na kolanie i zobaczył jego wyrazistą twarz w pełnym świetle - oczy błyszczały pytającą inteligencją.

- Mogę pana zapewnić, sir - mówił - że pańskie osiągnięcie w sprawie Księżycowego Mordercy uważamy za największy triumf w historii nauki detektywistycznej.

Ojciec Brown coś wymamrotał; ktoś mógłby uznać, że to mamrotanie przypominało nieco jęk.

- Wszyscy dobrze znamy - energicznie kontynuował gość - wątpliwe osiągnięcia Dupina i pozostałych - i te Lecocq'a, Sherlocka Holmesa, Nicholasa Cartera, i innych wymyślonych postaci tego fachu. Zauważamy jednak, że pod wieloma względami jest znacząca różnica pomiędzy pana metodą, pana podejściem, i tym innych myślicieli, czy to fikcyjnych, czy faktyczne żyjących. Niektórzy przypuszczają, sir, że ta różnica metod może wynikać raczej z braku metody.

Ojciec Brown milczał. Potem drgnął lekko, niemal jakby przytakiwał. - Proszę o wybaczenie - powiedział. - Tak... Brak metody... Obawiam się, że również brak rozumu.

- Powinienem mówić o ściśle określonej metodzie naukowej - ciągnął gość. - Edgar Poe napisał kilka niewielkich esejów utrzymanych w konwersacyjnej formie, wyjaśniających metodę Dupina, z jej doskonałą logiką. Doktor Watson musiał wysłuchiwać dokładnych wyjaśnień metody Holmesa dotyczących obserwacji detali materialnych. Ale nikt chyba nie zajął się dokładnie pańską metodą. Ojciec Brown, poinformowano mnie, że odrzucił ksiądz ofertę wygłoszenia serii wykładów w Stanach.

- Owszem - powiedział ksiądz, marszcząc brwi nad piecykiem. - Odrzuciłem.

- Pańska odmowa wywołała bardzo wiele interesujących rozmów - zauważył Chace. - Mogę powiedzieć, że niektórzy nasi ziomkowie mówią, że pańska metoda nie może zostać wyjaśniona, bowiem jest to coś więcej niż tylko naturalna nauka. Mówią, że nie może pan zdradzić swojej tajemnicy, jako że z natury swojej jest ona nadprzyrodzona.

- Co takiego? - dosyć ostro zapytał ojciec Brown.

- Cóż, że to coś ezoterycznego - sprecyzował tamten. - Powiadam panu, ludzie naprawdę ciężko pracowali nad sprawą morderstwa Gallupa i morderstwa Steina, i potem morderstwa starego Mertona, a teraz morderstwa sędziego Gwynne'a, no i podwójnego morderstwa popełnionego przez Dalmona, który był w Stanach dobrze znany. I oto pan, za każdym razem trafiający w punkt, w sam środek, mówiący wszystkim, jak to zostało przeprowadzone, ale nigdy, jak pan do tego doszedł. Więc niektórzy ludzie zaczęli sądzić, że pan wie bez patrzenia, że tak powiem. A Carlotta Brownson dała wykład dla Thought-Forms²², dla którego ilustracjami były pańskie sprawy. Siostrzeństwo Drugiego Wejrzenia w Indianapolis...

Ojciec Brown wciąż wpatrywał się w piecyk. Potem powiedział dosyć głośno, jakby nieświadomy, że ktoś go słyszy:

- Och, doprawdy. To się nigdy nie zdarzy.

- Nie wiem, w jaki dokładnie sposób miałoby to pomóc - z humorem powiedział pan Chace. - Siostrzeństwo Drugiego Wejrzenia bardzo naciska. Wydaje mi się, że jedynym sposobem, by to zatrzymać, to mimo wszystko zdradzić nam ten sekret.

Ojciec Brown jęknął. Oparł głowę na rękach i przez chwilę siedział w tej pozycji, jakby pełen milczących spazmów myśli. Potem uniósł głowę.

- Doskonale. Muszę zdradzić ten sekret - powiedział głuchym głosem. Wzrokiem przesunął ponuro po całej mroczniejszej scenie, od czerwonych oczu małego piecyka do nagiej połaci starego muru, nad którym wznosiły się coraz jaśniejsze i jaśniejsze, silne gwiazdy południa.

-Ten sekret to... - powiedział, po czym zamilkł, jakby nie był w stanie mówić dalej. Potem zaczął na nowo:

- Widzi pan, to ja zabiłem tych wszystkich ludzi.

- Co? - powiedział tamten głosem zduszonym przez ciężką ciszę.

- Rozumie pan, ja sam ich wszystkich zamordowałem - cierpliwie wytłumaczył ojciec Brown. - Stąd, oczywiście, wiedziałem, jak to zostało zrobione.

Grandison Chace uniósł się na swoją znaczącą wysokość jak człowiek unoszony do sufitu przez jakąś powolną eksplozję. Gapiąc się na pozostałych, powtórzył swoje niedowierzające pytanie.

- Każdą z tych zbrodni bardzo starannie zaplanowałem - ciągnął ojciec Brown. - Wymyśliłem dokładnie, jak można by zrobić taką rzecz, i w jakim stylu bądź stanie umysłu byłby człowiek, który naprawdę by się jej dopuścił. A gdy miałem pewność, że sam czuję się dokładnie jak morderca, oczywiście wiedziałem, kto nim jest.

Chace odetchnął urywanie.

- Ależ mnie pan wystraszył - powiedział. - Przez moment naprawdę myślałem, że mówi pan serio, że jest mordercą. Przez ten moment już widziałem te nagłówki w gazetach w Stanach: „Świątobliwy detektyw Mordercą! Sto Zbrodni Ojca Browna”. Cóż, oczywiście, skoro to jedynie figura retoryczna i oznacza, że próbował pan zrekonstruować psychologiczne...

Ojciec Brown ostro zastukał w piecyk krótką fajką, którą miał właśnie zamiar napełnić. Twarz wykrzywił mu jeden z rzadkich przyływów złości.

- Nie, nie, nie - powiedział niemal gniewnie. - To nie jest wyłącznie figura retoryczna. Tak to jest, gdy próbuje się mówić o głębokich rzeczach... Co nam po słowach...? Jeżeli próbuje się mówić o prawdzie, która nie jest moralna, to ludzie zawsze sądzą, że to tylko metafora. Prawdziwy, żywy człowiek z dwiema nogami powiedział mi kiedyś: „Wierzę w Ducha Świętego wyłącznie w wymiarze duchowym”. Naturalnie odparłem: „A w jakim innym wymiarze można w niego wierzyć?”. A on potem uznał, że miałem na myśli, że nie

musi wierzyć w nic poza ewolucją, etycznym braterstwem i innymi bzdurami... Chcę powiedzieć, że widziałem siebie, prawdziwego siebie, jak popełniam te morderstwa. Faktycznie nie zabiłem tych ludzi w sensie materialnym, ale nie w tym rzecz. Każda cegielka czy trybik w maszynie mogły zabić ich w sensie materialnym. Chcę przez to powiedzieć, że rozmyślałam i rozmyślałam o tym, w jaki sposób człowiek może się takim stać, aż uświadomię sobie, że ja naprawdę taki jestem, we wszystkim poza ostatecznym przyzwoleniem na działanie. Niegdyś zasugerował mi to pewien mój przyjaciel, jako swego rodzaju ćwiczenie religijne. Zdaje się, że wziął je od papieża Leona XIII, który zawsze był dla mnie swego rodzaju bohaterem.

- Obawiam się - powiedział Amerykanin tonem, w którym nadal słychać było powątpiewanie, i nie spuszczać oczu z księdza, jakby ten był dzikim zwierzęciem - że musi mi pan dużo wyjaśnić, zanim pojmę, o czym pan mówi. Nauka detektywistyczna...

Ojciec Brown strzelił palcami z tą samą ożywioną irytacją.

- I w tym rzecz - wykrzyknął. - Tu właśnie się rozdzieliły. Nauka to wielka rzecz, gdy ją rozumieć. W swoim prawdziwym sensie to jedno z największych słów świata. Ale co mają na myśli tacy ludzie, dziewięć razy z dziesięciu, gdy używają go obecnie? Gdy mówią, że detektywistyka to nauka? Gdy mówią, że kryminalistyka to nauka? Mają na myśli wyjście poza człowieka i studiowanie go, jakby był gigantycznym insektem. To, co oni nazywają chłodnym podejściem naukowym, ja nazywam podejściem martwym i odhumanizowanym. Mają na myśli, że daleko im do niego, jakby był dawnym, prehistorycznym potworem; wpatrują się w kształt jego „przestępczej czaszki”, jakby to była jakaś koszmarna narośl, jak róg na nosie nosorożca. Gdy naukowiec mówi o typie, to nigdy nie ma na myśli siebie, ale zawsze swojego sąsiada - przypuszczalnie swojego biedniejszego sąsiada. Nie przeczę, takie chłodne podejście może czasem być dobre, choć w pewnym sensie to zaprzeczenie nauki. Odległe od wiedzy, faktycznie stanowi stłumienie tego, co wiemy.

To potraktowanie przyjaciela jak obcego i udawanie, że coś znajomego jest w istocie odległe i tajemnicze. To jak mówienie, że człowiek ma między oczami trąbę, czy że co dwadzieścia cztery godziny traci przytomność. Cóż, to, co nazywacie „tajemnicą”, to w istocie jej przeciwieństwo. Nie próbuję patrzeć na człowieka z zewnątrz. Próbuję wnikać do wnętrza mordercy... A w istocie to znacznie więcej, nie widzi pan? Ja jestem w środku człowieka. Zawsze jestem w środku człowieka, poruszając jego ramionami i nogami, ale czekam, aż wiem, że jestem w środku mordercy, myślę jego myślami, zmagam się z jego namiętnościami, aż przyginam się pod ciężarem jego nienawiści, aż widzę świat jego przekrwionymi i zmrużonymi oczami, wyglądając pomiędzy mrugnięciami na wpół

rozumnej koncentracji, patrząc w górę krótkiej i wyraźnej perspektywy prostej drogi wiodącej do kałuży krwi. Aż naprawdę jestem mordercą.

- Och - powiedział pan Chace z wydłużoną, ponurą twarzą. - I to nazywa pan ćwiczeniem religijnym.

- Owszem - odparł ojciec Brown. - To właśnie nazywam ćwiczeniem religijnym.

Po chwili ciszy znowu się odezwał.

- To tak prawdziwie religijne ćwiczenie, że wolałbym nic o nim nie mówić. Ale po prostu nie mogę pozwolić, by pan wyjechał i opowiadał wszystkim swoim ziomkom, że władam tajną magią związaną z teozofią, prawda? Źle to wyłożyłem, ale taka jest prawda. Żaden człowiek nie jest naprawdę dobry, póki nie dowie się, jak bardzo jest, czy może być, zły. Póki nie uświadomi sobie dokładnie, jakie ma prawo do tego snobizmu, prychania i mówienia o „kryminalistach”, jakby byli małpami w lesie odległym o dziesięć tysięcy mil. Póki nie pozbędzie się wszystkich brudnych kłamstw, które sam sobie wmawia, mówiąc o niskich typach i wybrakowanych czaszkach. Póki nie wyciśnie ze swojej duszy ostatniej kropli faryzejskiego oleju. Póki jego jedyną nadzieją jest pojmanie w taki czy inny sposób jednego przestępcy i utrzymanie go

bezpiecznym i przy zdrowych zmysłach pod własnym kapeluszem.

Flambeau podszedł, napełnił wielki kielich hiszpańskim winem i postawił go przed swoim przyjacielem, tak jak już postawił jeden przed swoim drugim gościem. Potem sam odezwał się po raz pierwszy.

- Wierzę, że ojciec Brown ma całą masę nowych tajemnic. Rozmawialiśmy o nich wczoraj. Odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, miał do czynienia z różnymi dziwnymi ludźmi.

- Tak, mniej więcej znam te historie, ale niedokładnie - odparł Chace, z zadumą unosząc kieliszek. - Ciekawe, czy może mi pan podać jakieś przykłady... To znaczy, czy z tą ostatnią tajemnicą poradził sobie pan w tym właśnie introspektywnym stylu?

Ojciec Brown także uniósł kieliszek, a blask ognia sprawił, że czerwone wino stało się przezroczyste jak pełen chwały czerwony witraż w oknie męczennika. Czerwony płomień wydawał się przyciągać jego wzrok i chwytać spojrzenie, które zapadało się weń coraz głębiej i głębiej, jakby ten jeden kielich mieścił w sobie czerwone morze

krwi wszystkich ludzi, a jego dusza była nurkiem zanurzającym się w ciemną pokorę i odwróconą wyobraźnię, głębiej niż najgłębsze potwory i ich odwieczny śluz. W tym kielichu, jak w czerwonym zwierciadle, ujrzał wiele rzeczy: poczynania swoich ostatnich dni poruszające się pośród szkarłatnych cieni, przykłady, których domagali się jego towarzysze, tańczące w symbolicznych kształtach, i oto przemknęły przed nim wszystkie te historie, które zostały tu opowiedziane. Teraz świetliste wino było jak ogromny, czerwony zachód słońca ponad ciemnoczerwonymi piaskami, gdzie stały ciemne ludzkie postacie; jedna upadła, a druga biegła w jego stronę. Potem zachód słońca zaczął się rozpadać na części: czerwone lampiony zwisające z drzew w ogrodzie i staw odbijający ich czerwony blask, a potem wszystkie kolory wydały się znowu łączyć w wielką różę z czerwonego kryształu, klejnot, który rozświetlił świat jak czerwone słońce, poza cieniem wysokiej postaci w wysokim pióropuszu

jakiegoś prehistorycznego kapłana, a potem znowu zbladły, aż nie zostało nic oprócz płomienia dzikiej, rudej brody szarpanej wiatrem nad dzikim, szarym wrzosowiskiem. Wszystkie te rzeczy, które później można będzie zobaczyć pod innymi kątami i w sposób inny niż jego własny, na to wyzwanie urosły w jego pamięci i zaczęły formować się w anegdoty i spory.

- Tak - powiedział i niespiesznie uniósł kielich do ust. - Dobrze to pamiętam...

ZNIKNIĘCIE VAUDREYA

Sir Arthur Vaudrey, w jasnopopielatym, letnim garniturze i białym kapeluszu, który ogromnie lubił, maszerował energicznie w górę drogi wiodącej wzdłuż rzeki, ze swojego domu do małej grupy budynków, które stanowiły nieledwie przybudówki w porównaniu do jego własnego. Wkroczył do tej małej osady, po czym zniknął bez śladu, jakby zabrały go wróżki.

To zniknięcie wydawało się tym bardziej absolutne i nagłe ze względu na zwyczajność scenerii i całkowitą prostotę warunków problemu. Osady nie można było nazwać wioską; w istocie było to niewiele więcej niż mała i dziwnie odizolowana ulica. Znajdowała się na środku rozległych, otwartych pól i równin, zaledwie pasaż czterech czy pięciu sklepików absolutnie niezbędnych sąsiadom, czyli kilku farmerom i rodzinie z majątku. Na rogu był rzeźnik, u którego, jak się okazało, sir Arthura widziano po raz ostatni. Widziało go dwóch młodzieńców przebywających w jego domu - byli to Evan Smith, który pracował jako jego sekretarz, i John Dalmon, który zasadniczo miał się zaręczyć z jego podopieczną. Obok rzeźnika znajdował się sklep wielobranżowy, jaki potrzebny jest na wsiach, w którym mała staruszka sprzedawała słodycze, laski, piłki do golfa, gumę arabską, motki sznurka i bardzo wypłowiałe materiały piśmiennicze. Za nim była trafika, do której udawali się obaj młodzi ludzie, gdy ostatni raz widzieli swojego gospodarza, który stał przed frontem rzeźnika. Dalej był obskurny zakład krawiecki

prowadzony przez dwie panie. Ciąg zamykał jasny i błyszczący sklep oferujący przechodniowi wielkie kubki bardzo bladej, zielonej lemoniady - jako że jedyny prawdziwy i chrześcijański zajazd w okolicy stał w niejakim oddaleniu, w

dół głównej drogi. Pomiędzy zajazdem a osadą było skrzyżowanie, na którym stał policjant i umundurowany urzędnik z klubu automobilowego; obaj zgodzili się, że sir Arthur nie mijał tego punktu na drodze.

Była to wczesna godzina bardzo pięknego, letniego dnia, gdy ów starszy dżentelmen wyszedł pogodnie w górę drogi, wymachując laseczką i strzepując żółte rękawiczki. Był z niego dandys, ale pełen wigoru i zdrowia, zwłaszcza jak na swój wiek. Jego siła fizyczna i aktywność wciąż były bardzo znaczące, a kolor wijących się włosów można było uznać za blond tak jasny, że wyglądał jak biały, a nie biały, który żółkł. Jego gładko ogolona twarz była przystojna, z wysoko sklepionym nosem jak u księcia Wellingtona, ale najbardziej uderzające były jego oczy. Były uderzające nie tylko metaforycznie -to, że były niemal wylupiate, stanowiło chyba jedyną dysproporcję w jego rysach. Wargi jednak miał wrażliwe i nieco zaciśnięte, jakby aktem woli. Był panem całej tej okolicy i właścicielem tej osady. W miejscach tego rodzaju nie tylko wszyscy znają wszystkich, ale generalnie wiedzą, gdzie kto jest w danym momencie. Normalnie sir Arthur poszedłby do wioski, powiedział, co miał do powiedzenia rzeźnikowi czy komukolwiek innemu, a potem wrócił na piechotę do domu, a wszystko to w przeciągu pół godziny: tyle, ile zajęło dwóm młodzieńcom nabycie ich papierosów. Jednak nie widzieli, żeby ktokolwiek wracał drogą. W istocie w zasięgu wzroku nie było nikogo poza jeszcze jednym gościem majątku, niejakim doktorem Abbottem, który siedział na brzegu rzeki szerokimi plecami do nich, wędkując cierpliwie.

Gdy wszyscy trzej goście wrócili na śniadanie, nie wydawali się myśleć o przeciągającej się nieobecności dziedzica, ale w miarę, gdy mijały kolejne godziny i nie pojawiał się na kolejnych posiłkach, naturalnie zaczęli się dziwić, a Sybil Rye, pani domu, zaczęła się poważnie denerwować. Posłano ekspedycję poszukiwawczą do wioski, która wróciła, nie znalazwszy żadnych śladów, aż wreszcie, gdy zapadła ciemność, w domu zapanował strach. Sybil posłała po

ojca Browna, który był jej przyjacielem i w przeszłości pomógł jej

w kłopotach, a w obliczu obecnej groźby zdecydował się zatrzymać w domu i wszystkiemu się przyjrzeć.

Jako że poranek nowego dnia nastąpił bez żadnych wieści, ojciec Brown wcześniej był na nogach i szukał czegokolwiek. Jego czarna, przysadzista postać widoczna była, jak chodził po ścieżkach ogrodowych tam, gdzie ogród ciągnął się wzdłuż rzeki, gdzie krótkowzrocznym i nieco zamglonym spojrzeniem lustrował krajobraz.

Zauważył, że po nadbrzeżu nawet bardziej jeszcze niezmordowanie chodzi jeszcze inna postać, i pozdrowił Evana Smitha, sekretarza, po imieniu.

Evan Smith był wysokim, jasnowłosym młodym człowiekiem, wyglądającym na udręczonego, co być może w tym nerwowym czasie można było uznać za naturalne. Ale coś w tym rodzaju wisiało nad nim cały czas. Możliwe, że było to bardziej widoczne, ponieważ miał tego rodzaju atletyczny chód i opanowanie, i tego rodzaju lwią żółte włosy i wąsy, które towarzyszą (zawsze w powieściach i czasem w rzeczywistości) szczeremu i pogodnemu sposobowi bycia „angielskiej młodzieży”. Jako że w tym przypadku łączyło się to z głęboko osadzonymi i przepastnymi oczami i cokolwiek zabiedzonym wyglądem, kontrast z tym konwencjonalnie wysokim wzrostem i jasnymi włosami z powieści mógł mieć w sobie coś nieco złowieszczonego. Ojciec Brown jednak uśmiechnął się do niego miło.

- To trudna sytuacja - powiedział już bardziej poważnie.

- To bardzo trudna sytuacja dla panny Rye - ponuro odpowiedział młody człowiek. - I nie rozumiem, dlaczego miałbym ukrywać, co jest z tego najgorsze dla mnie, przecież nawet jest zaręczona z Dalmonem. Pewnie jest ojciec zaszokowany?

Ojciec Brown nie wyglądał na szczególnie zaszokowanego, ale jego twarz często była raczej bez wyrazu.

- Naturalnie, wszyscy rozumiemy jej niepokój - odpowiedział tylko spokojnie. - Przypuszczam, że nie ma pan żadnych

wieści albo poglądów w tej sprawie?

- W zasadzie nie - odpowiedział Smith. - Przynajmniej nie mam żadnych wieści z zewnątrz. A co do poglądów... - I zapadł w ponure milczenie.

- Bardzo chciałbym poznać pańskie poglądy - uprzejmie powiedział mały ksiądz. - Mam nadzieję, że nie obrazi się pan, gdy powiem, że wydaje się pana coś dręczyć.

Młodzieniec drgnął nieco i spojrzał uważnie na księdza, marszcząc brwi, co pogrążyło jego głęboko osadzone oczy w gęstym cieniu.

- Cóż, w sumie ma ojciec rację - powiedział wreszcie. - Pewnie będę musiał komuś powiedzieć. A ojciec wydaje się być bezpieczną osobą, żeby to zrobić.

- Wie pan, co się przydarzyło sir Arthurowi? - spokojnie zapytał ojciec Brown, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

- Tak - chrapliwe powiedział sekretarz - chyba wiem, co przydarzyło się sir Arthurowi.

- Przepiękny poranek - w jego uchu odezwał się łagodny głos. - Przepiękny poranek jak na dość melancholijne spotkanie.

Tym razem sekretarz podskoczył, jakby go ktoś postrzelił, gdy jego ścieżkę, już zalaną ostrym słońcem, przeciął wielki cień doktora Abbotta. Doktor Abbott nadal miał na sobie tużurek - ozdobny, orientalny tużurek pokryty wzorem kolorowych kwiatów i smoków, przez co wyglądał raczej jak jakiś wspaniały klomb rosnący pod gorącym słońcem. Na nogach miał wielkie, płaskie kapcie, dzięki którym zapewne zdołał podejść tak blisko, nie będąc słyszany. Normalnie wydawałby się ostatnią osobą, która mogłaby się zbliżyć tak lekko i cicho, jako że był bardzo dużym, barczystym i ciężkim mężczyzną, z mocną, życzliwą, opaloną twarzą w obramowaniu staroświeckich, szarych bokobrodów i obfitej brody, która kłębiła się jak długie, szare pukle zwieszające się z jego szacownej głowy. Długie szparki oczu były dosyć zaspane i w istocie była to wczesna pora, by starszy dżentelmen był już na nogach. Wyglądał jednak na krzepkiego i ogorzałego, jak stary farmer czy kapitan żeglugi morskiej,

który przebywał na zewnątrz przy każdej pogodzie. Był jedynym starym towarzyszem i rówieśnikiem dziedzica, jakiego spotkali w tym domu.

- Wydaje się to doprawdy niezwykle - powiedział, kręcąc głową. - Te małe domeczki są jak domki dla lalek, zawsze otwarte z przodu i z tyłu, i ledwie jest tam miejsce, żeby kogokolwiek ukrywać, nawet gdyby chcieli go ukrywać. A jestem pewien, że nie. Dalmon i ja

przepytaliśmy wczoraj wszystkich - to głównie starsze panie, które nie skrzywdziłyby muchy. Niemal wszyscy mężczyźni, poza rzeźnikiem, pracują przy żniwach, a Arthura widziano, jak wychodził od rzeźnika. A nic nie mogło się wydarzyć na tym odcinku rzeki, bo przez cały dzień łowiłem tam ryby.

Potem popatrzył na Smitha, a spojrzenie jego wydłużonych oczu przez chwilę nie wydawało się już zaspane, ale nieco przebiegłe.

- Pan i Dalmon pewnie moglibyście zeznać - powiedział - że widzieliście mnie, jak tam siedzę, podczas swojego spaceru tam i z powrotem.

- Owszem - krótko odpowiedział Smith, sprawiając wrażenie dosyć zniecierpliwionego tym długim przerywnikiem.

- Mogę myśleć tylko o jednym - powoli kontynuował doktor Abbott, gdy nagle przerywnik sam został przerwany. Przez zielony trawnik pomiędzy uroczymi grządkami kwiatowymi pospiesznie szła postać jednocześnie lekka i mocna, i pośród nich pojawił się John Dalmon, trzymający w dłoni jakiś papier. Był schludnie odziany i raczej śniady, z piękną, kwadratową, napoleońską twarzą i niezmiernie smutnymi oczami - oczami tak smutnymi, że wydawały się niemal martwe. Wyglądał na jeszcze młodego, ale czarne włosy przedwcześnie posiwiały mu na skroniach.

- Właśnie otrzymałem telegram z policji - powiedział. - Wczoraj wieczorem do nich zatelegrafowałem i mówią, że natychmiast wysyłają człowieka. Doktorze Abbott, przychodzi panu do głowy ktoś jeszcze, po kogo powinniśmy posłać? Mam na myśli krewnych i temu podobne.

- Jest oczywiście jego bratanek, Vernon Vaudrey - powiedział starzec. - Jeśli pan ze mną pójdzie, to chyba mam jego adres i... i powiem panu o nim coś dość osobliwego.

Doktor Abbott i Dalmon ruszyli w stronę domu, a gdy nieco się już oddalili, ojciec Brown powiedział zwyczajnie, jakby nic im nie przerwało:

- Co pan mówił?

- Opanowany z ojca człowiek - powiedział sekretarz. - Przypuszczam, że to od wysłuchiwanie spowiedzi. Niektórych to, że ten dziwaczny, stary słoń podkradł się jak wąż, mogłoby zbić z tropu. Chyba jednak lepiej wróć do tematu, choć tak naprawdę to nie

moja spowiedź, ale kogoś innego. - Przerwał na chwilę, marszcząc brwi i szarpiąc wąs. Potem powiedział gwałtownie: - Wierzę, że sir Arthur jest przetrzymywany, i wierzę, że wiem dlaczego. Zamilkł na jakiś czas, a potem znowu wybuchnął.

- Jestem w okropnej sytuacji i większość ludzi powiedziałyby, że robię okropną rzecz. Objawię się teraz jako donosiciel i kanalia i wierzę, że wypełniam swój obowiązek.

- Sam musi to pan osądzić - grobowo powiedział ojciec Brown. - Jaki jest charakter pańskiego obowiązku?

- Znajduję się w ogromnie nieprzyjemnej sytuacji, gdyż świadczę przeciwko swojemu rywalowi, i to rywalowi, któremu się powiodło - z goryczą powiedział młodzieniec. - I nie wiem, co innego mógłbym jeszcze zrobić. Pytał mnie ojciec o wytłumaczenie zniknięcia Vaudreya. Jestem całkowicie przekonany, że tym wytłumaczeniem jest Dalmon.

- Chce pan powiedzieć - z zimną krwią podsumował ksiądz - że Dalmon zabił sir Arthura?

- Nie! - gwałtownie wykrzyknął Smith. - Po stokroć nie! Cokolwiek zrobił, tego nie. Nie jest mordercą, kimkolwiek jest ponadto. Ma najlepsze ze wszystkich alibi: dowód ze strony człowieka, który go nienawidzi. Nie zamierzam kłaść się krzywoprzysięstwem z niechęci do Dalmona i przed każdym sądem zaświadczyć, że wczoraj niczego nie zrobił. Dalmon i ja spędziliśmy razem cały dzień, czy też całą tę część dnia, i w wiosce nie zrobił nic poza kupnem papierosów, a tutaj

nie zrobił nic poza tym, że je wypalił i poszedł poczytać do biblioteki. Nie, wierzę, że jest przestępcą, ale nie zabił Vaudreya. Mogę nawet powiedzieć więcej: nie zabił Vaudreya, ponieważ jest kryminalistą.

- Tak - cierpliwie powiedział ksiądz. - I co to oznacza?

- To oznacza - odparł sekretarz - że jest przestępcą, który popełnił inne przestępstwo, a jego przestępstwo zależy od utrzymania Vaudreya przy życiu.

- Och, rozumiem - mruknął ojciec Brown.

- Dobrze znam Sybil Rye, a jej charakter stanowi dużą część tej historii. To charakter wspaniały w obu znaczeniach: wielkiej szlachetności i delikatnej strukturze. Należy do tych kobiet, które są wielce moralne, pozbawione zarazem tej zbroi nawyków i zdrowe-

go rozsądku, które posiada wiele równie moralnych osób. Jest niemal nienormalnie wrażliwa i jednocześnie pozbawiona egoizmu. Jej historia jest ciekawa: została dosłownie bez grosza, jak podrzutek, a sir Arthur wziął ją do swojego domu i traktował z wielką delikatnością, co wielu ludzi dziwiło, ponieważ - nie uwłaczając staremu panu - niezbyt to do niego podobne. Ale gdy miała jakieś siedemnaście lat, zrozumienie spadło na nią jak grom, ponieważ jej opiekun poprosił, aby za niego wyszła. Teraz dochodzę do tej ciekawej części historii. Sybil usłyszała od kogoś (jestem skłonny podejrzewać starego Abbotta), że sir Arthur Vaudrey w swojej bardziej szumnej młodości popełnił jakąś zbrodnię, czy też przynajmniej wyrządził komuś wielką krzywdę, co wpędziło go w poważne kłopoty. Nie wiem, co to było. Ale dla dziewczyny w tym niedojrzałym, sentymentalnym wieku był to wręcz koszmar, przez który sir Arthur jawił się jej niczym potwór, a już na pewno było to za dużo na bliską relację małżeńską. To, co zrobiła, było dla niej niewiarygodnie typowe. Z bezradnym przerażeniem i heroiczną odwagą własnymi, drżącymi wargami powiedziała mu prawdę. Przyznała, że jej odraza może być niezdrowa; wyznała to tak, jakby mówiła o sekretnym szaleństwie. Ku jej uldze i zaskoczeniu przyjął to cicho i uprzejmie, i najwyraźniej nie wracał już do tematu,

a przez następną odsłonę tej opowieści jej poczucie jego wspaniałomyślności ogromnie wzrosło. Na jej samotne życie zaczął wywierać wpływ pewien równie samotny mężczyzna. Biwakował jak jakiś pustelnik na jednej z wysepek na rzece i przypuszczam, że ta tajemniczość nadała mu atrakcyjności, choć przyznaję, że faktycznie jest pociągający: dżentelmen, dosyć dowcipny, jakkolwiek bardzo melancholijny - co, jak sędzę, wzmocniło romantyczną otoczkę. To oczywiście był ten człowiek, Dalmon, i po dziś dzień nie jestem pewien, na ile ona naprawdę go akceptuje, ale zaszło to na tyle daleko, że otrzymał pozwolenie, by spotkać się z jej opiekunem. Mogę sobie wyobrazić, że czekała na to spotkanie z przerażeniem i zastanawiała się, w jaki sposób stary elegant przyjmie obecność rywala. Ale tutaj znowu odkryła, że najwyraźniej oceniła go niesprawiedliwie. Przyjął młodszego mężczyznę z serdeczną gościnnością i wydawał się zachwycony widokami młodej pary. Wraz z Dalmonem chodzili polować i łowić ryby, i byli najlepszymi przyjaciółmi, gdy któregoś dnia dziewczę spotkał kolejny szok. Dalmonowi w rozmowie przypadkowo wyrwało się zdanie, że starszy pan „niewiele się zmienił przez trzydzieści lat”, i uderzyła ją prawda o tej dziwnej zażyłości. Całe to wprowadzenie i gościnność były maskaradą - ci ludzie z całą pewnością znali się już wcześniej. Dlatego właśnie Dalmon pojawił się w okolicy raczej ukradkowo. Dlatego właśnie stary Vaudrey tak chętnie zgodził się na ten związek. Ciekaw jestem, o czym ojciec myśli?

- Wiem, o czym pan myśli - z uśmiechem odrzekł ojciec Brown - i wydaje się to całkowicie logiczne. Oto mamy Vaudreya, z jakąś paskudną historią w przeszłości, i tajemniczego obcego, który przybył go prześladować i uzyskać od niego cokolwiek zapragnie. W prostych słowach, uważa pan, że Dalmon jest szantażystą.

- Owszem - przyznał tamten. - I to okropna myśl. Ojciec Brown zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba powinienem teraz pójść do domu i porozmawiać z doktorem Abbottem.

Być może porozmawiał z doktorem Abbottem, ale kiedy godzinę czy dwie później znowu wyszedł z domu, wyłonił się w towarzystwie Sybil Rye, bladej dziewczyny o rudawych włosach i profilu delikatnym i niemal nieśmiałym; na ten widok łatwo było zrozumieć to, co sekretarz opowiadał o jej rozedrganej uczciwości. Przypominało to Godivę i pewne historie o dziewiczych męczennicach. Tylko nieśmiałość może być tak bezwstydną w obliczu sumienia. Smith wyszedł im na spotkanie i przez chwilę stali na trawniku, rozmawiając. Dzień, który już od świtu był piękny, teraz był wręcz wspaniały, jednak ojciec Brown niósł swój czarny parasol tak samo niestrudzenie, jak nosił swój czarny kapelusz, i wydawał się, w ogólnym zarysie, przygotowany na burzę. Być może jednak był to nieuświadomiony efekt jego podejścia. Być może burza nie była burzą w sensie materialnym.

- To, czego w tym wszystkim nienawidzę - cichym głosem mówiła Sybil - to te rozmowy, które już się zaczęły; wszyscy podejrzewają wszystkich. John i Evan pewnie mogą świadczyć za siebie, ale doktor Abbott miał okropną scenę z rzeźnikiem, który myśli, że jest oskarżony i w konsekwencji rzuca oskarżenia.

Evan Smith wyglądał na bardzo zakłopotanego.

- Proszę posłuchać, Sybil - wyrzucił z siebie. - Nie mogę powiedzieć za dużo, ale nie wierzymy, żeby to było w ogóle potrzebne. Wszystko to jest bardzo nieprzyjemne, ale nie sądzimy, żeby miała tu miejsce... jakakolwiek przemoc.

- Czyli że ma ksiądz jakąś teorię? - powiedziała dziewczyna, spoglądając na księdza.

- Słyszałem teorię - odpowiedział - która wydaje mi się wielce przekonująca.

Stał, spoglądając nieco marzycielsko w stronę rzeki, a Smith i Sybil zaczęli rozmawiać ze sobą pospiesznie, ściszonymi głosami. Ksiądz ruszył wzdłuż rzeki, rozmyślając, i zanurzył się w grupę cienkich drzewek na skarpie. Mocne słońce przebijało się przez delikatny woal tańczących liści jak małe, zielone płomienie, a wszystkie ptaki śpiewały tak, jakby drzewo miało sto języków. Minutę czy dwie później Evan Smith

usłyszał swoje imię, wzywane ostrożnie, choć wyraźnie, z zielonej gęstwiny zarośli. Ruszył pospiesznie w tamtym kierunku i natknął się na wracającego ojca Browna.

- Niech pan nie pozwoli, żeby lady tu zeszła - bardzo cicho powiedział do niego ksiądz. - Może się pan jej pozbyć? Poprosić ją do telefonu czy coś, a potem tutaj wrócić.

Evan Smith odwrócił się i podszedł do dziewczyny z dość rozpaczliwą miną udającą beztróskę, ale ona nie należała do ludzi, którym drobne przysługi dla innych sprawiają przykrość. Bardzo szybko zniknęła w domu, a Smith wrócił i stwierdził, że ojciec Brown ponownie zniknął w zaroślach. Tuż za zagajnikiem była swego rodzaju mała zapadlina, gdzie darń obniżyła się do poziomu piaszczystych łąk nad rzeką. Ojciec Brown stał na skraju tego obniżenia terenu, spoglądając w dół, ale czy to przez przypadek, czy celowo, pomimo silnego słońca prażącego mu głowę, trzymał swój czarny kapelusz w ręce.

- Lepiej niech pan sam to zobaczy - powiedział ciężko - jako kwestię dowodową. Ale niech się pan przygotuje.

- Przygotuje na co? - zapytał tamten.

- Na najstraszniejszą rzecz, jaką w życiu widziałem - odparł ojciec Brown.

Evan Smith podszedł do zapadliska w trawie i z trudem stłumił jęk, bardziej przypominający krzyk.

Sir Arthur Vaudrey patrzył na nich i uśmiechał się. Jego twarz była zwrócona w górę, tak że można by na nią przypadkowo nadepnąć. Głowa z białawo-żółtą peruką była odchylona, twarz zatem widać było do góry nogami. Przez to tym bardziej wyglądała jak część koszmaru - jakby człowiek chodził z głową skierowaną w złą stronę. Co on robił? Czy to możliwe, żeby Vaudrey naprawdę się tak przekradał, ukrywając w obniżeniach terenu, i zerkał na nich w tej nienaturalnej pozycji? Pozostała część postaci wydawała się zgarbiona i niemal zgięta, jakby była kaleka i zdeformowana, ale przy bliższych oględzinach było to tylko skrócenie poplątanych kończyn. Czy był szalony? Był? Im bardziej Smith się przyglądał, tym sztywniejsza wydawała się ta pozycja.

- Stąd nie widać tego dobrze - powiedział ojciec Brown - ale jego gardło jest przecięte.

Smith nagle zadrżał.

- Łatwo mi uwierzyć, że to najstraszniejsza rzecz, jaką ojciec widział - powiedział. - To chyba przez to, że twarz widać do góry nogami. Widywałem ją przy śniadaniach i obiadach, codziennie przez dziesięć lat, i zawsze była miła i uprzejma. Wystarczy ją odwrócić i wygląda jak twarz diabła.

- Ta twarz jest uśmiechnięta - trzeźwo zauważył ojciec Brown - co być może nie jest najmniej ważną częścią tej zagadki. Niewielu ludzi się uśmiecha, gdy im podrzynać gardło, nawet jeśli robią to samodzielnie. Ten uśmiech, w połączeniu z tymi jego oczami, które zawsze wydawały się wystawać mu z twarzy, bez wątpienia wystarczy, żeby wyjaśnić jego minę. Ale to prawda, rzeczy widziane do góry nogami wyglądają inaczej. Artyści często odwracają swoje obrazy, żeby sprawdzić ich poprawność. Czasami, gdy trudno jest tak obrócić sam obiekt (jak w przypadku, powiedzmy, Matterhorna), to wiadomo, że stają na głowach albo przynajmniej spoglądają spomiędzy swoich nóg.

Książd, który przemawiał raczej żartobliwe, żeby uspokoić nerwy drugiego mężczyzny, doszedł do konkluzji.

- Rozumiem oczywiście, dlaczego to pana tak poruszyło - powiedział.

- Niestety poruszyło to także coś innego.

- Co ma książd na myśli?

- Poruszyło całą tę naszą całkowicie kompletną teorię - odparł tamten i zaczął schodzić w dół skarpy na mały pas piasku przy rzece.

- Być może sam to sobie zrobił - zniechęca powiedział Smith.

- Mimo wszystko to najbardziej oczywisty rodzaj ucieczki i bardzo dobrze pasuje do naszej teorii. Chciał znaleźć spokojne miejsce, przyszedł tutaj i podciął sobie gardło.

- Wcale tutaj nie przyszedł - zareplikował ojciec Brown. -A przynajmniej nie żywy i nie łądem. Nie został zabity tutaj - za mało tu krwi. Do tej pory słońce wysuszyło mu włosy i ubranie, ale na piasku są ślady dwóch stróżek wody. Gdzieś

tutaj idzie prąd przyływu od morza i tworzy wir, który wciągnął ciało do strumienia i wyrzucił, gdy przyływ się cofnął. Ale ciało musiało znaleźć się w wodzie w dole rzeki, przypuszczalnie w miasteczku, ponieważ rzeka przepływa tuż za szeregiem tych małych domów i sklepików. Nieszczęsny Vaudrey w jakiś sposób zginął w osadzie. Mimo wszystko nie wydaje mi się, żeby popełnił samobójstwo. Problem w tym, kto go zabił w takim zwyczajnym siole?

Czubkiem zniszczonego parasola zaczął rysować jakieś wzory na piasku.

- Zastanówmy się, jak przebiega ten szereg sklepów? Najpierw jest rzeźnik; cóż, rzeźnik oczywiście byłby idealnym kandydatem z tym wielkim nożem do mięsa. Ale widział pan, jak Vaudrey od niego wychodził, i raczej mało prawdopodobne, że stał sobie w sklepie, gdy rzeźnik powiedział: „Dzień dobry. Proszę pozwolić, że poderżnę panu gardło! Dziękuję. Podać coś jeszcze?”. Sir Arthur nie wydał mi się człowiekiem, który stałby tam z uprzejmym uśmiechem i pozwalał się zaatakować. Był bardzo silnym i energicznym człowiekiem o raczej gwałtownym temperamencie. A kto, poza rzeźnikiem, mógłby się z nim mierzyć? Następny sklep prowadzi stara kobieta. Potem mamy trafikę, której właścicielem jest z pewnością mężczyzna, ale powiedziano mi, że bardzo drobny i bojaźliwy. Potem mamy pracownię krawiecką prowadzoną przez dwie stare panny, a potem bistro prowadzone przez mężczyznę, który akurat przebywa w szpitalu, i który na miejscu zostawił żonę. Jest w tej wiosce dwóch czy trzech chłopaków, pomocników i chłopców na posyłki, ale chwilowo są nieobecni. Ulicę zamyka bistro - dalej nie ma nic poza zajazdem, na drodze do którego był policjant.

Okuciem parasola zrobił wgłębienie reprezentujące policjanta i znowu posępnie zapatrzył się na rzekę. Potem lekko poruszył

dłonią i zrobiwszy kilka szybkich kroków, pochylił się nad zwłokami.

- Ach - powiedział, prostując się i wzdychając głęboko. - Sprzedawca wyrobów tytoniowych! Dlaczego, na litość, nie

pamiętałem tego o właścicielu trafiki?

- Co się z księdzem dzieje? - z niejakim rozdrażnieniem zażądał Smith, jako że ojciec Brown wywracał oczami i mamrotał, a słowa „sprzedawca wyrobów tytoniowych” wypowiadał tak, jakby to były straszliwe słowa zagłady.

- Zauważył pan - odezwał się ksiądz po chwili - coś ciekawego w jego twarzy?

- Ciekawego, dobry Boże! - powiedział Evan, znowu się wzdrygając. - Poza tym, że ma poderżnięte gardło...

- Powiedziałem w jego twarzy - cicho sprostował kapłan. - Poza tym, czy nie zwrócił pan uwagi, że ma ranę na ręce i mały opatrunek na niej?

- Och, to nie ma z tym nic wspólnego - pospiesznie odparł Evan. - To się stało wcześniej i był to w sumie wypadek. Gdy pracowaliśmy razem, zaciął się w rękę pękniętym kałamarzem.

- Mimo wszystko ma to z tym coś wspólnego - sprzeciwił się ojciec Brown.

Zapadła cisza, a ksiądz chodził ponuro wzdłuż łąchy piasku, ciągnąc za sobą parasol i raz po raz mruczając: „sprzedawca wyrobów tytoniowych”, aż słowa te przejęły jego przyjaciela lękiem. Potem nagle uniósł parasol i wskazał na przystań przy krzakach.

- Czy to przystań należąca do rodziny? - zapytał. - Chciałbym, żeby mnie pan podrzucił w górę rzeki. Chcę przyjrzeć się tym domom od tyłu. Nie ma czasu do stracenia. Mogą znaleźć ciało, ale musimy to zaryzykować.

Smith wyciągał już małą łódkę i kierował ją w stronę osady.

- A przy okazji - powiedział ksiądz - dowiedziałem się od starego Abbotta, co to była za historia z tym przestępstwem biednego Vaudreya. To dosyć ciekawa sprawa z egipskim urzędnikiem, który go obraził, mówiąc, że dobry muzułmanin unika świń i Anglików, ale woli świnie - czy była to jakaś równie taktowna uwaga. Cokolwiek się wtedy wydarzyło, kłótnia najwyraźniej ożyła parę lat później, gdy ten urzędnik był z wizytą w Anglii, a Vaudrey, człowiek porywczy, zawlókł go do chlewu na farmie przynależącej do wiejskiego domu i wrzucił go do środka, łamiąc mu rękę i nogę, i zostawiając go

tam do rana. Oczywiście podniósł się z tego powodu spory szum, jednak wielu ludzi uważało, że Vaudrey działał w wybaczalnym patriotycznym afekcie. W każdym razie to chyba nie jest coś takiego, co przez całe dziesięciolecia zmuszałoby człowieka do milczenia pod groźbą szantażu.

- A więc nie sądzi pan, by miało to coś wspólnego z historią, którą rozważamy? - z namysłem zapytał sekretarz.

- Sądzę, że ma bardzo dużo wspólnego z teorią, którą teraz rozważam - odparł ojciec Brown.

Przeptywali właśnie obok niskiego murku i stromych tylnych ogrodów zbiegających od tylnych drzwi do rzeki. Ojciec Brown liczył je starannie, wskazując parasolem, a gdy doszedł do trzeciego, odezwał się znowu:

- Sprzedawca wyrobów tytoniowych! Czy to możliwe, by on... Ale dopóki się nie dowiem, będę kierował się przypuszczeniami. Powiem panu tylko, co uznałem za dziwne w twarzy sir Arthura.

- Co takiego? - spytał jego towarzysz, robiąc sobie przerwę i na chwilę opierając się o wiosła.

- To był wielki elegant - odpowiedział ojciec Brown - a twarz miał tylko połowicznie ogoloną... Może pan się tu zatrzymać na chwilę? Moglibyśmy przywiązać łódź do tego słupka.

Minutę czy dwie później przeleźli nad niskim murem i wspinali po stromych, brukowanych ścieżkach małego ogrodu z prostokątnymi grządkami warzywnymi i kwiatowymi.

- Widzi pan, sprzedawca wyrobów tytoniowych uprawia ziemniaki - powiedział ojciec Brown. - Bez wątpienia związku z sir Walterem Raleighem. Mnóstwo ziemniaków i mnóstwo worków na ziemniaki. Ci drobni rolnicy nie utracili nawyków wieśniaków; nadal wykonują dwa albo trzy zawody jednocześnie. Ale wiejscy sprzedawcy artykułów tytoniowych często zajmują się jeszcze jedną dziwną, dodatkową rzeczą, o czym nie myślałem nigdy, póki nie zobaczyłem podbródka Vaudreya. W dziewięciu przypadkach na dziesięć sklep można nazwać trafiką, ale to także zakład balwierski. Zaciął się w rękę i nie był w stanie ogolić samodzielnie, zatem przyszedł tutaj. Czy sugeruje to panu coś jeszcze?

- Bardzo dużo - odparł Smith - ale spodziewam się, że jeszcze więcej sugeruje to księdzu.

- Czy na przykład wskazuje to - zauważył ojciec Brown - jedyną sytuację, w której pełen wigoru i raczej gwałtowny dżentelmen mógłby uśmiechać się miło, gdy ktoś mu podrzyna gardło?

W następnej chwili minęli ciemne przejście na tyłach domu i weszli na zaplecze sklepiku, słabo oświetlone przez światło przefiltrowane przez brudne i popękane okienko. W jakiś sposób przywodziło na myśl zielony półmrok akwarium, było jednak dostatecznie jasno, by zobaczyć niebezpieczne narzędzia pracy balwierza i bladą, a nawet spanikowaną twarz golibrody.

Ojciec Brown obrzucił spojrzeniem pomieszczenie, które wyglądało na świeżo wysprzątane i uporządkowane, aż dostrzegł coś w zakurzonej kącie za drzwiami. Był to kapelusz wiszący na kołku. Był to biały kapelusz, i to bardzo dobrze znany w całej wiosce. A jednak, choć tak rzucający się w oczy na ulicy, wydawał się tylko przykładem takiego drobiazgu, o którym ludzie często zupełnie zapominają, podczas gdy jak najstaranniej zmywają podłogi albo niszczą poplamione gałgany.

- Jak sądzę, wczoraj rano golił się tutaj sir Arthur Vaudrey - spokojnym głosem powiedział ojciec Brown.

Dla golarza, małego, łysego człowieczka w okularach, który nazywał się Wicks, niespodziewane pojawienie się na tyłach jego lokalu tych dwóch postaci było czymś, jakby z grobu pod podłogą powstały dwa duchy. Ale od razu widać było, że powodem jego strachu przed nimi było coś więcej niż zwykłe przesady. Zapadł się, można by niemal powiedzieć, że wcisnął w narożnik ciemnego pomieszczenia, i wszystko w nim wydawało się kurczyć, poza jego wielkimi okularami, które nadawały mu wygląd goblina.

- Niech mi pan coś powie - cicho kontynuował ksiądz. - Czy ma pan jakiś powód, żeby nienawidzić dziedzica?

Mężczyzna w kącie wybełkotał coś, czego Smith nie dosłyszał, ale ksiądz skinął głową.

- Wiem, że tak - powiedział. - Nienawidził go pan i stąd właśnie wiem, że go pan nie zabił. Powie nam pan, co się stało, czy ja mam to zrobić?

Zapadła cisza wypełniona słabym tykanie zegara w kuchni na tyłach, a potem ksiądz Brown mówił dalej.

- Oto, co się wydarzyło. Gdy pan Dalmon wszedł do pańskiego sklepu, poprosił o papierosy, które były w oknie. Na moment wyszedł pan na zewnątrz, jak to często robią sklepikarze, żeby się upewnić, które ma na myśli, a on w tej chwili w wewnętrznym pomieszczeniu zauważył brzytwę, którą pan właśnie odłożył, i żółto-białą głowę sir Arthura w fotelu fryzjerskim; przypuszczalnie jedno i drugie lśniło w świetle z tego okienka z tyłu. Wystarczył mu moment, żeby podnieść brzytwę, przeciąć gardło i wrócić do kontuaru. Ofiara nawet nie zauważyła brzytwy w jego rękach. Umarł, uśmiechając się do własnych myśli. A cóż to były za myśli! Dalmon zapewne też był spokojny. Zrobił to tak szybko i cicho, że ten tutaj pan Smith mógłby przysięgnąć przed sądem, że przez cały czas byli razem. Jednakże był ktoś taki, kto był przerażony, bardzo słusznie, a tym kimś był pan. Kłócił się pan ze swoim gospodarzem o zaległości czynszowe i tak dalej, wrócił pan do własnego zakładu i zastał swojego wroga zamordowanego w pana własnym fotelu, pańską własną brzytwą. Nic w tym dziwnego, że zdecydował się pan sam posprzątać bałagan, umyć podłogę i wrzucić ciało nocą do rzeki, w luźno zawiązanym worku na ziemniaki. To poniekąd szczęście, że pański zakład balwierski pracuje w określonych godzinach; miał pan mnóstwo czasu. Wyglądało na to, że pamiętał pan o wszystkim, oprócz kapelusza... Och, proszę się nie bać, zapomnę o wszystkim, z kapeluszem włącznie.

I przeszedł spokojnie przez zewnętrzny zakład na ulicę, a za nim zdumiony Smith, zostawiając za sobą równie wstrząśniętego i zdumionego golibrodę.

- Widzi pan - powiedział ojciec Brown do swojego towarzysza - to była jedna z tych spraw, gdzie motyw naprawdę jest zbyt słaby, żeby kogokolwiek przekonać, a jednocześnie dosyć mocny, żeby go oskarżyć. Taki mały, nerwowy facecik byłby

doprawdy ostatnim człowiekiem, który zabiłby dużego, silnego mężczyznę w wyniku sprzeczki o pieniądze. Byłby jednak pierwszym, który bałby się, że zostanie o ten czyn oskarżony... Ach, jeśli chodzi o motyw człowieka, który się tego dopuścił, to jest ogromna różnica... - I pograżył się w zadumie, wpatrując się w pustkę.

- To po prostu okropne - jęknął Evan Smith. - Godzinę czy dwie temu oskarżałem Dalmona o szantaż i podłość, a mimo wszystko wiedza o tym, że naprawdę to zrobił, jest dla mnie szokiem.

Ksiądz nadal wydawał się pograżony w swego rodzaju transie, jak człowiek wpatrujący się w otchłań. Wreszcie jego wargi drgnęły i wymamrotał, bardziej jakby to była modlitwa niż przekleństwo:

- Miłosierny Boże, co za straszliwa zemsta!

Przyjaciel zadawał mu pytania, ale ojciec Brown nadal mówił jakby do siebie.

- Co za straszna opowieść o nienawiści! Cóż za pomstę jeden śmiertelny robak może wyrzucić na drugim! Czy kiedykolwiek uda nam się dostać na dno tego bezdenne ludzkiego serca, gdzie mogą trwać tak odrażające wyobrażenia? Boże, uchronij nas wszystkich od dumy, ale nie potrafię jeszcze przywołać na myśl obrazu takiej nienawiści i mściwości.

- Tak - zgodził się Smith - i nie do końca potrafię sobie uświadomić, dlaczego w ogóle miałby zabijać Vaudreya. Jeśli Dalmon był szantażystą, to wydawałoby się bardziej naturalne, żeby to Vaudrey zabił jego. Jak ojciec powiedział, podejrzenie gardła to coś okropnego, ale...

Ojciec Brown drgnął i zamrugnął, jak człowiek budzący się ze snu.

- Och, to! - sprostował szybko. - Nie myślałem o tym. Gdy opowiedziałem tę okropną historię o zemście, nie miałem na myśli morderstwa u golibrody. Myślałem o znacznie gorszej historii - chociaż, oczywiście, na swój sposób ta była dostatecznie koszmarna. Ale ta była o wiele bardziej zrozumiała, prawie każdy mógłby się tego dopuścić. W gruncie rzeczy bardzo to było bliskie aktowi samoobrony.

- Co takiego? - z niedowierzaniem wykrzyknął sekretarz. - Jeden człowiek podkrada się do drugiego i podrzyna mu gardło, podczas gdy tamten siedzi sobie w fotelu fryzjerskim i uśmiecha się miło do sufitu, a ksiądz mówi, że to była samoobrona!

- Nie mówię, że to była samoobrona usprawiedliwiona - odparł ojciec Brown. - Mówię tylko, że wielu ludzi mogłoby się poczuć zmuszonymi do tego, by bronić się przed przerażającą katastrofą -która była zarazem przerażającą zbrodnią. Myślałem o tej drugiej zbrodni. Na początek, co do tego pytania, które właśnie pan zadał

- dlaczego szantażysta miałby być mordercą? Cóż, w tym punkcie mamy sporo konwencjonalnych nieporozumień i błędów. - Zamilkł, jakby zbierał myśli po swoim ostatnim transie, i mówił dalej zwykłym głosem.

- Widzi pan, jak dwóch mężczyzn, starszy i młodszy, dochodzą do porozumienia i zgadzają się na propozycję małżeńską. Jednak początki ich zażyłości są stare i tajemnicze. Jeden jest bogaty, a drugi biedny, i domyśla się pan szantażu. W dużej mierze ma pan rację, przynajmniej w tym zakresie. Natomiast myli się pan w określeniu, co jest czym. Zakłada pan, że to biedak szantażuje bogacza. Tymczasem jest odwrotnie, to bogacz szantażuje biedaka.

- Ale to zakrawa na nonsens - sprzeciwił się sekretarz.

- To znacznie gorsze niż nonsens, ale wcale nierzadkie - odparł ksiądz. - Połowa współczesnej polityki opiera się tym, że bogaci ludzie kogoś szantażują. Pańska uwaga, że to nonsens, opiera się na dwóch iluzjach, z których obie są nonsensowne. Jedną jest to, że ludzie bogaci nie chcą być bogatsi, a drugą, że bogacza można szantażować tylko w celu uzyskania pieniędzy. A tutaj to ostatnia rzecz, o jaką trzeba by pytać. Sir Arthur Vaudrey nie działał powodowany chciwością, ale żądzą zemsty. I zaplanował najbardziej odrażającą zemstę, o jakiej kiedykolwiek słyszałem.

- Ale dlaczego miałby planować zemstę na Johnie Dalmonie? -dopytywał się Smith.

- To nie na Johnie Dalmonie chciał się zemścić - grobowym tonem odpowiedział ksiądz.

Zapadła cisza, a potem ksiądz znów zaczął mówić, prawie jakby zmieniał temat.

- Pamięta pan, gdy znaleźliśmy ciało, ujrzeliśmy twarz do góry nogami, a pan powiedział, że wygląda jak twarz diabła. Czy zauważył pan, że morderca również oglądał tę twarz do góry nogami, skoro zaszedł do fotela fryzjerskiego od tyłu?

- Ale to chorobliwa ekstrawagancja - zaprotestował jego towarzysz. - Byłem przyzwyczajony widywać tę twarz w normalnej pozycji.

- Być może nigdy nie widział jej pan w normalnej pozycji - odparł ojciec Brown. - Powiedziałem panu, że artyści odwracają obrazy, gdy chcą sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku. Być

może przy tych wszystkich śniadaniach i podwieczorkach przywykł pan do twarzy diabła.

- Na litość boską, do czego ksiądz zmierza? - ze zniecierpliwieniem zażądał Smith.

- Posługuję się parabolami - dosyć ponurym tonem odpowiedział kapłan. - Sir Arthur naturalnie nie był diabłem - był człowiekiem o charakterze, który wykuł z temperamentu, który równie dobrze mógł się obrócić na dobre. Ale te wyłupiaste, podejrzliwe oczy, te zaciśnięte, chociaż drżące wargi mogłyby panu coś niecoś powiedzieć, gdyby nie był pan do nich przyzwyczajony. Wie pan, są ciała, na których nie goją się rany. Sir Arthur miał tego rodzaju umysł. Był jakby pozbawiony skóry. Miał gorączkową czujność zrodzoną z próżności - te czujne oczy były otwarte przez bezsenność egoizmu. Wrażliwość nie musi oznaczać samolubstwa. Sybil Rye, na przykład, ma równie cienką skórę i udaje się jej być swego rodzaju świętą. Jednak Vaudrey obrócił to wszystko w trującą dumę; dumę, która nawet nie była bezpieczna i zadowolona z siebie. Każde zadrapanie na powierzchni jego duszy ropiało. I takie jest właśnie znaczenie tej starej historii o wrzuceniu człowieka do chlewu. Gdyby go tam wrzucił po tym, jak został nazwany świnia, można by to uznać za

wybaczalny wybuch wściekłości. Ale tam nie było żadnego chlewu, i w tym właśnie rzecz. Vaudrey przez całe lata pamiętał o tej głupiej obeldze, aż udało mu się sprowadzić tego człowieka w miejsce nie do pomyślenia - w pobliże chlewu - a potem zrobił coś, co według niego było jedyną stosowną i artystyczną zemstą... Och, mój Boże! Lubił, żeby jego zemsty były stosowne i artystyczne.

Smith popatrzył na niego z zaciekawieniem.

- Nie myśli ksiądz o tej sprawie z chlewem - powiedział.

- Nie - odparł ojciec Brown. - O innej. Opanował drzenie w głosie i mówił dalej:

- Pamiętając o tej historii z fantastyczną, a jednak wymagającą cierpliwości intrygą mającą sprawić, że zemsta pasuje do zbrodni, proszę się zastanowić nad sprawą, z którą mamy do czynienia. Czy zgodnie z pańską wiedzą ktokolwiek inny kiedykolwiek obraził Vaudreya czy też zrobił coś, co tamten mógł uznać za śmiertelną zniewagę? Tak - znieważyla go kobieta.

W oczach Evana zaczęło świtać jakieś niejasne przerażenie. Słuchał uważnie.

- Dziewczyna, która ledwie przestała być dzieckiem, odmówiła poślubienia go, ponieważ kiedyś był swego rodzaju przestępcą. W istocie spędził krótki czas w więzieniu za napaść na Egipcjanina. A ów szaleniec w piekle swego serca powiedział sobie: „Ona poślubi mordercę”.

Ruszyli drogą prowadzącą do majątku i przez jakiś czas szli w milczeniu wzdłuż brzegu rzeki.

- Vaudrey miał możliwość szantażowania Dalmona, który dawno temu popełnił morderstwo - podjął wreszcie ksiądz. - Przypuszczalnie wiedział o jakichś przestępstwach towarzyszy swojej dzikiej młodości. Prawdopodobnie była to jakaś przypadkowa zbrodnia, którą można było w jakimś stopniu odpokutować, jako że morderstwa popełniane w afekcie nigdy nie są tymi najgorszymi. A Dalmon wygląda mi na człowieka, który zna wyrzuty sumienia, nawet z powodu zamordowania Vaudreya. Był jednak w mocy Vaudreya i pomiędzy sobą bardzo sprytnie wmanewrowali tę dziewczynę w

zaręczyny, pozwalając, by ukochany jako pierwszy spróbował szczęścia, a drugi tylko wspaniałomyślnie zachęcał. Ale Dalmon nie wiedział, nie wiedział nikt poza samym diabłem, co naprawdę roi się w głowie tego starca.

Potem, kilka dni temu, Dalmon odkrył coś okropnego. Niezupełnie niechętny zrealizował plan, był narzędziem. Nagle odkrył, w jaki sposób to narzędzie ma zostać zniszczone i wyrzucone. W bibliotece natrafił na pewne notatki Vaudreya, które stanowiły szkic informacji dla policji. Zrozumiał całą intrygę i osłupiał, tak jak ja, gdy ją pojąłem. W chwili, gdy panna młoda i pan młody wezmą ślub, pan młody zostanie aresztowany i powieszony. Wybredna dama, która nie chciała męża, który siedział w więzieniu, nie będzie miała żadnego męża oprócz tego, który zadyndał na szubienicy. To właśnie sir Arthur Vaudrey uznał za artystyczne odwrócenie tej historii.

Evan Smith, śmiertelnie pobladły, milczał. Daleko w dole drogi zobaczyli potężną postać i wielki kapelusz doktora Abbotta, który zmierzał w ich stronę. Nawet jego sylwetka zdradzała podekscytowanie. Oni jednak nadal byli roztrzęsieni swoją prywatną apokalipsą.

- Jak ksiądz powiedział, nienawiść to nienawistna rzecz - odezwał się wreszcie Evan. - I wie ksiądz, jest jedna rzecz, która przynosi mi jakąś ulgę. Cała moja nienawiść do nieszczęsnego Dalmona uleciała - teraz, gdy wiem, że jest podwójnym mordercą.

Resztę drogi pokonali w milczeniu, aż spotkali się z wielkim doktorem, który wyrzucił swoje duże dłonie w rękawiczkach rozpaczliwym gestem. Jego szarą brodę szarpał wiatr.

- Mam okropne wieści - powiedział. - Znalezione ciało Arthura. Zmarł we własnym ogrodzie.

- Ojej - dość mechanicznie zareagował ojciec Brown. - Jakież to straszne!

- I jest coś więcej! - bez tchu wykrzyknął doktor. - John Dalmon wyjechał, żeby spotkać się z Vernonem Vaudreyem, tym bratankiem - tymczasem Vernon Vaudrey nic o nim nie słyszał, a Dalmon po prostu zniknął.

- A niech mnie - powiedział ojciec Brown. - Jakie to dziwne!

CZERWONY KSIĘŻYC MERU

Wszyscy się zgadzali, że kiermasz w Mallowood Abbey (dzięki uprzejmemu pozwoleniu lady Mounteagle) był wielkim sukcesem; były tam karuzele, huśtawki i przedstawienia, które bardzo podobały się ludziom. Wspomniałbym również o dobroczynności, która była wspaniałym przedmiotem tej pracy, gdyby ktokolwiek mógł mi wyjaśnić, o co chodziło. Tym niemniej przedmiotem naszego zainteresowania jest tylko kilka osób, a zwłaszcza troje z nich: dama i dwóch dżentelmenów, którzy przeszli pomiędzy dwoma głównymi namiotami czy pawilonami z głosami podniesionymi podczas sprzeczki. Po ich prawej stronie znajdował się namiot Pana Gór, sławnego na cały świat wróża, przepowiadającego przyszłość z kryształów i dłoni; wspaniały, purpurowy namiot, w którym porozstawiane były czarno-złote podobizny azjatyckich bogów wyciągających liczne ramiona jak ośmiornice. Być może symbolizowały gotowość do niesienia boskiej pomocy, a być może jedynie wskazywały, że idealny, pobożny chiromanta powinien mieć tak dużo dłoni, jak to tylko możliwe. Po drugiej stronie znajdował się skromniejszy namiot frenologa Phroso, skromniej przyozdobiony szkicami głów Sokratesa i Szekspira, które były pokryte wyraźnymi zgrubieniami. Były to jednak obrazki czarno-białe, z całą masą cyferek i notatek, dzięki czemu emanowały sztywną godnością czystej, racjonalnej nauki. Purpurowy namiot miał wejście jakby do ciemnej jaskini, a w środku panowała stosowna cisza. Jednakże

frenolog Phroso, szczupły, zaniedbany, ogorzały człowiek o niemal nienaturalnie czarnych wąsach i bokobrodach, stał na zewnątrz swojej świątyni i mówił bardzo głośno, nie zwracając się do nikogo w szczególności, tłumacząc, że głowa dowolnego

przechodnia bez wątpienia przy oględzinach dowiedzie, że pod każdym względem jest równie gruzłowata jak głowa Szekspira. W istocie, w chwili, gdy pomiędzy namiotami pojawiła się wspomniana dama, czujny Phroso pochylił się ku niej i zaproponował, przy pomocy starej jak świat pantomimy, że zbada jej wypukłości.

Odmówiła niemal niegrzecznie, jednak trzeba jej wybaczyć, bowiem była w trakcie kłótni. Trzeba jej również wybaczyć, ponieważ była to lady Mounteagle. Jednakże w każdym sensie była to osoba znacząca -niegdyś przystojna i wymizerowana, z głodnym wyrazem głębokich, ciemnych oczu i czymś pożądlwym i niemal dzikim w uśmiechu. Jej suknia, jak na ten czas, była dziwaczna; był to czas, zanim Wielka Wojna zostawiła nas w naszym obecnym nastroju przygnębienia i nostalgii. Suknia owa w rzeczy samej przypominała ten purpurowy namiot - na wpół orientalna, pokryta egzotycznymi i ezoterycznymi symbolami. Ale wszyscy wiedzieli, że Mounteaglowie byli obłąkani, co było popularnym sposobem mówienia, że ona i jej mąż interesowali się religiami i kulturą Wschodu.

Ekscentryczność lady była w wielkim kontraście do konwencjonalności obu dżentelmenów, którzy byli usztywnieni i zapięci po samą szyję w najsztywniejszym stylu owych odległych dni, od palców ich rękawiczek po jasne cylindry. Jednakże nawet tutaj była różnica - James Hardcastle zdołał wyglądać jednocześnie stosownie i wytwornie, podczas gdy Tommy Hunter wyglądał jedynie stosownie i pospolicie. Hardcastle był obiecującym politykiem, który w towarzystwie sprawiał wrażenie, że interesuje go wszystko z wyjątkiem polityki. Można by odpowiedzieć ponuro, że każdy polityk zdecydowanie jest politykiem obiecującym. Ale by oddać mu sprawiedliwość, często przedstawiał się jako polityk działający. Jednakże na kiermaszu nie było żadnego purpurowego namiotu, w którym dawałby przedstawienie.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedział, wkładając sobie w oko monokl, który był jedynym błyszczącym punktem na jego

mocnej, zdecydowanej twarzy - sądzę, że zanim zaczniemy mówić o magii,

musimy wyczerpać wszystkie możliwości mesmeryzmu. Niezwykłe siły psychiczne z pewnością istnieją, nawet pośród ludzi ewidentnie zacofanych. Fakirzy potrafią robić cudowne rzeczy.

- Powiedział pan: fałszerze? - zapytał drugi młodzieniec z powątpiewającą niewinnością.

- Tommy, jesteś zwyczajnie niemądry - powiedziała lady. - Dlaczego spierasz się o rzeczy, których zwyczajnie nie rozumiesz? Jesteś jak uczeń wykrzykujący na cały głos, że wie, jak działa jakaś magiczna sztuczka. Wszystko to takie wczesnowiktorjańskie - ten szkolny sceptycyzm. Co do mesmeryzmu, wątpię, czy można go rozciągnąć na...

W tej chwili lady Mounteagle dostrzegła kogoś, kogo pragnęła spotkać: czarną, przysadziłą postać stojącą przy straganie, na którym dzieci zarzucały kółka na okropne ozdoby stojące na stole. Ruszyła w tamtą stronę.

- Ojciec Brown! - wykrzyknęła. - Szukałam ojca. Chciałabym o coś zapytać. Wierzy ojciec w przepowiadanie przyszłości?

Osoba, do której się zwracała, popatrzyła dość bezradnie na trzymane w dłoni kółko.

- Zastanawiam się, w jakim sensie używa pani słowa „wierzyć” - powiedział wreszcie. - Oczywiście, jeśli to wszystko oszustwo...

- Och, ale Pan Góry to w żadnym razie nie jest oszustwo - zaprotestowała. - To nie jest jakiś zwyczajny sztukmistrz czy wróżbita. To naprawdę wielki zaszczyt, że zajął się przepowiadaniem przyszłości na moich włościach. W swoim kraju to wielki przywódca religijny, prorok i jasnowidz. I nawet jego przepowiadanie przyszłości nie jest wulgarną gadaniną o zdobyciu majątku. Objawia wielkie duchowe prawdy o człowieku, o jego ideałach.

- Powiedzmy - odparł ojciec Brown. - I właśnie to mi się nie podoba. Właśnie miałem powiedzieć, że jeśli to wszystko oszustwo, to w sumie mi to nie przeszkadza. To nie może być bardziej oszukańcze niż większość rzeczy na kiermaszach

osobliwości, a to, w pewnym sensie, swego rodzaju psikus. Ale jeśli to religia i objawia prawdy duchowe -wówczas to wszystko jest fałszywe jak diabli i nie tknąłbym tego nawet kijem.

- To swego rodzaju paradoks - z uśmiechem zauważył Hardcastle.

- Zastanawiam się, czym jest paradoks - z zadumą powiedział ksiądz. - Mnie wydaje się to dość oczywiste. Przypuszczam, że nie byłoby wielkiej szkody, gdyby ktoś przebrał się za niemieckiego szpiega i udał, że powiedział Niemcom najróżniejsze kłamstwa. Jednak gdyby jakiś człowiek handlował z Niemcami prawdą - cóż! Myślę więc, że jeśli wróżbici w taki sposób sprzedają prawdę...

- Doprawdy sądzi ksiądz... - ponuro zaczął Hardcastle.

- Owszem - odparł ojciec Brown. - Sądzę, że to handlowanie z wrogiem.

Tommy Hunter parsknął lekkim śmiechem.

- Cóż - powiedział - skoro ojciec Brown uważa, że są dobrzy, póki są oszustami, to chyba powinienem uznać tego miedzianoskiego proroka za jakiegoś świętego.

-Mój kuzyn Tom jest niepoprawny - stwierdziła lady Mouteagle. -Zawsze próbuje demaskować adeptów, jak ich nazywa. Przyjechał tutaj w pośpiechu tylko dlatego, że usłyszał, że ma tu być Mistrz. Będzie próbował wywołać Buddę albo Mojżesza.

- Myślałem, że chciałaś się trochę potroszczyć - odparł młodzieniec z uśmiechem na krągłej twarzy - więc przydreptałem. Nie podoba mi się, że ta brązowa małpa wszędzie się pałęta.

- A ty znowu swoje! - powiedziała lady Mouteagle. - Lata temu, gdy byłem w Indiach, wszyscy chyba mieliśmy takie uprzedzenia w stosunku do brązowych ludzi. Teraz jednak wiem co nieco o ich wspaniałych mocach duchowych i cieszę się, mogąc powiedzieć, że wiem lepiej.

- Nasze uprzedzenia wynikają chyba z czegoś innego - zauważył ojciec Brown. - Pani wybacza mu to, że jest brązowy, ponieważ jest braminem, ja zaś wybaczam mu bramiństwo, ponieważ jest brązowy. Tak szczerze mówiąc, sam

nieszczególnie dbam o moce duchowe. Mam znacznie więcej sympatii dla duchowych słabości. Nie rozumiem jednak, dlaczego ktoś miałby czuć do niego niechęć tylko dlatego, że ma ten sam, piękny kolor co miedź albo kawa, albo ciemne ale, albo te urocze, torfowe strumyki na północy. Ale w sumie - dodał, spoglądając na lady i mrużąc oczy - przypuszczam, że czuję sympatię wobec wszystkiego, co można nazwać brązowym.

- O, i proszę! - nieco triumfalnie wykrzyknęła lady Mouteagle. -Wiedziałam, że pleciesz androny!

- Cóż - burknął urażony młodzik o okrągłej twarzy. - Gdy ktoś mówi rozsądnie, nazywasz to szkolnym sceptycyzmem. Kiedy zaczniesz się to gapienie w kryształ?

- Chyba kiedy tylko zechcesz - odpowiedziała lady. - To w zasadzie nie tyle gapienie się w kryształ, co chiromancja. Ty pewnie uznałbyś to wszystko za taki sam nonsens.

- Uważam, że sens i nonsens spotykają się w połowie drogi -z uśmiechem odezwał się Hardcastle. - Istnieją wytłumaczenia, które są naturalne i w najmniejszym stopniu nie nonsensowne, a jednak rezultaty są wielce zdumiewające. Da pan sobie powróżyc? Wyznaję, że jestem ogromnie zaintrygowany.

- Och, ja nie mam cierpliwości do takich bzdur - warknął sceptyk, którego okrągła twarz poczerwieniała z pogardy i niedowierzania. -Sami traćcie czas na tego waszego mahoniowego hochsztaplera. Ja pójdę i porzucam orzechami kokosowymi.

Frenolog, wciąż kręcący się w pobliżu, podskoczył do wejścia.

- Głowy, szanowny panie - powiedział. - Ludzkie czaszki mają kontury znacznie subtelniejsze od kokosów. Żaden kokos nie może się równać z pańską własną, najbardziej...

Hardcastle zanurkował już w ciemne wejście purpurowego namiotu. Ze środka dobiegł ich cichy pomruk głosów. Gdy Tom Hunter odwrócił się do frenologa ze zniecierpliwioną odpowiedzią, w której wykazał godny pożałowania brak zainteresowania granicą między naukami naturalnymi a nadprzyrodzonymi, lady właśnie miała kontynuować swój

mały spór z księdzem, gdy zamilkła, cokolwiek zaskoczona. James Hardcastle wyłonił się z namiotu, a na jego ponurej twarzy z monoklem zaskoczenie było jeszcze wyraźniejsze.

- Nie ma go tam - gwałtownie wyrzucił z siebie polityk. - Zniknął. Jakiś stary Murzyn, chyba jego służący, bełkotał coś, że Mistrz woli odejść niż sprzedać święte tajemnice bogów za złoto.

Rozpromieniona lady Mouteagle odwróciła się do pozostałych.

- Proszę bardzo - wykrzyknęła. - Mówiłam, że on jest ponad wszystko to, o czym rozmawialiście! Nienawidzi przebywania w tłumie. Wrócił do swojej samotni.

- Przepraszam - grobowo powiedział ojciec Brown. - Chyba niesprawiedliwie go oceniłem. Wie pani, dokąd się udał?

- Chyba tak - równie grobowo odrzekła jego gospodyni. - Gdy chce być sam, zawsze idzie na krużganek, na samym końcu lewego skrzydła, za gabinetem mojego męża i prywatnym muzeum, wie ksiądz. Być może wiadomo księdzu, że ten dom był niegdyś opactwem.

- Coś mi się obilo o uszy - odpowiedział ksiądz ze słabym uśmiechem.

- Jeśli ksiądz chce, to tam pójdziemy - dziarsko zaproponowała lady. - Naprawdę powinien ksiądz zobaczyć kolekcję mojego męża, a w każdym razie Czerwony Księżyc. Słyszał ksiądz kiedyś o Czerwonym Księżycu Meru? Tak, to rubin.

- Byłbym zachwycony, mogąc obejrzeć tę kolekcję - cicho powiedział Hardcastle. - Łącznie z Mistrzem z Gór, jeśli ów prorok jest jednym z eksponatów.

I wszyscy ruszyli w stronę ścieżki prowadzącej do domostwa.

- Wszystko jedno - wymamrotał sceptyczny Thomas, zamykając pochód. - Ja też bardzo chciałbym wiedzieć, po co tu przyjechało to brązowe bydlę, skoro nie po to, żeby przepowiadać przyszłość.

Gdy zniknął, nieposkromiony Phroso raz jeszcze rzucił się za nim, prawie chwytając go za poły surduta.

- Guz... - zaczął.

- Żaden guz - uciał młodzieniec. - Co najwyżej garb. Zawsze mi wyrasta, gdy przyjeżdżam z wizytą do Mounteagle. - I obrócił się na pięcie, by umknąć z zasięgu rąk tego człowieka nauki.

Po drodze na krużganek goście musieli przejść przez długie pomieszczenie, które przeznaczone było przez lorda Mounteagle na jego prywatne muzeum azjatyckich amuletów i talizmanów. Przez otwarte drzwi na całej długości przeciwległej ściany widzieli gotyckie łuki i blask światła dziennego pomiędzy nimi, oznaczające kwadratową, otwartą przestrzeń, po której zadaszonym skraju w dawniejszych czasach przechadzali się mnisi. Musieli jednak przejść obok czegoś, co na pierwszy rzut oka wydawało się zdecydowanie bardziej niezwykle niż duch mnicha.

Był to starszy wiekiem dżentelmen, od stóp do głów odziany w biel, z bladozielonym turbanem, ale bardzo różową i białą angielską cerą i gładkimi, białymi wąsami jakiegoś przyjaznego anglo-indyjskiego pułkownika. Był to lord Mounteagle, który swoim orientalnemu przyjemnościom oddawał się z większą zadumą, a w każdym razie traktował je z większą powagą niż jego żona. Potrafił rozmawiać wyłącznie o religii i filozofii Orientu i uważał za konieczne, aby nawet ubierać się w stylu orientального pustelnika. Chociaż był zachwycony, mogąc pokazać swoje skarby, wydawał się je cenić znacznie bardziej za prawdy, które symbolizowały, niż za ich wartość kolekcjonerską, nie mówiąc już o gotówce. Nawet gdy wyciągnął wielki rubin, być może jedyną, w sensie ściśle monetarnym, prawdziwie cenną rzecz w tym muzeum, wydawał się znacznie bardziej zainteresowany jego nazwą niż wielkością, nie mówiąc już o cenie.

Pozostali gapili się na ten zdumiewająco wielki kamień płonący jak ognisko widziane przez deszcz krwi. Jednak lord Mounteagle toczył go swobodnie po dłoni i nawet na niego nie patrzył, a wpatrując się w sufit, opowiedział im długą historię o legendarnym charakterze góry Meru i o tym, że zgodnie z

mitologią gnostycką była ona miejscem zmagania bezimiennych, pradawnych sił.

Pod koniec wykładu o demiurgu gnostyków (nie zapominając o jego związku z podobną koncepcją Manicheusza²³) nawet taktowny pan Hardcastle uznał, że nadszedł czas na dywersję. Poprosił o pozwolenie na przyjrzenie się kamieniowi, a gdy zapadał wieczór, a długi pokój z pojedynczymi drzwiami pogrążał się w mroku, wyszedł za nim na krużganek, by przyjrzeć się klejnotowi w lepszym świetle. Właśnie wtedy uświadomili sobie po raz pierwszy, powoli i niemal niesamowicie, żywą obecność Pana Góry.

Krużganek był rozplanowany zwyczajnie, zgodnie ze swoją oryginalną strukturą, ale linia gotyckich kolumn i zaostrome łuki, które tworzyły wewnętrzny kwadrat, były połączone niskim murkiem, sięgającym mniej więcej do pasa, który gotyckie drzwi zmieniał w gotyckie okna i stanowiąc dla każdego coś w rodzaju płaskiego, kamiennego parapetu. Ta zmiana prawdopodobnie była dawna,

jednak były tam również inne, bardziej niezwykłe zmiany, które świadczyły o raczej niecodziennych, indywidualnych pomysłach lorda i lady Mouteagle. Pomiedzy kolumnami wisiały cienkie zasłony, czy raczej woale, zrobione z paciorków albo lekkich trzcin, w stylu południowym czy kontynentalnym. Na nich z kolei można było wytropić kontury i kolory azjatyckich smoków i bożków, które kontrastowały z gotyckim obramowaniem, w którym zostały powieszone. To jednak, w miarę jak zniknęło światło, była najmniej istotna niezgodność, którą towarzystwo z bardzo odmiennymi odczuciami zaczęło sobie uświadamiać.

Na dziedzińcu otoczonym krużgankiem znajdowała się, jak koło wpisane w kwadrat, kolistą ścieżką wyłożoną jasnymi kamieniami i obramowana jakąś zieloną emalią, jakby imitacją trawnika. Wewnątrz, w samym centrum, wznosił się basen ciemnozielonej fontanny czy też podniesionego oczka wodnego, w którym unosiły się lilie wodne i pluskały złote rybki, a dużo wyżej znajdował się wielki, zielony obraz, którego zarysy ciemniały w gasnącym świetle.

Zwrócony był do nich plecami, twarz miał całkowicie niewidoczną, a sylwetka posągu była tak przygarbiona, że mógłby być niemal bezgłowy. Jednak po samym jego zarysie majaczącym w półmroku niektórzy z nich natychmiast dostrzegli, że nie był to kształt żadnej rzeczy chrześcijańskiej.

Kilka jardów dalej, na kolistej ścieżce i patrząc w stronę tego wielkiego, zielonego boga, stał człowiek zwany Panem Góry. Jego ostre i eleganckie rysy sprawiały wrażenie, jakby jakiś zręczny rzemieślnik odlał miedzianą maskę. Przez kontrast jego ciemnoszara broda wydawała się być niemal w kolorze indygo - zaczynała się wąskim kosmykiem na podbródku, a potem rozpościerała jak wielki wachlarz albo ptasi ogon. Odziany był w szatę o barwie pawiej zieleni, a na łysej głowie miał wysoki czepek nieznanego kroju - przybranie głowy, którego żadne z nich nigdy dotąd nie widziało, ale wydawało się raczej egipskie niż indyjskie. Mężczyzna stał, wpatrując się w przestrzeń. Oczy miał szeroko otwarte, rybie, tak nie-poruszone, że wyglądały jak oczy namalowane na sarkofagu. Jednakże, choć postać Pana Góry była bardzo niezwykła, niektórzy ze zgromadzonych, w tym ojciec Brown, nie patrzyli na niego - nadal wpatrywali się ciemnozielonego bożka, na którego patrzył on sam.

- To chyba dość dziwne - powiedział Hardcastle, lekko marszcząc brwi - żeby umieścić coś takiego na środku dawnego krużganka klasztornego.

- Niechże pan nie będzie niemądry - powiedziała lady Mouteagle. - Właśnie o to nam chodzi: by połączyć wielkie religie Wchodu i Zachodu, Buddę i Chrystusa. Z pewnością rozumie pan, że wszystkie religie w istocie są takie same.

- Skoro tak - łagodnie odezwał się ojciec Brown - to chyba nie ma potrzeby jechać do Azji, żeby jakąś sprowadzić.

- Lady Mouteagle ma na myśli, że to odmienne aspekty czy fasety, jak w tym klejnocie - zaczął Hardcastle, a zainteresowawszy się nowym tematem, odłożył wielki rubin na kamienny parapet pod gotyckim łukiem. - To jednak nie znaczy, że możemy mieszać te aspekty w jeden artystyczny

styl. Można pomieszać chrześcijaństwo z islamem, ale nie da się połączyć gotyku i dzieł Saracenów, nie mówiąc już o prawdziwie indyjskich.

Gdy się odezwał, Pan Góry wydawał się wrócić do życia jak kataleptyk i przeszedł uroczyście na kolejny kwadratowy segment kręgu, gdzie zajął pozycję na zewnątrz szeregu łuków, stając plecami do nich i spoglądając teraz na plecy idola. Widać było wyraźnie, że poruszał się po kręgu etapami, jak dłoń po tarczy zegara, ale zatrzymywał na modlitwę albo kontemplację.

- Jaka jest jego religia? - z lekkim zniecierpliwieniem zapytał Hardcastle.

- Powiada - odparła lady Mounteagle z szacunkiem - że starsza niż braminizm i czystsza niż buddyzm.

- Och - mruknął Hardcastle i dalej patrzył przez monokl, stojąc z rękami w kieszeniach.

- Powiadają - zauważył arystokrata swoim łagodnym, acz dydaktycznym głosem - że w jaskini na górze Meru wyrzeźbiony jest kolosalny posąg bóstwa zwanego Bogiem Bogów...

Wykład jego lordowskiej mości został gwałtownie przerwany przez głos, który odezwał się ponad jego ramieniem. Dobięł z ciemności muzeum, z którego właśnie wyszli, wkraczając na krużganek. Na ten dźwięk dwóch młodszych mężczyzn najpierw okazało niedowierzanie, potem wściekłość, a potem niemal przewrócili się ze śmiechu.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - rozległ się uprzejmy i uwodzicielski głos profesora Phroso, tego niezmordowanego bojownika o prawdę - ale przyszło mi na myśl, że niektórzy z państwa mogliby poświęcić nieco czasu na tę pogardzaną naukę o zgrubieniach, która...

- Patrz pan - krzyknął porywczy Tommy Hunter - ja nie mam żadnych zgrubień. Ale pan zaraz będziesz je miał, ty...

Hardcastle przytrzymał go łagodnie, gdy rzucił się w stronę drzwi, i przez moment cała grupa znowu się odwróciła i skupiła na wewnętrznym pomieszczeniu.

Tommy raz jeszcze zaczął się szarpać, tym razem z lepszym skutkiem. Zanim ktokolwiek coś spostrzegł, gdy Hardcastle ledwie sobie przypomniał, że zostawił klejnot na parapecie, Tommy zwinnie jak kot biegł przez krużganek i wychylając głowę i ramiona z przerwy pomiędzy kolumnami, wykrzyknął głosem, który rezonował pod wszystkimi łukami:

- Mam go!

W tej właśnie chwili, tuż po tym, jak się odwrócili, a tuż przed tym, jak usłyszeli jego triumfujący okrzyk, wszyscy zobaczyli, co się stało. Zza jednej z kolumn wyłoniła się i zaraz zniknęła brązowa dłoń w odcieniu matowego złota - takim, jaki już widzieli gdzie indziej. Dłoń wystrzeliła prosto jak atakujący wąż, tak błyskawicznie, jak wysuwa się długi język mrówkojada. Ale ten schwycił klejnot. W bladym i zanikającym świetle kamienna płyta parapetu okiennego była pusta.

- Mam go - wysapał Tommy Hunter - ale strasznie się wyrywa. Zajdźcie go od przodu - i tak się go nie pozbędzie.

Posłuchali go, niektórzy biegnąc w dół korytarza, a inni przełaząc przez niski murek, w rezultacie czego ten mały tłumek, składający się z Hardcastle'a, lorda Mounteagle, ojca Browna, a nawet nieodłącznego pana Phroso od zgrubień, wkrótce otoczył schwytanego Pana Góry, którego za szatę u szyi jedną ręką desperacko trzymał Hunter, raz po raz potrząsając nim i nie zważając zupełnie na godność proroków jako klasy.

- No, grunt, że go mamy - powiedział Hunter, oddychając głęboko. - Musimy go tylko przeszukać. Kamień musi mieć przy sobie.

Trzy kwadranse później Hunter i Hardcastle, których cylindry,

krawaty, rękawiczki, paski i getry po ich ostatnich poczynaniach były w cokolwiek gorszym stanie, stanęli twarzą w twarz na krużganku i popatrzyli na siebie.

- Cóż - niechętnie rzekł Hardcastle. - Ma pan jakieś przypuszczenia odnośnie tej zagadki?

- Też coś - odpowiedział Hunter. - Nie można tego nazwać zagadką. W końcu wszyscy wiedzieliśmy, jak go zabierał.

- Tak - zgodził się tamten - ale nie widzieliśmy, jak się go pozbywał. A zagadką jest, gdzie go ukrył, że nie możemy go znaleźć?

- Gdzieś musi być - powiedział Hunter. - Szukaliście w fontannie i wokół tego paskudnego, starego bożka?

- Ryb nie rozcinałem - burknął Hardcastle, unosząc monokl.
- Myśli pan o pierścieniu Polikratesa²⁴?

Spojrzenie na okrągłą twarz, którą miał przed sobą, przekonało go, że Hunter nie pomyślał o tym greckim micie.

- Przyznaję, że przy sobie go nie ma - znieczeka odezwał się Hunter - chyba że go połknął.

- Proroka też mamy rozkroić? - spytał Hardcastle z uśmiechem. - Idzie nasz gospodarz.

- To wielce niepokojąca sprawa - powiedział lord Mouteagle, skrecając białego wąsa nerwową, a nawet drżącą ręką. - To okropne, mieć w domu złodzieja, nie mówiąc już, że to ktoś pokroju Mistrza. Przyznaję jednak, że kompletnie nie pojmuję sposobu, w jaki o tym mówi. Chciałbym, żeby panowie weszli do środka i powiedzieli, co myślą.

Poszli razem, Hunter guzdrał się z tyłu i pograżył w konwersacji z ojcem Brownem, który kręcił się po krużganku.

- Musi pan być bardzo silny - uprzejmie powiedział ksiądz. - Utrzymał go pan jedną ręką, a on wydawał się całkiem krzepki, nawet gdy trzymaliśmy go we czterech, jak jeden z tych indyjskich bogów.

Rozmawiając, zrobili jedno czy dwa okrążenia wokół krużganka, a potem również udali się do wewnętrznego pomieszczenia, gdzie na ławce siedział Pan Góry w roli więźnia, roztaczając jednak iście królewską aurę.

Prawdą było, jak powiedział lord Mouteagle, że jego styl i ton nie były łatwe do zrozumienia. Przemawiał ze spokojnym, ale skrytym poczuciem władzy. Ich sugestie co do trywialnych miejsc ukrycia klejnotu wydawały się go raczej bawić, z pewnością też nie przejawiał najmniejszej urazy. Sprawiał

wrażenie, jakby się śmiał ukradkiem z ich wysiłków wysłędzenia tego, co wszyscy widzieli, że zabrał.

- Czegoś się nauczyliście - powiedział z wyniosłą łaskawością - o prawach czasu i przestrzeni, co do których wasza najnowsza nauka jest opóźniona o tysiące lat wobec naszej najstarszej religii. Nie wiecie nawet, co naprawdę oznacza ukrycie czegoś. Nie, moi biedni, mali przyjaciele, wy nawet nie wiecie, co oznacza zobaczenie czegoś, a być może ujrzelibyście to równie jasno, jak ja.

- Chcesz powiedzieć, że klejnot jest tutaj? - natarczywie zapytał Hardcastle.

- Tutaj to również słowo o wielu znaczeniach - odparł mityk.

- Ale nie powiedziałem, że jest tutaj. Powiedziałem tylko, że go widzę.

Zapadła chwila ciężkiej ciszy, a potem kontynuował sennie:

- Gdybyście mieli być całkowicie, niewyobrażalnie cisi, sądzicie, że moglibyście usłyszeć krzyk z drugiego końca świata? Krzyk czciciela, samego w tych górach, w których znajduje się oryginalny obraz. Niektórzy powiadają, że obraz ten mogli czcić nawet Żydzi i muzułmanie, ponieważ nie został stworzony ręką człowieka. Słuchajcie! Słyszycie krzyk, z którym unosi głowę, i widzicie w tym kamiennym oczodole, który był pusty przez wieki, ten czerwony i gniewny księżyc, który jest okiem góry?

- Naprawdę chcesz powiedzieć - jęknął lord Mounteagle, nieco roztrzęsiony - że byłbyś w stanie przekazać go stąd do góry Meru? Wierzyłem, że posiadasz wielkie duchowe moce, ale...

- Być może - powiedział Mistrz - mam więcej, niż kiedykolwiek uwierzysz.

Hardcastle poderwał się niecierpliwie i z rękami w kieszeniach zaczął krążyć po pokoju.

- Nigdy nie wierzyłem tak bardzo, jak pan, przyznaję jednak, że moce pewnego rodzaju mogą... Dobry Boże!

Jego wysoki, ostry głos zamilkł w pół zdania, a on zamarł, wpatrując się w coś. Monokl wypadł mu z oka. Wszyscy

odwrócili się w tym samym kierunku i na każdej twarzy widać było to samo wstrzymywane podniecenie.

Czerwony Księżyc Meru leżał na kamiennym parapecie, dokładnie tam, gdzie widzieli go po raz ostatni. Mogła to być czerwona iskra z ogniska czy czerwony płatek róży, który spadł ze złamanego kwiatu, jednak to spadło dokładnie w to samo miejsce, w którym bezmyślnie odłożył go Hardcastle.

Tym razem Hardcastle nie próbował go podnieść, jednak jego zachowanie było raczej znaczące. Odwrócił się powoli i znowu zaczął chodzić po pokoju, jednak w jego ruchach tam, gdzie wcześniej widzieli tylko niepokój, było coś władczego. Wreszcie stanął bez ruchu przed siedzącym Mistrzem i uklonił się z nieco sardonicznym uśmiechem.

- Mistrzu - powiedział - wszyscy jesteśmy ci winni przeprosiny, a co ważniejsze, wszystkim nam dałeś nauczkę. Wierz mi, to w równej mierze nauka, co żart. Zawsze będę pamiętał wielce znaczące moce, które naprawdę posiadasz, i to, w jak nieszkodliwy sposób się nimi posługujesz. Lady Mounteagle - kontynuował, odwracając się w jej stronę - proszę mi wybaczyć, że najpierw zwróciłem się do Mistrza, ale to pani jakiś czas temu miałem honor zaproponować to wytłumaczenie. Mogę powiedzieć, że wyjaśniłem to, zanim się wydarzyło. Powiedziałem pani, że większość z tych rzeczy można interpretować na bazie swego rodzaju hipnotyzmu. Wielu ludzi wierzy, że to tłumaczy wszystkie te indyjskie historie o drzewie mango i chłopcu, który wspina się na linę rzuconą w powietrze. Tak naprawdę to się nie dzieje, jednak widzowie są zahipnotyzowani i wyobrażają to sobie. Zatem my wszyscy zostaliśmy zahipnotyzowani i wyobraziliśmy sobie tę kradzież. Ta brązowa dłoń pojawiająca się w oknie i zabierająca klejnot była chwilowym złudzeniem, dłonią we śnie. Tyle tylko, że widząc zniknięcie kamienia, nie szukaliśmy go tam, gdzie był wcześniej. Rzuciliśmy się do sadzawki i zajrzeliśmy pod każdy liść lilii wodnych - mało brakowało, byśmy podali złotym rybkom emetyk. A przez cały ten czas rubin był tutaj.

Spojrzał w opalizujące oczy i na uśmiechnięte, okolone brodą usta Mistrza, i zobaczył, że uśmiech ten był o włos szerszy. Było

w nim coś, co sprawiło, że pozostali poderwali się w poczuciu nagłego rozluźnienia i ogólnej ulgi.

- To bardzo fortunne ocalenie dla nas wszystkich - oświadczył lord Mounteagle, uśmiechając się nieco nerwowo. - Nie można mieć żadnych wątpliwości co do pańskich słów. To ogromnie bolesny epizod i doprawdy nie wiem, jakie przeprosiny...

- Nie mam żalu - powiedział Pan Góry, wciąż się uśmiechając. - Nie uraziliście mnie w żaden sposób.

Gdy pozostali wyszli uradowani, z Hardcastle'em jako bohaterem chwili, mały frenolog z bokobrodami poczłapał z powrotem do swojego niedorzecznego namiotu. Spojrzał przez ramię i z zaskoczeniem ujrzał, że za nim podąża ojciec Brown.

- Mogę dotknąć ojca zgrubień? - zapytał ekspert swoim lekko sarkastycznym tonem.

- Chyba nie chce pan poczuć już nic więcej, co? - pogodnie odparł ksiądz. - Jest pan detektywem, prawda?

- Ano - przyznał się tamten. - Lady Mounteagle pomimo całego swojego mistycyzmu nie jest głupia i poprosiła mnie, żebym miał oko na Mistrza, a kiedy wyszedł ze swojego namiotu, poszedłem za nim, zachowując się jak natręt i monomaniak. Gdyby ktokolwiek przyszedł do mojego namiotu w kwestii zgrubień, musiałbym zajrzeć do encyklopedii.

- „Zgrubienia; patrz: medycyna” - marzycielsko zauważył ojciec Brown. - Cóż, nagabywanie ludzi na kiermaszu szło panu całkiem nieźle.

- Dziwna sprawa, prawda? - zauważył fałszywy frenolog. - Dziwnie pomyśleć, że kamień był tam przez cały czas.

- Bardzo dziwnie - zgodził się ksiądz.

Coś w jego głosie sprawiło, że detektyw się zatrzymał.

- Coś takiego! - wykrzyknął. - O co księdzu chodzi? Czego ksiądz szuka? Nie wierzy ksiądz, że był tam cały czas?

Ojciec Brown drgnął, jakby dostał szturchańca.

-Nie, rzecz w tym... - powiedział wolno i z wahaniem. - Nie potrafię... jakoś nie potrafię w to uwierzyć.

- Nie jest ksiądz tego rodzaju facetem - przebiegle powiedział tamten - jaki mówiliby coś takiego bez powodu. Dlaczego ksiądz sądzi, że tego rubinu tam nie było?

- Dlatego, że sam go tam odłożyłem - odparł ojciec Brown. Detektyw stanął jak wmurowany. Otworzył usta, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

- Czy też raczej - ciągnął ksiądz - namówiłem złodzieja, żeby pozwolił mi go odłożyć. Powiedziałem mu, czego się domyślam, i pokazałem, że wciąż jest czas na skruchę. Mówię to panu w zawodowym zaufaniu. Poza tym nie sądzę, żeby lord i lady Mounteagle wnieśli oskarżenie, skoro odzyskali klejnot, zwłaszcza biorąc pod uwagę, kto go ukraść.

- Czyli Mistrz? - spytał niedawny Phroso.

- Nie - Ojciec Brown pokręcił głową. - Mistrz go nie ukraść.

- Ale nie rozumiem - zaprotestował tamten. - Za oknem nie było nikogo poza Mistrzem, a dłoń z całą pewnością pojawiła się z zewnątrz.

- Dłoń pojawiła się z zewnątrz, ale złodziej był wewnątrz - powiedział ojciec Brown.

- Chyba znowu wracamy do mistyki. Proszę posłuchać, ja jestem człowiekiem praktycznym. Chcę tylko wiedzieć, czy z tym rubinem jest wszystko w porządku...

- Wiedziałem, że nic nie jest w porządku - odparł ojciec Brown - zanim w ogóle dowiedziałem się, że jest jakiś rubin.

Po chwili ciszy ciągnął z namysłem:

- Już słuchając tej ich sprzeczki przy namiotach, wiedziałem, że sprawy źle się układają. Ludzie powiedzą panu, że teorie się nie liczą, i że logika i filozofia nie są praktyczne. Niech pan im nie wierzy. Rozum pochodzi od Boga, a gdy sprawy są nieracjonalne, to coś jest nie tak. Ta dosyć abstrakcyjna sprzeczka skończyła się raczej zabawnie. Proszę się zastanowić, jakie były teorie. Hard-castle żartował sobie i powiedział, że wszystko jest możliwe, ale że w dużej mierze to kwestia mesmeryzmu bądź umiejętności jasnowidzenia - naukowe nazwy na zagadki filozoficzne, w zwyczajnym stylu.

Ale Hunter uważał to wszystko za czystej wody oszustwo i chciał to wykazać. Zgodnie z zeznaniem lady Mounteagle nie tylko ośmieszał rozmaitych wróżbitów, ale przyjechał specjalnie po to, by skonfrontować się z tym konkretnym. Nieczęsto przyjeżdża, nie dogaduje się z Mounteaglem, od którego, będąc utracjuszem, zawsze próbuje pożyczać pieniądze, jednak

gdy usłyszał o przyjeździe Mistrza, zaraz przybył. Bardzo dobrze. Mimo tego, to Hardcastle poszedł skonsultować się z czarownikiem, a Hunter odmówił. Powiedział, że nie będzie marnował czasu na takie nonsensy, najwyraźniej strawiwszy dużą część życia na udowadnianie, że to nonsensy. To wydaje się być niekonsekwentne. Sądził, że w tym przypadku chodzi o patrzenie w kryształ, ale dowiedział się, że to chiromancja.

- Chce ksiądz powiedzieć, że wykorzystał to jako wymówkę? - ze zdziwieniem spytał jego towarzysz.

- Tak pomyślałem w pierwszej chwili - odparł ksiądz - ale teraz wiem, że to nie była wymówka, ale powód. Naprawdę zrezygnował, gdy dowiedział się, że chodzi o chiromancję, ponieważ...

- Tak? - niecierpliwie dopytywał tamten.

- Ponieważ nie chciał zdejmować rękawiczki - powiedział ojciec Brown.

- Nie chciał zdejmować rękawiczki? - powtórzył detektyw.

- Gdyby to zrobił - spokojnie wyjaśnił ojciec Brown - wszyscy byśmy zobaczyli, że dłoń miał już zabarwioną na jasny brąz... Och, tak, przyjechał specjalnie dlatego, że był tutaj Mistrz. Przyjechał w pełni przygotowany.

- Chce ojciec powiedzieć - wykrzyknął Phroso - że to była pomalowana na brązowo ręka Huntera? Ale jak, przecież był z nami przez cały czas!

- Niech pan pójdzie i sprawdzi na miejscu, a przekona się pan, że to całkiem możliwe - powiedział ksiądz. - Hunter podskoczył i wychylił się przez okno. W mgnieniu oka zdarł rękawiczkę, podwinął rękaw, sięgnął ręką za filar, podczas gdy drugą złapał Hindusa za szatę i zaczął krzyczeć, że ma złodzieja. Zauważyłem wtedy, że trzyma złodzieja jedną ręką,

podczas gdy rozsądny człowiek użyłby obu. Ale drugą ręką wsuwał klejnot do kieszeni spodni.

Milczeli długą chwilę, po czym odezwał się eks-frenolog.

- Cóż, to możliwe. Jednak nadal coś mnie męczy. To nie tłumaczy zachowania samego starego magika. Skoro był zupełnie niewinny, to dlaczego, do diaska, tego nie powiedział? Dlaczego nie był pełen oburzenia, że został oskarżony i przeszukany? Dlaczego tak po prostu siedział i się uśmiechał, i sugerował chytrze, jakie to dzikie i niezwykle rzeczy potrafi robić?

-Ach! - wykrzyknął ojciec Brown z ostrym tonem w głosie. - I tu dochodzi pan do sedna sprawy! Do tego wszystkiego, czego ci ludzie nie pojmują i nie pojną. Wszystkie religie są takie same, mówi lady Mounteagle. Też coś, na Jerzego! Powiadam panu, niektóre z nich są tak odmienne, że najlepszy człowiek jednej religii będzie okrutnikiem, a najgorszy człowiek innej wrażliwcem. Mówiłem panu, że nie lubię mocy duchowych ze względu na to, że akcent jest na słowie „moc”. Nie mówię, że Mistrz ukradłby rubin, bo najprawdopodobniej by tego nie zrobił. Najprawdopodobniej uznałby, że nie warto go kraść. Nie kusiłoby go specjalnie, żeby kraść klejnoty, ale kusi go, by przypisać sobie zasługi za cuda, które nie były jego dziełem. Właśnie tego rodzaju pokusie się dzisiaj poddał. Chciał, żebyśmy myśleli, że ma cudowne mentalne moce, które mogą sprawić, że obiekty materialne przemieszczają się w przestrzeni, a nawet, choć tego nie zrobił, pozwolił nam myśleć, że tak. Kwestia własności prywatnej pierwotnie wcale mu nie zaświtała. Pytanie nie brzmiało: „Czy ukraść ten klejnot?”, tylko: „Czy uda mi się sprawić, żeby ten kamień zniknął i pojawił się na dalekiej górze?”. Pytanie, do kogo ów klejnot należy, uznałby za nieistotne. To właśnie mam na myśli, mówiąc, że religie się różnią. On jest bardzo dumny z posiadania czegoś, co nazywa mocami duchowymi. Ale to, co nazywa duchowością, nie oznacza tego, co my nazywamy moralnością. To raczej kwestie mentalne - siła umysłu ponad materią, mag kontrolujący żywioły. My tacy nie jesteśmy, choć nie jesteśmy też lepsi - nawet gdy jesteśmy gorsi. My -

których ojcowie przynajmniej byli chrześcijanami, wyrastaliśmy pod tymi

średniowiecznymi łukami, nawet gdy ustroiliśmy je we wszystkie demony Azji - mamy zupełnie odmienne ambicje i wstydzimy się zupełnie innych rzeczy. Powinno nas zaniepokoić, że nikt nie pomyślał, że my to zrobiliśmy. W gruncie rzeczy bardzo się denerwował, że wszyscy sądzą, że to zrobił - chociaż nie zrobił. Tak naprawdę ukradł wiarę w cuda. Podczas gdy my wszyscy odsuwaliśmy się od przestępstwa jak od węża, on wabił je do siebie jak zaklinacz. Ale w tym kraju węże nie są zwierzętami domowymi! W obliczu takiego testu tradycja chrześcijańska wychodzi od razu. Niech pan popatrzy choćby na samego Mounteagle'a! Ach, można być tak wschodnim i ezoterycznym, jak się chce, nosić turban i długą szatę i żyć wiadomościami

od Wielkiego Ducha, ale niech tylko z domu zniknie kawałek kamienia, a podejrzanymi są przyjaciele, to szybko się przekonasz, że w obliczu awantury jesteś zwyczajnym Anglikiem. Człowiek, który naprawdę to zrobił, nie chciałby za nic, byśmy się o tym dowiedzieli, ponieważ również jest angielskim dżentelmenem. Do tego jest kimś znacznie lepszym - złodziejem chrześcijańskim. Mam nadzieję i wierzę, że jest również złodziejem skruszonym.

- Zgodnie z ojca słowami - ze śmiechem powiedział jego towarzysz - ten chrześcijański złodziej i pogański oszust są swoimi przeciwieństwami. Jeden żałował, że to zrobił, a drugi żałował, że tego nie zrobił.

- Żadnego z nich nie wolno nam potraktować zbyt surowo - powiedział ojciec Brown. - Inni angielscy dżentelmeni już wcześniej kradli i byli kryci przez prawną i polityczną protekcję, a i sam Zachód ma swoje sposoby, by ukrywać złodziejstwo za sofistyką. Mimo wszystko ten rubin nie jest jedynym cennym klejnotem na świecie, który zmienia właścicieli - tak to jest z innymi cennymi kamieniami, często rzeźbionymi jak kamee i barwionymi jak kwiaty-

Detektyw popatrzył na niego badawczo. Ksiądz palcem wskazywał na gotycką linię wspaniałego opactwa.

- Wielka, rzeźbiona budowla - powiedział - a także została skradziona.

TAJEMNICA FLAMBEAU

- ... tego rodzaju morderstwa, w których odgrywałem rolę mordercy -powiedział ojciec Brown, odstawiając kieliszek do wina. W tej chwili przemknął mu przed oczami rząd czerwonych obrazów zbrodni.

- Prawda - podjął po chwili przerwy - że przede mną ktoś inny odegrał tę rolę i pozbawił mnie faktycznego doświadczenia. Byłem swego rodzaju dublerem; zawsze w stanie gotowości, aby zagrać zabójcę. To w końcu było moje zadanie, żeby dokładnie zapoznać się z rolą. Chcę przez to powiedzieć, że gdy próbowałem sobie wyobrazić stan umysłu, w którym robi się taką rzecz, zawsze uświadamiałem sobie, że w pewnych mentalnych okolicznościach sam mógłbym to zrobić, ale w innych nie, i ogólnie nie w tych oczywistych. A potem, oczywiście, wiedziałem, kto to naprawdę zrobił i zasadniczo niekoniecznie była to najbardziej prawdopodobna osoba.

Na przykład wydaje się oczywiste, że to poeta rewolucyjny zabił starego sędziego, który nienawidził czerwonych rewolucjonistów. Ale to nie jest prawdziwy powód, dla którego rewolucyjny poeta go zabił. Zatem starannie stawiam się w położeniu rewolucyjnego poety. Myślę tutaj o tym szczególnym typie pesymistycznego, anarchicznego zwolennika rewolty niejako reformy, ale raczej jako destrukcji. Próbowałem pozbyć się z głowy trzeźwości sądu i konstruktywnego, zdrowego rozsądku, których miałem szczęście się nauczyć bądź odziedziczyć. Zamknąłem i zasłoniłem wszystkie okna, przez które mogło wpaśćienne światło z niebios; wyobraziłem sobie umysł oświetlany wyłącznie przez czerwone światło z dołu; ogień rozrywający skały i tworzący otchłanie. A nawet z tą wizją, najdzikszą i najgorszą, nie mogłem zrozumieć, dlaczego taki fantasta miałby zrujnować swoją

karierę, przeciwstawiając się zwykłemu policjantowi, zabijając jednego z milionów zwyczajnych, starych głupców, jak mógłby ich nazwać. Nie zrobił tego - jakkolwiek pisał pieśni o przemocy. Człowiek, który potrafi wyrazić się w pieśni, nie musi się wyrażać w zabójstwie. Wiersz był dla niego świętem, i chciał mieć ich więcej. Potem pomyślałem o barbarzyńcy innego rodzaju; takim, który nie niszczy świata, ale całkowicie od świata zależy. Pomyślałem, że gdyby nie łaska Pana, mógłbym być człowiekiem, dla którego świat jest blaskiem światła elektrycznego, wokół którego nie ma nic poza głęboką ciemnością. Światowy człowiek, który naprawdę żyje wyłącznie dla tego świata i nie wierzy w żaden inny, dla którego światowe sukcesy i przyjemności są wszystkim, co potrafi wyrwać z nicości - jest to człowiek, który naprawdę zrobi wszystko, gdy zagrozi mu utrata całego świata i boi się, że nic mu nie zostanie. Nie jest to żaden rewolucjonista, ale szacowny człowiek, który posunie się do każdej zbrodni - byle tylko ocalić swoją szacowność. Pomyśl, co takie ujawnienie oznaczałoby dla modnego adwokata - do tego ujawnienie jedyne przestępstwa naprawdę znienawidzonego w jego modnym świecie - zdrady patriotyzmu. Gdybym był na jego miejscu i nie miał nic lepszego od jego filozofii, Bóg jeden wie, co mógłbym zrobić. Właśnie w tym miejscu tak pożyteczne jest to małe, religijne ćwiczenie.

- Niektórzy uznaliby to za raczej chore - z powątpiewaniem powiedział Grandison Chace.

- Niektórzy - poważnie odparł ojciec Brown - bez wątplenia uważają, że dobroczynność i skromność są chore. Tak pewnie uznałby nasz przyjaciel poeta. Ale ja nie spieram się z tymi poglądami; próbuję jedynie odpowiedzieć na pańskie pytanie, w jaki sposób generalnie podchodzę do pracy. Niektórzy z pańskich rodaków ponoć uczynili mi honor, pytając, w jaki sposób zdołałem nie dopuścić do kilku pomyłek sprawiedliwości. Cóż, może pan wrócić i powiedzieć im, że zrobiłem to dzięki chorobliwości. Jednak z całą pewnością nie chcę, aby sądzili, że uprawiam jakąś magię.

Chace dalej patrzył na niego z zadumą, marszcząc brwi. Był zbyt inteligentny, by nie zrozumieć tej idei - powiedział również, że ma zbyt zdrowy rozum, żeby mu się ona podobała. Miał wrażenie, jakby rozmawiając z jednym człowiekiem, zwracał się do stu morderców. Było coś niesamowitego w tej małej postaci przycupniętej jak goblin obok piecyka i w tym poczuciu, że w jego okrągłej głowie skrywa się cały wszechświat dzikiego braku rozsądku i wyobrażonych niesprawiedliwości. To było tak, jakby w rozległej, mrocznej pustce za nim tłoczyły się ciemne, gigantyczne postacie, duchy wielkich przestępców trzymających się na odległość dzięki magicznemu kręgowi czerwonego światła z piecyka, ale gotowych, aby rozedrzeć swego pana na strzępy.

- Cóż, obawiam się, że ja faktycznie uważam to za chorobliwe - powiedział szczerze. - I nie jestem pewien, czy to nie jest równie chorobliwe, co magiczne. Ale chorobliwość czy nie, trzeba powiedzieć jedną rzecz: to musi być interesujące doświadczenie. - Po namyśle dodał: - Nie wiem, czy byłby z księdza dobry przestępca. Ale byłby z księdza dobry powieściopisarz.

- Radzę sobie tylko z prawdziwymi wydarzeniami - powiedział ojciec Brown. - Ale czasami trudniej wyobrazić sobie rzeczy nieprawdziwe niż prawdziwe.

- Szczególnie - stwierdził tamten - gdy są to wielkie światowe przestępstwa.

- To nie te wielkie, ale małe przestępstwa najtrudniej sobie wyobrazić - odparł ksiądz.

- Niezupełnie rozumiem - zdziwił się Chace.

- Mam na myśli pospolite przestępstwa, takie jak kradzież klejnotów - wyjaśnił ojciec Brown. - Jak ta sprawa ze szmaragdowym naszyjnikiem, rubinem Meru czy sztuczną złotą rybką. Trudnością w tych sprawach jest to, że musi pan zacieśnić umysł. Przy wielkich i porządnych oszustwach, które dotyczą wielkich idei, nie ma takich oczywistych rzeczy. Byłem pewien, że Prorok nie zabrał rubinu, ani hrabia złotej rybki, chociaż człowiek pokroju Banksa łatwo mógłby ukraść

szmaragdy. Dla nich klejnot jest kawałkiem szkła - i widzą przez szkło. Ale mali, dosłowni ludzie postrzegają to przez pryzmat wartości rynkowej.

Właśnie w takich przypadkach trzeba ścieśnić umysł. To okropnie trudne, jak łapanie ostrości kiwającym się aparatem. Ale są rzeczy, które pomagają i przy okazji rzucają sporo światła na zagadkę. Na przykład taki człowiek, który przechwala się „zdemaskowaniem” fałszywych magików czy wszelkiego rodzaju nieszczęsnych znachorów - taki człowiek zawsze ma ciasny umysł. To człowiek, który zawsze „prześwietla” włóczykiów i przyłapuje ich na potknięciach w opowiadanych kłamstwach. Śmiem twierdzić, że to czasem bywa bolesny obowiązek. To niezwykle podstawowa przyjemność. W chwili, gdy uświadomię sobie, jak pracuje mały umysł, wiem, gdzie go szukać - w człowieku, który chciał zdemaskować Proroka - i to właśnie on ukradł rubin; w człowieku, który szydził z psychicznych wymysłów swojej siostry - i to on właśnie zwinął szmaragdy. Tacy ludzie zawsze pożądamy klejnotów, nigdy nie wzniosą się na poziom większych humbugów i nie zaczną klejnotami gardzić. Ci przestępcy o małych umysłach zawsze są dość przewidywalni. Zostają przestępcami z czystej przewidywalności.

Jednak trzeba dosyć długiego czasu, żeby zacząć odczuwać tak prostacko. To spory wysiłek dla wyobraźni, żeby być tak konwencjonalnym. Żeby pragnąć jakiegoś nieistotnego, małego przedmiotu aż tak poważnie. Ale to da się zrobić... Można się do tego zbliżyć. Zacząć od myślenia o byciu pazernym dzieckiem, o tym, że mogłoby ukraść cukierka w sklepie, o tym, że jest taki konkretny cukierek, którego chce... a potem trzeba porzucić dziecięcą poezję, zgasić jasne światło, które oświetla sklep ze słodyczami, wyobrazić sobie, że naprawdę sądzisz, że znasz świat i rynkową wartość słodyczy... Zmniejszasz umysł jak przesłone aparatu... Rzecz się powiększa, a potem wyostrza... i wtedy, niespodziewanie, jest!

Mówił jak człowiek, który doznał boskiej wizji. Grandison Chace wciąż patrzył na niego z brwiami zmarszczonymi w

lekkim zdumieniu i zainteresowaniu. Trzeba przyznać, że w jego zwięzłych oczach pojawił się błysk niemal zaniepokojenia. To było tak, jakby szok wywołany tym pierwszym, dziwnym wyznaniem księdza wciąż w nim rezonował jak ostatnie vibracje po uderzeniu pioruna. Pod powierzchnią mówił do siebie, że ta pomyłka była tylko chwilowym szaleństwem, że ojciec Brown tak naprawdę nie mógł być potworem i mordercą, którego widział w tym oślepiającym i dezorientującym

rozbłysku. Ale czy z człowiekiem, który tak spokojnie mówił o byciu mordercą, nie było coś nie w porządku? Czy to możliwe, by ten ksiądz był nieco obłąkany?

- Nie sądzi ksiądz - powiedział znienacka - że ta księdza uwaga, o człowieku próbującym poczuć się jak przestępca, może uczynić go nieco zbyt pobłażliwym dla przestępstwa?

Ojciec Brown wyprostował się na krześle i odezwał bardziej zdecydowanie:

- Wiem, że jest dokładnie odwrotnie. To rozwiązuje cały problem czasu i grzechu. Sprawia, że człowiek czuje wyrzuty sumienia, zanim cokolwiek zrobi.

Zapadła cisza. Amerykanin popatrzył na wysoki i stromy dach ciągnący się wzdłuż połowy dziedzińca. Jego gospodarz bez ruchu wpatrywał się w ogień, a wtedy głos księdza przyjął inny ton, jakby niższy.

- Są dwa sposoby, aby wyrzec się diabła - powiedział - a różnica między nimi stanowi chyba najgłębszą przepaść we współczesnej religii. Jeden z nich to strach przed nim, ponieważ jest gdzieś bardzo daleko; drugi to strach, ponieważ jest tak blisko. A żadna cnota i występki nie są tak podzielone, jak te dwa podejścia.

Nie odpowiedzieli i mówił dalej tym samym, ciężkim tonem, jakby upuszczał słowa jak krople roztopionego ołowiu.

- Pan może uznawać przestępstwo za straszne, ponieważ nigdy by go pan nie popełnił. Ja uważam, że jest straszne, ponieważ mógłbym je popełnić. Pan sądzi, że to coś w rodzaju erupcji Wezuwiusza, ale naprawdę nie byłoby to tak straszne,

jak ten dom zajmujący się ogniem. Gdyby w tym pomieszczeniu znienacka pojawił się przestępca...

- Gdyby w tym pomieszczeniu pojawił się przestępca - z uśmiechem rzekł Chace - ksiądz byłby pewnie dla niego aż zbyt życzliwy. Pewnie zacząłby ksiądz opowiadać, że sam jest przestępcą i tłumaczyć, jakie byłoby całkowicie naturalne, gdyby opróżnił kieszenie ojca albo poderżnął gardło matce. Szczerze, to mi się nie wydaje praktyczne. Myślę, że efekt praktyczny byłby taki, że żaden przestępca nigdy by się nie zmienił. Teoretyzować i posługiwać się hipotetycznymi przypadkami jest łatwo, ale wszyscy wiemy, że to tylko nasze dywagacje. Siedząc tutaj, w ładnym, wygodnym domu

pana Duroca, świadomi naszej godności i całej reszty, odczuwamy teatralne dreszcze, rozmawiając o złodziejach, mordercach i tajemnicach ich dusz. Ale ludzie, którzy naprawdę mają do czynienia ze złodziejami i mordercami, muszą radzić sobie z nimi inaczej. My siedzimy sobie bezpiecznie przy palenisku i wiemy, że dom nie płonie. Wiemy, że w tym pomieszczeniu nie ma przestępcy.

Pan Duroc, do którego odnosiła się ta aluzja, podniósł się niespiesznie od tego, co zostało nazwane jego paleniskiem, a jego wielki cień odsuwający się od ognia wydawał się okrywać wszystko i zaciemniać nawet noc.

- Ależ w tym pomieszczeniu jest przestępca - powiedział. - Konkretnie to ja. Jestem Flambeau, a policja na obu półkulach nadal mnie ściga.

Amerykanin wpatrywał się w niego wielkimi oczami. Wydawało się, że utracił zdolność mowy.

- W moim wyznaniu nie ma nic tajemniczego, metaforycznego ani pośredniego - oświadczył Flambeau. - Tymi dwiema rękami kradłem przez dwadzieścia lat, na tych dwóch nogach uciekałem przed policją. Mam nadzieję, że przyzna pan, iż moje działania były praktyczne. Mam nadzieję, że przyzna pan, że moi sędziowie i ścigający naprawdę mieli do czynienia z przestępstwem. Sądzi pan, że nie wiem czegoś o ich sposobach karania za nie? Czyż nie wysłuchiwałem

kazań sprawiedliwych i nie widziałem zimnych spojrzeń szacownych? Czyż nie byłem pouczany we wzniosłym i dalekim stylu, pytany, jak to możliwe, żeby tak nisko upaść? Czyż nie mówiono mi, że żaden przyzwoity człowiek nie śniłby nawet o takim zdeprawowaniu? Sądzi pan, że wywoływało to we mnie coś poza śmiechem? Tylko mój przyjaciel powiedział mi, że dokładnie wie, co ukradłem - i od tego czasu nie ukradłem niczego.

Ojciec Brown lekceważąco machnął ręką, a Grandison Chace wreszcie ze świstem wypuścił powietrze.

- Powiedziałem panu prawdę - dokończył Flambeau. - I to, czy wezwie pan policję, pozostaje w pańskiej gestii.

Na chwilę zapadli w głębokie milczenie. W ciszy słychać było tylko słabe śmiechy dzieci Flambeau, dochodzące z wysokiego, ciemnego domu ponad nimi, i pochrząkiwanie wielkich, szarych świń kręcących się w mroku. A potem rozległ się wysoki głos,

wibrujący i z nutą urazy, niemal zaskakujący dla tych, którzy nie rozumieli wrażliwego, amerykańskiego ducha i tego, jak blisko, pomimo oczywistych różnic, może się czasem zbliżyć do hiszpańskiej galanterii.

- Monsiuer Duroc - powiedział raczej sztywno. - Od pewnego czasu, mam nadzieję, jesteśmy przyjaciółmi i rani mnie przypuszczenie, że uznał mnie pan za zdolnego, by w taki sposób odpłacić się panu za pańską gościnność i towarzystwo pańskiej rodziny tylko dlatego, że z własnej woli zdecydował się pan powiedzieć mi coś niecoś o swojej przeszłości. A skoro odezwał się pan wyłącznie po to, by stanąć w obronie przyjaciela - nie, sir, nie wyobrażam sobie, by jakikolwiek dżentelmen w takich okolicznościach mógł zdradzić innego. Lepiej już byłoby być brudnym donosicielem i sprzedawać ludzką krew za pieniądze. Ale w takim przypadku...! Wyobraża pan sobie, żeby ktoś był takim Judaszem?

- Mógłbym spróbować - powiedział ojciec Brown.

SKANDAL OJCA BROWNA

SKANDAL OJCA BROWNA

Nie byłoby fair relacjonować przygody ojca Browna, nie przyznając, że raz był zaangażowany w wielki skandal. Nadal są osoby, być może nawet z jego własnej społeczności, które powiedzą, że była to skaza na jego nazwisku. Wydarzyło się to w malowniczym, meksykańskim zajeździe raczej nie najlepszej reputacji, jak się później okazało; a niektórzy uznali, że skoro ksiądz pozwolił sobie na romantyczny poryw i miał w sobie wyrozumiałość dla ludzkich słabości, to właśnie doprowadziło go do dziwnego i nie-ortodoksyjnego działania. Sama opowieść jest prosta - i być może zaskoczeniem jest właśnie ta prostota.

Zniszczenie Troi zaczęło się od Heleny - ta kompromitująca historia zaczęła się od urody Hypatii Potter. Amerykanie mają wielką siłę, która nie zawsze jest doceniana przez Europejczyków, oddolnego tworzenia instytucji, co dzieje się przez popularną inicjatywę. Tak jak każda inna dobra rzecz ma to swoje łżejsze aspekty; jednym z nich, jak zauważył pan Wells i inni, jest to, że człowiek może się stać instytucją publiczną, nie będąc instytucją oficjalną. Dziewczyna wielkiej urody czy błyskotliwości będzie swego rodzaju królową bez korony, nawet jeśli nie jest gwiazdą filmową ani oryginalną dziewczyną Gibsona²⁵. Pośród tych, które miały szczęście - albo pecha - funkcjonować publicznie właśnie w taki piękny sposób, z pewnością była niejaka Hypatia Potter, która po wstępnym etapie otrzymywania kwiecistych komplementów w rubrykach towarzyskich lokalnej prasy przesunęła się na pozycję osoby, z którą prawdziwi dziennikarze przeprowadzają wywiady. Z czarującym uśmiechem wypowiadała się na temat wojny i pokoju, patriotyzmu, prohibicji i Biblii; a jeśli nawet żaden z nich nie wydawał się przystawać do źródeł jej reputacji,

było niemal tak samo trudno określić, jakie faktycznie były te źródła. Uroda i bycie córką bogacza nie są w jej kraju rzadkością, do tego jednak dodała to coś, co przyciąga błędzące oko żurnalizmu. Żaden z jej wielbicieli nigdy jej nie widział ani nawet nie miał na to nadziei - i żaden z nich nie mógł czerpać żadnych obmierzłych korzyści z majątku jej ojca. Był to po prostu swego rodzaju popularny romans, współczesny substytut mitologii, i położył on podwaliny pod bardziej tajemniczy i burzliwy romans, w którym miała później uczestniczyć, i przez który, jak wielu utrzymywało, reputacja ojca Browna, a także wielu innych, została całkowicie zniszczona.

Te, które amerykańska satyra określała jako Sob Sisters, pogodziły się, czasem romantycznie, czasem z rezygnacją, że poślubiła już bardzo zamożnego i szanowanego biznesmena o nazwisku Potter. Było nawet możliwe, by przez jakiś czas postrzegano ją jako panią Potter, przy powszechnym zrozumieniu, że jej mąż był jedynie mężem pani Potter.

Potem wybuchł Wielki Skandal, który jej przyjaciół i wrogów przeraził ponad ich najśmielsze domysły. Jej imię zostało połączone z przyziemnym mężczyzną mieszkającym w Meksyku, obywatelstwa amerykańskiego, ale z ducha bardzo latynoskim. Niestety jego występki odzwierciedlały jej cnoty, stanowiąc dobrą kopię. Był to nikt inny, tylko sławny - bądź niesławny - Rudel Romanes, poeta, którego prace zostały skutecznie spopularyzowane przez to, że biblioteki się od nich odzęgnywały, a policja ścigała sądownie. W każdym razie jej czysta i śliczna gwiazda była widziana w koniunkcji z tą kometą. Był człowiekiem, którego można było porównać do komety, włochatym i gorącym; pierwsze znać było na jego portretach, drugie w jego poezji. Był również destrukcyjny; na ogon komety składały się rozwody, które niektórzy nazywali jego sukcesami jako kochanka, a niektórzy przedłużającą się porażką jako męża. To dla Hypatii było trudne - prowadzenie idealnego życia prywatnego publicznie wiąże się z niedogodnościami, jak wewnątrz domu na wystawie sklepowej. Dziennikarze zgłosili wątpliwe wypowiedzi dotyczące

Większego Prawa Miłości ponad Najwyższą Samorealizację. Poganie przyklasnęli. Sob Sisterhood pozwoliło sobie na nutkę romantycznego żalu, niektóre nawet miały śmiałość zacytować wiersz Maud Mueller, że ze wszystkich słów stworzonych językiem bądź piórem najsmutniejsze to: „mogło się zdarzyć”. A pan Agar P. Rock z „Minneapolis Meteor”, który nienawidził Sob Sisterhood świętą i cnotliwą nienawiścią, powiedział, że w tym przypadku całkowicie zgadza się z poprawką do wiersza wprowadzoną przez Breta Harte'a:

Bardziej smutne są te, które codziennie widzimy; tak jest, choć nie powinno być.

Pan Rock był stanowczo przekonany, że całe mnóstwo rzeczy nie powinno zaistnieć. Był ostrym i brutalnym krytykiem narodowej degeneracji, a także człowiekiem bezczelnym i uczciwym. Być może za bardzo wyspecjalizował się w odczuwaniu świętego oburzenia, ale miało ono dość zdrowe początki w jego reakcjach na łzawe próby współczesnego dziennikarstwa i plotek, by określać, co jest dobre, a co złe. Początkowo wyartykułował to w formie protestu przeciwko bezbożnej aureoli romantyzmu, którą otoczony był pewien gangster i zabijaka. Być może, ze zwykłej niecierpliwości, był zanadto skłonny zakładać, że wszyscy gangsterzy to południowcy, a wszyscy południowcy to gangsterzy. Jednak jego uprzedzenia, nawet gdy bywały nieco prowincjonalne, były dosyć odświeżające po sentymentalnym i niemęskim kulcie bohaterów, który chętnie postrzegał zawodowego zabójcę jako postać kreującą modę, póki dziennikarze twierdzili, że jego uśmiech jest zniewalający albo frak znakomicie skrojony. Tak czy inaczej uprzedzenia te wcale nie kotłowały się w piersi pana Rocka mniej z tego powodu, że w chwili, gdy rozpoczyna się ta historia, znajdował się w kraju Latynosów, wspinając się z furją na wzgórze za meksykańską granicą, do białego hotelu obsadzonego dekoracyjnymi palmami, w którym podobno zatrzymali się Potterowie, i w którym tajemnicza Hypatia obecnie miała swój dwór. Agar Rock był dobrym

okazem purytanina, nawet z wyglądu; mógłby nawet być krzepkim purytaninem siedemnastego wieku niż łagodniejszym i bardziej wyrafinowanym purytaninem wieku dwudziestego. Gdyby mu powiedzieć, że jego staroświecki, czarny kapelusz, nawykowo zmarszczone czarne brwi i wyraziste, kamienne rysy rzucają mrok na słoneczną ziemię palm i pnączy, byłby bardzo zadowolony. Rozglądał się na prawo i lewo oczami jaśniejącymi uniwersalną podejrzliwością. I wreszcie na skarpie powyżej wypatrzył dwie postacie odcinające się na tle czystego, subtropikalnego zachodu słońca; postacie zastygłe w pozycji, która nawet w mniej podejrzliwym człowieku mogłaby wywołać pewne podejrzenia.

Jedna z tych postaci była dość wyróżniająca się sama w sobie, zarówno swoją posagową postawą, jak i tym, że stała na zakręcie drogi biegnącej ponad doliną, jakby powodowana instynktem miejsca. Owinięta była w obszerny, czarny, iście byronowski płaszcz, a śniada, piękna głowa, która z niego wystawała, zdecydowanie przypominała Byrona. Mężczyzna ten miał falujące włosy i falujące nozdrza i wydawał się parskać z oburzenia i pogardy dla świata. W jednej ręce ścisnął dosyć długą laskę zakończoną szpicem używanym podczas chodzenia po górach, którą obecnie trzymał fantazyjnie jak szpadę. Jeszcze bardziej fantazyjne wydawało się to w kontraście do czegoś komicznego w postaci drugiego mężczyzny, który trzymał parasol. Był to parasol nowy i starannie zwinięty, bardzo różniący się od parasola ojca Browna. Mężczyzna w jasnych, wakacyjnych ubraniach wyglądał schludnie jak urzędnik: krępy, przysadzisty, brodaty mężczyzna, jednak prozaiczny parasol uniesiony był i wysunięty pod kątem wskazującym na atak. Wyższy mężczyzna oddał cios, ale wyraźnie defensywnie - a potem scena ta nagle zmieniała się w komedię: parasol otworzył się sam z siebie, a jego właściciel niemal za nim zniknął, podczas gdy ten drugi udawał, że przebija włócznią tę groteskową tarczę. Ale jej nie odepchnął. Cofnął się z zasięgu, odwrócił zniecierpliwiony i pomaszerował w dół drogi, podczas

gdy tamten, unosząc i starannie zwijając parasol, odwrócił się w przeciwną stronę, w kierunku hotelu. Rock nie usłyszał ani jednego słowa z tej kłótni, która musiała bezpośrednio poprzedzić ten krótki i dość absurdalny konflikt fizyczny, jednak gdy ruszył w górę drogi śladem tego niskiego człowieka z brodą, rozmyślał o wielu rzeczach. O romantycznym

płaszczu jednego z tych ludzi i jego teatralnym wyglądzie połączonym ze stanowczą samoobroną drugiego, pasującą do całej tej historii, którą przybył odkryć - i wiedział, że do tych dziwnych postaci mógł dopasować nazwiska: Romanes i Potter.

Potwierdziło się to, gdy wszedł do podpartego filarami przedsionka i usłyszał głos brodacza podniesiony w sprzeczce czy domagający się czegoś. Wyraźnie rozmawiał z dyrektorem albo obsługą hotelu, a Rock usłyszał dosyć, by wiedzieć, że ostrzegał ich przed dzikim i niebezpiecznym osobnikiem w okolicy.

- Jeżeli faktycznie już bywał w tym hotelu - mówił ten niewysoki człowiek w odpowiedzi na jakiś pomruk - to mogą powiedzieć tylko tyle, żebyście lepiej go więcej nie wpuszczali. Wasza policja powinna się zająć kimś takim, ale w żadnym razie nie pozwolę, aby narzucał się damie.

Rock słuchał w ponurym milczeniu i miał coraz większą pewność. Potem prześlizgnął się przez westybul do wnęki, w której zobaczył hotelową księgę gości i, zerknąwszy na ostatnią stronę, przekonał się, że „ten człowiek” w istocie był już w tym hotelu. Pojawiło się nazwisko „Rudel Romanes”, ta romantyczna, znana postać, wpisane bardzo dużymi i ozdobnymi literami, a nieco niżej, blisko siebie, nazwiska Hypatia Potter i Ellis T. Potter, zapisane starannym, amerykańskim pismem.

Agar Rock rozejrzał się za nim ponuro i w otoczeniu hotelu zobaczył wszystko to, czego najbardziej nie znosił. Może bez sensu jest skarżyć się na pomarańcze rosnące na drzewkach pomarańczowych, nawet w małych donicach - to nadal więcej, niż gdyby rosły tylko na wyszarzałych zasłonach albo wyblakłych tapetach stanowiących elementy formalnego

wystroju. Ale dla niego te czerwone i złociste księżycy, ozdobnie przemieszane z księżycami srebrnymi, w dziwny sposób były kwintesencją samego blasku księżyca. Widział w nich całe to sentymentalne zepsucie, które jego zasady łączyły ze współczesnością i które jego uprzedzenia niejasno łączyły z ciepłem i łagodnością Południa. Irytował go nawet widok ciemnego płótna ukazującego pasterza z gitarą pędzla Watteau²⁶ czy niebieskie płytki z banalnym rysunkiem Kupidyna na delfinie. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że takie rzeczy można zobaczyć w witrynie sklepowej na Piątej Alei, tutaj jednak sprawiały wrażenie urągłego, syreniego głosu śródziemnomorskiego pogaństwa. I nagle wygląd tych wszystkich rzeczy jakby się odmienił, jak stabilne odbicie w lustrze drga, gdy na moment pojawia się w nim jakaś postać, i wiedział, że całe pomieszczenie wypełniło się wyzywającą obecnością. Odwrócił się niemal sztywno, prawie z oporem, i wiedział, że stoi przed słynną Hypatią, o której czytał i słyszał przez tyle lat.

Hypatia Potter, z domu Hard, należała do tych osób, do których słowo „promieniejąca” pasuje całkowicie i bez reszty. Oznaczało to, że pozwalała temu, co gazety nazywały jej osobowością, wyzierać ze swoich oczu. Byłaby równie piękna, i dla niektórych bardziej pociągająca, gdyby była niezależna, zawsze ją jednak uczono, że niezależność to zwykłe samolubstwo. Powiedziałyby, że zatraciła siebie w służbie - może bardziej prawdziwie byłoby powiedzieć, że tak twierdziła - ale służyła w dobrej wierze. Zatem jej oszałamiająco błękitne oczy naprawdę były porażające jak w tej starej metaforze, która oczy porównywała do strzał Amora, rażących z daleka, ale z tą abstrakcyjną koncepcją podboju wykraczającego poza jakąś zwyczajną kokieterię. Jej jasne, piękne włosy, choć ułożone w aureolę, wydzielały niemal promieniowanie elektryczne. A gdy zrozumiała, że ten obcy człowiek, który przed nią stoi, to pan Agar Rock z „Minneapolis Meteor”, z jej oczu popłynęło światło o zasięgu latarni morskiej, omiatając horyzont Stanów.

Owa dama była jednak w błędzie, jak to się jej czasem zdarzało. Bowiem Agar Rock nie był Agarem Rockiem z „Minneapolis Meteor”. W tej chwili był tylko Agarem Rockiem - to wyzwoliło w nim wielką i szczerą wewnętrzną potrzebę wykraczającą poza szorstką odwagę dziennikarza. Czując głębokie zmieszanie będące wynikiem rycerskiej i narodowej wrażliwości na urodę, z nagłą potrzebą moralnego działania określonego rodzaju, które również było narodowe, ponaglało go, by stawił czoła wspaniałemu widokowi i by dopuścić się szlachetnej zniewagi. Pamiętał oryginalną Hypatię, piękną neoplatonkę, i jaki był przejęty jako chłopiec romanssem Kingsleya, w którym młody mnich denuncjuje ją za nierząd i bałwochwalstwo. Stanął przed nią i powiedział z żelazną powagą:

- Madame, jeśli pani pozwoli, chciałbym zamienić z panią słowo na osobności.

- Cóż - powiedziała, obrzucając pomieszczenie swoim wspaniałym spojrzeniem. - Nie wiem, czy uzna pan to miejsce za odosobnione.

Rock również się rozejrzał i nie zobaczył żadnych śladów życia wykraczających poza drzewka pomarańczowe poza czymś, co wyglądało jak wielki, czarny grzyb, a co rozpoznał jako kapelusz jakiegoś miejscowego księdza spokojnie pykającego czarne, lokalne cygaro, a poza tym nieruchomego jak jakakolwiek roślina. Przez chwilę przyglądał się ciężkim, pozbawionym wyrazu rysom, zauważając toporność tego wieśniaczego typu, z którego często wywodzą się księża w krajach latynoskich, a zwłaszcza latynoamerykańskich, i śmiejąc się, nieco ściszył głos.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ten meksykański **padre** znał nasz język - powiedział. - Te tępaki są zbyt leniwe, żeby uczyć się jakiegoś języka poza własnym. Och, nie mogę przysiąc, że to Meksykanin

- może być jakiegokolwiek pochodzenia, pewnie jakiś mieszaniec indiańca albo czarnucha. Ale z całą pewnością nie Amerykanin. Nasze duchowieństwo nie produkuje takich żalonych typów.

- W gruncie rzeczy - odezwał się ów żaloszny typ, odkładając cygaro -jestem Anglikiem i nazywam się Brown. Ale oczywiście zostawię państwa, skoro potrzeba państwu prywatności.

- Skoro jest ksiądz Anglikiem - ciepło powiedział Rock - to powinien ksiądz mieć jakiś normalny, nordycki instynkt i zaprotestować przeciwko tym wszystkim nonsensom. Cóż, dość powiedzieć, że mogę zeznać, iż w pobliżu kręci się bardzo niebezpieczny osobnik

- wysoki facet w płaszczu, jak na tych obrazach przedstawiających szalonych poetów.

- Cóż, niewiele pan wskóra tym opisem - łagodnie odparł ksiądz.

- Mnóstwo tutejszych ludzi nosi takie płaszcze, bo po zachodzie słońca zimno jest bardzo dotkliwe.

Rock rzucił mu mroczne i powątpiewające spojrzenie, jakby podejrzewał go o uchylenie się od odpowiedzi w interesie wszystkiego, co dla niego symbolizował grzyb i światło księżycy.

- Nie chodzi tylko o płaszcz - warknął - ale po części o to, w jaki sposób go nosił. Cały wygląd tego człowieka był teatralny,

aż po jego przeklecie teatralne, piękne rysy. A jeśli mi pani wybaczy, madame, doradzałbym, by nie miała z nim pani nic wspólnego, gdyby się tutaj pojawił. Pani mąż powiedział już obsłudze hotelu, by go nie wpuszczano...

Hypatia się poderwała i bardzo niezwykłym gestem zakryła twarz, palce wsuwając we włosy. Wydawała się drzeć, być może od szloch, ale gdy odsłoniła twarz, zmienił się on w jakiś dziki śmiech.

- Och, jest pan bardzo zabawny - powiedziała i w sposób zupełnie dla siebie niezwykajny skuliła się, pospieszyła do drzwi i zniknęła.

- Trochę ten śmiech histeryczny - z zakłopotaniem powiedział Rock. Potem, jakby z poczuciem straty, odwrócił się do małego księdza. - Jak mówiłem, skoro jest ksiądz Anglikiem, to i tak powinien być ksiądz po mojej stronie przeciwko tym dzikusom. Och, nie jestem jednym z tych ludzi, którzy opowiadają dyrdymały o Anglo-Saksonach, istnieje jednak coś

takiego jak historia. Zawsze możecie twierdzić, że amerykańska cywilizacja przyszła z Anglii.

- A także, by utemperować naszą dumę - powiedział ojciec Brown -zawsze musimy pamiętać, że Anglia swoją cywilizację wzięła od południowców.

Znowu w głowie Rocka pojawiła się poirytowana myśl, że rozmówca odgradza się od niego, i to odgradza od złej strony, w jakiś tajemniczy i wykrętny sposób - a on skromnie przyznawał się do braku zrozumienia.

- Cóż, był taki południowiec, makaroniarz, zwany Juliuszem Cezarem - powiedział ojciec Brown. - Został zamordowany przez kilku nożowników - a wie pan, że ci południowcy zawsze używają noży. I był jeszcze jeden, zwany Augustynem, który na naszą wyspę przyniósł chrześcijaństwo, i doprawdy nie wydaje mi się, żebyśmy bez tych dwóch mieli coś, co godziłoby się nazwać cywilizacją.

- Tak czy inaczej, to wszystko historia starożytna - odparł cokolwiek poirytowany dziennikarz - ja zaś bardzo interesuję się historią współczesną. A widzę, że ci dranie przynoszą do naszego kraju pogaństwo i niszczą chrześcijaństwo. Niszczą też związany z nim zdrowy rozsądek. Wszystkie ustalone obyczaje, cały solidny

porządek społeczny, wszystko, czego farmerzy, którzy byli naszymi ojcami i dziadami dokonali, aby przetrwać w tym świecie, rozpuszcza się w gorącą papkę sensacji i podekscytowania gwiazdami filmowymi, które rozwodzą się co miesiąc i sprawiają, że każda głupiutka dziewczyna sądzi, że małżeństwo to tylko sposób na rozwód.

- W dużej mierze ma pan rację - przyznał ojciec Brown. - Oczywiście w tym punkcie się z panem zgadzam. Musi pan jednak wziąć pod uwagę pewne względy. Być może ci południowcy są podatni na tego rodzaju uchylecia. Musi pan pamiętać, że ludzie z północy popełniają inne błędy. Być może to okoliczności zachęcają ludzi, by zwykle romanse traktować z nadmierną powagą.

Całe oburzenie, które było integralną częścią życia Agara Rocka, wylało się na to jedno słowo.

- Nienawidzę romansów - powiedział, waląc w mały stół przed sobą. - Przez czterdzieści lat walczyłem, by w gazetach, w których pracowałem, nie pojawiały się takie piekielne śmieci. Byłe szubrawiec ulatniający się z barmanką to od razu romantyczna ucieczka czy coś takiego. A teraz nasza własna Hypatia Hard, córka porządnych ludzi, może zostać wciągnięta w jakąś cholerną, romantyczną sprawę rozwodową, która zostanie roztrąbiona po całym świecie równie radośnie, jakby to był ślub królewski. Kręci się przy niej ten szalony poeta Romanes i można się założyć, że znajduje się w pełnym świetle, jakby był kolejnym przeklętym, małym południowcem, którego w filmach nazywa się Wielkim Kochankiem. Widziałem go na zewnątrz; ma tę regularną twarz aktora. A moje sympatie są przy obyczajności i rozsądku. Współczuję biednemu Potterowi, zwykłemu, prostemu brokerowi z Pittsburgha, który sądzi, że ma prawo do własnego domu. I do tego o niego walczy. Słyszałem, jak krzyczał na kierownictwo, każąc nie wpuszczać tego łajdaka - i miał rację. Tutejsi ludzie wydają się być bardzo cwani i skryci, ale przypuszczam, że zdążył już w nich zaszczepić strach przed Bogiem.

- Tak się składa - powiedział ojciec Brown - że w zasadzie zgadzam się z panem co do dyrektora i pracowników tego hotelu, nie może pan jednak na ich przykładzie oceniać wszystkich Meksykanów. I myślę, że ów dżentelmen, o którym pan mówi, nie tylko

zrobił awanturę, ale wydał dość dolarów, żeby cała obsługa była po jego stronie. Widziałem, jak zamykają drzwi na klucz i szepczą podekscytowani. Przy okazji, pański zwykły, prosty przyjaciel ma chyba mnóstwo pieniędzy.

- Nie wątpię, że jego interesy dobrze idą - odparł Rock. - To najlepszy typ rozsądnego biznesmena. Co ma ksiądz na myśli?

- Sądziłem, że może to panu podsunąć kolejną myśl - powiedział ojciec Brown i, podniósłszy się z dość ociężałą uprzejmością, opuścił pomieszczenie.

Tego wieczoru, podczas kolacji, Rock bardzo uważnie przyglądał się państwu Potter i zebrał pewne nowe obserwacje,

choć żadna z nich nie zachwiała jego głębokim przekonaniem, że spokój ich domu jest zagrożony. Sam Potter okazał się warty tego, by przyjrzeć mu się bliżej - choć dziennikarz zrazu uznał go za prozaicznego i bezpretensjonalnego, przyjemnie było znaleźć bardziej subtelne cechy w kimś, kogo uznał za bohatera albo ofiarę tragedii. Potter miał myślącą i miłą twarz, choć zmartwioną i sporadycznie rozdrażnioną. Rock odniósł wrażenie, że człowiek ten dochodzi do siebie po chorobie; wyblakłe włosy miał cienkie, ale dosyć długie, jakby je ostatnio zaniedbywał, a jego raczej niezwykła broda sprawiała to samo wrażenie. Z pewnością raz czy dwa odezwał się do żony ostrym i kwaśnym tonem, denerwując się tabletkami czy jakimś szczegółem związanym z trawieniem, jednak jego prawdziwym zmartwieniem bez wątpienia było zagrożenie z zewnątrz. Jego żona zachowywała się wobec niego wspaniale, choć może nieco protekcyjnie, jak wcielenie cierpliwości, jednak wzrokiem również przesuwiała po drzwiach i okiennicach, jakby w wymuszonym lęku przed najazdem. Po jej dziwnym wybuchu Rock miał aż za dobry powód, żeby bać się odkrycia, że jej strach mógłby się okazać tylko na pokaz.

Był środek nocy, gdy wydarzyło się coś niezwykłego. Rock, wyobrażając sobie, że jest ostatnim, kto jeszcze nie leży w łóżku, był zaskoczony, widząc, że ojciec Brown nadal ukrywa się pod drzewkiem pomarańczowym w holu i z zadowoleniem czyta książkę. Krótco odwzajemnił życzenia dobrej nocy od dziennikarza, który był już na początku schodów, gdy drzwi nagle zadygotały w zawiasach i z zewnątrz rozległ się huk uderzeń, a wspaniały głos, jeszcze

od nich głośniejszy, gwałtownie domagał się wpuszczenia. Dziennikarz z jakiegoś powodu był przekonany, że drzwi są atakowane zaostrzoną laską przypominającą czekan. Obejrzał się na zaciemnione, niższe piętro i zobaczył, jak służba hotelowa przemyka tu i tam, sprawdzając, czy drzwi są zamknięte na klucz - i nie otwierając ich. Potem powoli poszedł do swojego pokoju i z furją zasiadł do pisania artykułu.

Opisał obłężenie hotelu, przepelnioną złem atmosferę, obszarpany luksus, pokrętne wymówki księdza, a przede wszystkim ten straszny głos z zewnątrz, jakby wokół budynku krążył wilk. Potem, jak napisał, usłyszał nowy dźwięk i usiadł nagle. Był to długi, powtarzający się gwizd, a w swoim nastroju zniechęcił go podwójnie, ponieważ było to jak sygnał konspiratorów i jak miłosne wołanie ptaka. Potem zapadła głęboka cisza, w której siedział sztywno. Potem podniósł się gwałtownie, usłyszał bowiem kolejny hałas. Był to słaby świst, a za nim ostre stuknięcie czy grzechot, i był prawie pewien, że ktoś cisnął czymś w okno. Sztywno zszedł na dół, na parter, który obecnie był ciemny i opustoszały - czy też niemal opustoszały. Mały ksiądz nadal siedział pod krzaczkiem pomarańczy, oświetlony małą lampą, i nadal czytał książkę.

- Długo ksiądz nie śpi - powiedział surowo.

- Taki już mój szalony charakter - z szerokim uśmiechem odparł ojciec Brown - że siedzę po nocy i czytam **Ekonomię lichwy**.

- Wszystko jest pozamykane - zauważył Rock.

- Bardzo starannie - zgodził się ksiądz. - Pański przyjaciel z brodą podjął najwyraźniej wszystkie możliwe środki ostrożności. Przy okazji, pański brodaty przyjaciel jest cokolwiek wytrącony z równowagi. Podczas kolacji odniosłem wrażenie, że jest dość rozgniewany.

- Nic dziwnego - warknął dziennikarz - skoro uważa, że dzikusy w tym dzikim miejscu mogą zniszczyć jego życie domowe.

- Czy nie byłoby lepiej - powiedział ojciec Brown - gdyby człowiek od wewnątrz starał się sprawić, żeby jego życie domowe było miłe, jednocześnie strzegąc go przed czynnikami zewnętrznymi?

- Och, wiem, że ksiądz wyciągnie wszystkie te kazuistyczne sztuczki - burknął Rock. - Może i był trochę opryskliwy wobec żony, ale racja jest po jego stronie. Niech ksiądz posłucha, wydaje mi się ksiądz porządnym człowiekiem. Wierzę, że wie ksiądz o tym wszystkim więcej, niż mówi. Co, do diaska,

wyczynia się w tym piekielnym miejscu? Dlaczego ksiądz nie śpi całą noc i tu siedzi?

- Cóż - powiedział ojciec Brown - pomyślałem, że moja sypialnia może być potrzebna.

- Potrzebna komu?

- Tak się składa, że pani Potter chciała jeszcze jeden pokój - wyjaśnił zwięźle ojciec Brown. - Oddałem jej swój, bo można tam otworzyć okno. Proszę iść i się rozejrzeć, jeśli ma pan chęć.

- Najpierw przyjrę się czemuś innemu - odparł Rock, zgrzytając zębami. - Może ksiądz sobie odstawić swoje małpie sztuczki w tej hiszpańskiej małpiarni, ale ja nadal jestem w kontakcie z cywilizacją.

Pomaszerował do budki telefonicznej i zadzwonił do swojej gazety. Wyrzucił z siebie całą opowieść o łajdackim księdzu, który pomagał łajdackiemu poecie. Następnie pobiegł na górę, do pokoju księdza, w którym ksiądz zostawił płonący ogarek i szeroko otwarte okno.

Przyszedł w samą porę, by zobaczyć sznurową drabinę odczepianą od parapetu i zwijaną na trawniku przez śmiejącego się mężczyznę. Roześmiany dżentelmen był wysoki i mocnej budowy, a towarzyszyła mu jasnowłosa, równie roześmiana kobieta. Tym razem pan Rock nie mógł sobie nawet ulżyć, nazywając jej śmiech histerycznym. Był zbyt okropnie szczery i dzwonił pośród chaotycznych ścieżek ogrodowych, gdy wraz ze swoim trubadurem zniknęła pośród zarośli.

Agar Rock zwrócił ku swemu towarzyszowi twarz ostatecznej i straszliwej sprawiedliwości: Dzień Sądu.

- Cóż, dowie się o tym cała Ameryka - powiedział. - Mówiąc wprost, pomógł jej ksiądz w ucieczce z tym kędzierzawym kochankiem.

- Owszem - zgodził się ojciec Brown. - Pomogłem jej w ucieczce w tym kędzierzawym kochankiem.

- Nazywa się ksiądz kapłanem Jezusa Chrystusa - krzyknął Rock - a popełnił przestępstwo.

- Bywałem zamieszany w różne przestępstwa - łagodnie powiedział ksiądz. - Na szczęście tym razem to historia bez zbrodni. To zwykła idylla przy kominku, która kończy się blaskiem domowego ogniska.

- Kończy się sznurową drabinką zamiast stryczka - powiedział Rock.

- Czyż ta kobieta nie jest mężatką?

- O tak - przyznał ojciec Brown.

- Czy zatem nie powinna być ze swoim mężem? - naciskał Rock.

- Jest ze swoim mężem - odpowiedział ojciec Brown. Dziennikarz uniósł się gniewem.

- Ksiądz kłamie - powiedział. - Ten nieszczęśnik nadal chrapie w swoim łóżku.

- Osobliwie dużo wie pan o jego prywatnych sprawach - ze smutkiem powiedział ojciec Brown. - Prawie mógłby pan opisać życie Człowieka z Brodą. Zdaje się tylko, że jedyną rzeczą, jakiej się pan o nim nie dowiedział, to jego nazwisko.

- Nonsens - odrzekł Rock. - Jego nazwisko widnieje w księdze hotelowej.

- Wiem, że tak - odpowiedział ksiądz poważnie, kiwając głową. - Bardzo dużymi literami; nazwisko Rudel Romanes. Hypatia Potter, która spotkała się z nim tutaj, wpisała swoje nazwisko wyraźnie poniżej, gdyż chciała z nim uciec, a jej mąż wpisał się poniżej, gdy ich tutaj wyszedł. Umieścił swoje nazwisko tuż pod jej, na znak protestu. Romanes (który jako popularny mizantrop pogardzający mężczyznami ma masę pieniędzy) przekupił obsługę hotelową, by zamknęła budynek i zatrzymała legalnego męża na zewnątrz. A ja, jak pan prawdziwie powiedział, pomogłem mu dostać się do środka.

Gdy człowiek słyszy coś, co wywraca wszystko do góry nogami -gdy to ogon merda psem, gdy to ryba łowi rybaka, gdy ziemia krąży wokół księżyca - potrzeba mu trochę czasu, zanim w ogóle zapyta poważnie, czy to prawda. Wciąż zadowala się świadomością, która stoi w przeciwieństwie do oczywistej prawdy.

-Nie chce ksiądz chyba powiedzieć - odezwał się wreszcie Rock - że ten kurdupel to ten romantyczny Rudel, o którym zawsze czytamy, a ten kędzierzawy to pan Potter z Pittsburgha.

- Owszem - potwierdził ojciec Brown. - Wiedziałem to od chwili, gdy zobaczyłem jednego i drugiego. Ale potwierdziłem to dopiero później.

Rock rozmyślał przez chwilę.

- Przypuszczam, że ksiądz może mieć rację - powiedział wreszcie. -Ale jak, w obliczu faktów, doszedł ksiądz do takiej konkluzji?

Ojciec Brown wyglądał na stropionego. Zapadł się w fotel i popatrzył w pustkę, aż jego okrągłą i dosyć głupkowatą twarz zaczął opromieniać słaby uśmiech.

- Cóż - odpowiedział - widzi pan, prawda jest taka, że nie jestem romantykiem.

- Pojęcia nie mam, kim ksiądz jest - niegrzecznie odparł Rock.

- Teraz to pan jest romantykiem - pomocnie powiedział ojciec Brown. - Na przykład widzi pan kogoś, kto wygląda poetycko, i zakłada, że jest poetą. Wie pan, jak wygląda większość poetów? Co za dzikie nieporozumienie wynikło za sprawą trzech przystojnych arystokratów w początku dziewiętnastego wieku: Byrona, Goethego i Shelleya! Niech mi pan wierzy, w powszechnym rozumieniu mężczyzna może napisać: „Piękność złożyła na mnie płonące wargi”, czy co tam napisał ten facet, samemu nie będąc jakoś szczególnie pięknym. Poza tym zdaje pan sobie sprawę z tego, jaki stary jest z reguły człowiek do czasu, gdy stanie się słynny na świecie? Watts namalował Swinburne'a z aureolą włosów, ale Swinburne był łysy, zanim większość jego wielbicieli z Ameryki czy Australii usłyszało o jego hiacyntowych zamkach. Tak samo D'Annunzio. Romanes wciąż ma wcale ładną głowę, co pan zobaczy, jeśli przyjrzy się jej bliżej - wygląda jak intelektualista i jest nim. Niestety, podobnie jak zdecydowana większość intelektualistów, jest głupcem. Pozwolił sobie okazać samolubstwo i narzekać na kłopoty z układem trawiennym. Zatem ambitna, amerykańska dama, która sądziła, że to będzie wzniesienie się na Olimp

wraz z dziewięcioma muzami, by uciec z poetą, przekonała się, że dzień czy dwa w zupełności jej wystarczą. Tak więc gdy przyjechał po nią mąż i wpadł tutaj jak burza, była zachwycona, wracając do niego.

- Ale jej mąż? - dopytywał się Rock. - Wciąż nie mogę się mu nadziwić.

-Ach, czyta pan za dużo tych swoich erotycznych, współczesnych powieści - stwierdził ojciec Brown i w odpowiedzi na protestujące spojrzenie rozmówcy lekko przymknął oczy. - Znam wiele historii, które zaczynają się od obłudnie pięknej kobiety poślubionej jakimś podstarzałemu świntuchowi z pieniędzmi. Ale dlaczego? W tym, jak i w wielu innych punktach, współczesne powieści są zaprzeczeniem współczesności. Nie mówię, że takie rzeczy się nie zdarzają, ale prawie zawsze z własnej winy. Dziewczeta obecnie wychodzą, za kogo chcą, a zwłaszcza tak rozpieszczone dziewczęta jak Hypatia. A za kogo wychodzą? Piękna, bogata dziewczyna tego pokroju ma cały krąg wielbicieli, a kogo wybierze? Szanse są jak sto do jednego, że wyjdzie za mąż bardzo młodo i za najprzystojniejszego mężczyznę, którego poznała na tańcach albo meczu tenisa. Cóż, zwyczajni biznesmeni bywają przystojni. Pojawił się młody bóg (zwany Potterem) i nie dbałaby, czy byłby brokerem, czy włamywaczem. Jednakże, biorąc pod uwagę środowisko, przyzna pan, że jest bardziej prawdopodobne, że byłby brokerem, a także całkiem prawdopodobnie nazywałby się Potter. Widzi pan, jest pan tak niepoprawnym romantykiem, że wszystkie pańskie przekonania opierały się na założeniu, że człowiek, który wygląda jak młody bóg, nie może się nazywać Potter. Proszę mi wierzyć, nazwiska nie są rozdzielane tak stosownie.

- Cóż - powiedział tamten po krótkiej chwili - a co według księdza wydarzyło się potem?

Ojciec Brown dość gwałtownie podniósł się z siedzenia, na które opadł. Światło świecy rzucało cień jego niskiej postaci na ścianę i sufit, przez co wydawało się, że równowaga w pokoju jest zaburzona.

- Ach - mruknął - i w tym tkwi diabeł. To prawdziwy diabeł. Znacznie gorszy od starych indiańskich demonów w tutejszej dżungli. Sądził pan, że jedynie szukam usprawiedliwienia dla swobodnego postępowania tych Latynoamerykanów... dziwne jest to... - pod okularami zamrugał jak sowa - ...najdziwniejsze jest to, że w pewien sposób ma pan rację.

Pan mówi, że nie lubi romansów. Ja mówię, że zaryzykuję spotkanie z prawdziwymi romansami... głównie dlatego, że poza pierwszymi, ognistymi dniami młodości jest ich tak niewiele. Powiadam

- dajcie sobie spokój z Intelktualnymi Przyjaźniami, dajcie sobie spokój ze Związkami Platonicznymi, dajcie sobie spokój z Wyższymi Prawami Samorealizacji i całą resztą, a ja zaryzykuję normalne niebezpieczeństwa pracy. Dajcie sobie spokój z miłością, która nie jest miłością, a jedynie dumą, próżnością, działaniem pod publiczność i robieniem zamieszania, a będziemy mieli szansę zawalczyć o miłość, która jest miłością wtedy, kiedy powinno się o nią walczyć tak samo jak o miłość, która jest pożądaniem i lubieżnością. Księża wiedzą, że młodzi ludzie są targani namiętnością, tak jak lekarze wiedzą, że miewają odrę. Ale Hypatia Potter ma czterdzieści lat i nie dba o tego małego poetę bardziej, niż gdyby był jej wydawcą czy specjalistą od reklamy. I właśnie w tym rzecz - on był jej reklamą. To pańska gazeta ją zrujnowała - to jest życie w światłach rampy, to pragnienie ujrzenia swego nazwiska w nagłówkach, nawet w kontekście skandalu, byle był dostatecznie medialny i głośny. To pragnienie, by być George Sand, której imię na wieki połączone jest z Alfredem de Musset. Gdy skończył się jej prawdziwy, młodzieńczy romans, dopadł ją grzech wieku średniego - grzech ambicji intelektualnych. Ona nie ma żadnego intelektu, o którym można by mówić, jednak nie potrzeba żadnego intelektu, by być intelektualistą.

- Powiedziałbym, że w pewnym sensie była bardzo bystra - z zadumą zauważył Rock.

- Tak, w jednym sensie - powiedział ojciec Brown. - Tylko w jednym sensie. W sensie biznesowym. Nie, żeby miała

cokolwiek do czynienia z tymi biednymi południowcami. Przeklina pan gwiazdy filmowe i mówi mi, że nienawidzi romansów. Sądzi pan, że gwiazda filmowa, która wychodzi za mąż po raz piąty, robi to zwiedziona jakimś romanssem? Tacy ludzie są bardzo praktyczni, bardziej praktyczni niż pan. Mówi pan, że podziwia prostych, solidnych ludzi biznesu. Myśli pan, że Rudel Romanes nie jest biznesmenem? Nie widzi pan, że on równie dobrze jak ona rozumie reklamowe zalety tego wielkiego romansu ze słynną pięknnością? Równie dobrze wiedział, że jego pozycja jest dość niepewna, dlatego też się wściekał i dał łapówki służącym, żeby pozamykali drzwi. Faktycznie chcę jednak powiedzieć, raz a dobrze, że skandal byłby o wiele mniejszy, gdyby ludzi nie idealizowali grzechu i nie kreowali się na grzeszników. Ci biedni Meksykanie czasami wydają się żyć jak

zwierzęta, czy raczej grzeszyć jak ludzie, ale nie robią tego dla Ideałów. Musi im pan zaufać przynajmniej w tym.

Znowu usiadł, równie gwałtownie jak wstał, i zaśmiał się przepraszająco.

- Cóż, panie Rock - powiedział - oto moja całkowita spowiedź. Cała okropna historia o tym, jak dopomogłem w romantycznej ucieczce. Może pan z nią zrobić, co zechce.

- W takim razie - odparł Rock, podnosząc się - pójdę do swojego pokoju i wprowadzę kilka zmian do artykułu. Ale przede wszystkim muszę zadzwonić do swojej gazety i powiedzieć, że nagadałem im strasznych bzdur.

Nie minęło nawet pół godziny, odkąd Rock zatelefonował, żeby powiedzieć, że ksiądz pomagał poecie uciec z damą, a czasem gdy zatelefonował ponownie, by powiedzieć, że ksiądz nie pozwolił, by poeta zrobił dokładnie to samo. Jednak w tym krótkim czasie narodził się, urósł i poniósł jak na skrzydłach wiatru Skandal Ojca Browna. Prawda zawsze zostaje z tyłu za oszczerstwem i nikt nie może być pewny tego, kiedy i gdzie je dogoni. Gadulstwo dziennikarzy i gorliwość wrogów rozniosła tę pierwszą historię po całym mieście, nawet zanim pojawiła się pierwsza wersja drukowana. Niezwłocznie została poprawiona i zdementowana przez samego Rocka w

drugiej wiadomości opisującej prawdziwe zakończenie tej historii, ale nie było żadnej pewności, że uda się wyciszyć tę pierwszą. Wręcz niewiarygodna liczba ludzi przeczytała w gazecie tę pierwszą wersję, a nie drugą. Raz za razem, w każdym zakątku świata, jak płomień buchający z poczerniałych popiołów pojawia się stara opowieść o Skandalu Browna czy o tym, jak Ksiądz Niszczy Dom Pottera. Niezmordowani zwolennicy księdza wypatrują ich, cierpliwie rozsyłają sprostowania i listy protestacyjne. Czasami listy te ukazują się w gazetach, a czasami nie. Nadal jednak nikt nie wie, ilu ludzi usłyszało tę historię, ale nie usłyszało dementi. Można było znaleźć całe masy niewinnych ludzi, którzy sądzili, że Meksykański Skandal był wydarzeniem historycznym, takim jak Spisek Prochowy. Potem ktoś oświeca tych prostych ludzi tylko po to, aby odkryć, że cała ta stara historia odżyła na nowo pośród całkiem wykształconych ludzi, którzy wydawali się ostatnimi ludźmi na ziemi, którzy by się na nią nabrali. I tak dwóch ojców Hiownów ciągle gania się po całym świecie; pierwszy jest bezwstydnym kryminalistą uciekającym przed wymiarem sprawiedliwości, drugi męczennikiem złamanym przez pomówienie, w aureoli rehabilitacji. Jednak żaden z nich nie jest podobny do prawdziwego ojca Browna, który wcale nie jest złamany, ale idzie przez życie, stukając swoim solidnym parasolem, darząc sympatią większość napotkanych ludzi, przyjmując świat za swojego towarzysza, ale nigdy za swojego sędziego.

CZUBEK SZPILKI

Ojciec Brown zawsze deklarował, że rozwiązał ten problem we śnie. I taka była prawda, choć stało się to w dosyć dziwny sposób - ponieważ stało się to w czasie, gdy jego sen był raczej zakłócony. Zakłócono go bardzo wcześnie rano, gdy w wielkim budynku, czy też raczej szkielecie budynku, który znajdował się naprzeciwko jego kwatery, zaczęło się walenie młotami. Była to kolosalna ilość pięter, nadal w większości pokrytych rusztowaniami i tablicami ogłaszającymi, że panowie Swindon i Sand są budowniczymi i właścicielami. Walenie młotami rozlegało się w regularnych interwałach i było łatwo rozpoznawalne, ponieważ panowie Swindon i Sand specjalizowali się w nowym, amerykańskim systemie wylewania cementu, który -pomimo późniejszej gładkości, solidności, nieprzepuszczalności i stałego komfortu (jak to opisano w reklamie) - w pewnych punktach musiał zostać ubity ciężkimi narzędziami. Ojciec Brown jednakże czerpał z tego niejaki spokój, mówiąc, że zawsze budzą go o czasie na bardzo wczesną mszę i stąd miało to niemal naturę kurantów. Mimo wszystko, powiadał, było to prawie tak samo poetyckie, że chrześcijanie budzą się na dźwięk młotów, jak dzwonów. W gruncie rzeczy jednak budowa działa mu lekko na nerwy z innego powodu. Nad na wpół ukończonym drapaczem chmur unosiło się widmo możliwości kryzysu robotni czego, które gazety z uporem opisywały jako strajk. A w gminie rzeczy, gdyby do tego doszło, kadra zarządzająca i tak postawiłaby

na swoim. Martwił się jednak bardzo, czy do tego dojdzie. I można by się zastanawiać, czy walenie młotami szarpie nerwy dlatego, że może trwać wiecznie, czy dlatego, że w każdej chwili może się skończyć.

- Ze względu na gust - mawiał ojciec Brown, gapiąc się przez swoje swoje okulary na gmach - wolałbym, żeby się to skończyło. Chciałbym, żeby budowa domów stawała, gdy są obstawione rusztowaniami. To prawie szkoda, że budowa domu się kiedyś kończy. Z tymi wszystkimi ozdóbkami z białego drewna, jasnymi i błyszczącymi w słońcu, wyglądają na takie świeże i pełne nadziei, a człowiek tak często zmienia taki dom w grobowiec.

Gdy odwrócił się od obiektu swoich obserwacji, niemal wpadł na człowieka, który właśnie przebiegł przez ulicę, zmierzając w jego stronę. Był to człowiek, którego znał pobieżnie, ale dostatecznie, aby (w tych okolicznościach) rozpoznać w nim zły omen. Pan Ma-styk był przysadzisty, miał kwadratową głowę, która ledwie mieściła się w europejskich kanonach, ubrany był z przyciężką elegancją, która sprawiała wrażenie zbyt świadomie zeuropeizowanej. Ale Brown widział go niedawno, jak rozmawiał z młodym Sandem z firmy budowlanej - i nie podobało mu się to. Ten cały Mastyk był szefem organizacji dość nowej w angielskiej polityce przemysłowej, stworzonej przez ekstrema po obu stronach: armii robotników nie-zrzeszonych w związkach zawodowych i w dużej mierze obcokrajowców wynajmowanych grupami do pracy w rozmaitych firmach - i najwyraźniej kręcił się tutaj w nadziei zatrudnienia ich na tej budowie. W skrócie mógł wynegocjować jakiś sposób wymanewrowania Związku Handlu i przerwania działań przez łamistrajków. Ojciec Brown brał udział w niektórych z tych debat, będąc w pewnym sensie przedstawicielem obu stron. A ponieważ kapitaliści twierdzili, że zgodnie z ich wiedzą jest bolszewikiem, a bolszewicy z kolei zeznawali, że jest reakcjonistą sztywno przywiązanym do ideologii burżuazyjnej - można było uznać, że mówił z pewną dozą rozsądku, co nie wywierało na nikim szczególnego efektu. Jednakże wieści, które przyniósł pan Mastyk, były obliczone na to, by wytrącić każdego z normalnego toku dysputy.

- Chcą, żeby ojciec zaraz przyszedł - powiedział Mastyk w osobliwie akcentowanej angielszczyźnie. - Istnieje groźba

morderstwa.

Ojciec Brown w milczeniu wraz ze swoim przewodnikiem pokonał kilka klatek schodowych i drabin prowadzących na piętro w nieukończonym budynku, gdzie zgrupowani byli mniej lub bardziej znajomi szefowie firmy budowlanej. Był między nimi nawet człowiek, który kiedyś był jej głową, choć przez jakiś czas trzymał ją raczej w chmurach. Przynajmniej była to głowa w koronie, która okrywała ją jak chmura. Lord Stanes, innymi słowy, nie tylko zrezygnował z interesów, ale został wciągnięty do Izby Lordów i zniknął. Jego rzadka obecność była ociężała i poniekąd ponura, ale ta w połączeniu z Mastykiem, wydawała się groźna. Lord Stanes był chudym mężczyzną o wydłużonej głowie i głęboko osadzonych oczach, z bardzo cienkimi włosami, które przechodziły w łysinę. Był też najbardziej wykrętną osobą, jaką ojciec Brown kiedykolwiek poznał. Nie miał sobie równych w prawdziwie oksfordzkim talencie do mówienia „niewątpliwie masz rację” w taki sposób, że brzmiało to jak „niewątpliwie myślisz, że masz rację” czy wygłaszania uwagi „tak sądzisz?”, jakby sugerując kwaśne „z pewnością”. Ojciec Brown rozumiał jednak, że ten człowiek nie był jedynie znudzony, ale nieco rozgoryczony, jednak czy to ze względu na fakt, że odwołano go z Olimpu po to, aby opanował te handlowe kłótnie, czy po prostu dlatego, że nie miał już nad nimi kontroli, trudno było określić.

Ogólnie rzecz biorąc, ojciec Brown wolał tę bardziej burżuazyjną grupę partnerów, sir Huberta Sanda i jego bratanka Henry'ego -jakkolwiek prywatnie powątpiewał, czy naprawdę wyznają jakąś ideologię. Prawda, sir Hubert Sand zyskał sobie sporą popularność w gazetach jako patron sportu i jako patriota podczas wielu kryzysów w czasie i po Wielkiej Wojnie. Zyskał duże znaczenie we Francji, jak na człowieka w jego latach, i później przedstawiany był jako triumfujący przywódca przemysłowy przezwyciężający trudności w kontaktach z robotnikami pracującymi na rzecz przemysłu zbrojeniowego. Nazwano go Siłaczem, ale to nie była jego wina. Faktycznie był ciężkim, serdecznym Anglikiem,

znakomitym pływakiem, dobrym ziemianinem, godnym podziwu nieprofesjonalnym pułkownikiem. Rzeczywiście, w jego wyglądzie było coś, co można było nazwać tylko wojskową charakterystyką. Robił się przysadzisty, ale ramiona trzymał prosto, kręcone włosy i wąsy wciąż były

brązowe, chociaż barwy jego twarzy zaczynały już blednąć i się rozmywać. Jego bratanek był tęgim, raczej barczystym młodzieńcem o relatywnie małej głowie osadzonej na grubym karku, tak jakby cały czas gotów był do szarży - pozycja, która przez pincenez balansujące na jego zadartym i perkatym nosie wydawała się raczej zabawna i chłopięca.

Ojciec Brown widział to wszystko już wcześniej, a w tej chwili wszyscy patrzyli na coś zupełnie nowego. Do deski przybita była trzepocząca kartka papieru, na której nagryzmołono coś niechlujnymi i prawie szalonymi wielkimi literami, jakby osoba, która to napisała, była niemal analfabetą albo parodiowała analfabetyzm. Słowa mówiły dokładnie: „Rada Robotnicza ostrzega Huberta Sanda, że obniża płace i grozi robotnikom na własne ryzyko. Gdy jutro ukażą się te ogłoszenia, zginie z ręki ludu”.

Lord Stanes właśnie odsuwał się od przeczytanego obwieszczenia.

- Cóż, to pana chcą zamordować - powiedział z dość osobliwą intonacją, spoglądając na swojego partnera. - Mnie najwyraźniej nie uznano za wartego morderstwa.

W tej właśnie chwili ojciec Brown poczuł jeden z tych wstrząsów elektrycznych, które czasem nawiedzały jego umysł. Miał dziwne wrażenie, że człowiek, który wypowiedział te słowa, nie mógł zostać zamordowany, ponieważ już był martwy. Była to, jak przyznał pogodnie, myśl całkowicie bezsensowna. Jednak w zimnej, pozbawionej złudzeń bezstronności arystokratycznego starszego partnera było coś, co zawsze przyprawiało go o dreszcze; coś w jego wymizerowanym kolorycie i nieprzyjaznych oczach. „Ten facet -pomyślał przekornie - ma zielone oczy i wydaje się, jakby miał zieloną krew”.

W każdym razie było pewne, że sir Hubert Sand nie miał zielonej krwi. Jego krew, która pod każdym względem była dostatecznie czerwona, napływała do jego pomarszczonych czy wysmaganych wiatrem policzków z całą tą gorącą pełnią życia, która wynika z naturalnego i niewinnego oburzenia człowieka dobrodusznego.

- Przez całe moje życie - powiedział głosem silnym, choć nieco drżącym - nigdy się nie zdarzyło, bym usłyszał coś takiego. Mogę się różnić...

- Nie możemy się różnić - niecierpliwie wtrącił się jego bratanek. - Próbowałem się z nimi dogadać, ale to już jest za gruba sprawa.

- Nie sądzi pan chyba naprawdę - zaczął ojciec Brown - że pańscy robotnicy...

- Mówię, że możemy się różnić - powiedział stary Sand, nadal nieco drżąc. - Bóg wie, że nigdy nie podobał mi się pomysł zastraszania angielskich robotników tańszą siłą roboczą...

- Żadnemu z nas się to nie podoba - powiedział młodzieniec - ale o ile cię znam wuju, właśnie o to tu chodzi. Przypuszczam, że tak jak mówisz, nie zgadzamy się co do szczegółów - dodał - ale co do faktycznej polityki...

- Mój drogi chłopcze - uspokajająco powiedział jego wuj. - Miałem nadzieję, że nigdy nie będzie żadnego faktycznego nieporozumienia.

Z czego każdy, kto rozumiał angielski naród, jasno mógł wyczytać, że pojawiło się bardzo znaczące nieporozumienie. W istocie wuj i bratanek różnili się prawie jak Anglik i Amerykanin. Wuj wyznawał angielski ideał wychodzenia poza interesy i jako ziemianin tworzenia sobie swego rodzaju alibi. Bratanek wyznawał amerykański ideał trzymania się w środku interesów - dogłądania samego mechanizmu jak mechanik. I w istocie pracował z większością mechaników i był zaznajomiony z większością procesów i sztuczek handlu. I znowu był Amerykaninem przez fakt, że po części jako pracodawca starał się utrzymać znaczenie swoich ludzi, ale także pokazując niejasno, że jest im równy, czy przynajmniej z dumą pokazując się również jako robotnik. Z tego powodu

często jawił się niemal jako przedstawiciel robotników w punktach technicznych, które były oddalone o setki mil od sławy wuja w polityce czy sporcie. Pamięć o tych wielu okazjach, gdy młody Henry z podwiniętymi rękawami wychodził z warsztatu, praktycznie domagając się poprawy warunków pracy, jego obecnej reakcji przydawała szczególnej siły i nawet brutalności.

- Cóż, tym razem sami się szantażują - wykrzyknął. - Po takiej groźbie zwyczajnie nie ma innego wyjścia, jak się im przeciwstawić. Teraz zostaje tylko zwolnić wszystkich, i to z miejsca. Inaczej będziemy pośmiewiskiem na całym świecie.

Stary Sand zmarszczył brwi z równym oburzeniem, ale zaczął powoli:

- Będę bardzo krytykowany...

- Krytykowany! - przenikliwie krzyknął młody człowiek. - Krytykowany, jeśliś głuchy na groźbę morderstwa! A wyobrażasz sobie, jak będziesz krytykowany, jeśli jej nie zignorujesz? Będziesz zachwycony nagłówkami: „Wielki kapitalista sterroryzowany”, „Przemysłowiec ugina się wobec groźby zamordowania”.

- Szczególnie - powiedział lord Sand lekko nieprzyjemnym tonem - gdy już pojawił się w całej masie nagłówków jako „Siłacz konstrukcji stalowych”.

Sand znowu mocno poczerwieniał, a spod wąsa dobiegł jego ciężki głos.

- Oczywiście w tym punkcie masz rację. Jeśli ci brutale uznają, że się boję...

W tej chwili rozmowa została zakłócona. Do grupki podszedł szybko szczupły młodzieniec. Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, było to, że był jednym z tych ludzi, o których mężczyźni, a także kobiety, myśleli, że wygląda odrobinę za dobrze, żeby wyglądać dobrze. Miał piękne, ciemne, wijące się włosy i jedwabisty wąsik. Mówił jak dżentelmen, ale z niemal zbyt wyrafinowanym i dokładnie modulowanym akcentem. Ojciec Brown rozpoznał go natychmiast jako Ruperta Rae, sekretarza sir Huberta, którego często widywał, jak pałętał się

po jego domu; nigdy jednak nie miał tak niecierpliwych ruchów czy tak zmarszczonych brwi.

- Przepraszam, sir - zwrócił się do swego pracodawcy - ale kręci się tam jakiś człowiek. Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby się go pozbyć. Przyniósł jedynie list, ale upiera się, że musi przekazać go panu osobiście.

- Chce pan powiedzieć, że najpierw przyszedł do mojego domu? - zapytał Sand, spoglądając na swojego sekretarza. - Przypuszczam, że był pan tam przez cały ranek.

- Tak, sir - potwierdził pan Rupert Rae.

Przez chwilę wszyscy milczeli, a potem sir Hubert Sand polecił szorstko, żeby przyprowadzić tego człowieka i człowiek ten posłusznie się zjawił.

Nikt, nawet najmniej drobiazgową damą, nie powiedziałaby, że nowo przybyły wyglądał za dobrze. Miał ogromne uszy i żabią twarz, i gapił się przed siebie z niemal upiornym skupieniem, co ojciec Brown przypisał faktowi, że miał szklane oko. W rzeczywistości jego fantazja kusiała, by wyposażyć go w dwoje szklanych oczu, tak szklanym spojrzeniem obejmował zebranych. Jednak doświadczenie księdza, odległe od wyobraźni, było w stanie podsunąć kilka naturalnych przyczyn tak nienaturalnego, woskowego spojrzenia; jednym z nich było nadużycie boskiego daru napojów fermentowanych. Mężczyzna był niski i niechlujny, w jednej ręce trzymał duży melonik, a w drugiej zapieczętowany list.

Sir Hubert Sand popatrzył na niego, a potem powiedział cicho, ale głosem, który - wydobywając się z jego pełnego ciała - wydawał się dziwnie mały:

- Och... to pan.

Wyciągnął rękę po list. Potem rozejrzał się przepaszająco, uniósł palec zanim rozerwał kopertę i przeczytał. Gdy skończył, wepchnął list do wewnętrznej kieszeni.

- Cóż, sądzę, że wszystkie wasze interesy są skończone, jak mówisz - powiedział pospiesznie i dosyć opryskliwie. - Teraz nie są już możliwe żadne dalsze negocjacje; i tak nie moglibyśmy

płacić tyle, ile żądają. Ale chciałbym się jeszcze z tobą spotkać, Henry, porozmawiać o... o likwidacji różnych spraw.

- W porządku - odparł Henry, może nieco ponuro, jakby wolał likwidować je osobiście. - Po lunchu będę w pokoju 188. Trzeba się dowiedzieć, jak daleko się posuną.

Człowiek ze szklanym okiem (o ile to było szklane oko) sztywno odmaszerował, a oko ojca Browna (które z całą pewnością nie było szklane) podążyło za nim z namysłem, gdy mężczyzna przepchnął się między drabinami i zniknął na ulicy.

To właśnie następnego ranka ojciec Brown doświadczył czegoś niezwykłego - zasnął. A przynajmniej obudził się z przekonaniem, że jest spóźniony. Częściowo było to spowodowane tym, że pamiętał, tak jak człowiek może zapamiętać sen, jak na wpół obudził się o bardziej zwyczajowej godzinie i znowu zapadł w sen; dosyć powszechna okoliczność dla wielu z nas, ale bardzo nietypowa dla ojca Browna. A później był dziwnie przekonany, tą swoją mistyczną

częścią, która zazwyczaj była odwrócona od świata, że na tej osobnej, mrocznej wysepce krainy snów, pomiędzy dwoma przebudzeniami leżał zakopany skarb prawdy o tej historii.

Skoro tak było, podskoczył z wielkim pośpiechem, narzucił na siebie ubranie, chwycił swój wielki parasol i wypadł na ulicę, gdzie przygnębiający, biały poranek pękał jak tafla lodu wokół ogromnego, czarnego budynku naprzeciwko. Był zaskoczony, odkrywając, że niemal puste ulice błyszczą w zimnym, krystalicznym świetle. Sam ich widok powiedział mu, że nie mogło być tak późno, jak się obawiał. Wówczas spokój został nagle złamany pojawieniem się podobnego do strzały, długiego, szarego samochodu, który zatrzymał się przed wielkim, opustoszałym budynkiem. Ze środka wyłonił się lord Stanes i podszedł do drzwi, niosąc (raczej z trudem) dwie duże walizki. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i wydawało się, że ktoś cofnął się w środku, zamiast wyjść na zewnątrz. Stanes dwa razy zawołał człowieka wewnątrz, zanim osobnik ten dokończył swój pierwszy gest, wychodząc na próg. Potem wdali się w krótką wymianę zdań zakończoną tym, że

arystokrata zaniósł swoje walizki na górę, a ten drugi wyszedł na światło dnia, ujawniając ciężkie ramiona i badawczą głowę młodego Henry'ego Sanda.

Ojciec Brown nie myślał o tym raczej dziwnym spotkaniu, aż dwa dni później ów młody człowiek nie podjechał własnym samochodem i nie poprosił księdza do środka.

- Wydarzyło się coś okropnego - powiedział - i wolałbym porozmawiać z ojcem niż ze Stanesem. Wie ksiądz, że Stanes przyjechał przedwczoraj z jakimś szalonym pomysłem biwakowania w jednym z wykończonych mieszkań. Dlatego musiałem jechać tam o świcie i otworzyć mu drzwi. Ale to już nieważne. Chciałbym, żeby ojciec zaraz poszedł do mojego wuja.

- Zachorował? - szybko zapytał ksiądz.

- Chyba nie żyje - odparł bratanek.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że chyba nie żyje? - z niejakim ozywieniem zapytał ojciec Brown. - Wezwał pan lekarza?

- Nie - odparł tamten. - Nie wezwałem lekarza ani nie mam pacjenta... Nie ma sensu wzywać lekarzy, żeby obejrzeliby zwłoki, ponieważ te zwłoki uciekły. Obawiam się jednak, że wiem, dokąd

uciekły... Prawda jest taka - ukrywaliśmy to przez dwa dni, ale on zniknął.

- Może byłoby lepiej - łagodnie zasugerował ojciec Brown - żeby opowiedział mi pan wszystko szczerze i od początku?

- Wiem - odpowiedział Henry Sand. - To piekielny wstyd mówić tak lekko o biednym staruszk, ale ludzie tak mają, gdy są wytrąceni z równowagi. Nie jestem zbyt dobry w ukrywaniu rzeczy, cała historia i skrót... Cóż, całej teraz księdzu nie opowiem. Chodzi o coś, co niektórzy nazwaliby dość ryzykownym interesem - rzucanie przypadkowych podejrzeń i tak dalej. Ale w skrócie rzecz w tym, że mój nieszczęsny wuj popełnił samobójstwo.

Do tego czasu mijali samochodem ostatnie zabudowania miasta i pierwsze drzewa, i krzewy lasu i parku, które położone były dalej. Drewniana brama do niewielkiej

posiadłości sir Huberta Sanda znajdowała się jakieś pół mili dalej, pośród gęstniejącej ściany buków. Posiadłość składała się głównie z małego parku i dużego, ozdobnego ogrodu, który tarasowo, z pewnym klasycznym przepychem, opadał ku samemu brzegowi głównej rzeki dystryktu. Gdy tylko zajechali do domu, Henry dosyć pospiesznie poprowadził księdza przez stare, georgiańskie pokoje i na zewnątrz, na drugą stronę, gdzie w milczeniu zeszedli z raczej stromego zbocza porośniętego kwiatami, skąd widzieli bladą rzekę rozpościerającą się przed nimi niemal tak płasko, jak widać to było z lotu ptaka. Właśnie mijali zakręt ścieżki pod ogromną, klasyczną urną z koroną z nieco niestosownej girlandy geranium, gdy ojciec Brown w krzakach i drzewach tuż poniżej dostrzegł poruszenie, które wydawało się tak szybkie, jak trzepot spłoszonych ptaków.

W płątaniu cienkich drzewek przy rzece widać było dwie rozchodzące się postacie; jedna z nich wślizgnęła się gładko w cień, a druga ruszyła im naprzeciw, sprawiając, że zatrzymali się w nagłej i dość niezwykłej ciszy. Potem Henry odezwał się ociężale:

- Sądzę, pani, że znasz ojca Browna... lady Sand.

Ojciec Brown również ją znał, jednak w tej chwili mógłby niemal powiedzieć, że nie. Twarz jej była tak blada i ściągnięta, że wyglądała niemal jak maska tragedii. Była znacznie młodsza od męża, jednak w tej chwili wyglądała na starszą niż wszystko w tym starym domu i ogrodzie. A ksiądz przypomniał sobie, z podświadomym dreszczem, że pod względem typu i pochodzenia istotnie była starsza, i że to ona była prawdziwą właścicielką tego miejsca. Było w posiadaniu jej rodziny zubożałych arystokratów, zanim odbudowała jej majątek, poślubiając odnoszącego sukcesy biznesmena. Gdy tak tam stała, można by ją uznać za rodzinny obraz czy nawet rodzinnego ducha. Jej blada twarz była w tym ostrym, jednak owalnym kształcie, który zobaczyć można było na starych portretach Marii, Królowej Szkotów, a jej wyraz wydawał się wykraczać poza naturalną nienaturalność sytuacji, w której jej mąż zniknął i

podejrzewano samobójstwo. Ojciec Brown, z tym samym podświadomym drgnięciem umysłu, zastanawiał się, z kim rozmawiała pośród drzew.

- Przypuszczam, że zna ksiądz wszystkie te okropne wieści - powiedziała z żalobnym opanowaniem. - Biedny Hubert musiał się załamać pod wszystkimi tymi rewolucyjnymi prześladowaniami i doprowadziło go to do takiego szaleństwa, że odebrał sobie życie. Nie wiem, czy ksiądz może cokolwiek zrobić. Czy ci okropni bolszewicy mogą zostać pociągnięci do odpowiedzialności za to, że go zaszczuli?

- Lady Sand, jest mi ogromnie przykro - powiedział ojciec Brown. - A jednak, muszę przyznać, jestem nieco zaskoczony. Mówi pani o prześladowaniu. Sądzi pani, że ktoś mógłby zaszczuć go na śmierć tylko przy użyciu tej kartki na ścianie?

- Sądzę - odparła dama z ciemniejszym spojrzeniem - że były również inne prześladowania.

- To pokazuje, jakie błędy można popełnić - ze smutkiem powiedział ksiądz. - Nigdy bym nie pomyślał, że byłby tak nielogiczny, by umrzeć, aby uniknąć śmierci.

- Wiem - odpowiedziała, patrząc na niego poważnie. - Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdyby nie słowa skreślone jego własną ręką.

- Co takiego? - wykrzyknął, podskakując nieco, jak królik trafiony śrutem.

- Tak - spokojnie potwierdziła lady Sand. - Zostawił list, w którym przyznaje się do samobójstwa. Obawiam się zatem, że nie ma co do tego wątpliwości. - I zaczęła się wspinać na zbocze sama, w nienaruszalnej izolacji rodzinnego ducha.

Ojciec Brown z niemym pytaniem spojrzał na pana Henry'ego Sanda. A ów dżentelmen, po chwilowym wahaniu, przemówił ponownie w tej swój przyciężki sposób:

- Tak, sam ksiądz widzi, że teraz to, co zrobił, jest raczej oczywiste. Zawsze był świetnym pływakiem i każdego ranka przychodził tutaj w szlafroku, żeby wykapać się w rzece. Cóż, jak zwykle zszedł na dół, a szlafrok zostawił na brzegu - nadal tam leży. Jednak zostawił również wiadomość, że idzie popływać po raz ostatni, a potem śmierć, czy coś takiego.

- Gdzie zostawił tę wiadomość? - zapytał ojciec Brown.

- Wyskrobał ją na tamtym drzewie, tym zwieszającym się nad wodą. Przypuszczam, że była to ostatnia rzecz, jakiej się przytrzymał, tuż poniżej miejsca, w którym leży szlafrok. Proszę samemu zobaczyć.

Ojciec Brown zbiegł w dół ostatniej, krótkiej pochyłości i zajrzał pod pochylone drzewo, którego liście niemal kąpały się w strumieniu. Istotnie, na gładkiej korze zobaczył wycięte słowa, wyraźne i jednoznaczne: „Jeszcze raz popływać, a potem utonąć. Żegnajcie. Hubert Sand”. Ojciec Brown powoli przesunął spojrzeniem w górę zbocza, aż zobaczył wspaniałą, zmiętą strój, czerwono-żółty ze złotymi frędzlami. Był to ten szlafrok, a ksiądz podniósł go i zaczął odwracać na drugą stronę. Gdy już to prawie zrobił, zauważył, że przez jego pole widzenia przemknęła jakaś postać; wysoka, czarna postać, która prześlizgnęła się od jednej kępy drzew do kolejnej, jakby idąc śladem znikającej lady. Powątpiewał, czy jest to ta sama osoba, od której przed chwilą odeszła. Nie miał natomiast większych wątpliwości, że był to sekretarz zmarłego, pan Rupert Rae.

- Oczywiście pozostawienie tej wiadomości mogło być wynikiem spóźnionej refleksji - powiedział ojciec Brown, nie patrząc w górę, wzrokiem ogarniając żółto-czerwony wzór. - Wszyscy słyszeliśmy o wyznaniach miłosnych pisanych na drzewach i przypuszczam, że można na nich znaleźć także ostatnie słowa.

- Cóż, przypuszczam, że w kieszeniach szlafrocka niczego nie było - powiedział młody Sand. - A człowiek, który nie miał przy sobie pióra, atramentu ani papieru pewnie mógłby wyskrobać coś na drzewie.

- Brzmi to jak jakieś ćwiczenia z francuskiego - ponuro powiedział ksiądz. - Ale nie o tym myślałem. - Potem, po chwili milczenia, dodał nieco zmienionym głosem: - Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie byłoby dla człowieka naturalnym wyskrobać swoją wiadomość na drzewie, nawet gdyby miał kilka piór, kwartę atramentu i ryzę papieru.

Henry spoglądał na niego z lekkim oszołomieniem, okulary zsunęły mu się na czubek perkatego nosa.

- A co ksiądz przez to rozumie? - zapytał ostro.

- Cóż - powoli odparł ksiądz. - Niezupełnie chodzi mi o to, że listonosz będzie nosił listy w formie pniaków czy że miałyby pan pisać do przyjaciela i przyklejać znaczek do sosny. To musiałyby być szczególne miejsce - w sumie musiałyby to być szczególna osoba, która naprawdę preferowałaby tego rodzaju drzewną korespondencję. Ale, biorąc pod uwagę miejsce i osobę, powtarzam to, co powiedziałem. Pisałby na drzewie, jak powiada piosenka, gdyby cały świat był z papieru, a wszystkie morza wypełniał atrament, gdyby ta rzeka spływała atramentem, a wszystkie te lasy składały się ze stalówek i piór.

Widać było wyraźnie, że żywa wyobraźnia księdza przyprawiała Sanda o lekkie dreszcze, czy to ze względu na to, że jej nie pojmował, czy to dlatego, że zaczynał pojmować.

- Widzi pan - powiedział ojciec Brown, powoli obracając szlafrok - po człowieku, który wisi uczepiony drzewa, nikt raczej nie spodziewałby się kaligraficznego pisma. A jeśli ten człowiek nie byłby tym człowiekiem, o ile wyrażam się jasno... o, i proszę!

Patrzył na czerwoną podomkę i przez chwilę wydawało się, jakby czerwień z niej przeszła na jego palec - ale obie zwrócone ku niej twarze pobladyły nieco.

- Krew! - oświadczył ojciec Brown i natychmiast zapadła martwa cisza, przerywana tylko melodyjnym szmerem rzeki.

Henry Sand odchrząknął i wydmuchał nos, produkując dźwięki, które w żadnym razie nie były melodyjne.

- Czyja krew? - zapytał wreszcie nieco ochryple.

- Och, moja - odparł ojciec Brown, ale się nie uśmiechał. - Była tu wbita szpilka, o którą się ukłułem - powiedział po chwili. - Ale

nie sądzę, by rozumiał pan do końca, co to oznacza. - I jak dziecko possał palec. - Widzi pan - powiedział po kolejnej chwili milczenia - ten szlafrok był złożony i spięty szpilką. Nikt nie zdołałby go rozłożyć - przynajmniej bez zadrapania.

Innymi słowy, Hubert Sand nigdy nie miał tej podomki na sobie. Ani też nie napisał tego listu na drzewie. Ani też nie utopił się w tej rzece.

Pince-nez balansujące na czubku nosa Henry'ego spadło, poza tym jednak młodzieniec stał bez ruchu, osłupiały.

- Co prowadzi nas z powrotem - wesoło ciągnął ojciec Brown - do czyjegoś upodobania, by prywatną korespondencję zapisywać na drzewach, jak Hiawatha²⁷ i jego pismo obrazkowe. Sand miał mnóstwo czasu, zanim się utopił. Dlaczego nie zostawił listu do żony, jak rozsądny człowiek? Czy raczej, powinniśmy powiedzieć... Dlaczego ten Inny Człowiek nie zostawił listu do żony, jak rozsądny człowiek? Ponieważ musiałby podrobić charakter pisma męża, a to obecnie zawsze ryzykowne, skoro eksperci są tacy w tych sprawach dociekliwi. Nikt jednak nie oczekiwałby podrabiania nawet własnego pisma, nie wspominając już o cudzym, gdy wycina się drukowane litery w korze drzewa. Panie Sand, to nie jest samobójstwo. Jeśli już, to jest to morderstwo.

Zarośla i krzewy poszycia zatrzeszczały, gdy ten wielki, młody człowiek uniósł się spomiędzy nich jak lewiatan i stanął, garbiąc się, z grubą szyją wyciągniętą do przodu.

- Nie jestem dobry w ukrywaniu czegokolwiek - powiedział - i na poły podejrzewałem coś takiego - spodziewałem się, można powiedzieć, od dawna. Prawdę mówiąc, ledwie daję radę zachowywać się wobec tego faceta uprzejmie - wobec nich wszystkich, skoro już o tym mowa.

- Co dokładnie ma pan na myśli? - spytał ksiądz poważnie.

- To - odparł Henry Sand - że ksiądz pokazał mi morderstwo i myślę, że ja mogę księdzu wskazać morderców.

Ojciec Brown milczał, a Sand mówił dalej, zacinając się nieco:

- Powiedział ksiądz, że ludzie czasem piszą na drzewach wyznania miłosne. Cóż, tak się składa, że na tym drzewie jest coś takiego:

pod liśćmi są dwa splecione monogramy. Przypuszczam, że wie ksiądz, że lady Sand była spadkobierczynią tego miejsca, zanim wyszła za męża, i już wtedy знаła tego przekłętego,

dandysowate-go sekretarza. Przypuszczam, że spotykali się właśnie tutaj i pisali swoje przysięgi na drzewie schadzek. Wygląda na to, że później to schadzkowe drzewo wykorzystali do czegoś jeszcze innego. Sentyment, bez wątpienia, albo ekonomia.

- To muszą być straszni ludzie - powiedział ojciec Brown.

- A czy w historii czy wiadomościach policyjnych nie zdarzali się straszni ludzie? - z podnieceniem zapytał Sand. - Czy nie zdarzali się kochankowie, których miłość była straszniejsza od nienawiści? Nie słyszał ksiądz o earlu Bothwellu²⁸ i wszystkich tych krwawych legend o takich kochankach?

- Znam legendę Bothwella - odparł ksiądz. - Wiem również, że to właśnie legenda. Ale to oczywiście prawda, że mężowie bywają odsuwani w taki sposób. Przy okazji, gdzie on się podział? To znaczy, gdzie ukryli ciało?

- Przypuszczam, że go utopili albo wrzucili go do wody, gdy już nie żył - parsknął niecierpliwie młody człowiek.

Ojciec Brown zamrugał z zadumą.

- Rzeka to dobre miejsce, żeby ukryć wyobrażone ciało - powiedział. - Ale beznadziejne, gdy trzeba ukryć prawdziwe. Łatwo powiedzieć, że ciało zostało do niej wrzucone, bo mogło zostać zmyte do morza. Ale jeśli faktycznie je wrzucić, to sto do jednego, że się tak nie stanie; prawdopodobieństwo, że zatrzyma się gdzieś na brzegu, jest ogromne. Myślę, że musieli mieć lepszy plan ukrycia ciała niż to - inaczej już by je znalezione. A jeśli byłyby na nim jakieś ślady przemocy...

- Och, martwimy się o miejsce ukrycia ciała - z lekką irytacją powiedział Henry. - Czy nie wystarczy napis na ich własnym, piekielnym drzewie?

- Ciało to główny świadek każdego morderstwa - odpowiedział ksiądz. - Jego ukrycie, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, to problem natury praktycznej, który należy rozwiązać.

Zapadła cisza, a ojciec Brown dalej obracał czerwony szlafrok i rozpostarł go na błyszczącej darni na słonecznym brzegu. Nie patrzył w górę, ale od jakiegoś czasu był świadom,

że dla niego, za przyczyną obecności trzeciej osoby stojącej jak posąg w ogrodzie, zmienił się cały krajobraz.

- Przy okazji - odezwał się, ścisząc głos - jak pan wyjaśni tego małego facecika ze szklanym okiem, który przyniósł pańskiemu nieszczęsnemu wujowi list? Wydało mi się, że jego treść była dla niego wstrząsem; dlatego właśnie nie byłem zaskoczony tym samobójstwem, gdy sądziłem, że to samobójstwo. Ten koleś był raczej marnym prywatnym detektywem albo bardzo się myłę.

- Nie, dlaczego - z wahaniem powiedział Henry. - Mogło tak być... Mężowie czasami wynajmują detektywów, gdy chodzi o domowe tragedie, prawda? Przypuszczam, że dostał dowód na ich intrygi i dlatego oni...

- Nie powinienem mówić zbyt głośno - oświadczył ojciec Brown - bo pański detektyw właśnie nas szpieguje, ukrywa się jakiś jard za tymi krzakami.

Unieśli wzrok i faktycznie, goblin ze szklanym okiem wpatrywał się w nich uważnie, wyglądając tym bardziej groteskowo, że stał pośród białych, woskowanych kwiatów klasycznego ogrodu.

Henry Sand poderwał się znowu z szybkością, która wydawała się niezwykła dla kogoś takich rozmiarów, i bardzo gniewnie

1 gwałtownie zapytał tego człowieka, co tam robi, jednocześnie każąc mu się wynosić.

- Lord Stanes - oznajmił ten ogrodowy goblin - byłby wielce zobowiązany, gdyby ojciec Brown zechciał przyjść do domu i z nim porozmawiać.

Henry Sand odwrócił się z furją, ale ksiądz złożył jego furję na karb niechęci, o której wiedział, że istnieje pomiędzy nim a wspomnianym szlachcicem. Gdy wspinali się na zbocze, ojciec Brown zatrzymał się na chwilę, jakby śledząc wzory na gładkim pniu drzewa, zerknął w górę na ciemniejsze i bardziej ukryte hieroglify, które były świadectwem romansu, a potem zapatrzył się na większe i bardziej zamaszyste litery przyznania się - czy też domniemanego przyznania się - do samobójstwa.

- Czy te litery coś panu przypominają? - zapytał. A gdy jego ponury towarzysz pokręcił głową, dodał: - Mnie przypominają pismo na tym plakacie, który groził mu zemstą strajkujących.

- To najtrudniejsza zagadka i najdziwniejsza historia, z jaką miałem do czynienia - miesiąc później powiedział ojciec Brown, gdy siedział naprzeciwko lorda Stanesa w świeżo umeblowanym apartamencie numer 188, ostatnim mieszkaniu, które zostało ukończone przed przejściowym okresem bez przywódcy dysputy o przemyśle i transferem pracy ze Związku Handlu. Było wygodnie urządzone, a lord Stanes siedział przy grogu i cygarach, gdy ksiądz, krzywiąc się, opowiadał. Lord Stanes stał się zaskakująco przyjacielski, w chłodny i powierzchowny sposób.

- Wiem, że dużo się o tym mówi - powiedział Stanes - ale z pewnością detektywi, łącznie z naszym uwodzicielskim przyjacielem ze szklanym okiem, nie widzą żadnego rozwiązania.

Ojciec Brown odłożył cygaro.

- Nie w tym rzecz, że nie widzą rozwiązania - powiedział ostrożnie. - Rzecz w tym, że nie rozumieją problemu.

- Cóż - odparł lord. - Być może ja również go nie rozumiem.

- Z tej przyczyny, że ten problem jest bardzo osobliwy - wyjaśnił ojciec Brown. - Wydaje się, jakby przestępca rozmyślnie zrobił dwie różne rzeczy, z których każda mogła się zakończyć powodzeniem, ale które razem mogły sobie tylko przeszkadzać. Zakładam, w co zdecydowanie wierzę, że ten sam morderca zawiesił proklamację grożącą swego rodzaju bolszewickim morderstwem, a także napisał na drzewie przyznanie się do zwykłego samobójstwa. I tak można powiedzieć, że to mimo wszystko możliwe, że ta proklamacja była proklamacją proletariacką, że jacyś robotnicy ekstremiści chcieli zabić swojego pracodawcę i zabili go. Nawet gdyby to była prawda, nadal pozostaje zagadka, z jakiego powodu pozostawili, czy też z jakiego powodu ktoś zostawił, przeciwstawny ślad osobistej autodestrukcji. Ale to z pewnością nie jest prawda. Żaden z tych robotników, jakkolwiek rozgoryczonych, nie zrobiłby czegoś

takiego. Znam ich całkiem nieźle i dobrze znam ich przywódców. Zakładać, że ludzie pokroju Toma Bruce'a czy

Hogana zamordowaliby kogoś, kogo mogliby zaatakować na łamach gazet i zniszczyć na wiele różnych sposobów, to psychologia taka, jaką rozsądni ludzie nazywają szaleństwem. Nie - był ktoś, kto nie był wzburzonym robotnikiem, kto najpierw odegrał rolę wzburzonego robotnika, a potem pracodawcy o skłonnościach samobójczych. Ale, na litość boską, po co? Skoro sądził, że uda się to załatwić gładko jako samobójstwo, to dlaczego najpierw uprzedził to, grożąc morderstwem? Można by pomyśleć, że był to spóźniony pomysł mający uzasadnić samobójstwo jako mniej prowokacyjne od morderstwa. Ale po historii z morderstwem wcale nie było to mniej prowokacyjne. Ten człowiek musiał wiedzieć, że skierował już nasze myśli w stronę morderstwa, podczas gdy powinien zrobić wszystko, żeby nas od tej koncepcji odciągnąć. Jeżeli była to spóźniona myśl, to wysnuł ją ktoś, kto prawie wcale nie myślał. A ja uważam, że ten zabójca jest bardzo myślący. Rozumie pan coś z tego?

- Nie, ale rozumiem, co ma ojciec na myśli - odparł Stanes - mówiąc, że nawet nie rozumiem problemu. Nie chodzi tylko o to, kto zabił Sanda, tylko o to, dlaczego ktoś miałby oskarżać kogoś innego o zabicie Sanda, a potem oskarżać Sanda, że sam się zabił.

Twarz ojca Browna była ściągnięta, cygaro ścisnął w zębach; jego końcówka rytmicznie rozjarzała się i ciemniała, jakby był to sygnał płonącego tętna mózgu. Potem odezwał się jakby do siebie:

- Musimy prześledzić to bardzo blisko i bardzo starannie. To jak oddzielanie od siebie wątków myśli - coś w tym rodzaju. Ponieważ oskarżenie o morderstwo zasadniczo znosi oskarżenie o samobójstwo, to w normalnym toku nie oskarżałby o morderstwo. Ale to zrobił, zatem miał po temu jakiś powód. Był to powód tak znaczący, że być może zdecydował się nawet na osłabienie swojej drugiej linii obrony - że to było samobójstwo. Innymi słowy zarzut morderstwa tak naprawdę nie był zarzutem morderstwa. Chcę powiedzieć,

że nie wykorzystywał go jako zarzutu morderstwa, nie robił tego, by zrzucić na kogoś innego winę za morderstwo, robił to z jakiegoś nadzwyczajnego, własnego powodu. Jego plan musiał zakładać oświadczenie, że Sand zostanie zamordowany, czy rzuci to

podejrzenia na innych, czy też nie. Z tego czy innego powodu samo to oświadczenie było potrzebne. Ale do czego?

Zanim znowu się odezwał, przez minutę palił z tą samą, wulkaniczną koncentracją.

- Co mogła sprawić taka mordercza proklamacja poza zasugerowaniem, że mordercami są strajkujący? Co spowodowała? Jedna rzecz jest oczywista: nieuchronnie wywołała skutek przeciwny do tego, co twierdziła. Powiedziano w niej, że Sand nie złamie swoich ludzi, i być może była to jedyna rzecz na świecie, która naprawdę mogłaby go do tego skłonić. Trzeba pomyśleć o tym typie człowieka i tym typie reputacji. Gdy w naszych głupich, żądnych sensacji gazetach obwołuje się człowieka Siłaczem, gdy wszyscy najbardziej rozpoznawalni durnie w Anglii uważają go za sportsmena, to po prostu nie może się wycofać dlatego, że ktoś mu grozi pistoletem. To byłoby jak przechadzanie się po Ascot z białym piórkiem wetkniętym w ten jego absurdalny biały kapelusz. Zniszczyłoby to tego wewnętrznego bożka czy ideał siebie, którym woli się widzieć każdy człowiek niebędący skończonym łajdakiem. A Sand nie był łajdakiem; był odważny, a także impulsywny. To działało błyskawicznie, jak zaklęcie - jego bratanek, który mniej czy bardziej bratał się z robotnikami, zaraz wykrzyknął, że tej pogroźce trzeba się przeciwstawić absolutnie i natychmiastowo.

- Tak - przyznał lord Stanes - zauważyłem to. Przez chwilę popatrywali na siebie, po czym Stanes dodał beztrąsko: - Zatem sądzi pan, że czego chciał przestępca?

- Zerwania rozmów! - gwałtownie wykrzyknął ksiądz. - Strajku, czy jak go nazwać, wstrzymania pracy w każdym razie. Chciał, żeby praca została przerwana natychmiast, być może wkroczenia łamistrajków, a z pewnością pozbycia się związkowców. Właśnie tego naprawdę chciał -Bóg wie

dlaczego. I doprowadził do tego, jak sądzę, nie przejmując się szczególnie implikowanym przez to istnieniem jakichś bolszewickich zabójców. Ale potem... wydaje mi się, że coś poszło nie tak. Tylko zgaduję i poruszam się tutaj po omacku, ale jedynym wytłumaczeniem, które przychodzi mi do głowy, jest to, że coś zaczęło przyciągać uwagę do prawdziwego źródła kłopotów, do przyczyny, jaka by ona nie była, jego pragnienia wstrzymania tej budowy. A potem z opóźnieniem, rozpaczliwe i raczej niekonsekwentnie próbował podsunąć inny wątek, prowadzący do rzeki, zwyczajnie dlatego, że odciągał uwagę od budowy.

Popatrzył w górę przez swoje okrągłe okulary, oceniając jakość wykonania i umeblowania - dyskretny luksus otaczający cichego, światowego człowieka - i zestawiając go z dwiema walizkami, z którymi ich właściciel tak niedawno stawił się w świeżo wykończonym i nieumeblowanym mieszkaniu.

- W skrócie - powiedział dosyć gwałtownie - morderca przestraszył się czegoś albo kogoś w wieżowcu. A przy okazji, dlaczego pan tu zamieszkał...? Również przy okazji, młody Henry powiedział mi, że umówił się pan z nim na spotkanie, gdy się wprowadzał. To prawda?

- Bynajmniej - odparł Stanes. - Wieczór wcześniej dostałem klucze od jego wuja. Nie mam pojęcia, po co Henry tu przyjechał tamtego ranka.

- Ach - mruknął ojciec Brown. - Chyba mam pomysł, po co... Myślałem, że zaskoczył go pan, wchodząc w chwili, gdy wychodził.

- A jednak - powiedział Stanes z błyskiem w szarzielonych oczach - sądzi ojciec, że ja również jestem zagadką.

- Sądzę, że jest pan dwiema zagadkami - sprostował ojciec Brown. - Pierwsza to: dlaczego faktycznie zrezygnował pan z uczestniczenia w interesach Sanda? Druga to: dlaczego w takim razie wrócił pan i mieszka w budynku Sanda?

Stanes palił z zadumą, strząsnął popiół i zadzwonił dzwonkiem, który spoczywał przed nim na stole.

- Jeśli mi ojciec wybaczy - powiedział - dołączę do tej narady jeszcze dwie osoby. Jacksona, tego małego detektywa, który przyjdzie na dzwonek, i poprosiłem, żeby trochę później przyszedł Henry Sand.

Ojciec Brown podniósł się ze swojego miejsca, przeszedł przez pokój i marszcząc brwi, popatrzył w kominek.

- Tymczasem - kontynuował Stanes - Chętnie odpowiem na oba ojca pytania. Zrezygnowałem z interesów Sanda, ponieważ byłem pewien, że były tam jakieś machlojki i że ktoś wyprowadzał pieniądze. Wróciłem i zająłem to mieszkanie, ponieważ chciałem dotrzeć do prawdy o śmierci starego Sanda - na miejscu.

Gdy do pokoju wszedł detektyw, ojciec Brown odwrócił się. Stał, wpatrując się w dywanik przed kominkiem.

- Na miejscu - powtórzył.

- Pan Jackson powie ojcu - dodał Stanes - że sir Hubert wynajął go, by ustalił, kto jest tym złodziejem okradającym firmę, i że dzień przed zniknięciem starego Huberta dostarczył mu notatkę ze swoimi odkryciami.

- Tak - powiedział ojciec Brown - i teraz wiem, gdzie zniknął. Wiem, gdzie jest ciało.

-Chce ojciec powiedzieć...? - pospiesznie zaczął jego gospodarz.

- Jest tutaj - powiedział ojciec Brown i tupnął w dywanik. - Tutaj, pod tym eleganckim chodniczkiem w tym przytulnym i wygodnym pokoju.

- Na miłość boską, skąd ksiądz wie?

- Właśnie sobie przypomniałem - odpowiedział ojciec Brown - że znalazłem go we śnie.

Zamknął oczy, jakby starał się przywołać ten sen, i ciągnął łagodnie:

- To opowieść o morderstwie, które zmieniło się w problem: Jak ukryć ciało. Znalazłem je we śnie. Każdego ranka budziły mnie młoty z tego budynku. Tamtego ranka na wpół się obudziłem, znowu zapadłem w sen i obudziłem raz jeszcze, spodziewając się, że jest późno, ale nie było. Dlaczego? Ponieważ tego ranka było słycać młoty, choć normalna praca

ustała; krótkie, pospieszne łomotanie w godzinach poprzedzających świt. Człowiek budzi się na taki dźwięk automatycznie. Ale znowu zasypia, ponieważ ten normalny dźwięk nie rozległ się o normalnej godzinie. A teraz, z jakiego powodu pewien tajemniczy przestępca chce nagłego przerwania wszelkich prac i wpuszczenia tylko nowych robotników? Ponieważ jeśli następnego dnia na budowę wkroczą starzy, zobaczą, że w ciągu nocy coś się tam działo. Starzy robotnicy wiedzieliby, w którym miejscu przerwali pracę, i odkryliby, że cała podłoga w tym pomieszczeniu została świeżo wylana. Wylana przez człowieka, który wiedział, jak to zrobić, który, spędzając dużo czasu z robotnikami, nauczył się ich pracy.

Gdy mówił, drzwi się otworzyły, a do środka zajrzała głowa - mała głowa na końcu masywnej szyi i twarz mrugająca zza okularów.

- Henry Sand powiedział - zauważył ojciec Brown, wpatrując się w sufit - że nie jest dobry w ukrywaniu rzeczy. Chyba jednak był wobec siebie niesprawiedliwy.

Henry Sand odwrócił się i szybko ruszył w dół korytarza.

- Nie tylko z powodzeniem przez całe lata wyprowadzał pieniądze z firmy - z zadumą ciągnął ksiądz - ale, gdy jego wuj to odkrył, ciało wuja ukrył w całkowicie nowy i oryginalny sposób.

W tej samej chwili Stanes znowu zadzwonił dzwonkiem - przeciągłe, ostre, stałe dzwonienie - a mały człowieczek ze szklanym okiem ze swego rodzaju rotacyjnym ruchem mechanicznej figurki z zoetropu²⁹ wystrzelił za zbiegiem w dół korytarza. W tej samej chwili ojciec Brown wyjrzał za okno, wychylając się z małego balkonu, i ujrzał pięciu lub sześciu ludzi wybiegających zza krzaków i barierek na ulicy poniżej i rozpościerających się w podobnie mechanicznym stylu, jak siatka albo pajęczyna, otwierając się za zbiegiem, który jak pocisk wypadł z drzwi frontowych. Ojciec Brown dostrzegł jedynie wzór tej historii, która nigdy nie wyszła poza ten pokój - w którym Henry udusił Huberta i ukrył jego zwłoki pod solidną podłogą, wstrzymując wszelkie prace w budynku, żeby

to zrobić. Ukłucie się szpilką wywołało jego własne podejrzenia, ale tylko po to, by mu powiedzieć, że prowadzony był na długiej smyczy kłamstwa. Na czubku szpilki znajdował się fałszywy trop.

Sądził, że wreszcie zrozumiał Stanesa, a lubił kolekcjonować ludzi trudnych do zrozumienia. Uświadomił sobie, że ten znużony dżentelmen, którego niegdyś posądził o posiadanie zielonej krwi, w istocie miał w sobie swego rodzaju zimny, zielony płomień skrupulatności czy zwykłego honoru, który kazał mu się jak najszybciej wycofać z szemranych interesów, a potem zawstydził się tego, że przerzucił to na innych i wrócił jako zblazowany, pracowity detektyw, rozbijający obóz w każdym miejscu, w którym pogrzebano zwłoki. Tak więc morderca, widząc, że węszy tak blisko ciała, pospieszenie zaaranżował alternatywny dramat z podomką i topielcem. To wszystko było całkiem oczywiste, ale musiał popatrzeć we właściwą stronę. Ojciec Brown rzucił okiem na czarną bryłę cyklopowego budynku dźwigającego się w noc i przypomniał sobie Egipt i Babilon, i wszystko to, co jest jednocześnie wiecznym i efemerycznym dziełem człowieka.

- Miałem rację w tym, co powiedziałem na samym początku - stwierdził. - To przypomina jeden z wierszy Coppeego, ten o faraonie i piramidach. Ten budynek mieścić ma w sobie setkę domów, a jednak cała jego bryła jest tylko grobem dla jednego człowieka.

WIOSKOWA WAMPIRZYCA

Na zakręcie ścieżki na wzgórzach, gdzie jak piramidy wznoszą się dwie topole przytłaczające maleńką wioseczkę Potter's Pond, ledwie kilka domów, szedł człowiek w stroju wielce osobliwego kroju i koloru, w jaskrawym, karmazynowym płaszczu i białym kapeluszu zatkniętym na czarnych, boskich lokach, które kończyły się isticie byronowskimi, gęstymi bokobrodami.

Zagadką było, dlaczego nosił ubrania tak fantastycznie staroświeckie, choć nosił je z wdziękiem i niemal zawadiacko, ale była to tylko jedna z wielu zagadek, które wreszcie wyjaśnia się przy okazji rozwikłania tajemnicy jego losu. Rzecz w tym, że gdy minął topole, wydawał się zniknąć, jakby rozplynął się w bladym, rozkwitającym świcie albo został zdmuchnięty przez poranny wiatr.

Minął zaledwie jakiś tydzień, gdy ćwierć mili dalej znaleziono jego zwłoki, roztrzaskane na stromym skalniaku tarasowatego ogrodu prowadzącego w górę do ponurego domu z zamkniętymi okiennicami, zwanego The Grange. Tuż przed tym, jak zniknął, podsłuchano przypadkowo, jak najwyraźniej kłóci się z jakimiś przechodniami, wyzywając ich od „żałosnych, małych chamów”, co przypuszczalnie wzbudziło skrajne emocje patriotyzmu lokalnego, i których stał się ofiarą. Przynajmniej miejscowy lekarz zeznał, że na czaszce były ślady potężnego uderzenia, które mogło spowodować zgon, zadanego przypuszczalnie jakąś pałką albo maczugą. To pasowało do teorii ataku jakichś wściekłych wieśniaków. Jednak

nikt nigdy nie wskazał żadnego konkretnego wieśniaka, a dochodzenie skończyło się na opinii, iż tego morderstwa dokonali nieznani sprawcy.

Rok czy dwa później w ciekawy sposób śledztwo zostało wznowione. Ciąg wydarzeń doprowadził niejakiego doktora Mulborougha, przez bliskich nazywanego Mulberrym w trafnej aluzji do czegoś bogatego i soczystego w jego ciemnej kragłości i zaczerwienionym obliczu³⁰, przejeżdżającego przez Potter's Pond wraz z przyjacielem, z którym często konsultował tego rodzaju problemy. Doktor, pomimo nieco czerwonej i ociążałej powierzchowności, miał bystre oko i był człowiekiem o prawdziwie wielkim rozumie. Wykorzystywał go podczas konsultacji z małym księdzem o nazwisku Brown, z którym zaznajomił się wiele lat temu przy okazji sprawy dotyczącej otrucia. Ów mały ksiądz siedział naprzeciwko niego, roztaczając aurę dziecka pobierającego nauki, a doktor w całej rozciągłości wyjaśniał prawdziwe powody swojej podróży.

- Nie mogę się zgodzić z tym dżentelmenem w karmazynowym płaszczu, że Potter's Pond to tylko zbiorowisko żałosnych, małych chamów. Z pewnością jednak jest to bardzo oddalona i odizolowana wioska, przez co wydaje się jakby obca, jak wioska sprzed stu lat. Stare panny to naprawdę stare panny - a niech to, niemal można sobie wyobrazić, że widać, jak się starzeją. Panie to nie tylko panie - to damy. A ich chemik to nie chemik, tylko aptekarz, wymawiany jako aptekarz. Zgadzą się na obecność zwykłego lekarza, takiego jak ja, do pomocy aptekarzowi. Ja jednak jestem uznawany poniekąd za nowinkę, ponieważ mam zaledwie pięćdziesiąt siedem lat, a w tym hrabstwie mieszkam raptem od dwudziestu ośmiu. Adwokat wygląda, jakby znał je od dwudziestu ośmiu tysięcy. I jest tu jeszcze stary admirał, który wygląda, wypisz wymaluj, jak ilustracja z Dickensa - z domem pełnym kordelasów, wypchanych ryb i wyposażonym w teleskop.

- Przypuszczam - odezwał się ojciec Brown - że zawsze znajdzie się paru admirałów, których wyrzuciło na brzeg. Nigdy jednak nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego osiedlają się tak daleko w głębi lądu.

- Z pewnością żadne martwo-żywe miejsce w głębinach kraju nie jest kompletne bez jednego z tych małych stworzeń - powiedział doktor. - I jeszcze, oczywiście, jest odpowiedni rodzaj duchownego - konserwatyzm i kościół w zakurzonym stylu datującym się od arcybiskupa Lauda, starszy od jakiegokolwiek starowiny. To białowłosa, skrupulatny, stary grzyb, którego zaszokować łatwiej niż starą pannę. W istocie owe damy, choć co do zasady purytańskie, czasami w mowie bywają bardzo bezpośrednie; takie, jakie były prawdziwe purytanki. Raz czy dwa słyszałem, jak stara panna Carstairs-Carew użyła wyrażenia równie żywego, jak wszystko w biblii. Drogi, stary pastor gorliwie czytuje biblię, ale jestem prawie pewien, że zamyka oczy, dochodząc do tych słów. Cóż, wie ojciec, że nie jestem szczególnie nowoczesny. Nie bawią mnie te wszystkie hałaśliwe wygłupy, którym oddają się młodzi...

- Młodych to nie bawi - odparł ojciec Brown. - I to jest dopiero prawdziwa tragedia.

- Jednak naturalnie mam większy kontakt ze światem niż ludzie w tej prehistorycznej wiosce - zauważył doktor. - A dotarłem do punktu, w którym prawie nie mogę się doczekać Wielkiego Skandalu.

- Proszę tylko nie mówić, że te współczesne wygłupy mimo wszystko dotarły do Potter's Pond - z uśmiechem powiedział ksiądz.

- Och, nawet nasz skandal opiera się na starych, melodramatycznych wzorcach. Czy trzeba mówić, że syn pastora zapowiada się na problem? To byłoby niemal wbrew regułom, gdyby syn pastora był spokojny. Z tego, co widzę, jest delikatnie i niemal anemicznie zbuntowany. Jego pierwszego widziano, jak pije, ale na zewnątrz Niebieskiego Lwa. Tyle że wygląda na to, że jest poetą, który w tych stronach traktowany jest niemal jak kłusownik.

- Z pewnością - zauważył ojciec Brown - w Potter's Pond nie może wybuchnąć Wielki Skandal.

- Nie - ponuro przyznał doktor. - W ten sposób Wielki Skandal się rozpoczął. W tym domu nazywanym The Grange,

na samym końcu The Grove, mieszka pewna dama. Samotna Dama. Sama mówi, że nazywa się pani Maltravers (tak o niej mówimy), ale przyjechała tutaj zaledwie rok czy dwa temu i nikt nic o niej nie wie. „Nie mam pojęcia, dlaczego chce tam mieszkać”, powiedziała panna Carstairs-Carew; „Nie odwiedzamy jej”.

- Być może to właśnie dlatego chce tam mieszkać - powiedział ojciec Brown.

- Cóż, jej odosobnienie uważane jest za podejrzane. Irytuje ich dobrym wyglądem, a nawet tym, co uważa się za dobry styl. A wszystkich młodych mężczyzn ostrzega się, że jest wampem.

- Ludzie, którzy tracą życzliwość, z reguły tracą też umiejętność logicznego myślenia - mruknął ojciec Brown. - To przecież idiotyczne, mieć żal o to, że zajmuje się własnymi sprawami, a potem oskarżać ją, że uwodzi całą męską populację.

- To prawda - przyznał doktor. - Jednak to naprawdę zagadkowa osoba. Widziałem ją i uznałem za intrygującą - jedna z tych brązowych kobiet, szczupłych, eleganckich i przepięknie brzydkich, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jest dość błyskotliwa, a chociaż raczej młoda, to zdecydowania wywarła na mnie wrażenie tego, co nazywa się... cóż, doświadczeniem. Co starsze panie nazywają Przeszłością.

- Wszystkie starsze panie, które się właśnie narodziły - zauważył ojciec Brown. - Pewnie mogę założyć, że podejrzewana jest

O uwiedzenie syna pastora.

- Tak, i ten biedny staruszek ma z tym chyba okropny problem. Ona podobno jest wdową.

Na twarzy ojca Browna pojawił się rzadki wyraz poirytowania.

- Ona podobno jest wdową, jak syn pastora podobno jest synem pastora, adwokat adwokatem, a ty lekarzem. Dlaczego, do diaska, nie miałyby być wdową? Czy ktoś ma jakikolwiek dowód każący powątpiewać, czy faktycznie jest tą osobą, za jaką się podaje?

Doktor Mulborough nagle ściągnął szerokie ramiona i wyprostował się.

- Oczywiście ma ojciec rację - powiedział. - Ale jeszcze nie doszliśmy do skandalu. Cóż, skandalem jest to, że ona jest wdową.

- Och - powiedział ojciec Brown, a jego twarz zmieniła się i mruknął coś miękkiego i słabego, jakby „Mój Boże!”.

- Przede wszystkim - powiedział doktor - zrobili pewne odkrycie odnośnie pani Maltravers. To aktorka.

- Tak sądziłem - odparł ojciec Brown. - Nieważne, z jakiego powodu. Mam jeszcze jedno przypuszczenie, które wydaje się jeszcze bardziej nie na miejscu.

- Cóż, w tamtej chwili dostatecznie skandaliczne było to, że jest aktorką. Drogi, stary pastor oczywiście ma złamane serce, myśląc, że za sprawą aktorki i awanturnicy swoją białą głowę z żalu złoży w grobie. Stare panny skrzeczą chórem. Admirał przyznaje, że czasami bywa w teatrze w mieście, ale sprzeciwia się temu, co nazywa „naszym gronem”. Cóż, oczywiście ja nie mam szczególnych obiekcji tego rodzaju. Ta aktorka to z pewnością dama, nawet jeśli dama nieco mroczna, w stylu sonetów. Ten młody człowiek jest w niej bardzo zakochany, a ja bez wątpienia jestem sentymentalnym, starym głupcem, kibicując zagubionemu młodzikowi, który kręci się wokół Moated Grange, i myśląc o tej idylli dam, popadłem w sielankowy nastrój, gdy nagle uderzył piorun. A ja, jedyny człowiek, który w ogóle sympatyzował z tymi ludźmi, zostałem posłańcem zagłady.

- Tak - powiedział ojciec Brown - a dlaczego właściwie?

- Pani Maltravers jest nie tylko wdową - ze swoistym jękiem odpowiedział doktor - ale wdową po panu Maltraversie.

- W pańskich ustach brzmi to jak wstrząsająca rewelacja - poważnie zauważył ksiądz.

- A pan Maltravers - ciągnął jego przyjaciel medyk - to ten człowiek, który najwyraźniej rok czy dwa temu został w tej wiosce zamordowany - prawdopodobnie głowę roztrzaskał mu któryś z prostych wieśniaków.

- Pamiętam, opowiadał mi pan o tym - powiedział ojciec Brown. - Jakiś lekarz orzekł, że zginął prawdopodobnie od ciosu w głowę zadanego maczugą.

Doktor Mulborough milczał przez chwilę i z zakłopotaniem marszczył brwi.

- Ptak nie kala swojego gniazda - powiedział szorstko - ani lekarze nie występują przeciwko sobie, nawet jeśli są szaleńcami. Nie wypowiadałbym się w żaden sposób o moim szanownym poprzedniku w Potter's Pond, gdybym mógł tego uniknąć, wiem jednak, że potrafisz dochować tajemnicy. A mówiąc w zaufaniu, mój szanowny poprzednik w Potter's Pond był patentowanym durniem; całkowicie niekompetentnym, zapijaczonym, starym oszustem. Zostałem poproszony, pierwotnie przez komendanta policji hrabstwa (od dawna mieszkam w tym hrabstwie, choć w tej wiosce od niedawna),

żebym przyjrzał się całej tej sprawie: zeznaniom, raportom i tak dalej. I tutaj nie ma nic, co można by zakwestionować. Możliwe, że Maltravers dostał w głowę - był wędrownym aktorem przechodzącym przez okolicę, a w Potter's Pond przypuszczalnie uważa się, że przypadku takich ludzi cios w głowę to naturalna kolej rzeczy. Ale ktokolwiek go w tę głowę walnął, nie zabił go. To po prostu niemożliwe, by taki uraz, jaki został opisany, zrobił coś więcej, niż unieszkodliwił go na parę godzin. Ostatnio jednak udało mi się dotrzeć do pewnych innych faktów związanych z tą sprawą, a wynik jest dosyć ponury.

Usiadł, wyglądając na krajobraz, który przesunął się za oknem.

- Przyjeżdżam tutaj i proszę cię o pomoc - powiedział jeszcze bardziej szorstko - ponieważ odbędzie się ekshumacja. Istnieje bardzo silne podejrzenie, że to było otrucie.

- A więc w tym rzecz - pogodnie odpowiedział ojciec Brown. - Przypuszczam, że zakłada pan, że winą za otrucie tego nieszczęśnika w naturalny sposób zostanie obarczona jego żona.

- Cóż, nie znalazł się nikt, kto miałby z nim jakieś szczególne powiązania - powiedział Mulborough, gdy wysiedli z pociągu. - Przynajmniej jest jeden jego dziwaczny, stary kompan, splukany aktor, który kręci się w pobliżu, ale policja i miejscowy adwokat wydają się być przekonani, że to niezrównoważony kombinator, z jakąś *idee fixe* na punkcie kłótni z aktorem, który był jego wrogiem, ale z pewnością nie był to Maltravers. Przypadek, powiedziałbym, i z pewnością nie ma nic wspólnego z problemem trucizny.

Ojciec Brown słyszał tę historię. Wiedział jednak, że nigdy nie znał historii, póki nie poznał występujących w niej postaci. Następne dwa czy trzy dni spędził, kręcąc się tu i ówdzie, i posługując się takimi czy innymi grzecznymi pretekstami, składał wizyty głównym aktorom dramatu. Jego pierwsza rozmowa z tajemniczą wdową była krótka, lecz owocna. Wyniósł z niej co najmniej dwa fakty: jeden, że pani Maltravers czasami mówi w sposób, który ta wiktoriańska wioska nazwałaby cynicznym, a drugi, że jak niewiele aktorek, wyznawała jego własną religię.

Nie był tak nielogiczny (ani tak nieortodoksyjny), by tylko na tej podstawie wnosić, że była niewinna domniemanego przestępstwa. Dobrze zdawał sobie sprawę, że jego stare zgromadzenie religijne

mogło się poszczycić kilkoma znanymi trucicielami. Nie miał jednak trudności ze zrozumieniem jego związku w tego rodzaju sprawie z niejaką intelektualną swobodą, którą ci purytanie nazwaliby rozwiązłością, i która z pewnością tym prowincjuszom ze starej Anglii wydawałaby się niemal kosmopolityczna. Tak czy inaczej był pewien, że mogła liczyć na wiele, czy to na dobre, czy na złe. Jej brązowe oczy były dzielne, prawie wojownicze, a jej enigmatyczne usta, skłonne do śmiechu i dość duże, sugerowały, że jej cele dotyczące poetycznego syna pastora, jakie by one nie były, były bardzo zdecydowane.

Sam poetyczny syn pastora, z którym o wioskowym skandalu rozmawiał na ławce przed Niebieskim Lwem, robił wrażenie wielce nadaśanego. Hurrel Horner, syn wielebnego

Samuela Homera, był kanciastym młodzieńcem w jasnoszarym garniturze i cokolwiek artystycznym, bladozielonym krawacie, poza tym rzucającym się w oczy ze względu na grzywę kasztanowych włosów i wiecznie niezadowoloną minę. Ale ojciec Brown miał w sobie coś, co skłaniało ludzi do obszernego wyjaśniania, dlaczego odmawiają wypowiedzenia choć jednego słowa. W odniesieniu do ogólnego podniecenia skandalem w wiosce młody człowiek zaczął siarczyście przeklinać. Nawet dodał do tego skandalu coś niecoś od siebie. Z goryczą odniósł się do dawnych flirtów pomiędzy purytańską panną Cars-tairs-Carew, a panem Carverem, adwokatem. Oskarżył nawet tego prawnika o to, że próbował na siłę zaznajomić się z panią Maltravers. Ale gdy zaczął mówić o własnym ojcu, czy to z powodu kwaśnej przyzwoitości, czy uczuć synowskich, czy też dlatego, że jego gniew był zbyt głęboki, aby mógł mówić, wyrzucił z siebie zaledwie kilka słów.

- No i w tym rzecz. Całymi dniami i nocami wyzywają od wymalowanej awanturnicy, barmanki z farbowanymi włosami. Mówię mu, że to nieprawda - sam się z nią spotkaj, to się przekonasz. Ale on nawet tego nie robi. Na ulicy udaje, że jej nie widzi, ani nie spojrzy na nią z okna. Aktorka zbecześciłaby jego domostwo, a nawet jego świętą osobę. Jeśli nazywa się go purytaninem, to mówi, że jest z tego dumny.

- Pański ojciec - powiedział ojciec Brown - ma prawo, by jego poglądy były respektowane, jakie by one nie były. Nie są to poglądy,

które sam bym do końca rozumiał. Zgadzam się jednak, że nie ma prawa wypowiadać się o damie, której nigdy nie widział, a potem nie chciał na nią nawet spojrzeć, by się przekonać, czy miał rację. To nielogiczne.

- Takie jest jego sztywne stanowisko - odpowiedział młodzieniec. - Nawet najkrótszego spotkania. Oczywiście grzmi również przeciwko moim innym teatralnym zamiłowaniom.

Ojciec Brown gładko skorzystał z tego otwarcia i dowiedział się tyle, ile chciał. Owa poezja, stanowiąca taką skazę na charakterze owego młodego człowieka, była niemal całkowicie

poezją dramatyczną. Napisał kilka tragedii wierszem, które doczekały się pochwał ze strony dobrych sędziów. Nie był zwyczajnym durniem pchającym się na scenę - w istocie w ogóle nie był durniem. Miał kilka doprawdy oryginalnych pomysłów odnośnie do grania Szekspira. Łatwo było zrozumieć, że oszołomiło go i zachwyciło odkrycie w Grange błyskotliwej damy. A intelektualna sympatia ojca Browna tak zmiękczyła tego buntownika Potter's Pond, że przy ich rozstaniu nawet się uśmiechnął.

To właśnie ten uśmiech nagle uświadomił ojcu Brownowi, że ten młody człowiek był prawdziwie nieszczęśliwy. Póki marszczył brwi, można to było uznać za zwykłe fochy, ale gdy się uśmiechnął, z jakiegoś powodu było to prawdziwszym ujawnieniem smutku.

W odniesieniu do tej rozmowy z poetą wciąż coś księdza dręczyło. Wewnętrzny instynkt potwierdzał, że tego silnego młodzieńca coś gryzie, jakiś żal większy nawet niż konwencjonalna historia o konwencjonalnych rodzicach stawiających przeszkody na drodze prawdziwej miłości. Było to tym wyraźniejsze, że nie było innych, oczywistych, alternatywnych przyczyn. Chłopiec odniósł już pewien sukces literacki i dramatyczny, jego książki można by określić jako zyskujące popularność. Ani nie przepijał, ani nie trwonił swojego zasłużonego majątku. Jego notoryczne hulanki w Niebieskim Lwie ograniczały się do jednej szklanki jasnego ale. Wydawał się rozważnie wydawać swoje pieniądze. Ojciec Brown pomyślał o innej możliwej komplikacji związanej z dużymi zasobami i małymi wydatkami Hurrela, i zatroskał się.

Wypowiedź panny Carstairs-Carew, z którą porozmawiał w następnej kolejności, z pewnością była obliczona na to, by syna pastora przedstawić w możliwie złym świetle. Ponieważ jednak koncentrowała się na wytykaniu mu wszelkich wad, co do których ojciec Brown miał pewność, że ów młody człowiek ich nie przejawiał, złożył to na karb zwykłej kombinacji purytanizmu i plotkarstwa. Dama, choć wyniosła, była jednak dość uprzejma i w sposób typowy dla wszystkich starych, ciotecznych babek zaproponowała gościowi szklaneczkę porto i

kawałek ciasta kminkowego, zanim udało mu się umknąć z tego kazania o ogólnym upadku moralności i obyczajów.

Jego następna rozmowa stanowiła zdecydowany kontrast, zniknął bowiem w ciemnej i brudnej alejce, gdzie panna Carstairs-Carew nie podążyłaby za nim nawet w myślach, a potem zniknął w wąskiej kamienicy czynszowej, w której niósł się głośno wysoki i recytacyjny głos ze strychu... Wyszedł z niej z dość osłupiałą miną, ścigany na chodnik przez bardzo podekscytowanego mężczyznę z niebieskim podbródkiem i w czarnym surducie wypłowiającym do butelkowej zieleni, który wykrzykiwał z naciskiem:

- On nie zniknął! Maltravers wcale nie zniknął! On się pojawił, on pojawił się martwy, a ja pojawiam się żywy. Ale gdzie wszyscy pozostali? Gdzie ten człowiek, ten potwór, który z rozmysłem ukradł moje kwestie, przejął moje sceny i zrujnował moją karierę? Byłem najlepszym Tubalem, jaki kiedykolwiek pojawił się na deskach teatru. On grał Shylocka - nie miał tu za wiele do grania! I tyle z największej szansy w całej mojej karierze. Mogę księdzu pokazać, co jestem w stanie wycisnąć z roli Fortynbrasa...

- Jestem pewien, że były wspaniałe i dobrze zasłużone - wysapał mały ksiądz. - Jak rozumiem, trupa wyjechała z miasteczka, zanim Maltravers umarł. Ale w porządku. Wszystko w porządku. - I znowu pospiesznie ruszył w dół ulicy.

- Miał grać Poloniusza - kontynuował niezmordowany mówca za nim. Ojciec Brown zniechęca się zatrzymał.

- Och - powiedział bardzo powoli - miał grać Poloniusza.

- Ten łajdak Hankin! - skrzeknął aktor. - Niech ksiądz podąży jego tropem. Niech ksiądz idzie za nim na kraj świata! Oczywiście, że wyjechał z wioski, tego może być ksiądz pewien. Niech ksiądz za nim idzie - niech go ksiądz znajdzie, a może klątwy... - Ale ksiądz znów pospiesznie szedł ulicą.

Po tej melodramatycznej scenie miały miejsce dwie bardziej prozaiczne i może bardziej praktyczne rozmowy. Przy okazji pierwszej ksiądz zaszedł do banku, gdzie spędził dziesięć minut na osobności z dyrektorem, a następnie złożył bardzo

stosowną wizytę wiekowemu i przyjaznemu pastorowi. Tutaj również wszystko wydawało się zgadzać z opisem, niezmiennie i niezmiennie; jeden czy dwa ślady pobożności z surowszej tradycji w postaci wąskiego krucyfiks na ścianie, wielkiej Biblii na stojaku i narzekania starego dżentelmena na rosnący brak poszanowania dla niedzieli - wszystko to jednak z łagodnością wywodzącą się z wyrafinowania i wyblakłych luksusów.

Pastor również poczęstował swego gościa kieliszkiem porto, do tego podał jednak stare, angielskie biskwity, a nie ciasto kminkowe. Książ znowu miał dziwne uczucie, że wszystko jest niemal zbyt doskonałe, i że znajduje się sto lat przed swoimi czasami. Uroczy, stary pastor tylko w jednym punkcie odmówił rozplątania się w dalszych uprzejmościach - łagodnie, choć zdecydowanie oświadczył, że sumienie nie pozwala mu na spotkania z aktorami. Tym niemniej ojciec Brown odstawił swój kieliszek z wyrazami szacunku i wdzięczności i poszedł spotkać się ze swoim przyjacielem doktorem na rogu ulicy, skąd razem udali się do biur pana Carvera, adwokata.

- Pewnie wszędzie już ojciec zajrzał - zaczął doktor - i odkrył, że to bardzo nudna miejscina.

Odpowiedź ojca Browna była ostra i niemal opryskliwa:

- Proszę nie nazywać swojej wioski nudną. Zapewniam pana, że jest w istocie bardzo niezwykła.

- Chyba mam do czynienia z najbardziej niezwykłą rzeczą, jaka się tu kiedykolwiek wydarzyła - burknął doktor Mulborough. - A i to nawet przydarzyło się człowiekowi z zewnątrz. Mogę ojcu powiedzieć, że ekshumacja została przeprowadzona bez rozgłosu zeszłej nocy, a dziś rano przeprowadziłem sekcję. Mówiąc wprost, wykopaliśmy zwłoki, które były wręcz napompowane trucizną.

- Zwłoki napompowane trucizną - dość nieprzytomnie powtórzył ojciec Brown. - Niech mi pan wierzy, w pańskiej wiosce jest coś znacznie bardziej niezwykłego niż to.

Zamilkli nagle. Ciszę przerwał równie nagły dźwięk dzwonka na ganku domu adwokata. Wkrótce znaleźli się w

towarzystwie tego

prawnika, który z kolei przedstawił ich białowłosemu dżentelmenowi o żółtej twarzy z blizną, który okazał się być admirałem.

Do tego czasu atmosfera wioski wsączyła się już małemu księdzu w podświadomość. Wiedział jednak, że ten prawnik w istocie należał do tego typu, który doradzał ludziom pokroju panny Car-stairs-Carew. Choć jednak był archaicznym, starym grzybem, było w nim coś więcej niż skamielina. Być może była to kwestia jednolitości środowiska, ksiądz jednak znowu miał dziwne odczucie, że został przeniesiony we wczesny wiek dziewiętnasty, a nie, że to adwokat przetrwał do początku wieku dwudziestego. Jego kołnierzyk i fular, gdy chował w nich długi podbródek, wyglądały niemal jak dyby, były jednak czyste i schludne, a w nim samym było nawet coś z wysuszonego, starego dandysa. W skrócie, o takich osobach mówi się, że się dobrze trzymają, nawet jeśli wynika to po części z tego, że skamieniały.

Prawniki i admirał, a nawet doktor, przejawili niejaki zaskoczenie, odkrywając, że ojciec Brown skłonny jest raczej bronić syna pastora wobec lokalnych narzekań w imieniu pastora.

- Osobiście jestem zdania, że nasz młody przyjaciel jest dość atrakcyjny - powiedział. - Jest dobrym rozmówcą i przypuszczam, że dobrym poetą, a pani Maltravers, która poważnie traktuje tę kwestię, mówi, że jest też z niego niezły aktor.

- Istotnie - przyznał prawnik. - Potter's Pond, pomijając panią Maltravers, zadaje raczej pytanie, czy jest dobrym synem.

- Jest dobrym synem - oświadczył ojciec Brown. - To nadzwyczajna rzecz.

- A niech to - odezwał się admirał. - Chce ksiądz powiedzieć, że naprawdę zależy mu na ojcu?

Ksiądz się zawahał.

- Tego nie jestem pewien - powiedział. - To kolejna niezwykła rzecz.

- Co, do diabła, ma ksiądz na myśli? - z marynarską bezpośredniością zażądał admirał.

- Mam na myśli - odparł ojciec Brown - że syn rozmawia z ojcem w twardy i bezkompromisowy sposób, mimo wszystko wydaje mi się, że robi dla niego więcej, niż wynikałoby to z jego obowiązków. Rozmawiałem z dyrektorem banku, a skoro poufnie

przewadziliśmy śledztwo dotyczące poważnego przestępstwa, nad którym pieczę ma policja, przedstawił mi fakty. Stary pastor zrezygnował z pracy w parafii - w istocie rzeczy to nigdy nie była jego parafia. Mieszkańcy, w dużej mierze poganie, o ile w ogóle chodzą do kościoła, to idą do Dutton-Abbot, niecałą milę stąd. Staruszek nie ma własnych środków, ale jego syn dobrze zarabia, a ojciec ma dobrą opiekę. Poczęstował mnie absolutnie pierwszorzędnym, starym porto -widziałem całe rzędy zakurzonych, starych butelek z tym winem - i zostawiłem go nad małym lunchem, dość wyszukanym, w staroświeckim stylu. Na to muszą iść pieniądze tego młodzieńca.

- Cóż za modelowy syn - z lekkim prychnięciem powiedział Carver.

Ojciec Brown przytaknął, marszcząc brwi, jakby rozmyślał nad jakąś zagadką.

- Modelowy syn - powiedział. - Ale to raczej model mechaniczny-

W tej chwili sekretarz przyniósł nieostemplowany list do prawnika -list, który prawnik podarł zniecierpliwiony po jednym rzucie oka. Gdy strzępy opadły, ksiądz dostrzegł pajęcze, wariacko ściśnięte litery i podpis „Phoenix Fitzgerald”, i wyraził przypuszczenie, które adwokat szorstko potwierdził.

- Ciągłe nas dręczy ten melodramatyczny aktor - powiedział. -Ubzdurał sobie coś o jakimś swoim dawnym kompanie, który nie może mieć z tą sprawą nic wspólnego. Nikt z nas nie chce z nim mieć do czynienia, z wyjątkiem doktora, który się z nim spotkał, a doktor mówi, że on jest obłąkany.

- Tak - powiedział ojciec Brown, z zadumą ściągając wargi. -Przypuszczalnie faktycznie jest obłąkany. Ale oczywiście nie

ma żadnych wątpliwości co do tego, że ma rację.

- Ma rację? - wykrzyknął Carver. - Rację co do czego?

- Co do tego, że wszystko to jest związane ze starą trupą teatralną - odparł ojciec Brown. - Wie pan, jaka jest pierwsza rzecz, która uderzyła mnie w odniesieniu do tej historii? Ta wzmianka, że wieśniacy zabili Maltraversa, ponieważ obraził ich wioskę. To niesamowite, co koronerzy potrafią wmówić ławnikom, a dziennikarze, oczywiście, są tak samo niewiarygodnie łatwowierni. Nie

mogą wiedzieć za dużo o angielskich wieśniakach. Ja sam jestem angielskim wieśniakiem - wyrosłem na polu rzepy w Essex. Potrafi pan sobie wyobrazić, żeby angielski robotnik rolny idealizował i personifikował swoją wieś tak, jak obywatel dawnego greckiego miasta-państwa - wyciągając miecz w obronie jego świętego sztandaru, jak człowiek w jakiejś maleńkiej, średniowiecznej republice włoskiego miasta? Wyobraża pan sobie, jak jakiś wesoły staruszek mówi: „Tylko krew może zmyć plamę na honorze Potter's Pond”? Na świętego Jerzego i smoka, szkoda, że nie! Ale w rzeczy samej mam bardziej praktyczny argument co do tego drugiego.

Zamilkł na moment, jakby zbierając myśli, a potem mówił dalej:

- Źle zrozumieli tych kilka ostatnich słów, które słyszano od Maltraversa. Nie mówił wieśniakom, że ich wioska to zwykła dziura. Zwracał się do aktora - mieli dać przedstawienie, w którym Fitzgerald miał być Fortynbrasem, nieznany Hankin Poloniuszem, a Maltravers, niewątpliwie, księciem Danii. Być może ktoś inny miał chrapkę na tę rolę albo wygłaszał swoje uwagi co do niej, a Maltravers odparł gniewnie: „Byłbyś żalonym, małym Hamletem” - i to wszystko.

Doktor Mulbrough szeroko otworzył oczy. Wydawał się trawić tę sugestię powoli, ale bez problemu.

- I co według ojca powinniśmy teraz zrobić? - zapytał wreszcie, zanim pozostali odzyskali mowę.

Ojciec Brown podniósł się dosyć gwałtownie, odezwał się jednak uprzejmie.

- Jeśli panowie wybaczą nam na chwilę, to proponuję, byśmy pan i ja, doktorze, natychmiast udali się do Homerów. Wiem, że pastor i jego syn będą tam obaj. A oto, co chcę zrobić, doktorze. Przypuszczam, że nikt w wiosce nie wie jeszcze o sekcji ani nie zna jej wyników. Chcę, by po prostu przedstawił pan pastrowi i jego synowi, gdy są razem, zasadniczy fakt tej sprawy - że Maltravers zmarł w wyniku otrucia, a nie uderzenia.

Doktor Mulborough miał powód, by ponownie zastanowić się nad swoim sceptycyzmem, gdy mówiono mu, że to niezwykła wioska. Scena, która się rozegrała po tym, gdy zrealizował dokładnie plan księdza, należała do tych, o których mówi się, że człowiek nie może uwierzyć własnym oczom.

Wielebny Samuel Horner stał w swojej czarnej sutannie, która dźwigała srebro jego szacownej głowy. Dłoń jego spoczywała na pulpicie, przy którym tak często stał, studiując Pismo, teraz jednak chyba przez przypadek, nadawało mu to jednak wyraźny rys autorytetu. A naprzeciwko niego, rozwalony w fotelu, siedział jego zbuntowany syn, z wyjątkowo rozgniewaną miną paląc tanie cygaro: żywy obraz młodzieńczego lekceważenia.

Starzec uprzejmym gestem wskazał ojcu Brownowi miejsce do siedzenia, które zajął w milczeniu, nieobecny wzrokiem wpatrując się w sufit. Mulborough czuł jednak, że przynoszone przez niego wieści zrobią większe wrażenie, gdy będzie stał.

- Czuję, że powinienem wielebnego poinformować, jako w pewnym sensie duchowego ojca tej społeczności, że pewna straszliwa tragedia w jej historii zyskała nowe znaczenie - możliwe, że jeszcze straszniejsze. Przypomina sobie wielebny smutną sprawę śmierci Maltraversa, który, jak uznano, zginął w wyniku uderzenia pałką, dzierżoną przypuszczalnie przez jakiegoś wieśniaczego napastnika?

Pastor pomachał dłonią.

- Boże uchroni - powiedział - bym powiedział cokolwiek, co mogłoby w jakimkolwiek przypadku usprawiedliwić morderczą przemoc. Jednak gdy aktor przynosi do tej

niewinnej wioski swoje bezceństwa, to wzywa boskiego osądu.

- Być może - poważnie odparł doktor. - W każdym razie nie w tym rzecz, że został osądzony. Zostałem zobowiązany do przeprowadzenia pośmiertnego badania ciała i mogę wielebne zapewnić, że po pierwsze, uderzenie w głowę nie mogło być przyczyną zgonu, i po drugie, że ciało przesycone było trucizną, która bez wątpienia spowodowała śmierć.

Młody Hurrel zgasił swoje cygare i poderwał się z lekkością i zwinnością kota. Jednym krokiem znalazł się o jard od pulpitu.

- Jest pan tego pewien? - sapnął. - Jest pan absolutnie pewien, że to uderzenie nie mogło spowodować zgonu?

- Absolutnie - powiedział doktor.

- Cóż - stwierdził Hurrel. - To prawie szkoda.

W mgnieniu oka, zanim ktokolwiek zdołał ruszyć choćby palcem, potężnie uderzył pastora w zęby, rzucając nim o drzwi jak szmacianą lalką.

- Co pan wyprawia? - wykrzyknął Mulborough, w szoku trzęsąc się od stóp do głów. - Ojciec Brown, co wyprawia ten szalenciec?

Ale ojciec Brown ani drgnął. Nadal spokojnie patrzył w sufit.

- Czekałem, żeby to zrobił - powiedział łagodnie. - Zastanawiam się raczej, dlaczego nie zrobił tego wcześniej.

- Dobry Boże - wykrzyknął doktor. - Wiem, że sądziliśmy, że pod pewnymi względami nie postępuje jak trzeba, ale uderzyć własnego ojca, uderzyć pastora i cywila...

- Nie uderzył swojego ojca ani nie uderzył pastora - oświadczył ojciec Brown. - Uderzył podłego szantażystę przebranego za pastora, który od lat pasożytował na nim jak pijawka. Teraz, gdy wie, że szantaż się skończył, ulżył sobie, i nie mogę powiedzieć, że bym go za to szczególnie wnił. Bardziej już podejrzewam, i to mocno, że ten szantażysta jest zarazem trucicielem. Mulborough, lepiej niech pan wezwie policję.

Wyszli z pokoju nie niepokojeni przez tamtych dwóch, jednego zdumionego i oszołomionego, drugiego nadal

parskającego i posapującego z ulgi i z gniewu. Ale gdy wychodzili, ojciec Brown raz jeszcze popatrzył na młodzieńca, a ów młodzieniec był jednym z bardzo nielicznych ludzi, którzy widzieli na tej twarzy zacięty wyraz.

- Co do jednego miał rację - powiedział ojciec Brown. - Gdy aktor przyniósł swe bezceństwo do tej niewinnej wioski, prosił się o boską sprawiedliwość.

- Cóż - powiedział ojciec Brown, gdy wraz z doktorem ponownie usadowili się w wagonie pociągu stojącego na stacji Potter's Pond. - Jak pan powiedział, to dziwna historia, nie sądzę jednak, by nadal była tajemnicza. W każdym razie sądzę, że było z grubsza tak: Maltravers przyjechał tutaj ze swoją grupą teatralną. Część z nich od razu udała się do Dutton-Abbot, gdzie grali jakiś melodramat z początku dziewiętnastego wieku, on sam, jak się złożyło, kręcił się w kostiumie scenicznym, bardzo charakterystycznym stroju dandysa z tamtych czasów. Kolejną postacią był staroświecki pastor, którego ciemny ubiór był mniej charakterystyczny i mógł przejść, uznany po prostu za staromodny. Ta rola obsadzona była człowiekiem, który zazwyczaj grywał starców - grał Shylocka, a potem miał zagrać Poloniusza.

Trzecią postacią dramatu był nasz poeta dramatyczny, który był również aktorem dramatycznym i pokłócił się z Maltraversem o to, w jaki sposób przedstawić Hamleta, ale także o bardziej osobiste sprawy. Przypuszczam, że już wtedy durzył się w pani Maltravers. Nie wierzę, by było między nimi coś niestosownego i mam nadzieję, że teraz wszystko im się ułoży. Ale przypuszczalnie nie znosił Maltraversa za jego małżeński charakter, Maltravers był bowiem brutalem i chętnie wywoływał awantury. Podczas którejś z takich kłótni walczyli kijami, a poeta bardzo mocno walnął Maltraversa w głowę, i, w świetle dochodzenia, miał wszelkie powody, by sądzić, że go zabił.

Świadkiem tego wypadku albo osobą wtajemniczoną był trzeci człowiek, ten, który grał starego pastora, on zaś zaczął szantażować domniemanego mordercę, zmuszając go, by

zapewniał mu niejaki luksusy jako emerytowanemu pastorowi. Dla takiego człowieka w takim miejscu była to oczywista maskarada, wystarczyło nosić swój kostium pastora emeryta. Ale miał po temu swoje własne powody. Ponieważ prawdziwa historia Maltraversa wyglądała tak, że stoczył się w głębokie zarośla, doszedł do siebie, spróbował wrócić do domu i wreszcie został pokonany - nie przez uderzenie, ale przez fakt, że życzliwy pastor godzinę wcześniej podał mu truciznę, przypuszczalnie w kieliszku porto. Zacząłem o tym myśleć, gdy wypilem odrobinę porto u pastora. Zrobiłem się przez to lekko nerwowy. Teraz nad tą teorią pracuje policja, ale czy uda im się to udowodnić, tego nie wiem. Będą musieli znaleźć konkretny motyw, to jednak wyraźne, że ta trupa trzęsa się od kłótni, a Maltravers był powszechnie znienawidzony.

- Teraz, gdy mają podejrzenia, policja może udowodnić coś nowego - powiedział doktor Mulborough. - Nie rozumiem tylko, dlaczego w ogóle ojciec zaczął coś podejrzewać. Dlaczego ktoś miałby podejrzewać tego nieskalanego pastora?

Ojciec Brown uśmiechnął się blado.

- Chyba w pewnym sensie - powiedział - to była kwestia szczególnej wiedzy - prawie zawodowej, ale w nietypowym sensie. Wie pan, że nasi kontrowersjaliści często narzekają, że panuje wielka

ignorancja co do tego, jaka faktycznie jest nasza religia. Ale w istocie to znacznie ciekawsze. To prawda, i nie ma w tym nic nienaturalnego, że Anglia niewiele wie o kościele rzymskim. Ale Anglia niewiele wie o kościele angielskim. Nawet nie tyle, co ja. Byłby pan zdumiony, jak mało przeciętny człowiek zdaje sobie sprawę z anglikańskich kontrowersji. Wielu ludzi nie ma pojęcia, co rozumieć przez Kościół Wysoki i Kościół Niski³¹, nawet w odniesieniu do poszczególnych punktów tradycji, nie mówiąc już o dwóch teoriach historii i filozofii, które się za nimi kryją. Tę ignorancję widać w każdej gazecie, w każdej popularnej powieści czy sztuce.

I tak, pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłem uwagę, było to, że ten czcigodny pastor miał wszystko kompletnie wymieszane. Żaden pastor anglikański nie mógłby tak bardzo się mylić w

każdym anglikańskim problemie. Podobno był starym, konserwatywnym przedstawicielem Kościoła Wysokiego, a potem chwalił się, że jest purytaninem. Człowiek tego pokroju osobiście mógłby być nieco purytański, nigdy jednak nie nazwałby siebie purytaninem. Wyznał, że scena go przeraża - nie wiedział, że Kościół Wysoki generalnie nie obawia się teatru, choć Kościół Niski tak. O Szabasiu mówił jak purytanin, jednak w pokoju miał krucyfiks. Ewidentnie nie miał pojęcia, jaki powinien być pobożny pastor, poza tym, że powinien być wielce poważny i czcigodny, i potępiać światowe przyjemności.

Przez cały ten czas po głowie chodziła mi jakaś podświadoma myśl, coś, czego nie mogłem uchwycić w pamięci, a potem nagle to do mnie przyszło. To był Pastor Sceniczny. To dokładnie ten mgliście szacowny, stary dureń, którego wyobrażałby sobie popularny dramaturg albo aktor starej szkoły, gdyby miał przedstawić coś tak dziwaczego, jak człowieka religijnego.

- Nie mówić już o lekarzu z dawnej szkoły - wesoło powiedział Mulborough - który nie ma zbyt wiele do powiedzenia o byciu człowiekiem religijnym.

- W gruncie rzeczy - ciągnął ojciec Brown - istniał prostszy i wyraźniejszy powód do podejrzeń. Dotyczył Mrocznej Pani z Grange, która podobno była Wioskową Wampirzycą. Bardzo szybko odniosłem wrażenie, że ta ciemna plama była raczej jasnym punktem wioski. Była traktowana jak tajemnica, jednak naprawdę nie było w niej nic tajemniczego. Osiadła tu dość niedawno, otwarcie, pod własnym nazwiskiem, by doprowadzić do nowego śledztwa w sprawie jej własnego męża. Nie za dobrze ją traktował, ale ona miała zasady wskazujące, że była coś winna nazwisku męża i zwykłej sprawiedliwości. Z tego samego powodu zamieszkała w domu, przy którym znaleziono zwłoki jej męża. Drugą niewinną i prostą sprawą, poza Wioskową Wampirzycą, był ten Wioskowy Skandal, ten rozrzutny syn pastora. On także nie ukrywał swojego zawodu ani dawnych związków ze światem teatru. Dlatego właśnie go nie podejrzewałem, choć miałem swoje

podejrzenia co do pastora. Ale pan już odgadł prawdziwą i trafną przyczynę tych podejrzeń wobec niego.

- Tak, chyba rozumiem - odparł doktor - dlatego przywołał ojciec nazwisko tej aktorki.

- Tak, mam na myśli tę jego fanatyczną niechęć, by się z nią spotkać - przyznał ksiądz. - Ale nie w tym rzecz, że nie chciał jej widzieć. Nie chciał, by ona zobaczyła jego.

- Tak, to rozumiem - potwierdził jego towarzysz. - Gdyby zobaczyła wielebnego Samuela Homera, natychmiast rozpoznałaby bardzo niewielebnego aktora Hankina, przebranego za fałszywego pastora i ukrywającego pod tym przebraniem naprawdę niegodziwy charakter. Cóż, i to chyba tyle w kwestii tej prostej, wiejskiej idylli. Przyzna ojciec jednak, że dotrzymałem swojej obietnicy: pokazałem ojcu w tej wiosce coś znacznie gorszego od zwłok, nawet od zwłok napchanych trucizną. Ten czarny płaszcz pastora wypchany szantażystą jest przynajmniej wart zapamiętania, a mój żywy człowiek jest znacznie bardziej martwy niż ten ojca martwy. Tak - dodał doktor, sadowiąc się wygodnie na poduszkach. - Gdy chodzi o miłe towarzystwo podczas podróży pociągiem, to zdecydowanie wolę zwłoki.

INNE

MASKA MIDASA

Przed małym sklepem stał mężczyzna, równie sztywny jak drewniany góral przed witryną staroświeckiej trafiki. Trudno było uwierzyć, że ktokolwiek stałby tak spokojnie przed sklepem, chyba że byłby jego właścicielem - była tu jednak jakaś niemal groteskowa niespójność pomiędzy właścicielem sklepu a sklepem. Sklep bowiem był jedną z tych cudownych jaskiń pełnych rupieci, którą dzieci i ludzie bardzo mądrzy eksplorują wzrokiem jak krainę wrózek, ale której wiele osób o schludniej szych i mdłych gustach nie potrafi odróżnić od śmietnika. W skrócie, w swoich bardziej dumnych czasach mienił się sklepem z osobliwościami, ogólnie jednak był zwany sklepem ze śmieciami -zwłaszcza przez twardogłową i spieszącą się handlową populację przemysłowego portu morskiego, w którym znajdowała się jedna z tych podlejszych uliczek. Ci, którzy mieli ochotę na tego rodzaju rzeczy, nie potrzebują, by rozwijać przed nimi opowieści o ich skarbach, z których najcenniejsze i tak trudno było przypisać jakiemuś celowi. Małe modele statków z pełnym ożaglowaniem żeglujące w szklanych bańkach albo klej czy jakaś dziwna, orientalna żywica, szklane kule, w których burze śnieżne smagały nieruchome, ludzkie postacie, ogromne jaja, które mogły złożyć jakieś prehistoryczne ptaki, koślawe tykwy, które mogły być napełnione raczej trucizną niż winem, osobliwe bronie, dziwaczne instrumenty muzyczne i cała reszta - i wszystko zapadające się coraz głębiej i głębiej w kurz i nieporządek. Strażnik

stojący przed tego rodzaju sklepem mógłby być jakimś zniedołężniałym Żydem, mającym w sobie coś z godności i długiej szaty Araba, albo jakimś Cyganem mosiężnej i tropikalnej urody, obwieszonym kółkami ze złota czy miedzi.

Ten strażnik był jednak zupełnie inny. Był to smukły, czujny młodzieniec, w schludnym ubraniu amerykańskiego kroju, z pociągłą, raczej twardą twarzą, jaką często widuje się u irlandzkich Amerykanów. Na głowie miał przekrzywionego stetsona, a z kącika ust sterczało mu cuchnące, pittsburskie cygaro. W kaburze na biodrze miał ponadto pistolet, by ci, którzy gapili się na niego, nie byli zbyt zaskoczeni. Nazwisko, jakie niewyraźnie widniało nad jego sklepem, brzmiało „Denis Hara”.

Tak się złożyło, że ci, którzy się na niego gapili, byli dość ważnymi osobistościami, a nawet dość ważnymi dla niego. Jednak po jego drobnych rysach i kanciastej pozycji nikt by tego nie odgadł. Najważniejszym z tych ludzi był pułkownik Grimes, komendant policji tego hrabstwa. Mężczyzna lekkiej budowy, z długimi nogami i długą głową, cieszący się zaufaniem tych, którzy go dobrze znali, niezbyt jednak popularny nawet wśród własnej klasy, ponieważ przejawiał wyraźne oznaki, że chce być policjantem, a nie ziemianinem. W skrócie, komendant popełnił subtelny grzech, przedkładając komendanturę ponad klasę. Ten ekscentryzm wzmocnił jego naturalną milkliwość i był on, nawet jak na uzdolnionego detektywa, wyjątkowo milczący i tajemniczy odnośnie do swoich planów i odkryć. Jego dwaj towarzysze, którzy go dobrze znali, tym bardziej byli zaskoczeni, gdy zatrzymał się przed człowiekiem z cygarem i odezwał się głośnym, czystym głosem, którego bardzo rzadko używał publicznie.

- Panie Hara, ostrzegam pana uczciwie, że moi ludzie otrzymali informacje, które usprawiedliwiają moje starania o nakaz przeszukania pańskiego lokalu. Może się okazać, jak mam nadzieję, że nie będzie koniecznym dalej pana niepokoić. Muszę jednak pana ostrzec, że to miejsce jest pod stałą obserwacją.

- I sterczycie tutaj wszyscy po to, żeby dostać któryś z moich gumowych stateczków-zabawek? - spokojnie zapytał Hara. - Cóż pułkowniku, nie chciałbym nakładać żadnych ograniczeń na waszą wolną i wspaniałą brytyjską konstytucję, inaczej

wątpiłbym w to, czy możecie w taki sposób splądrować mój mały, zwykły dom.

- Przekona się pan, że mam prawo - odparł pułkownik. - Idę właśnie prosto do dwóch sędziów, których podpisy są potrzebne dla wydania nakazu.

Dwaj ludzie stojący za pułkownikiem objawili wyraźne, chociaż odmienne w wyrazie lekkie zdumienie. Inspektor Beltane, duży, ciemny, ciężki mężczyzna, przykładający się do swojej pracy, choć nieszczególnie szybki, gdy jego zwierzchnik odwrócił się gwałtownie, wyglądał na cokolwiek zdziwionego. Trzeci mężczyzna był przysadzisty i nabity, z okrągłym, księżym kapeluszem i o krągłej, księżej sylwetce, a także okrągłej twarzy, która w tej chwili wyglądała na nieco zaspaną - jednak pomiędzy przymkniętymi powiekami widać było ostrzejszy błysk. On również spoglądał na komendanta, jednakże z czymś więcej niż ze zwykłym zdumieniem - raczej tak, jakby do głowy przyszedł mu nagle nowy pomysł.

- Posłuchajcie - powiedział pułkownik Grimes - na pewno chcecie zjeść lunch. Wstyd, że ciągam was tak, gdy jest już po trzeciej. Na szczęście ten pierwszy człowiek, z którym chcę się zobaczyć, przebywa w banku, który właśnie mijaliśmy, a po sąsiedzku znajduje się całkiem przyzwoita restauracja. Ten drugi człowiek rezyduje na sąsiedniej ulicy, więc zostawię was, żebyście coś przekąsili, i pobiegnę do niego. W tej części miasta jest tylko dwóch sędziów pokoju i całe szczęście, że mieszkają tak blisko siebie. Ten bankier od razu zrobi to, czego chcę, więc pójdziemy i odwiedzimy go jako pierwszego.

Drzwi ozdobione witrażem i złoceniami wpuściły ich do labiryntu korytarzy Casterville and County Bank, a komendant pomaszerował prosto do wewnętrznego gabinetu, w którym najwyraźniej czuł się całkiem swobodnie. Tam zastał sir Archera Andersona, słynnego specjalistę od finansów i szefa tego oraz wielu innych wielce poważanych przedsiębiorstw bankowych - poważnego i eleganckiego starego dżentelmena o szarych, wijących się włosach i szarej hiszpańskiej bródce, przystrzyżonej w nieco

staroświeckim stylu. Rzut oka na niego pozwalał stwierdzić, że podobnie jak komendant, znajdował się na swoim miejscu - zdawał się również podzielać przekonanie komendanta, że praca jest ważniejsza od zabawy. Przesunął na bok wielką stertę dokumentów, przywitał się, wskazał krzesło i wyraził gotowość, by w każdej chwili zająć się sprawami bankowymi.

- Obawiam się, że nie chodzi o sprawy bankowe - odparł Grimes - ale tak czy inaczej, moja sprawa nie zajmie panu więcej niż minutę czy dwie. Jest pan sędzią pokoju - cóż, prawo wymaga ode mnie uzyskania podpisów dwóch sędziów na nakazie przeszukania nieruchomości. Mam powody sądzić, że jest bardzo podejrzana.

- W istocie - uprzejmie powiedział sir Archer. - A cóż to za podejrzenia?

- Cóż - odrzekł Grimes - to dość dziwna sprawa i raczej nowa w tych okolicach. Oczywiście mamy swoją własną, niewielką populację przestępców, jak można powiedzieć, i - co jest naturalne - ci wyrzutkowie trzymają się razem, nawet jeśli ich wykroczenia są niewielkie. Wydaje mi się jednak, że ten człowiek, Hara, który z pewnością jest Amerykaninem, to również amerykański gangster. Gangster na wielką skalę, za którym stoi cała maszyna zbrodni w tym kraju praktycznie nieznana. Na początek, nie wiem, czy zna pan najnowsze wieści z okolicy?

- Bardzo możliwe, że nie - odparł bankier z dosyć lodowatym uśmiechem. - Nie jestem zbyt dobrze poinformowany, jeśli chodzi o sprawy policji. Przyjechałem tutaj niedawno, by przyjrzeć się kwestiom branżowym. Dotąd przebywałem w Londynie.

- Wczoraj uciekł skazaniec - poważnie powiedział pułkownik. - Wie pan, że na wrzosowiskach znajduje się duży zakład karny, jakąś milę czy dwie od tego miasteczka. Osadzonych jest tam sporo ludzi, ale o jednego mniej niż przedwczoraj.

- To z pewnością nie taka znowu rzadkość - zauważył bankier. - Więźniowie czasem uciekają z więzień, prawda?

- W istocie - potwierdził komendant. - Być może to samo w sobie nie jest takie znowu niezwykle. Niezwykłe jest to, że on nie tylko uciekł, ale zniknął. Więźniowie uciekają z więzień, ale prawie zawsze do nich wracają - a przynajmniej mamy jakieś pojęcie o tym, w jaki sposób udało im się zbiec. W przypadku zaś tego człowieka wydaje się, że zwyczajnie i zniecka wyparował, jak duch czy wróżka, kilkaset jardów od bram więzienia. Jako że sceptycznie podchodzę do tego, by był duchem albo wróżką, muszę się skupić na jedynym możliwym wytłumaczeniu naturalnym. A wygląda ono tak, że oddalił się niezwłocznie samochodem, prawie na pewno jednym z wielu, nie mówiąc już o organizacji

szpiegów i konspiratorów opracowujących plan. Przyjmuję za pewnik, że jego przyjaciele i sąsiedzi, jak bardzo by go nie lubili, nie byłiby w stanie zorganizować czegoś takiego. To biedak, oskarżony o kłusownictwo - wszyscy jego przyjaciele są biedni i przypuszczalnie większość z nich kłusuje - i nie ma wątpliwości, że zabił gajowego. Na jego usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że niektórzy sądzili, iż było to nieumyślne spowodowanie śmierci, a nie morderstwo, musieli jednak wydać wyrok kary długiego pozbawienia wolności, a od tego czasu, pewnie po bliższym zastanowieniu, wyrok znacząco zmniejszyli. Ktoś jednak skrócił go jeszcze bardziej. I to w sposób, który oznacza pieniądze, paliwo i praktyczne doświadczenie w takich rajdach; z całą pewnością nie byłby w stanie przeprowadzić tego samodzielnie, nie byłby też w stanie zrobić tego żaden z jego kolegów. Nie będę panu zawracał głowy szczegółami naszych odkryć, jestem jednak przekonany, że kwaterą główną tej organizacji jest mały sklepik ze starociami za rogiem, a naszą jedyną szansą jest natychmiastowe uzyskanie nakazu rewizji. Rozumie pan, sir Archer, że nie zobowiązuje to pana do niczego, co wykraczałoby poza wstępne przeszukanie. Jeżeli człowiek w sklepie jest niewinny, wszyscy to potwierdzimy. Jestem jednak przekonany, że trzeba przeprowadzić wstępną rewizję, a do tego potrzebuję podpisów dwóch sędziów pokoju. Właśnie dlatego marnuję pański czas na policyjne nowiny, podczas gdy

jest on taki cenny i powinien być przeznaczony na wieści ze świata finansów. Jeśli uważa pan, że może podpisać taki dokument, to mam go przy sobie i nie będę panu ani chwili dłużej przeszkadzał w wypełnianiu obowiązków finansowych.

Położył dokument przed sir Archerem Andersonem, a bankier, przeczytawszy go szybko, ale z nawykową uwagą, wziął pióro i podpisał.

Komendant podniósł się z pospiesznymi, acz ciepłymi wyrazami zobowiązania i ruszył w stronę drzwi, rzucając przypadkową uwagę, jak człowiek mówiący o pogodzie:

- Nie sądzę, by interesy kogoś na pańskim stanowisku zależały od kryzysów czy współczesnych komplikacji. Słyszałem jednak, że czasy są niepewne, nawet dla najbardziej solidnych z mniejszych korporacji.

Sir Archer Anderson natychmiast podniósł się sztywno, cokolwiek oburzony tym, że choćby przelotnie został połączony z małymi korporacjami.

- Gdyby wiedział pan cokolwiek o Casterville and County Bank - powiedział urażony - wiedziałby pan, że niemożliwe, by cokolwiek bądź ktokolwiek miał na niego wpływ.

Pułkownik Grimes wyprowadził swoich przyjaciół z banku i z niejakim życzliwym naciskiem umieścił ich w restauracji tuż obok, podczas gdy sam pospieszył zakończyć swoje zadanie, atakując drugiego miejscowego sędziego pokoju - starego prawnika, który był również starym przyjacielem, niejakiego Wicksa, który czasami pomagał mu co do szczegółów teorii prawa. Inspektor Beltane i ojciec Brown zostali w restauracji, spoglądając na siebie z powagą i oczekując na jego powrót.

- Czy jestem w błędzie - z przyjacielskim uśmiechem zapytał ojciec Brown - podejrzewając, że jest pan czymś nieco zaskoczony?

- Nie nazwałbym tego zaskoczeniem - odparł inspektor. - Cała ta sprawa z bankierem była prosta. Gdy dobrze zna się człowieka, zawsze ma się dziwne uczucie, gdy nie zachowuje się zupełnie normalnie. Pułkownik to najbardziej milczący i tajemniczy pracownik policji, jakiego kiedykolwiek znałem. Często nie mówi nawet najbliższym kolegom, co mu chodzi po

głowie. Dlaczego stanął i na środku ulicy na cały głos rozmawiał z wrogiem publicznym, mówiąc mu, że ma zamiar przeszukać jego sklep? Dlaczego go po prostu nie przeszukał?

- Odpowiedź brzmi - odparł ojciec Brown - że nie ma zamiaru go przeszukiwać.

- To dlaczego darł się na całe miasto, że to zrobi?

- Cóż, wydaje mi się - powiedział ojciec Brown - że po to, by całe miasto mogło gadać o jego wizycie u gangstera i nie zauważyć, że odwiedził bankiera. Jedyne słowa, które naprawdę chciał wypowiedzieć, to te ostatnie słowa, które skierował do bankiera - obserwował jego reakcję. Ale gdyby były jakieś plotki dotyczące banku, to całe miasto gadałoby tylko o tym, że poszedł do banku. Musiał mieć dobry, zwyczajny powód, żeby tam pójść, a nie mógł mieć lepszego niż prośba do dwóch zwyczajnych sędziów pokoju, by podpisali zwyczajny dokument. Doprawdy niezła wyobraźnia.

Inspektor Beltane gapił się na niego ponad stołem.

- Co, na litość boską, ma ksiądz na myśli?

- Mam na myśli - odparł ksiądz - że być może pułkownik Grimes nie był daleko od prawdy, gdy porównywał kłusownika do wróżki. Czy może raczej do ducha?

- Nie chce ksiądz chyba powiedzieć - z niedowierzaniem powiedział inspektor - że tego zamordowanego gajowego i zbiegłego więźnia Grimes po prostu sobie wymyślił? Przecież wcześniej sam mi o tym mówił jako o zwykłej policyjnej sprawie.

-Tak daleko bym się nie posuwał - spokojnie odpowiedział ojciec Brown. - Może po okolicy krąży taka historia, ale nie ma nic wspólnego z historią, którą Grimes zajmuje się w tej chwili. A szkoda.

- Dlaczego ksiądz tak mówi? - dociekał policjant.

Ojciec Brown spojrzał mu prosto w twarz szarymi oczami, pełnymi niewątpliwej powagi i szczerości.

- Ponieważ w tej kwestii jestem ignorantem - odpowiedział. - Och, dobrze wiem, kiedy coś przekracza moje możliwości, i nic w tym dziwnego, skoro dowiaduję się, że ścigamy

przeniewierczego bankiera, a nie zwykłego mordercę. Widzi pan, niezupełnie wiem, jak to się stało, że zacząłem pomagać w zadaniach detektywistycznych, jednak prawie całe moje doświadczenie dotyczy zwyczajnych, ludzkich morderstw. Obecnie morderstwo prawie zawsze jest ludzkie i osobiste, ale współczesnemu złodziejstwu pozwolono, by przestało być osobiste. To niejedyna zagadka - jest anonimowe, niemal otwarcie anonimowe. Nawet jeśli pan umrze, może pan uchwycić błysk twarzy człowieka, który dźgnął pana nożem. Ale jak długo pan żyje, może pan nigdy nie poznać nazwiska człowieka, który pana obrabował. Moją pierwszą sprawą była mała, prywatna afera z człowiekiem, któremu odcięto głowę i podłożono na jej miejsce inną. Szkoda, że nie mogę wrócić do tego rodzaju cichych, domowych idylli. Z nimi sobie radzę.

- Faktycznie, bardzo idylliczny przypadek - mruknął inspektor.

- W każdym razie bardzo osobisty - zareplikował ksiądz. - Nie tak, jak ta nieodpowiedzialna biurokracja w finansach. Nie mogą odcinać głów tak, jak odcinają gorącą wodę, decyzją rady czy zarządu, ale mogą w tej sposób obciąć zobowiązania czy dywidendy.

Albo znowu, pomimo że do jednego człowieka można przyłożyć dwie głowy, to wszyscy wiemy, że jeden człowiek naprawdę nie miewa dwóch głów. Ale jedna firma może mieć dwie głowy - albo dwie twarze, albo pół setki twarzy. Nie, żałuję, że nie może mnie pan odprowadzić do mojego mordercy-kłusownika i zamordowanego gajowego. W ich przypadku wszystko bym rozumiał - gdyby nie niefortunny przypadek, że oni pewnie nawet nie istnieją.

- Och, to wszystko to jakiś nonsens - wykrzyknął inspektor, próbując się otrząsnąć. - Powiadam księdzu, że Grimes mówił o tym już wcześniej. Przypuszczam raczej, że ten kłusownik i tak miał być niedługo zwolniony, choć faktycznie dosyć brutalnie zabił człowieka, masakrując go kolbą broni. Ale zastał gajowego, jak ten na własnym terenie zajmował się czymś niewybaczalnym. Mówiąc wprost, sam wówczas

kłusował. Nie miał dobrej opinii w okolicy i z pewnością była to prowokacja. Coś w rodzaju niepisanego prawa.

- Dokładnie o tym mówię - powiedział ojciec Brown. - Współczesne morderstwo nadal bardzo często ma jakiś odległy i wypaczony związek z niepisanym prawem. Ale współczesny rabunek przyjmuje formę zaśmiecania świata papierem i pergaminem pokrytym tylko pisaniem bezprawiem.

- Cóż, nic z tego nie rozumiem - stwierdził inspektor. - Mamy kłusownika, który jest więźniem, czy też zbiegłym więźniem. Mamy, czy też mieliśmy, gajowego, i mamy, na co wszystko wskazuje, gangstera. Co ma ksiądz na myśli, wywodząc te wszystkie dziwactwa od banku po sąsiedzku - nie potrafię pojąć.

- I to właśnie mnie kłopotuje - odpowiedział ojciec Brown trzeźwym i pokornym tonem. - Ten bank zaraz obok przekracza możliwości mojej wyobraźni.

W tej właśnie chwili drzwi restauracji stanęły otworem i do środka triumfalnym krokiem wmaszerował pułkownik, holując za sobą małą, dziarską postać z białymi włosami i twarzą pomarszczoną w uśmiechu. Był to drugi sędzia pokoju, którego podpis na wymaganym dokumencie był taki ważny.

- Pan Wicks - oświadczył pułkownik z wprowadzającym gestem - to najlepszy współczesny specjalista od oszustw finansowych. To prawdziwy fart, że jest sędzią pokoju akurat w tej okolicy.

Inspektor Beltane przełknął ślinę, a potem sapnął.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że ojciec Brown miał rację.

- Wiedziałem, że tak będzie - skromnie powiedział pułkownik Grimes.

- Jeśli ojciec Brown powiedział, że sir Archer Anderson jest wielkim oszustem, to z całą pewnością miał rację - powiedział pan Wicks. - Nie ma potrzeby, bym przedstawiał tu panom wszystkie dowody. W gruncie rzeczy lepiej będzie przedstawić je tylko pobieżnie, nawet policji - no i oszustomi. Musimy go uważnie obserwować i uważać, by nie wykorzystał żadnego naszego błędu. Myślę jednak, że lepiej będzie do niego zajść i przeprowadzić rozmowę bardziej szczerą, niż - zdaje się - miał

pan. Rozmowę, w której kłusownik i sklep ze starociami nie będą może najważniejsi. Sądzę, że przekażę mu dość z tego, co wiemy, żeby zrobił się czujny, nie ryzykując oskarżenia o zniesławienie. No i zawsze jest możliwość, że coś mu się wymknie. Chodźmy, dotarliśmy do nas bardzo niepokojące plotki o tym biznesie i chciałbym, by to i owo od razu wyjaśnić. W tej chwili tak wygląda nasze oficjalne stanowisko. - I poderwał się jakby z energią i ochotą młodzika.

Druga rozmowa z sir Archerem Andersonem zdecydowanie różniła się w wydźwięku, a szczególnie pod względem celu. Poszli tam, nie mając zamiaru rzucać wielkiemu bankierowi żadnego wyzwania, szybko jednak się przekonali, że to on już był zdecydowany rzucić wyzwanie im. Białe wąsy podkrecone miał jak szable ze srebra, biała hiszpańska bródka wysunięta była do przodu jak stalowy szpikulec. Zanim którykolwiek z nich wypowiedział więcej niż kilka słów, wstał i uderzył w stół.

- To pierwszy przypadek, żeby Casterville and County Bank spotkał się z takimi zarzutami, i obiecuję panom, że to ostatni raz. Jeżeli moja własna reputacja nie broni go przed tak groteskowymi kalumniami, to zaufanie, jakim cieszy się ta instytucja, wystarczy, by okazały się one niedorzeczne. Proszę opuścić to miejsce, panowie, odejść i pozbawiać się oskarżeniami wobec Sądu Lorda Kanclerza albo powymyślać jakieś brednie o arcybiskupie Canterbury.

- Doskonale, sir Archerze - powiedział Wicks, pochylając głowę jak uparty i wojowniczy buldog - ale mam tutaj kilka faktów, które prędzej czy później będzie pan musiał wytłumaczyć.

- Mówiąc oględnie - łagodniejszym tonem powiedział pułkownik - jest sporo rzeczy, o których chcielibyśmy usłyszeć coś więcej.

Głos ojca Browna rozległ się jako coś dziwnie chłodnego i odległego, jakby dochodził z innego pokoju albo z ulicy, a przynajmniej z bardzo daleka.

- Nie sądzi pan, pułkowniku, że wiemy już wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć?

- Nie - krótko odparł pułkownik. - Jestem policjantem. Mogę sobie dużo myśleć i mogę myśleć, że mam rację. Ale wiedzieć - nie wiem.

- Och - powiedział ojciec Brown, na chwilę szeroko otwierając oczy. - Nie mam na myśli tego, co sądzi pan, że wie.

- Cóż, przypuszczam, że jest to to samo, co ojciec sądzi, że wie - nieco opryskliwie odezwał się Grimes.

- Bardzo przepraszam - pokornie odpowiedział ojciec Brown - ale to, co wiem ja, to zupełnie co innego.

Atmosfera wątpliwości i niechęci, w której ta mała grupka zebrała się do wyjścia, zostawiając wyniosłego finansistę na wygranej pozycji, zaprowadziła ich ponownie do restauracji, na wczesną herbatę, papierosa i próbę wyjaśnienia.

- Zawsze wiedziałem, że jest ojciec irytującym człowiekiem - odezwał się do księdza policjant - ale ogólnie mam pewnie dziwne przypuszczenia co do tego, co miał ojciec na myśli. Na tę chwilę moje wrażenie jest takie, że ojciec oszalał.

- Dziwnie, że pan to mówi - odciął się ojciec Brown - ponieważ starałem się odkryć swoje braki w różnych dziedzinach i jedyną rzeczą, jaką wiem o sobie z całą pewnością, jest to, że nie jestem szalony. Oczywiście ponoszę karę za to, że jestem nudny. Ale, o ile mi wiadomo, nigdy nie utraciłem kontaktu z rzeczywistością i wydaje mi się dziwne, że ludzie tak bystrzy, jak panowie, tracą go tak szybko.

- Co ojciec ma na myśli, mówiąc o rzeczywistości? - zjeżył się Grimes.

- Mam na myśli zdrowy rozsądek - odparł ojciec Brown z rzadką dla siebie gwałtownością. - Powiedziałem już, że te finansowe zawilości i korupcja przekraczają moje możliwości. Ale niech to, ludzie mają sposoby na sprawdzanie różnych rzeczy. O finansach nie wiem

nic, znam jednak finansistów. Ogólnie rzecz ujmując, znam finansistów oszustów. Wy jednak musicie wiedzieć o nich więcej niż ja. Mimo to potraficie przełknąć taką niedorzeczność.

- Jaką znowu niedorzeczność? - zdziwił się pułkownik. Ojciec Brown nagle pochylił się nad stołem, wzrokiem przeszywając

Wicksa z intensywnością, jaką rzadko przejawiał.

- Panie Wicks, pan powinien wiedzieć lepiej. Jestem tylko biednym proboszczem i oczywiście, że nie wiem lepiej. Nasi przyjaciele z policji mimo wszystko nieczęsto mają do czynienia z bankierami, z wyjątkiem przypadków, gdy zwyczajny kasjer podrzyna sobie gardło. Ale z pewnością ciągle przesłuchuje pan bankierów, zwłaszcza bankierów zbankrutowanych. Czy nie zdarzyło się panu być dokładnie w takim samym miejscu już ze dwadzieścia razy? Nie zdarzało się panu rzucać pierwszych podejrzeń na bardzo szanowane osoby, tak jak dziś po południu? Nie zdarzyło się panu rozmawiać z dwudziestoma czy trzydziestoma finansistami, którzy zmierzali do bankructwa na miesiąc czy dwa przed tym, jak zbankrutowali?

- Cóż, tak - powoli i ostrożnie przyznał pan Wicks. - Chyba tak. -1 cóż - zapytał ojciec Brown - czy choć jeden z nich rozmawiał

z panem w taki sposób?

Mała postać prawnika drgnęła praktycznie niezauważalnie - można było zauważyć tylko tyle, że siedział minimalnie bardziej wyprostowany niż przedtem.

- Czy kiedykolwiek - zapytał ksiądz z nowo nabytą emfazą - znał pan jakiegoś oszukańczego bankowca, który na pierwsze podejrzenie zareagowałby z takim poczuciem wyższości i oświadczył policji, żeby nie ważyła się grzebać w tajemnicach jego świętego banku? Przecież to było tak, jakby prosił się o to, by pan komendant wpadł do banku i z miejsca go aresztował. Cóż, pan się zna na takich rzeczach, a ja nie. Zaryzykowałbym jednak twierdzenie, że każdy szemrany finansista, którego pan poznał, zachowywał się dokładnie odwrotnie. Pierwsze pańskie pytania spotkały się nie z gniewem, ale z rozbawieniem -gdyby to poszło dalej, skończyłoby się na uprzejmych i wyczerpujących odpowiedziach na każde z setki pytań, które musiałby pan zadać. Wytłumaczenia! Oni pływają w wytłumaczeniach! Sądzi pan, że podejrzany finansista nigdy wcześniej nie był przesłuchiwany?

- Ale niech to, zbyttnio ojciec generalizuje - powiedział Grimes. -Wydaje się być ojciec zauroczony tą swoją wizją oszusta doskonałego. Ale mimo wszystko nawet oszuści nie są doskonali. To, że jeden zbankrutowany bankier załamał się i stracił panowanie nad sobą, niewiele dowodzi.

- Ojciec Brown ma rację - powiedział Wicks, włączając się nagle po chwili zadumanego milczenia. - To w dużej mierze prawda, że cała ta pycha i ostentacyjny upór nie mogły być pierwszą linią obrony dla oszusta. Ale co mogłoby nią być? Szanowani bankierzy nie rozwijają sztandaru, nie dmą w róg ani nie wyciągają miecza wobec chwilowego zainteresowania, nie bardziej niż bankierzy mający złą opinię.

- Poza tym - wtrącił się Grimes - po co w ogóle miałyby się tak wywyższać? Dlaczego kazał nam się wynosić z banku, skoro nie ma nic do ukrycia?

- Cóż - bardzo powoli powiedział ojciec Brown - nie powiedziałem, że nie miał nic do ukrycia.

Zebrani zamilkli w oszołomieniu, a nieustępliwy Beltane złapał księdza za ramię i przytrzymał go.

- Czyżby chciał ksiądz powiedzieć - zapytał ochryple - że ten bankier nie jest podejrzany?

- Nie - odparł ojciec Brown. - Chcę powiedzieć, że podejrzany nie jest bankierem.

Gdy wyszli z restauracji, ruszając się bardziej niepewnie, niż było dla nich normalne, poderwało ich zamieszanie i hałas na zewnątrz. Początkowo mieli wrażenie, że wzdłuż całej ulicy ludzie wybijają okna, ale chwila nerwowego rozglądania się pozwoliła im zlokalizować źródło zamieszania. Były to pozłacane, przeszklone drzwi i okna napuszonego budynku, w którym byli dziś rano: świątynia Casterly and County Bank, która trzęsła się od środka od hałasu jak eksplozja dynamitu, ale która okazała się być jedynie bezpośrednią, dynamiczną, ludzką destrukcyjnością. Komendant i inspektor przez strzaskane, szklane drzwi wpadli do ciemnego wnętrza i wrócili z twarzami zastygłymi w wyrazie zdumienia, spod którego przebierała pewność i stanowczość.

- Teraz nie ma już wątpliwości - powiedział inspektor. - Zdzielił pogrzebaczem człowieka, którego tam postawiliśmy, żeby miał na

wszystko oko, rzucił kasetką na gotówkę i złapał za fraki pierwszego człowieka, który tam wszedł sprawdzić, co się dzieje. To jakaś dzika bestia.

Pośród tego groteskowego zamieszania pan Wicks odwrócił się do ojca Browna.

- Cóż, sir, całkowicie mnie ojciec przekonał - powiedział przepraszająco i z podziwem. - To z całą pewnością nowa odsłona bankiera oszusta.

- Musi pan posłać naszych ludzi, żeby zaraz go zatrzymali - powiedział komendant do inspektora - albo rozniesie całe miasto.

- Tak - przytaknął ojciec Brown. - To dosyć brutalny osobnik; to jego wielka pokusa. Tylko pomyśleć, jak tłukł gajowego kolbą broni jak pałką, raz za razem, ale nawet nie pomyślałszy, żeby strzelić. Oczywiście to tego rodzaju człowiek, który nie radzi sobie z planowaniem większości rzeczy, nawet morderstw. Ale uciec z więzienia dał radę.

Jego towarzysze gapili się na niego oczami okrągłymi ze zdumienia, jednak w jego własnych oczach i zwyczajnej powierzchowności nie znaleźli oświecenia, aż się odwrócił i powoli ruszył w dół ulicy.

- I tak - rzekł ojciec Brown, promieniejąc nad bardzo łagodnym lagerem w restauracji i wyglądając jak pan Pickwick w wiejskim klubie - i tak mimo wszystko znowu wracamy do naszej starej, dobrej historii o kłusowniku i gajowym. To, że chodziło o miłą zbrodnię przy kominku, a nie tę ogłupiającą mgłę finansów, bardzo podniosło mnie na duchu - bo w tej mgle kryje się naprawdę mnóstwo duchów i cieni. Oczywiście wszyscy panowie znają tę starą opowieść. Słyszeliście ją, siedząc na kolanach matek. Ważne jednak, moi przyjaciele, by te stare historie zachować w umyśle tak, jak je nam opowiadano. Ta mała, wiejska historyjka często bywała opowiadana. Mężczyzna zostaje uwięziony za zbrodnię z namiętności, podczas schwytania przejawia podobną

brutalność, powala strażnika i ucieka z więzienia. Ma szczęście, spotyka bowiem dobrze ubranego dżentelmena o dobrej prezencji i zmusza go, by zamienił się z nim na ubrania.

- Tak, często słyszałem tę historię - przyznał Grimes, marszcząc brwi. - Mówi ojciec, że to ważne, żeby ją pamiętać?

- Należy o niej pamiętać - powiedział ojciec Brown - ponieważ to bardzo jasna i poprawna relacja z tego, co się nie wydarzyło.

- A co się wydarzyło? - zainteresował się inspektor.

- Coś zupełnie przeciwnego - odparł ojciec Brown. - Mała, ale schludna poprawka. To nie był skazany, który wyszedł szukać dobrze ubranego dżentelmena, żeby przebrać się w jego ubranie. To był dżentelmen, który wypuścił się na wrzosowiska w poszukiwaniu skazańca, by mógł doświadczyć radosnej ekstazy noszenia ubrania skazanego. Wiedział, że na wrzosowiskach znajduje się zbiegły więzień i gorąco pragnął jego ubrania. Przypuszczalnie wiedział również, że istnieje dobrze opracowany plan podjęcia zbiega i wywiezienia go z wrzosowiska. Nie jest zupełnie jasne, jaką rolę odegrał w tym Denis Hara i jego gang, czy znali też pierwszą część planu, czy tylko drugą. Sądzę jednak, że przypuszczalnie pracowali dla przyjaciół kłusownika, a nie tylko w interesie zbiega, który cieszył się dużą popularnością wśród biedniejszej ludności. Wolę myśleć, że nasz przyjaciel, ten dobrze ubrany dżentelmen, dokonał tej małej transformacji dzięki własnym talentom. Był bardzo dobrze ubrany w najmodniejszy strój, jak mawia krawiec, a także z pięknymi, białymi włosami, wąsami i tak dalej, które zawdzięczał bardziej balwierzowi niż krawcowi. Stwierdził, że ten dopracowany kostium przydawał się w życiu wielokrotnie, i musicie pamiętać, że jak dotąd pojawił się w tym konkretnym mieście i banku na bardzo krótki czas. Znalazłszy wreszcie skazanego, którego ubrania pragnął, potwierdził swoje informacje, że był to człowiek o posturze podobnej do niego, a co do reszty, wystarczyło po prostu przebrać więźnia w kapelusz, perukę, bokobrody, wspaniały strój, aż strażnik, którego walnął w głowę,

z ledwością by go poznał. Potem nasz błyskotliwy finansista przywdział ubranie skazańca i poczuł, po raz pierwszy od miesięcy, a może od lat, że uciekł i jest wolny.

Nie miał jednak grupy biednych sympatyków, którzy by mu pomogli czy go ukryli, gdyby poznali prawdę. Nie dysponował ruchem poparcia pośród przyzwoitych prawników i sędziów, sugerujących, że dość już wycierpiał albo że wkrótce może spodziewać się uwolnienia. Nie miał przyjaciół nawet w półświatku, zawsze był bowiem ozdobą salonów -świata naszych zdobywców i panów, którym tak chętnie oddajemy władzę. Był jednym z tych współczesnych czaro-

dziejów, był geniuszem finansów, a kradł tysiące należące do biednych. Gdy przekroczył granicę (która we współczesnym prawodawstwie jest bardzo cienka), gdy świat dowiedział się o nim, wówczas cały ten świat zwrócił się przeciwko niemu. Myślę, że podświadomie traktował więzienie jak dom. Nie wiemy, jak dokładnie wyglądał jego plan, skoro nawet władze więzienne, które go pochwyciły, miały problem z ustaleniem na podstawie odcisków palców, czy był on tym zbiegłym więźniem. Niełatwo powiedzieć, jakie jeszcze zarzuty mogliby mu przedstawić na tym etapie. Sądzę jednak, że widział, że organizacja Hary mu pomoże i bez zwłoki wywiezie go z kraju. Może miał jakieś układy z Harą, choć pewnie nie mówił mu całej prawdy - w Ameryce takie kompromisy pomiędzy wielkimi biznesmenami i przestępcami są powszechne; wszyscy bowiem w istocie zajmują się tym samym.

Przekonanie skazańca, jak sądzę, nie było trudne. Jemu ten plan jawiłby się jako wielce obiecujący, być może myślał, że była to część planu Hary. Tak czy inaczej zbieg pozbył się ubrania skazańca i w ciuchach pierwszej klasy znalazł się w pierwszorzędnej pozycji, gdzie był towarzysko akceptowany i w spokoju mógł przynajmniej obmyślić kolejny ruch. Ale, na niebiosy, cóż za ironia! Co za pułapka, co za sztuczka odwróconej zagłady! Człowiek uciekający z więzienia na sam koniec odsiadki za niejasne, na poły wybaczone przestępstwo, rozkoszujący się noszeniem ubioru dandysa będącego kostiumem największego przestępcy świata, a to po

to, by następnego dnia być ściganym po całym świecie. Sir Archer Anderson w swoim czasie wpędził w pułapkę wielu ludzi, nigdy jednak nie uwikłał człowieka w tragedię taką, jak tego mężczyznę, który na wrzosowisku, z dobrej woli, założył jego ubranie.

- Cóż - dobrodusznie powiedział Grimes - teraz, gdy ojciec podsunął nam trop, przypuszczalnie będziemy w stanie to udowodnić, ponieważ aresztantowi tak czy inaczej zostaną zdjęte odciski palców.

Ojciec Brown z lekkim przestraczem i szacunkiem pochylił głowę.

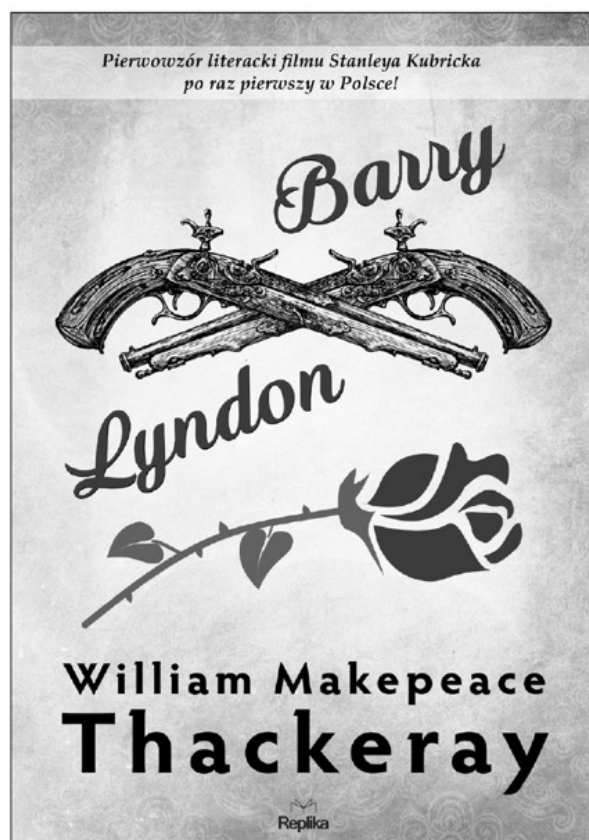
- Oczywiście - powiedział - od sir Archera Andersona nigdy nie pobrano odcisków palców. Mój drogi sir! Od człowieka o takiej pozycji?

- Prawda jest taka - odezwał się Wicks - że nikt za dużo o nim nie wie - w kwestii odcisków czy czegokolwiek. Gdy zacząłem badać sposób jego działania, musiałem zacząć od pustej mapy, która później zmieniła się w labirynt. Tak się składa, że wiem coś niecoś o takich labiryntach, ten jednak był bardziej pokrętny od innych.

- Dla mnie to wszystko labirynt - z westchnieniem odparł ksiądz. - Powiedziałem, że w sprawach finansowych zupełnie sobie nie radzę. Rodzaj człowieka, który siedział naprzeciwko mnie, był jedyną rzeczą, jakiej byłem w miarę pewien. I miałem pewność, że jak na oszusta, to jest stanowczo zbyt wyrywny i nerwowy.

Wydawnictwo Replika poleca:

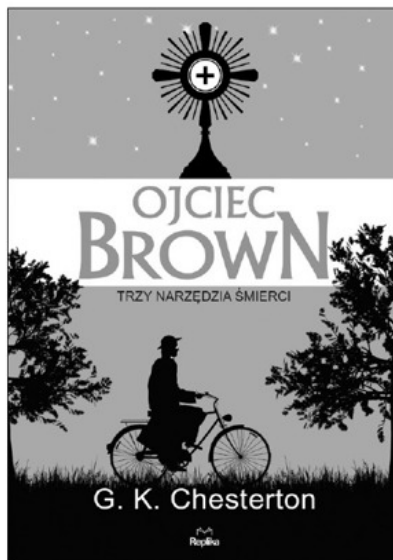
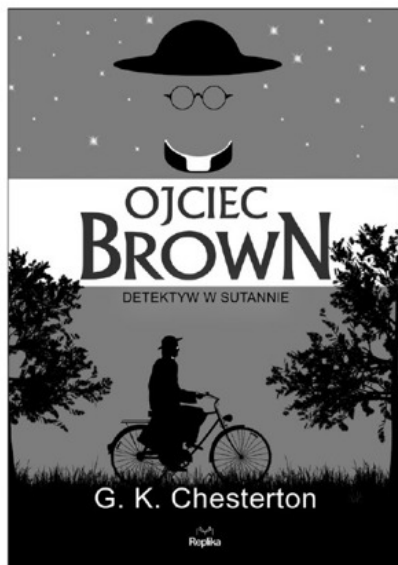
Barry Lyndon
William Makepeace Thackeray



Powieść łotrzykowska, po raz pierwszy opublikowana w formie serialu prasowego w 1844 roku. Na jej podstawie Stanley Kubrick nakręcił nagrodzony czterema Oskarami film!

Wydawnictwo Replika poleca:

Po raz pierwszy w Polsce – trzy tomy kompletujące wszystkie opowiadania G.K. Chestertona o ojcu Brownie!



1 Belgravia - ekskluzywna dzielnica mieszkaniowa w środkowej części Londynu.

2 Ewangelia wg św. Marka 9:44-49

3 Hors d'oeuvres - fr. przekąski

4 Chateaux - fr. zamki

5 William Wilkie Collins - niezwykle płodny i szalenie popularny XIX-wieczny pisarz angielski, prekursor powieści detektywistycznej.

* **Ancien régime** (fr. stare rządy) – nazwa absolutystycznego systemu społeczno-politycznego, który istniał we Francji za panowania dynastii Walezjuszów i Burbonów (XIV–XVIII wiek).

6 Wergiliusz - poeta starożytnego Rzymu, autor m.in. *Eneidy*. Także: postać z *Boskiej komedii* Dantego, przewodnik po piekle.

7 Dokł. **Galilae, vicisti!** (łac.) - „Galilejczyku, zwyciężyłeś!"; słowa przypisywane rzymskiemu cesarzowi Julianowi Apostacie, które rzekomo wypowiedział w chwili śmierci.

8 Reed Island - ang. Wyspa Trzciny; Reed House - ang. Trzciny Dom.

9 Ne nos inducas in tentationem - łac. „nie wódź nas na pokuszenie”.

10 Cake walk - taniec towarzyski w żywym tempie, metrum 2/4 i synkopowanym rytmie. Pod koniec XIX wieku był to pierwszy popularny taniec na terenie USA, który lansował ruchy ciała charakterystyczne dla tańców afrykańskich. Łączył podstawowe kroki marszu, polki i two-stepa.

11 Anchizes - król Dardanos. Zgodnie z grecką mitologią bogini Afrodyta zstąpiła na ziemię i uwiodła Anchizesa. Owocem ich spotkania był syn Eneasza, który później na plecach wyniósł ojca z płonącej Troi.

12 Emetyki - wszelkiego rodzaju środki wywołujące wymioty.

13 Kwietyzm - termin filozoficzny: bierne poddawanie się biegowi wypadków.

14 Bitwa pod Sadową (1866 r.) - starcie zbrojne pomiędzy Prusami a Austrią, podczas wojny prusko-austriackiej (o

hegemonię w Związku Niemieckim za czasów Ottona von Bismarcka). Do bitwy doszło między wsią Sadowa a fortecą Königgrätz (obecnie Hradec Králove).

Bitwa pod Gravelotte-Saint Privat (1870 r.) - starcie zbrojne w trakcie wojny francusko--pruskiej, w odległości 10 kilometrów od Metz. Bitwa zakończyła się zwycięstwem niemieckim, które mimo wielkich strat po stronie pruskiej zdecydowało o zwycięstwie w całej wojnie i supremacji Niemiec na kontynencie europejskim w następującym półwieczu

[15](#) Psalm 20 - modlitwa o ocalenie króla; werset 8.

[16](#) List św. Jakuba 3:5.

[17](#) **Szymon Mag**, znany także jako Simon Magus lub Szymon z Gitty -według wierzeń starożytnej sekty gnostycznej simonitów był on bogiem w ludzkiej postaci. Wg Dziejów Apostolskich parał się czarną magią. Ojcowie Kościoła uznają go za ojca gnozy.

[18](#) **Metodyści, sandemańczycy** - odłamy kościoła protestanckiego, najbardziej popularne odpowiednio w USA i Szkocji.

[19](#) **Wojna Dwóch Róż** - wojna domowa tocząca się w Anglii w latach 1455-1485. Uważana jest za swoiste przedłużenie wojny stuletniej. Była to walka o władzę pomiędzy dwoma rodami: Lancasterów (mających w herbie różę czerwoną) oraz Yorków (mających różę białą).

[20](#) **Księża dziura** - ang. *priest hole*: określenie kryjówek budowanych w Anglii w XVI i XVII wieku w domach należących do rodzin, które pozostały przy katolicyzmie wbrew prawu państwowemu, wymagającemu przyjęcia zwierzchnictwa króla/królowej nad Kościołem w Anglii. Kryjówki te służyły działającym w podziemiu duszpasterzom katolickim za schronienie w razie rewizji domowej.

[21](#) **Flambeau** (fr.) - pochodnia, znicz.

[22](#) **Thought-Forms** - pojęcie teozoficzne, zgodnie z którym „myśli są rzeczami, są trwałością, spójnością i życiem - są prawdziwymi podmiotami". Wszelkiego rodzaju towarzystwa

teozoficzne były bardzo popularne w USA w XIX i na początku XX w.

23 Manicheusz (ok. 216-276) - znany również jako Mani i Manes. Urodził się w zachodniej Persji. Wychowywał się we wspólnocie elkazaitów ruchu gnostyckiego działającego w III i IV wieku, wywodzącego się z chrześcijaństwa. W dwunastym roku życia Mani miał pierwsze objawienie. Drugie objawienie, które miało miejsce 12 lat później, dało początek manicheizmowi. Poglądy religijne Maniego łączyły wpływy różnych religii, z których najważniejszy jest związek z zaratusztrianizmem.

24 Polikrates - władca Samos w latach 537-522 p.n.e. Obok Krezusa archetypiczne przedstawienie zmienności losu. Przez starożytnych uważany za człowieka niezwykle szczęśliwego. Aby utrzymać przychyłność bogów, Polikrates za radą przyjaciela wyrzucił do morza piękny sygnet. Dar został przez bogów odrzucony i wrócił do władcy w brzuchu ryby podarowanej mu przez jednego z poddanych.

25 Gibson Girl (pl. „Dziewczyna Gibsona”) - stworzona przez rysownika Charlesa Dana Gibsona personifikacja amerykańskiego kobiecego ideału urody z końca XIX i początków XX wieku.

26 Jean-Antoine Watteau (1684—1721) - francuski malarz, rysownik i rytownik, prekursor i czołowy przedstawiciel francuskiego rokoka, twórca nowego gatunku malarskiego *fete galante*.

27 Hiawatha - żyjący (według różnych przekazów) w XII, XV lub XVI wieku wódz Irokezów bądź Mohawków.

28 Earl Bothwell - dokł. James Hepburn, znany jako lord Bothwell (1534-1578); trzeci i ostatni mąż Marii Stuart, królowej Szkotów, słynący z bezwzględności.

29 Zoetrop - urządzenie opatentowane w 1834 roku przez Williama George'a Homera. Wewnątrz cylindra z naciętymi szczelinami znajduje się seria obrazków przedstawiająca kolejne etapy ruchu. We wprawionym w obrót zoetropie obserwator widzi obrazki tylko w momentach, gdy szczelina znajduje się bezpośrednio przed jego oczami, co

dzięki efektowi stroboskopowemu sprawia wrażenie ruchomej scenki.

30 *Mulberry* - morwa, owoc morwy.

31 Wewnątrz Kościoła anglikańskiego od XIX wieku wyróżnia się konserwatywny, zbliżony do rzymskiego katolicyzmu i kultywujący liturgię *High Church*, bardziej ludowy i bliższy kalwinizmowi *Low Church* oraz liberalny *Broad Church*.